

MARINA FIORATO

MIGDAŁOWA  
MADONNA

Mojemu ojcu Adelinowi Fiorato - prawdziwie  
renesansowemu człowiekowi



## ROZDZIAŁ 1

### Ostatnia bitwa

Nie musicie wiedzieć, jak się nazywam, to już nie ma znaczenia, gdyż właśnie umieram.

Ale powiem wam, jak się nazywa ona - Simonetta di Saronno. Te słowa zawsze brzmiały dla mnie jak cudowna muzyczna czy poetycka fraza. Dźwięczne sylaby kroczące w kadencji równie doskonałej jak jej oblicze.

Winien też jestem podać wam datę swojej śmierci. Jest dzisiaj dwudziesty czwarty lutego roku Pańskiego 1525, a ja leżę na plecach na polu pod Pawią, w Lombardii.

Już nie mogę poruszać głową, ale moje oczy jeszcze widzą. Płatki śniegu spadają na gorące powieki i natychmiast topnieją, spływając mi po rzęsach jak łzy. Przez sypiący śnieg i obłoki pary wokół sylwetek rozgrzanych w boju żołnierzy widzę Gregoria - najznakomitszego z giermków! On wciąż walczy. Gdy zwraca twarz w moją stronę, dostrzegam przerażenie w jego oczach - zaiste żalony muszę przedstawiać widok. Z jego ust odczytuję, że wykrzykuje moje imię, ale tego nie słyszę. Czuję tylko dudnienie krwi w uszach i chociaż bitwa wre wokół mnie, nie docierają do mnie jej odgłosy, nawet te niemilknące na chwilę i zlewające się w jeden grzmot wystrzałów z nowej złowrogiej broni, która mnie dosięgła, rażąc śmiertelnie i ogłuszając. Atakowany przez przeciwnika Gregorio nie może sobie pozwolić na litowanie się nade mną, chociaż mnie bardzo kocha. Tnie mieczem z lewa na prawo i choć robi to z większym wigorem niż precyzją, wciąż trzyma się na nogach, a ja, jego pan, poległem. Modłę się, żeby chociaż on mógł powitać świt i powiedzieć pani mego serca, że walczyłem dzielnie. Na kaftanie Gregoria, poszarpanym i zakrwawionym, widnieje mój herb. Patrząc na tarczę w kolorach niebieskim i srebrnym - trzy srebrne owale na błękitnym tle. Te owale to migdały.

Wzrusza mnie myśl, że moi przodkowie umieścili je w godle naszego rodu, gdy wpisywali się do roli herbowej. Niech będą one ostatnim obrazem, jaki widzę. Liczę: jeden, dwa, trzy, i zamykam oczy na zawsze.

Lecz jeszcze myślę i czuję. Nie uważajcie mnie za martwego. Wyciągam prawą rękę, chcąc namacać miecz, dziedziczony po ojcu. Wciąż leży obok. Chwytam za rękojeść, pamiętając i liczne bitwy, i moją dłoń. Czy mogłem przewidzieć, że okaże się równie bezużyteczny jak ptasie piórko? Wszystko się zmieniło. To jest ostatnia bitwa. Ginie z nią, podobnie jak ja sam, tradycja walki rycerskiej. Lecz ja wciąż uważam, że żołnierz powinien umierać z mieczem w ręku.

Jestem gotowy. Ale moja wyobraźnia jeszcze pracuje i wywołuje obraz innej, drogiej mi ręki. Jej dłonie są niemal tak piękne jak jej twarz. Długie i białe, cudowne, lecz i osobliwe, ponieważ trzy środkowe palce mają dokładnie tę samą długość. Pamiętam kojący dotyk tych dłoni, czuję go i teraz. Dwanaście miesięcy temu, gdy chorowałem na zimnicę, chłodziła nimi moje czoło. Całowała też moje skronie, a jej wargi na mej płonącej skórze były tak lodowate, jak teraz pocałunki śniegowe. Otwieram usta, łapiąc delikatne płatki, by w ostatnim momencie życia poczuć ich świeżość. I przypominam sobie, że wtedy ona przekroiła cytrynę na pół i wyciskała sok prosto w moje usta, żeby przynieść mi ulgę. Kwaśny smak łagodziła słodycz jej miłości i opieki. Tamten smak powrócił dzisiaj rano, gdy całowałem ostrze miecza przed poprowadzeniem mojej drużyny do boju. I znowu go czuję. Lecz dobrze wiem, że to nie jest sok z cytryny. To krew. Napływa do moich ust. Konam. Wypowiem po raz ostatni jej imię.

Simonetta di Saronno.

## ROZDZIAŁ 2

### Miecz i arkebuz

Simonetta di Saronno w wysokim prostokącie okna swojej komnaty wyglądała jak płaskorzeźba anioła na nastawie ołtarzowej. Siedząc nieruchomo, szklanymi oczami patrzyła z góry na drogę, i tak było każdego dnia. Choć obywatele Saronno przywykli do tego widoku, jednak często o niej mówili.

Bogata Villa Castello, zbudowana na planie kwadratu, stała samotnie i majestatycznie nieopodal miasta - w odległości *una passeggiata lunga*, ma *una cavalcata corta*, „długiego spaceru, ale krótkiej jazdy”, jak mówiono w okolicy. Tutaj równina lombardzka zaczynała pięć się ku masywowi górskiemu i stojący na zboczu dom, wznoszący się wyniośle nad miasteczkiem, widoczny był dobrze z rynku. Mieszkańcy mogli podziwiać lśniący jak marmur stiuk w kolorze homara, białe kolumny od frontu i wspaniałe ogromne okna. Villa byłaby obiektem zawiści, gdyby nie to, że imponująca brama, zawsze otwarta, zapraszała gościnnie do wejścia. Handlarze i petenci szli śmiało w stronę domu aleją wiodącą przez bujny ogród i rozległy park, mając pewność, że zostaną przyjęci i wysłuchani przez dworską służbę, bo tak jej przykazali signor i signora, a to znaczyło, że mają szlachetne serca. Położenie Villi stanowiło symboliczne odzwierciedlenie statusu rodu Saronnów, który żył blisko miasta i wypełniał wobec niego swoje feudalne powinności, ale jednocześnie zachowywał dystans.

Okno Simonetty widoczne było z drogi do Como, brudnego traktu wijącego się między taflami jezior, pod śnieżnymi szczytami gór. Dostawcy, kupcy, handlarze i nosiwody, choć zajęci swoimi sprawami, zawsze zerkali w górę, na signorę w oknie. Wcześniej, być może, dawałaby pretekst do żartów, ale w tych ciężkich czasach nikomu nie

było do śmiechu. Zbyt wielu obywateli poszło na wojnę i nigdy nie wróciło. Lombardia nie widziała dla siebie żadnych korzyści z uczestnictwa w wojnach, toczyli je w imię własnych interesów i z niskich pobudek możni tego świata - papież, król francuski i żądny władzy cesarz. Miasteczko Saronno, do niedawna dobrze prosperujące w cieniu kapiącego złotem Mediolanu i srebrnego majestatu gór, ponosiło niezasłużone ciosy i doznawało licznych krzywd w toku zbrojnych konfliktów. Żołnierskie buty zdzierały bruk na rynku. Metalowe strzemiona, zahaczając o rogi domów, robiły wyrwy w tynku, gdy kawalerie francuska i cesarska przetaczały się jak burza przez miasto. Poczciwi mieszkańcy Saronno wiedzieli, na co czeka Simonetta, i choć była wielką panią z pałacu, współczuli jej, bo przypadł jej w udziale taki sam zły los, jaki spotykał matki, żony i córki z miasteczka. A kiedy nadszedł i minął ten dzień, którego się bała, nic się nie zmieniło w jej obyczaju. Wszyscy widzieli, że wciąż siedzi dzień i noc w oknie, jakby nie traciła nadziei, iż on wróci do domu.

Po tamtym dniu o wdowie z Villi Castello nie przestawano mówić. Stare mury szafranowego Saronno, którego uliczki rozchodziły się promieniście od placu kościelnego, słyszały wszystko, o czym rozprawiali mieszkańcy. Wspominali oni ciągle ów dzień, kiedy to Gregorio di Puglia, giermek signora Lorenza, cały zakrwawiony od ran, pojawił się w alei prowadzącej do Villi. Szedł z trudem, potykając się i słaniając, a migdałowce pochylały ku niemu swe gałęzie, ich srebrzyste liście szeptały mu do ucha, że wiedzą, jak straszne wieści niesie.

Signora zniknęła wtedy z okna, ten jeden jedyny raz, i po chwili pojawiła się w drzwiach loggii. Wyteęzała wzrok, chcąc w niewyraźnej sylwetce dostrzec pana, a nie jego sługę. Gdy po ubiorze i posturze rozpoznała Gregoria, zalała się łzami, a

kiedy się zbliżył i dostrzegła miecz, który niósł w rękę, osunęła się bez przytomności na ziemię. Wszystko to widział Luca, syn Luki, pomocnik ogrodnika. Jako jedyny świadek tej sceny chłopak opowiadał o niej ciekawskim, którzy go okrzyki, zgromadziwszy się przy stojącej obok kościoła dzwonnicy, bo dawała cień, a słońce prażyło mocno, i słuchali go w skupieniu niczym wędrownego kaznodziei. Gromadka przemieszczała się wraz z przesuwającym się cieniem, zainteresowanie nie słabło i roztrząsaniu zdarzenia nie było końca. Rozprawiali tak długo o Simonetcie, że wreszcie ksiądz, ich poczciwy pasterz, otworzył drzwi kościoła i na progu chłodnego, ciemnego wnętrza stał, kręcąc głową, wsłuchany w słowa Luki. Ten jął mówić szybciej, żeby nim ksiądz znowu zamknie drzwi, dobrnąć do finału i zarazem najbardziej fascynującego i tajemniczego aspektu tragedii: otóż giermek przyniósł z pola bitwy nie tylko miecz. Coś długiego, ciężkiego i też z metalu... Luca nie potrafił powiedzieć, co to było. I na tym kończył swą opowieść. Nie mógł bowiem wiedzieć, że signora, gdy tylko odzyskała przytomność, zamknęła się z giermkim sam na sam i odbyli długą rozmowę. A potem znowu pokazała się w oknie, żeby w nim pozostać chyba aż do dnia Sądu Ostatecznego. Wszyscy modlili się, żeby w tym dniu połączyła się znowu z ukochanym mężem.

\* \* \*

Simonetta di Saronno zastanawiała się, czy Bóg istnieje naprawdę. Doznała wstrząsu, gdy to pytanie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, ale już nie potrafiła się od niego uwolnić. Przesiadywała jak zwykle w oknie, odrętwiała, bez jednej łzy w oczach, i patrzyła na migdałowce i na drogę w dole, póki niebo nie posiniało przed nocą i nie poczuła lodowatego chłodu od kamienia pod rękami. Saronno u podnóża góry wyglądało w zapadającym zmierzchu jak



rzucana ze szczytu wielka srebrna moneta. Poczucie odrębności i oddalenia, które Simonetta zawsze bardzo sobie ceniła, dopiero teraz ostatecznie się dopełniło: odosobniony dom stał się prawdziwym więzieniem.

Tkwiała w nim niczym dziewica ze starych legend osadzona w obleganej przez smoki wieży albo nowicjuszka zamknięta w klasztornej celi. Raffaella, niezmordowana panna służebna, narzucała na ramiona swej pani okrycie z wiewiórczych skórek, ale ona zdawała się niewrażliwa na komfort, jaki dawało miękkie, ciepłe futerko. Odczuwała jedynie ból, jakby ranił ją ostry kamień, który uwiązał w piersiach. Przywoływał wspomnienie pierwszego owocu z drzewa migdałowego, jakim ją poczęstowano. Połknęła go wtedy w całości, a zdarzyło się to podczas uczty weselnej. Miała wtedy trzynaście lat, a Lorenzo piętnaście i jako pan młody dał jej do zjedzenia migdał z sadu, który z dawien dawna należał do jego rodu.

Ceremonia ślubna odbywała się w kościele sanktuaryjnym Santa Maria dei Miracoli w Saronno. Przepiękny biały kościół ze strzelistą, sięgającą nieba nowiutką wieżą, oktagonalnym baptysterium i okolonym drzewami klasztorem nigdy dotąd nie widział takiej pompy. Głośnie bicie nowych dzwonów niosło na całą równinę radosną wieść o połączeniu się dwóch zacnych rodów, a ludzie zgromadzeni na kościelnym placu wiwatowali w cieniu kampanili. A potem przyszła kolej na pogańską ceremonię w gaju migdałowym. Panna młoda i pan młody w uplecionych ze srebrzystych liści migdałowca girlandach na głowie częstowali się wzajemnie owocami tego drzewa. To była kontynuowana od wieków tradycja, mająca zapewnić młodej parze szczęście, dostatek i potomstwo. Ceremonię zakłócił drobny incydent, bo Simonetta zaczęła się dławić podanym przez Lorenza orzechem. Śmiał się z niej, kiedy matka ratowała ją, dając jej wodę i wino do popicia.

Lecz jednocześnie czule wyjaśniał: „To trzeba gryźć, miażdżyć zębami. Wtedy poczujesz słodki smak migdała”. Miał pewnie rację, ale na razie czuła się, jakby połknęła kawałek drewna. Jednak kiedy ją pocałował, pomyślała, że tylko takiej słodyczy pragnie na całe życie.

Migdał tkwił w jej gardle przez resztę ceremonii weselnej i całą ucztę. Matka, wierna słuchaczka kazań, dopatrująca się w każdym zdarzeniu ręki Boga, nie pozwoliła Simonetcie na skargi.

- Zapamiętaj tę lekcję, córko. Owoc trzeba uszkodzić, żeby poczuć jego smak. Tak już jest i to naturalna kolej rzeczy. Twoje życie jest beztroskie i szczęśliwe, byłaś kochanym dzieckiem, obdarzonym przez Boga urodą i wszelkimi innymi darami, zostajesz szczęśliwą żoną bogatego męża, ale niczyje życie nie upływa w wiecznej pomyślności. Któregoś dnia poznasz smak cierpienia i wówczas przypomnisz sobie to zdarzenie. Bo dopiero wtedy poznasz całą prawdę o swojej naturze i o życiu, jakie Bóg dla ciebie zaplanował. Przez cierpienie będzie ci wskazana właściwa droga.

Simonetta w milczeniu popijała wino, pomna na obowiązek posłuszeństwa wobec matki. Migdał trafił wreszcie do żołądka, przykre dławienie ustąpiło i dziewczyna poczuła rozgrzewającą moc trunku. Skierowała wzrok na pana młodego i naszło ją uczucie odmiennego gorąca: dreszcz grzesznej rozkoszy, że oto jest poślubiona młodzieńcowi o wyglądzie bóstwa i zbliża się ich noc poślubna... Nie docierał już do niej głos matki, wyobrażała sobie szczęśliwe życie z Lorenzem, nie wątpiąc, że los będzie im zawsze sprzyjał. Poza tym wiedziała, gdzie bije źródło matczynej goryczy. Pomyślała o przystojnym i pełnym wigoru ojcu, który ubóstwiał swoją córkę, ale nie była ona jedyną młodą damą, jaką adorował. Matka bardzo cierpiała z powodu jego

miłostek, bo ni stąd, ni zowąd jakaś służebna dziewczka stawiała się bezczelna lub zbyt często nawiedzały dom ponętne handlarki winem. Simonetta wierzyła, że jej życie będzie inne, szczęśliwe.

Było do tej pory, do powrotu Gregoria.

Czyż mogła przewidzieć, że zostanie nieoczekiwanie złamane, bo okrutny los sprawi, iż będzie oplakiwała śmierć mężczyzny, który przez tak długi czas ją uszczęśliwiał? Zniosłaby każdy cios, tylko nie ten. Gdyby Lorenza zauroczyła jakaś inna kobieta, co się nigdy nie zdarzyło, bo na żadną nigdy nawet nie spojrzał, umiałaby pogodzić się z jego niewiernością. Niechby tylko wróciły czasy, kiedy był przy niej, żywy, gorący, roześmiany, i oddawali się razem niefrasobliwym uciechom. To, co teraz czuła, ta straszna gruda w piersiach, ból, który potrafiła zlokalizować co do centymetra, z pewnością ją także zabije. Gdy śmierć przyjdzie po nią, powita ją jak wybawienie.

Simonetta położyła białe dłonie na mieczu - mieczu Lorenza, który Gregorio przyniósł z pola walki. A potem wpatrzyła się w tę drugą rzecz, wyglądającą obco i groźnie. Składała się z długiej metalowej rury i drewnianej rękojeści. Wszystko razem było tak ciężkie, że Simonetcie ledwie sił starczyło, żeby „to coś” podźwignąć.

- Co to jest? - spytała cichym głosem. Gregorio stał przed nią, mnąc w rękach aksamitną czapkę. Oczy miał zamglone łzami.

- Nazywają to arkebuzem, pani. Jakaś nowa broń. Wypala jak armata, tyle że żołnierz trzyma ją w ręku. Kiedy wyceluje, to wystarczy, że pociągnie palcem za spust, i ustrzeli wroga. Diabelski mechanizm. - Wskazywał kolejno palcem na dziwacznie powyginane metalowe elementy przymocowane do drewna: cyngiel, sprężynę, kurek i trzpień.

- Dlaczego mi to przyniosłeś? - pytała, a głos z trudem przedzierał jej się przez gardło.

- Taki sam zabił mojego pana. Musiałaś zobaczyć arkebuz, pani, żeby wiedzieć, jak zginął signor. Zły los nie dał mu żadnej szansy. Wiesz sama, że nie miał sobie równego. Wsławił się jako najznakomitszy rycerz. Nikt by go nie pokonał w walce na miecze. Ale ten Hiszpan, markiz Pescara, wystawił przeciwko nam tysiąc pięciuset strzelców. Widziałem, jak szeregi francuskiej kawalerii padają pokotem pod ostrzałem arkebuzerów. Ci z nas, których nie dosięgły strzały, pospadali z koni, bo te poniosły, przerażone odgłosami wystrzałów. Co to był za huk! Jakby sam diavolo albo całe zastępy diabłów śpiewały ucieszona niespodziewaną ucztą. - Gregorio nakreślił znak krzyża na splamionym krwią kaftanie.

Simonetta przełknęła ślinę. Ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Skinęła na Gregoria, by odszedł. Zostawszy sama, przeniosła broń na okno. Usiadła przy nim, jakby nic się nie zmieniło.

Ty głupcze, pomyślała nagle ze złością o Lorenzu. Położyła dłoń na mieczu, po chwili drugą na arkebuzie. Od dotyku zimnej stali zdrętwiały jej palce. Przeszłość i przyszłość. Byłeś rycerzem doskonałym. Ale tego nie przewidziałeś, nieprawdaż? Na co się zdał rycerski rynsztunek i kodeks, gdy przyszło się zmierzyć z taką bronią? Stary świat odchodzi, przychodzi nowy. A w nim etos rycerza ma znaczenie i wagę żdźbła słomy. Simonetta też nie chciała żyć w takim świecie. Przemknęła jej przez głowę myśl, żeby przystawić lufę arkebuzą do serca i tym sposobem połączyć się z Lorenzem w raju. A może raczej powiesić się w gaju na gałęzi migdałowca, jak to jakiś czas temu uczyniła jedna ze służebnych dziewczek, porzucona przez kochanka. Popęniłaby jednak najcięższy grzech ze wszystkich. Jak największy wiarołomca w dziejach, Judasz Iskariota. A przecież matka

wychowywała ją w poszanowaniu Słowa Bożego. Pamiętała też Simonetta pobyt w Pizie, gdzie codziennie chodziła na mszę do baptysterium. Słuchając śpiewnej łaciny księdza, nie odrywała wzroku od przedstawienia Sądu Ostatecznego w płaskorzeźbie na ambonie. Czarne diabły pożerały samobójców, wgryzając się zębami w ich członki i wysuwając pożądliwe jęzory, wychłęptywały kałuże krwi. Przerazały Simonettę i zarazem fascynowały. Z gorejącymi policzkami, jakby płomienie i jej dosięgały, wierciła się w ławce z herbem rodu i uspokajała tylko na chwilę, gdy matka szczypała ją dotkliwie w ramię.

Więc nie - nie mogła odebrać sobie życia. Lecz dla niej życie i tak się skończyło.

Przed zamążpójściem nie wyobrażała sobie, że małżeństwo może być aż tak szczęśliwe. Ona i Lorenzo stanowili jedność. Żyli w Villi Castello, spędzając czas na ucztach, polowaniach, wizytach w innych dworach i wyprawach na okolicznościowe uroczystości. Pili wino z dobrze zaopatrzonej piwniczki i jedli owoce migdałowców. Raz w tygodniu uczestniczyli we mszy w kościele Santa Maria dei Miracoli, w którym brali ślub, ale oddawali się głównie rozkoszom łoża i stołu. Chociaż na świat nie przyszło dziecko, nie boleli nad tym, wystarczała im wzajemna miłość. Byli jeszcze bardzo młodzi, mieli przed sobą całe życie. Kiedy w 1523 roku zaraza dotknęła resztę rodziny i wszyscy poumierali, oni obydwój, bezpieczni w swoim pałacu na zboczu i zajęci sobą, prawie nie odczuli straty. Śmiech rozbrzmiewał w Villi od lata do wiosny, przez okrągły rok. Lorenzo tryskał energią i humorem i uczył żonę beztroski, to, co niemile, obracając w żart, a ona nadażała za nim w wesołości. Jej uroda rozkwitła, Simonetta wyrosła z dziewczęcej pulchności. Olśniewała pięknnością anielskiego oblicza, obfitością rudych włosów i bielą rąk. Nie groził im

przy tym niedostatek - połączone fortuny zapewniały bezpieczną przyszłość i czerpanie z życia wszelkich przyjemności. Ściany Villi Castello pokrywały bogate gobeliny, signor i signora hojnie wynagradzali artystów i muzyków. Stoły uginały się pod ciężarem półmisków z mięsiwem i ciastami, a przystojna para ubierała się w najdroższe aksamity i futra. W grube warkocze miedzianych włosów Simonetta wplatała sznury pereł i srebrne nici, tworząc wielce wymyślne fryzury.

Niestety, nadszedł czas wojen - lata zbrojnych zatargów między zwaśnionymi państwami i państewkami włoskimi, między gibelinami i gwelfami. Obcy i lokalni władcy prowadzili zaciętą grę o tak łakome kąski jak Mediolan, Wenecja, Genua i papieski Rzym. Lorenzo, ćwiczony od dzieciństwa w sztukach wojennych, wsławił się męstwem i został jednym z dowódców. Żołnierskie powinności wyrwały go z domu i niejedną ucztę, czy to w dzień świętego Mikołaja, czy w Boże Narodzenie, opuścił. Simonetta wpatrywała się wtedy smętnie w bogato rzeźbione krzesło męża, które stało puste u szczytu stołu. Melancholijny nastrój przeganiała, uprawiając się w łucznictwie lub spędzając czas z lutnią w rękę. Niekiedy podczas przedłużającej się nieobecności Lorenza puszczała wodze fantazji, wyobrażając sobie, że w okresach samotności dziecko byłoby dla niej wielkim pocieszeniem, ale wystarczyło, że małżonek pokazał się na koniu między drzewami migdałowca, by zapomniała o przelotnym marzeniu, biegnąc mu na spotkanie. Przygniatał ją do zbroi, mocno całując w usta, i chociaż natychmiast udawali się do komnaty sypialnej, całkowicie opuszczała ją myśl o ewentualnym owocu miłosnego zbliżenia.

Nie urodzi się już żadne potomstwo z tego małżeństwa. Lorenzo nie wróci z ostatniej wyprawy, na której walczył pod dowództwem marszałka Jacques'a de la Palisse'a. Ten wielki

francuski generał zginął, zginął też Lorenzo. Dopiero teraz uświadomiła sobie w pełni, jak ogromnym darem byłyby dla niej jego syn lub córka. Ale skończyła już lat siedemnaście, lata najlepszej płodności miała za sobą. Pozostała na świecie zupełnie sama.

Dlatego właśnie Simonetta di Saronno zastanawiała się, czy rzeczywiście Bóg istnieje. Bo jakże mógłby tak okrutnie zdruzgotać jej życie? Rozdzielić na zawsze dwie miłujące się istoty, których związek sam pobłogosławił w swojej świątyni i przypieczętował sakramentem?

Ogarnął ją lęk. Od powrotu Gregoria ani razu się nie modliła. Jeżeli odwróci się plecami od Boga, stoczy się w otchłań. Wejdzie na ścieżkę ciemności, z której nie będzie odwrotu. Zepchnięta do piekła, już nigdy nie zobaczy Lorenza. Byłby to los jeszcze gorszy niż ten, który obecnie stał się jej udziałem, gdyż mogła mieć nadzieję na połączenie się z Lorenzem w raju i tylko dlatego życie jeszcze się w niej tliło. Dawniej, w dniach szczęśliwości, modliła się do Matki Boskiej, bo któż inny, jak nie Santa Maria, zaślubiona świętemu Józefowi, mógłby lepiej wiedzieć, czym jest miłość i dobre małżeństwo? Simonetta postanowiła więc, że pójdzie do kościoła i pomodli się o ukojenie do Błogosławionej Dziewicy, której wstawiennictwo u Boga wyjednuje cuda. Bo gdyby znalazła wreszcie pocieszenie, niczego więcej by nie potrzebowała. Ten cud by wystarczył. Zdjęła ręce z miecza i arkebuz. Uklękła przed łóżkiem i zmówiła Pater Noster, po czym otuliła się futrzaną opończę i jak kłoda zwała na posłanie.

## ROZDZIAŁ 3

### Selvaggio

- Nonna, w lesie jest jakiś potwór.

- Amario Sant' Ambrogio, minęło ci już dwadzieścia wiosen, a wciąż masz ptasi mózdzek. Co za głupstwa pleciesz?

- Przysięgam, Nonna, zaklinam się na samego świętego Ambrożego. Byłyśmy z Silvaną u źródła i tam go widziałyśmy. I mówią o nim w mieście. Nazywają go Selvaggio, dzikim człowiekiem! - Czarne oczy Amarii były okrągłe jak spodki.

Stara kobieta siedziała przy stole zbitym z desek. Popatrzyła na swoją wnuczkę, która sama wyglądała nie lepiej niż dzikus. W długie do pasa czarne włosy wplątały się kwiaty żywokostu i wrzośca, śniada cera poczerwieniała z emocji, ciemnozielone tęczęwki oczu okolone były białkami jak u spłoszonego żrebaka. Rozdarty stanik, rozpierany przez bujne piersi, odsłaniał o wiele więcej, niżby nakazywała przyzwoitość, a spódnice dziewczyna podkasała, żeby nie przeszkadzały w biegu, i wyzierały spod nich solidne łydki. Amaria nie była gruba, gdyż w ubogim gospodarstwie babki i wnuczki o obżarstwie nie mogło być mowy. Jednak dziewczyna miała kobiece, krągłe kształty i wyglądała jak uosobienie zdrowia. Każdy możliwy pan chciałby nacieszyć oczy świeżością jej urody, chociaż rumiane lica i pełna sylwetka nie były wówczas w modzie. Dworskie damy pielęgnowały bladą cerę i żeby jej nadać alabastrowy odcień, wcierały w skórę maści z bielą wenecką. Amaria nie musiała wstydzic się swojej opalenizny koloru złotawego piasku. Szlachetne damy szczyliły się wiotką jak trzcina kibicią, ciało Amarii było silne i krzepkie. Niejedna signora miała się najróżniejszych sztuczek, żeby rozjaśnić swoje włosy, Amaria miała czarne i połyskliwe jak skrzydło kruka. Chociaż Nonna



uwazała, iż nie ma kobiety piękniejszej od jej wnuczki, jednak zamartwiała się jej panieństwem. Bo któż by chciał wziąć za żonę dziewczynę dwudziestoletnią, wprawdzie z dostatkiem ciała, ale bez rozumu i bez fortuny? Tym bardziej że pokazywała się w Pawii w takim stanie jak dzisiaj, niczym jedna z nierządnic wylegających na rynek o zmierzchu.

Nonna westchnęła ciężko i przesunęła w ustach kulkę z liści szaławii, więc zapadł się jej jeden papierowy policzek i wydał drugi. Gorąco kochała Amarię, nieba by jej przychyliła, ale tak silnej miłości towarzyszył stały niepokój o wnuczkę i dlatego babka zwykła ją często strofować.

- Mogłam się domyślić, że Silvana maczała w tym palce - rzekła ostro. - Wciąga cię we wszystkie takie głupoty. Doprowadź się czym prędzej do porządku, dziecko, i odmów Ave Maria. Przypomnij sobie o Bogu, zapomnij o swojej tłustej przyjaciółce, odmów pacierze, zamiast trajkotać jak papuga.

Amaria przygładziła włosy i opuściła spódnicę. Była przyzwyczajona do takich kazań i nie zmniejszało to w niczym jej szacunku i uczucia do babki. Na kominku znalazła szpulkę nici oraz igłę i przystąpiła do zszywania rozdartego stanika.

- Ale ja naprawdę go widziałam, Nonna. Patrzyłyśmy z Silvaną... na wodę i zobaczyłam jego twarz, odwróciłam się, a on stał za nami. Nonna, on ma czerwoną skórę, pazury, jest pokryty futrem, ale ma dobre oczy. Czy to duch leśny?

- Czerwona skóra? Pazury? Futro? Duch leśny? Skąd u ciebie takie pogańskie wymysły? Niechybnie to biedny uciekinier z tej ostatniej bitwy, żołnierz, który postradał rozum. Być może Hiszpan, bo znani są z tego, że mają źle w głowie. - Nonna mówiła to lekkim, obojętnym tonem, jakby to nie przez tych okrutników miała złamane życie. - A co robiłaś przy źródle, jeśli mogę spytać? Mamy wody pod dostatkiem, a

już nie wspomnę, że wody mogłaś zaczerpnąć na rynku, tam ci było bliżej.

Amaria nie przerwała szycia, ale spuściła głowę i się zaczerwieniła.

- My poszłyśmy... to znaczy... Silvana chciała... ona chciała powróżyc sobie... nad pozzo dei mariti.

Nonna prychnęła pogardliwie, ale wzrok jej zmiękł. Znała miejscową przypowieść o tym, że w taflí jeziorka przy źródle, w lesie koło Pawii, dziewczyna może zobaczyć twarz przyszłego męża. Nie dziwiła się, że Amaria marzy o tym, żeby się zakochać i wyjść za mąż. Niestety, jej najlepsze lata minęły, do tego niski status społeczny wykluczał dobrą partię, a przed złym zamążpójściem babka pilnie jej strzegła. Usłyszawszy o wróżbach, Nonna umyślnie przybrała bardziej zgryźliwy ton.

- Dziewczyńskie banialuki! Kto by w nie wierzył? On jest pustelnikiem albo, być może, Francuzem. Mówią, że pod Pawią Hiszpanie pojмали francuskiego króla... zwałił go z konia sam Cesare Hercolani... Czy twój przyszły mąż nie miał czasem korony na głowie?

Amaria się zaśmiała. Niewiele rozumiała z politycznej gry, będącej tłem ostatniej, głośnej bitwy. Ale zebrała ona obfite żniwo i przez to szanse na zamążpójście zmały, bo wielu mężczyzn poszło walczyć, a wrócili nieliczni. Los i tak był dla Amarii łaskawy, bo nie opłakiwała nikogo i nie zapalała świeczek w kościele jak wdowy. Wiedziała, że Franciszek, król francuski, jest więźniem zwycięskich Hiszpanów, którzy zajęli Mediolan. O nich słyszała tylko tyle, że ponoć mają ogony, i mówiło się, że potrafią rozmawiać ze swoimi końmi i że tak osobliwie jak one parskają.

- Masz rację, Nonna. To jakiś pomylenieć. Może był żołnierzem.

Szła dalej w milczeniu, skupiona na swoim zajęciu, natomiast babka, poruszona rozmową o wojnie, spoglądała na ścianę nad kominkiem, gdzie wisiał sztylet Filippa. Czy to możliwe, że już dwadzieścia lat upłynęło, od kiedy straciła ukochanego syna, jedyne dziecko, cudownego chłopca? Taki szmat czasu od bitwy pod Garigliano w 1503 roku. Ona i inne matki modliły się wtedy, żeby nadeszły jakieś wieści o ich synach. Niektórym los pozwolił dłużej pozostawać w niepewności, czy ich synowie żyją, czy zginęli - jej została odebrana nadzieja na powrót Filippa, gdy Hiszpanie przywieźli do Pawii setki trupów i złożyli je na rynku. Wraz z innymi kobietami przeszukiwała makabryczny stos, a nad ich głowami krążyły roje much i stada myszołów. Zobaczyła wreszcie ukochaną twarz, pokiereszowaną i z plamami zaschłej krwi. Z powodu dekretu komuny miejskiej nakazującego podpalenie stosu, co miało zapobiec zarazie, nie mogła zabrać ciała do domu, żeby je obmyć i pochować po chrześcijańsku. Starczyło jej jedynie czasu na zamknięcie Filippowi oczu. Znalazła też jego sztylet, który wsunął w rajtuzy i którego żaden z szabrowników pewnie nie zauważył. Początkowo nie uroniła jednej łzy, dopiero gęsty dym wycisnął je z oczu. Po powrocie do domu miała wrażenie, że już nigdy nie opuści jej smród palących się ciał i widok buchających ze stosu płomieni.

To wspomnienie i ból mogłyby pozostać z nią na zawsze, odbierając ochotę do życia, gdyby nie to, że Bóg zesłał jej w darze Amarię. Tak jak Mojżesza córce faraona. Nonna znalazła niemowlę w sitowiu dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dziewczyna była tego ranka. Podrzucano tam nowo narodzone dzieci, zwłaszcza w latach wojen, bo niemało dziewcząt popadało wtedy w kłopoty. Nonna chodziła do leśnego źródła po wodę, gdyż studnia w rynku była zatruta zwłokami. Któregoś dnia, gdy nachyliła się nad wodą,

usłyszała stłumiony płacz. Rozgarnąwszy sitowie, zobaczyła półnagię noworodka, nieobmytego, umazanego krwią. Znad spłaszczonego noska zamrugały ciemne oczka i całe ciało zadrgało w reakcji na ostre światło. Nonna opatuliła dziecinę i przyniosła do domu, nie wiedząc jeszcze, czy to dziewczynka, czy chłopiec. Dla niej nie miało to znaczenia, chciała się czymś zająć i obudzić do życia po stracie syna. Początkowo słuchała obojętnie nocnego płaczu małej - okazało się, że to dziewczynka - i jej dziennych wrzasków, gdy domagała się nasączonego miodem gałganka lub protestowała na ciasne powijaki. Krzątała się przy niej apatycznie aż do dnia, kiedy malutka skupiła na niej spojrzenie swoich ciemnych jak rodzynki oczu i obdarzyła ją bezzębnym uśmiechem, tak niewinnym, że zatarł wspomnienia okropności wojny i wszystkiego, co było przedtem. Nonna przycisnęła Amarię do serca i rozszlochała się po raz pierwszy od owego dnia, kiedy zamknęła Filippowi oczy.

Można powiedzieć, że Nonna uratowała Amarię, a Amaria uratowała Nonnę. Bo ta miała serce tak przepelnione miłością i bólem, że chybaby jej pękło, gdyby nie mogła przelać uczucia na inną ludzką istotę. Nadała dziecku imię Amaria od słowa amore i nazwisko Ambrogio, żeby czuwał nad nią święty Ambroży mediolański. W tych rejonach było to tradycją, gdyż wierzono, iż ten błogosławiony będzie otaczał opieką miejscowe sieroty bez matki i ojca. Gdy dziewczynka zaczęła wymawiać pierwsze słowa, jej czterdziestoletnia wtedy opiekunka uznała, że jest za stara, aby uchodzić za matkę, więc podpowiedziała Amarii, żeby ją nazywała Nonną, czyli babcią. I tak pozostało. Amaria wyrosła na piękną dziewczynę, pełną życia, paplającą bez przerwy - do rzeczy i od rzeczy naraz. Jej uroda i pogodne usposobienie przyciągały młodzieńców, ale status sieroty i ubóstwo domu powodowały, że ich uczucia szybko gasły. Amaria dziękowała Bogu, że ma

Nonnę, która ją bardzo kocha. A Nonna temu samemu Bogu dziękowała, że ma kogo kochać. Uratowała Amarię i dzięki temu sama dotąd żyła. Teraz, po dwudziestu latach od tamtego dnia, wyglądało na to, że znowu ktoś potrzebuje jej pomocy. Jakiś dzikus? Bóg zabrał jej Filippa, ale podarował Amarię, która okazała się dla niej błogosławieństwem. Czy teraz żąda czegoś w zamian? Spojrzała na ukochaną wnuczkę, a potem znowu na sztylet. Zdjęła go ze ściany, podwinęła spódnicę i wsadziła go za prawą pończochę, tak by przylegał do łydki, jak u zmarłego Filippa. Amaria otworzyła szeroko oczy. - Prowadź mnie tam - rzekła babka.

\* \* \*

Szły blisko godzinę między nieszporami i kompleta, jak mogły się zorientować po biciu dzwonów bazyliki, wzywających wiernych na modlitwy. Amaria nawet na moment nie przestawała trąkotać. Gdy przechodziły koło katedry, Nonna spuściła głowę - tak robiła zawsze. Nigdy nie patrzyła na plac z obawy, że stanie jej przed oczami płonący stos i poczuje w nozdrzach woń palących się ciał. Nie zauważyła więc turkoczających na wietrze setek, a może tysięcy skrawków papieru przypinanych do kościelnych drzwi. Błagalnych próśb do Boga i jego wszystkich świętych o powrót do domu zaginionych, bo może nie są martwi.

Gdy za miastem droga zaczęła biec w górę, Amaria wyciągnęła rękę, żeby pomóc babce, która się zadyszała i nawet wypluła nieodłączną kulkę z szaławii. Zatrzymały się dla nabrania oddechu, zostawiwszy za sobą Pawię, miasto tysiąca wież, jak o nim mówiono. Pod względem znaczenia ustępowało w Lombardii tylko Mediolanowi, który leżał nieco dalej na północ. Siedząc na kępkach trawy, objęte ramionami, obserwowały z góry panoramę Saronno o zachodzie. Gawrony podrywały się do lotu i krążyły wokół wież i wieżyczek wystrzelających w czerwieniejące niebo. Potężna sylwetka

katedry wyrastała ponad linię horyzontu, a rzędy rdzawo zabarwionych kamieniczek tuliły się do stromego zbocza, schodząc aż do rzeki i tam, na samym dole, w ciasnej zabudowie nabrzeża, przycupnięta była ich własna chata. Ponte Coperto, słynny zadaszony most, wydawał się barwnym węzem, przerzucającym cielsko nad rzeką z jednego brzegu na drugi. Wody Ticino błyszcząły jak ostrze klingi. Za rzeką, patrząc w stronę południową, widziało się wielkie pole, gdzie ostatnio tak wielu zginęło. Ciche i puste teraz, ciemne i ponure, ogołoczone z porzuconej broni i oczyszczone przez ptaki z rozkładających się ciał. W poświacie zachodzącego za widnokrąg słońca domy i wieże spurpurowiały, jakby spijały krew z pola walki, niczym kwiaty wodę.

Robiło się późno, więc Nonna wyciągnęła ręce do Amarii, żeby pomogła jej się podźwignąć. Weszły w ciemniejący las. Dotarły do celu, ale przy granatowym o zmroku jeziorze nie było dzikusa z opowieści Amarii. Nonna usłyszała jednak trzask gałęzi i natychmiast wyciągnęła nóż. W tych niespokojnych czasach zrobiła się czujna, a las na tym wzgórzu znała, bo zapuszczała się tu od czasu do czasu z nadzieją, że wróci do domu z zającem, który wpadł w zastawione wnyki. Stare uszy i oczy nie zawiodły, Nonna poprowadziła Amarię przez zarośla do skrytej w mchu i liściach czarnej paszczy jaskini.

Był tam. Wsunęły się ostrożnie w ciemność, a Amaria na widok przesuwającej się sylwetki zawołała: „Selvaggio!”, bo tak o leśnym dzikusie mówiono w mieście.

- Głuptas jesteś - syknęła babka. - Nie odpowie ci, bo skąd może wiedzieć, że ma takie przezwisko? - Uznała za roztropne przemówić do obcego w dialekcie mediolańskim. - Nie bój się! Przyszliśmy ci pomóc wiedzione tu przez świętego Ambrożego.

Odpowiedzią była długa i straszna cisza. Kobiety zmartwiały z trwogi, zastanawiając się, jakie zło na siebie ściągnęły. Nonnie przemknął przed oczami obraz Filippa i rzekła:

- Nie masz do czynienia ani z Hiszpanami, ani z Francuzami, traktujemy cię jak przyjaciela.

Najpierw błysnęły jego oczy, gdy wyłaniał się z ciemności, szurając nogami. Gdy stanął przed nimi, Amaria musiała zdławić wyrywający się jej z gardła okrzyk przerażenia. Ten człowiek nieczłowiek był straszliwie chudy, można mu było policzyć wszystkie po kolei żebra. Skóry nie miał czerwonej z natury, tylko od sączącej się z ran krwi. Nie porastało go futro, to skołtunionie włosy opadały mu na twarz, a kilkumiesięczna splątana broda zasłaniała szyję. Pazury okazały się paznokciami nóg i rąk, zakrzywionymi, bo zbyt długo nie były obcinane. Mógł mieć równie dobrze siedemnaście, jak siedemdziesiąt lat. Zadziwiały jego piękne ciemnozielone oczy, z których biło jakieś ciepło czy dobro, co już rankiem uderzyło Amarię. Wyglądało na to, że nie może mówić, ale słyszy. Z jaskini wychodził powoli, z trudem, słaniając się przy każdym kroku. Po raz pierwszy od dwudziestu lat Nonna znowu omal się nie rozsłochała na myśl, że tak mógłby wyglądać Filippo, gdyby przeżył. W takim stanie wracałby wtedy do domu. Więc nie miała przed sobą dzikusa, tylko chłopca. Dzikusami byli ci, którzy go tak skrzywdzili. Jedną ręką powstrzymała zbierającą się do ucieczki wnuczkę, a drugą wyciągnęła do niego. Ledwie była świadoma słów, jakie wypowiada, ale czuła, że są właściwe. - Chodź do domu - rzekła.

## ROZDZIAŁ 4

### Artyści i anioły

W tej godzinie, w której Filippo umierał na polu bitwy pod Garigliano, wielki artysta rozpoczynał dzieło życia. Dokładnie w tym momencie, kiedy Filippo wydawał ostatnie tchnienie, pędzel mistrza dotknął płótna, na którym miał powstać jego najślawniejszy obraz. Ale nie o mistrzu będzie tu mowa, tylko o jego uczniu, o młodzieńcu w wieku nieszczęsnego Filippa. Również zyskał potem sławę, ale wówczas był leniwym, rozpustnym młodym człowiekiem, goniącym za łatwymi uciechami, obdarzonym talentem, lecz pozbawionym moralności. Nie było dla niego żadnych świętości, a przynajmniej takich, dla których by warto oddać życie, jak to uczynił Filippo. Tego dnia, kiedy Bóg odebrał syna żołnierza matce i tchnął w artystę ducha geniuszu, którym ten miał przepoić swe dzieło, nasz rozpustnik najwyraźniej umknął z pola Jego widzenia. Nazywał się...

- Bernardino Luini! - Krzyk, ryk niemal, rozległ się echem po ogromnej pracowni. Bernardino od razu rozpoznał ten głos. Należał do mężczyzny, który wypłoszył go z łóża kochanki, gdy ostatniej nocy baraszkował z nią w jej sypialni aż do świtu, spływającego ciepłym światłem na dachy Florencji. Gdyby piękniś Bernardino chciał być z sobą szczerzy, musiałby przyznać, że lęk przed nagłym powrotem męża był mu potrzebny jako dodatkowy dreszczyk, gdyż dama z pewnością nie była wielkiej urody. Ot, nawinęła mu się pod rękę, ponieważ pozowała mistrzowi do obrazu. Bernardino przywykł stawiać czoło szewskiej pasji mężów swoich kochanek, a nieraz nosił ślady po mariti arrabbiati, z czego zaśmiewali się jego przyjaciele, widząc go po raz kolejny zeszpeconego podsiniaczonym okiem czy przeciętą wargą. Tym razem jednak tyle było zawziętości w głosie



rozsierzonego męża, iż Bernardino natychmiast rzucił pędzle i rozejrzał się po studio w poszukiwaniu dogodnej kryjówki.

Wokół panowała krzątanina, młodzi uczniowie konstruowali krosna, napinali na nie płótna i nakładali zaprawę, starsi wykańczali prace mistrza. Niestety, żadne miejsce nie wyglądało na idealną kryjówkę, aż wreszcie oczy Bernardina zabłyśły, gdy spojrzął na podium w końcu długiej sali. Siedziała tam jego obecna kochanka, cnotliwie spłótła dłonie na podołku, ale oczy zdradzały zmęczenie po nocnych ekscesach. Niefryzowane włosy opadały jej na ramiona, a niemal czarna zieleń sukni nie przydawała cerze świeżości. Gdyby Bernardino miał czas na rozmyślanie, niewątpliwie zadałby sobie pytanie, po raz kolejny zresztą, dlaczego mistrz da Vinci uparł się, żeby akurat tę damę malować - nie była młodzianką, miała dwóch synów. Jeżeli jemu będzie wreszcie dane malować postać kobiecą, wybierze modelkę piękną jak rozkwitający kwiat - anioła, który utrwali jego dzieło niczym świętość... Nie było jednak czasu na puszczanie wodzy wyobraźni, skoro zdołał wypatrzeć kryjówkę. Za siedzącą modelką był parawan, który Bernardino własnoręcznie zmontował z trzech części. Na ten prymitywny tryptyk naciągnął płótno, na którym na polecenie mistrza namalował fantazję pastoralną, wyobrażającą krajobraz toskański - drzewa, wzgórza i strumień. Zżymał się, gdy otrzymał to zadanie, ponieważ uważał, że jest gotowy do malowania postaci ludzkich, tymczasem Leonardo, z niejasnych powodów, uporczywie wyznaczał swemu uczniowi raczej późniejsze prace. Rzadko kiedy pozwalał mu wziąć do ręki pędzel, chyba że trzeba było namalować ręce. Ręce, ręce i wciąż więcej rąk! Nie wiadomo dlaczego Bernardino malował je po mistrzowsku, jakby obdarzony jakimś naturalnym darem radzenia sobie z tym trudnym tematem, tak więc wciąż musiał domalowywać je postaciom. Nie powierzał mu da Vinci

ambitniejszych zadań, chociaż czasami Bernardino wykonywał dla niego szkic węglem, z którego potem pod pędzlem geniusza powstawał obraz. Nie tracił więc nadziei, że Leonardo dostrzeże wreszcie jego talent i pozwoli mu się usamodzielnąć i rozwinąć skrzydła. W tym jednakże momencie nie miał pretensji do losu, gdyż namalowany własnoręcznie pejzaż miał mu się dobrze przysłużyć. Gdy biegł w kierunku podium, jego kochanka szeroko otworzyła oczy. Ona też rozpoznała donośny głos męża i drżała z obawy, że konfrontacja jest nieunikniona. Niesłusznie. Bernardino był tchórzem. Przytknął tylko palec do ust i skrył się za parawanem kilka sekund przed tym, zanim podwójne drzwi do pracowni otworzyły się z hukiem i do środka wkroczył sam Francesco di Bartolomeo di Zanobi del Giocondo.

Bernardino przystawił oko do szczeliny przy zawiasach, łączących panele parawanu. Jeden rzut oka na twarz mistrza upewnił go, że ten wszystko widział - nic nigdy nie uchodziło jego uwagi. Obfita broda skrywała wprawdzie emocje, ale wzniesione brwi wiele mówiły, chociaż Leonardo nie przerwał pracy.

Da Vinci nie grzeszył pobożnością, jego poglądy religijne graniczyły z herezją, więc krążyły ironiczne komentarze, że choć mistrz nie wierzy w Boga, to biała broda i białe włosy czynią go bardzo do wizerunku Stwórcy podobnym. Mistrz nic sobie nie robił z tego typu żartów, tolerował i ludzką głupotę, i szaleństwo, a ze szczególnym pobłażaniem patrzył na miłostki Bernardina. Od początku upodobał sobie tego chłopca, podarował mu nawet swój pięćdziesięciostronicowy szkicownik, znany z podawanych z ust do ust opowieści jako Libricciolo, zawierający groteskowe rysunki ludzkich twarzy. Była tam dziewczka, która nie miała nosa, tylko dwie dziury; mężczyzna z dwoma guzami na szyi tak wielkimi, że wyglądał, jakby miał trzy głowy; jakiś biedny człeczyzna ze

zrośniętymi od urodzenia wargami, tak że musiał przyjmować pokarm do nosa przez rodzaj rurki, którą sam da Vinci dla niego wykonał. Bernardino całymi godzinami oglądał te wybryki natury ku zadowoleniu mistrza.

- Kiedy przedstawiasz na rysunku lombardzkie piękności - mówił mu Leonardo - nie zapominaj, Bernardino, że nie wszystko, co stwarza natura, jest piękne.

Rzeczywiście Libricciolo ukazywało prawdziwą szpetotę, za to obdarowany tym szkicownikiem młodzieniec był nadzwyczaj przystojny, co prowokowało do ordynarnych plotek, że jego uroda cieszyła mistrza nie tylko ze względów estetycznych. Z jakiego bowiem powodu Leonardo, wracając do Florencji, wziął tego chłopaka z sobą? Chłopaka, który ledwie rozpoczął naukę w jego mediolańskiej pracowni, nigdy nie wytknął głowy na szerszy świat i nie widział nic więcej poza niziną lombardzką, zamkniętą między górami i jeziorami.

Ze swego ukrycia Bernardino patrzył, jak Francesco idzie od drzwi, nie bacząc na to, że powiewającym płaszczem strąca płótna z blejtramów. Czeladnicy odwrócili głowy, żeby obserwować niecodzienną scenę, ale żaden nie wątpił, iż powodem najścia jest Bernardino. Perspektywy dla tegoż nie rysowały się dobrze, gdyż za szlachcicem kroczyli dwaj słudzy w liberii z herbem rodu Giocondo, a ich miecze pobrzękiwały w takt głośnych kroków. Francesco, jako jeden z najbogatszych kupców florenckich, mógł przy tym liczyć na przychylność miejskiego sądu. Znieważony w swej godności mąż zatrzymał się przed da Vinci, ale żywiąc pogardę do artystów i im podobnych, nie miał zamiaru miarkować swego gniewu.

- Wybacz najście, signor da Vinci - zaczął protekcyjnym tonem. - Szukam twojego ucznia Bernardina Luiniego, który wyrządził mi wielką krzywdę. - Bernardino

dostrzegł, że spojrzenie Francesca zawisło przez chwilę na żonie, która siedziała bez ruchu na stołku. Pomyślał, że kupiec podobny jest do kota jego babki, tłustego i niebezpiecznego.

Signor da Vinci rozmyślnie zrobił jeszcze kilka pociągnięć pędzlem i dopiero potem go odłożył. Obrócił się twarzą do Francesca, ale zanim przybrał stosowną do okoliczności minę, iskierki wesołości pojawiły się w jego oczach, co nie uszło uwagi Bernardina. Mistrz miał zamiar się zabawić.

- Zdziwiasz mnie, signor del Giocondo - odezwał się. - Mój uczeń ma lat zaledwie dwadzieścia trzy i terminuje w mojej pracowni. Jakąż krzywdę mógł on wyrządzić tak znamienitemu kupcowi jak ty, panie?

Francesco sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Bernardino uśmiechnął się do siebie. Przejrzał grę Leonarda. Mistrz wiedział, że kupiec nie pozwoli sobie na to, by wzięto go na języki i wyśmiewano jako rogakza za sprawą osoby tak podłego stanu jak nędzny rzemieślnik. Dla da Vinci ważne było, żeby awantura nie zaszkodziła jego pracy. Nie miał zamiaru dopuścić do tego, żeby del Giocondo zabrał z pracowni żonę, uniemożliwiając dokończenie portretu. Gdyby do tego doszło, byłby bardzo niezadowolony. Więc Bernardino miał pewność, że mistrz stanie w obronie godności swojej modelki, a co za tym idzie, także reputacji niesfornego ucznia.

Francesco przeniósł ciężar swojego cielska z jednej nogi na drugą.

- To poufna sprawa. Dotyczy... moich interesów. Da Vinci odkasznął.

- Niestety, signor, z żalem powiedzieć muszę, że nie potrafię ci pomóc... w twoich interesach. - Jego brwi znowu wygięły się w łuk. - Obawiam się, że nie rozmówisz się z signorem Luinim. Dostałem zlecenie od samego doży

weneckiego i Bernardino udał się do Wenecji, żeby zacząć pracę dla Jego Eminencji.

Francesco przymrużył z niedowierzaniem oczy, ale da Vinci wyciągnął z rękawa szaty zwinięte w rulon pismo.

- Z pewnością znane ci są, signor, insygnia doży? Francesco wziął do ręki pismo i przyjrzał się pieczęci.

Rozpoznał herb i zaczął rozwijać rulon, lecz Leonardo wyrwał mu go z ręki.

- Wybacz, signor - powiedział szorstko. - Moje sprawy również mają poufny charakter.

W tej sytuacji Francesco niewiele więcej mógł zrobić. Spróbował jeszcze ratować twarz.

- Cóż, skoro ten nędznik zniknął z moich oczu... Lecz jeżeli kiedykolwiek zobaczę go na ulicach Florencji, rzucę mu wyzwanie i go zabiję.

Zniesmaczony Bernardino wywrócił oczami, choć nikt tego nie mógł widzieć. Na miłość Chrystusa, mamy rok tysiąc pięćset trzeci! - zachnął się w duchu. Mijają trzy lata nowego stulecia, a ten głupiec przemawia językiem kochanka z zamierzchłych czasów dworskich turniejów. Zza parawanu obserwował rywala, który wyciągnął rękę do żony siedzącej na podium.

- Idziesz ze mną, pani - powiedział. Bernardino zauważył, że da Vinci zeszywniał.

- Proszę, zostań na miejscu, pani - rzekł stanowczo i zwrócił się do Francesca. - Nie ma już chyba powodu, żeby zabierać signorę z pracowni? Skoro człowiek, który obraził cię, panie, opuścił miasto, nic złego z jego strony spotkać cię nie może. A z pewnością żona w niczym tu nie zawiniła, nieprawdaż?

Temu przy licznych świadkach nie mógł Francesco zaprzeczyć. Widać było po nim, że waha się, co ma zrobić, więc da Vinci uciekł się do pochlebstwa.

- Zważ, signor, na to, że ten portret rozśławi cię jako mecenasa miłującego sztukę.

Prawda była taka, że Francesco nie kochał malarstwa, nie urzekały go też piękne obrazy. Wiedział jednak, że Florencja zawdzięcza swą pozycję wśród miast włoskich dziełom malarstwa, rzeźby i architektury, jakie tu powstawały. Rozumiał wagę włączenia siebie i swojego nazwiska do tak wielkiej sprawy.

- Lecz to tylko portret - zgłosił jeszcze wątpliwość. - Nie malujesz wielkiej bitwy ani sceny biblijnej, niczego takiego. Obraz zawiśnie w moim palazzo i nikt poza członkami mojej rodziny nie będzie go oglądał.

- Otóż jesteś w błędzie, signor! - wykrzyknął Leonardo, w którym zawrzała pasja artysty. - To nie będzie zwykły portret. Zaprezentuję w nim swoje ostatnie odkrycie, cudowne chiaroscuro. Czy widzisz tę misterną grę światła i cienia? Czy dostrzegasz, jak mistrzowskimi pociągnięciami pędzla przyciemniam kąci jej ust, zacierając ich kontury, co nadaje twarzy tajemniczy wyraz? Te subtelne przejścia światłocieniowe nazywam techniką sfumato. Uwierz mi, signor, twoją żonę będzie podziwiał świat, a ty, przyczyniając się do tego, zyskasz sławę nie tylko wielkiego patrona i miłośnika sztuki, lecz także najzaciejszego z zacnych małżonka.

To przekonało Francesca, który wbrew brzmieniu nazwiska (Gioco (wł.) - gra, zabawa.) nie był pogodny, a poczucia humoru wręcz za grosz nie miał, za to cechowała go wielka duma. Czy może być lepszy sposób na zadanie kłamu plotkom o wiarołomstwie żony niż uwiecznienie jej w portrecie sporządzonym przez wielkiego mistrza opłacanego z kiesy męża? Opuścił wyciągniętą rękę, skłonił się Leonardowi i wyszedł.

Bernardino z westchnieniem ulgi oparł głowę o listwę tryptyku. Wciągnął w nozdrza rozkoszny zapach farby olejnej i topolowego drewna, a dołem doszły go nawet jeszcze inne wonie... słodki zapach drewna sandałowego z trepów na nogach kochanki pomieszany z zapachem jej płci, dobrze zapamiętanym z poprzedniego wieczoru. Wspomnienie przeszło dreszczem jego łądzwie i przez kilka chwil musiał przywoływać się do opamiętania - ledwie uniknął obdarcia ze skóry i nie mógł sobie pozwolić na uleganie żądzom. Ma zostawić signorę w spokoju. Otrzeźwiał, słysząc głos swego mistrza.

- Możesz już wyjść, Bernardino.

Nieco zażenowany wychynał zza parawanu, powitany śmiechem i oklaskami towarzyszy z pracowni. Skłonił się im teatralnie. Leonardo zaś znowu uniósł brwi. Jemu Bernardino pokłonił się bardzo nisko i szczerze.

- Dziękuję, signor - powiedział. - Czy mogę wrócić do pracy?

- Wracasz do pracy, Bernardino, ale już nie tutaj.

- Co?

- Miałeś okazję i przyjemność podsłuchać, jaka przyszłość cię czeka. Chcę, żebyś udał się do Wenecji i podjął się wielkiego wyzwania. Nie wymyśliłem fortelu, żeby się pozbyć twojego rywala, tylko naprawdę otrzymałem prośbę od doży. - Jeszcze raz wyciągnął pismo z rękawa i pomachał nim przed uczniem. - Uważam, że powinieneś na jakiś czas zniknąć panu Giocondo z oczu.

- Do Wenecji?

- W rzeczy samej. Jego Eminencja pisze, iż zapłaci trzysta dukatów za namalowanie fresku w kościele klasztorным franciszkanów. Przedstawisz jakieś święte sceny z Madonną, aniołami i tak dalej. Sądzę, że już to potrafisz.

- Postacie? Wyobrażenie całej sceny? Nie same ręce? Leonardo roześmiał się szczerze, co było rzadkością.

- Oczywiście, że mają być figury, a te mają ręce. Jeżeli nie będą ich miały, doża ci nie zapłaci.

Bernardino był oszołomiony. Wenecja. Veneto. Niewiele o niej wiedział, jedynie to, że jest zbudowana na wodzie i z tego powodu skórę tamtejszych kobiet pokrywa rybia łuska, a z nóg mężczyzn wyrastają płetwy. We Florencji było mu dobrze - po raz pierwszy opuścił Lombardię i cieszył się spędzaniem czasu w wesołej kompanii przyjaciół i na uciechach z kochankami. Pokochał Florencję. Z drugiej strony nie zostawi jej na zawsze. Rok czy dwa wystarczą na ukończenie pracy. Przy tym powierza mu się wykonanie sceny figuralnej, więc koniec z lasem rąk - palce i knykcie, knykcie i palce, i tak w nieskończoność. Do tego miał dostać niemałe pieniądze. Dla niego oznaczające fortunę. Pocięszał się także myślą, że i tam znajdzie jakieś ponętne kobiety.

Wziął list z rąk mistrza i, jak przystało, podziękował. Leonardo zegnał go serdecznie. Ujął głowę Bernardina w ręce i głęboko popatrzył mu w oczy.

- Słuchaj mnie uważnie, Bernardino. Niech cię nie zgubi przekonanie o własnym geniuszu, bo go nie masz. Jesteś dobrym malarzem i masz zadatki na wielkiego artystę, ale przedtem musi się obudzić twoje serce. Jeżeli z powodu rozłąki z obecną tu damą ściska się ono z żalu czy nawet krwawi, tym lepiej. Przeżycia złe i dobre muszą znaleźć odzwierciedlenie w każdym twoim dziele, żeby nie było martwe. Odchodzisz z moim błogosławieństwem.

Mistrz gorąco ucałował Bernardina w obydwie policzki. Młodzieniec zbliżył się potem do kochanki, która nie spuszczała z niego wzroku. Nie, piękna to ona nie jest, pomyślał, nie będę usychał z tęsknoty. Lecz nie mógł się powstrzymać, by się ku niej nie pochylić.



- Pożegnam się z tobą później, pani. Gdy twojego męża nie będzie w domu.

\* \* \*

Bernardino przemierzał ukochane ulice z naciągniętym na twarz kapturem - wolał uniknąć konfrontacji z rywalem, dopóki nie opuści Florencji cały i zdrowy. Nie potrafił jednak zrezygnować w drodze powrotnej do ubogiej kwatery z pożegnania miejsc bliskich sercu. W takt bicia dzwonów, których słodka kakofonia przejmowała go rozkosznym dreszczem, szedł wolno przez miasto. Stał na placu, gdzie spalono ciało Savonaroli i gdzie rok wcześniej płonął jeden ze „stosów próżności”, do których rozpalania ten kaznodzieja nawoływał. Bernardino nie grzeszył przeglądaniem się w lustrze, więc nie mógł wiedzieć, że gdy czule żegnał każdą po kolei rzeźbę na Piazza della Signoria, połyskliwy marmur kanaryjski cudownie harmonizował ze srebrnym lśnieniem jego własnych oczu. Oparł się o rozgrzaną kamienną balustradę na nabrzeżu Arno i powiedział „do widzenia” perfekcyjnym w kształcie arkadom Ponte Vecchio. W zachodzącym słońcu, które nadawało wszystkiemu koloryt, jaki kochał najbardziej, kamienie filarów i arkad zmieniały barwę od bursztynowej do złotej. Bernardino nie wiedział, że jego twarz ma podobnie ciepły odcień. Gdy szedł nawą bazyliki Santa Croce i mówił arrivederci kamiennym płytom nagrobnym braci zebrzących, chowanych tu pod posadzką, nie wiedział, iż ci święci nosili kaptury tak czarne jak jego włosy. Podziwiając perłowy odcień marmurów tej wielkiej bazyliki, nieświadomy był tego, że jego zęby lśnią porównywalną bielą. Uroda Bernardina mogła bowiem zachwycać na równi z urokiem miasta. Na koniec wędrówki napił się wody z fontanny złocistego dzika Porcellina i potarł jego nos, nabierając pewności, że dzięki temu, zgodnie z legendą, któregoś dnia tu wróci. Bernardino nie był typem

introwertyka. Chociaż żegnał się z Florencją, której miało mu brakować, jego myśl wybiegała już radośnie w przyszłość, a nawet zaczął nucić, gdy zbliżał się do domu, ulubioną śpiewkę Lorenza de Medici, Wawrzyńca Wspaniałego, którą tenże sam skomponował.

Quant 'e bella giovinezza, Che si fugge tuttavia! Chi vuol esser lieto sia: Di doman non c 'e certezza.

Jakże piękna jest młodość, Która szybko przemija! Wesel się, ile chcesz, Bo nie możesz znać jutra.

Leonardo nie od razu wrócił do pracy. Stał nieruchomo w studiolo, rozmyślając. Dobrze, iż Bernardino wyjechał, gdyż był zbyt piękny, żeby codziennie plątał mu się na widoku. Przypomniawszy sobie jego lśniące, czarne loki, uderzające oczy o niespotykanym w Lombardii wykroju i kolorze, rzęsy długie i tak grube, jakby na każdą z osobna nałożono czerń pędzelkiem z sobolowej sierści, niemającym więcej niż trzy włosy. Bernardino miał nawet wszystkie zęby, i do tego połyskujące bielą. Leonardo westchnął, odganiając wspomnienie, i spojrzał na modelkę. Nie była piękna, choć pochlebnie wyrażał się o jej urodzie wobec męża, jednakże jej twarz przykuwała uwagę, choćby dostojną powagą. Z pewnością przezwiskiem „La Gioconda” obdarzono ją dla żartu, gdyż nic nie wskazywało na to, że dama jest wesołego usposobienia. Lecz cóż to... coś się zmieniło... wokół kącików jej ust zaigrał uśmiech? Niezupełnie, ale chyba tak... Jej powagę rozcieńczyło w jednej chwili niemal nieuchwytnie rozciągnięcie warg, nadające twarzy enigmatyczny wyraz, jakby skrywała jakąś tajemnicę. Leonardo przeklął w duchu Bernardina. Co on jej szepnął do ucha? Wziął do ręki pędzle i od nowa zabrał się do cyzelowania ust na portrecie. Niech diabli porwą tego chłopaka!

\* \* \*

Bernardino przysięgał sobie, że każda kobieta, jaka posłuży mu za model, będzie musiała być piękna jak anioł, lecz nie wiedział, że przyjdzie mu czekać na taką ponad dwadzieścia lat z okładem. Kiedy pracował nad zamówieniem doży weneckiego, jej rodzice byli świeżo po ślubie. Urodziła się, gdy w opactwie Chiaravalle koło Mediolanu przystępował do malowania Piety. Kiedy tworzył w Mediolanie jedno ze swoich największych dzieł - fresk przedstawiający Chrystusa w koronie cierniowej - dla Bractwa Korony Cierniowej, ona poślubiła innego i na weselu dławiała się owocem migdałowca.

Bernardino z roku na rok dojrzywał jako artysta, lecz nie napotkał wśród pozujących mu kobiet twarzy, która wyzwoliłaby w nim pełnię pasji twórczej. Dopóki w 1525 roku nie znalazł się w jednym pomieszczeniu z obiektem swych estetycznych marzeń. Stało się to za sprawą mediolańskiego kardynała, bo na jego życzenie udał się do Saronno i tam w kościele Santa Maria dei Miracoli zobaczył Simonettę di Saronno, która przyszła do świątyni, żeby się pomodlić.

\* \* \*

- Kto to jest?

Ojciec Anselmo odwrócił się twarzą do swego gościa. Artysta, sądząc po wyglądzie, był prawdopodobnie w jego wieku, więc nie pierwszej młodości, ale sposób bycia zdradzał diametralnie różne usposobienie. Umysł Anselma zaprzętały myśli o Bogu i rzeczach świętych, a ten przystojny mężczyzna wydawał się rozmiłowany w ziemskich uciechach. Ksiądz jednak zdążył już polubić przybysza, mimo że znali się zaledwie od kwadransa. Na jego pytanie odpowiedział bardzo oficjalnie, jakby go na wszelki wypadek ostrzegał.

- Signor Luini, to jest signora Simonetta di Saronno.

- Naprawdę? - Luini nie krył łakomej fascynacji. Anselmo podniósł głowę z wygoloną tonsurą i spojrzał wyżej od siebie mężczyźnie prosto w oczy.

- Signor, to wielka pani w tej okolicy.

- Założę się, że wszędzie przewyższałaby inne, nie tylko tutaj, ojczy.

Anselmo próbował dalej. - Signora od niedawna jest w żałobie. To vedova. Straciła męża na wojnie.

- Tym lepiej, tym lepiej.

Ksiądz nie dowierzał własnym uszom, był wstrząśnięty.

- Signor! Jak możesz!? Wojna spustoszyła całą lombardzką równinę. Nie tylko signora cierpi. Wiele kobiet opłakuje tych, których kochały. W bólu pogrążone są jednak bogate i biedne rodziny. Bitwa pod Pawią zabrała tej nieszczęsnej pani męża, a co to był za pan! Młody, mężny, ile w nim było werwy, a przy tym pamiętał o Bogu.

- Wygląda na to, że i tobie, ojczy, go zabrakło. Anselmo nie podjął lekkiego tonu rozmówcy.

- Te wojny, jak wszystkie, nie przynoszą niczego dobrego, tylko samo zło.

Luini wzruszył ramionami.

- Wojna nie zawsze jest zła. Na tym półwyspie wojny toczą się od setek lat, pogłębiając nienawiść między potężnymi miastami, ale popycha je ona do prześcigania się nie tylko na polu walki, lecz również we wspieraniu sztuki. Mamy najwspanialszych na świecie malarzy, rzeźbiarzy, architektów i pisarzy. Ilu szwajcarskich artystów potrafisz wymienić, ojczy?

- Czyż jednak Bóg nie kocha bardziej kraju żyjącego w pokoju?

- Oni i pokój?! Nie prowadzą wojen między sobą i nie rywalizują w sztuce, ale daleko im do narodu miłującego pokój.

Słyną w świecie jako najlepsi najemnicy - perorował Bernardino z rumieńcem na twarzy. - Zabijają raz jednych, raz drugich, w zależności od tego, która ze stron im lepiej zapłaci. Zapewne Bóg jest z nich bardzo zadowolony.

Anselmo nie przejmował się tym, że przegrywa na argumenty, cieszyło go, że został porzucony ryzykowny temat pani z Saronno. Niestety, nie na długo. Umysł Luiniego przez skojarzenie migiem do niej powrócił.

- Lombardia spływa krwią i farbami, krew wysycha, a farby są trwałe, wieczne. Zwłaszcza gdy artyście trafi się taki obiekt. - Spojrzał na signorę. - Mówisz, ojcze, że jest pobożna?

- Prawdziwie. Każdego tygodnia przychodzi na mszę. Ja udzielałem jej sakramentu małżeństwa. W tym kościele, bo znajduje się najbliżej jej domu.

- A gdzie jest jej dom? Anselmo pokręcił głową.

- Tego nie zdradzę. Nie wolno ci naruszać jej spokoju, signor.

Tymczasem Luini już zmierzał nawą do kaplicy Marii Panny. Chciał z bliska przyjrzeć się damie. Anselmo starał się dotrzymać mu kroku, szarpiąc go za rękaw.

- Signor, proszę się do niej teraz nie zbliżać! Kiedy się modlimy, rozmawiamy z samym Bogiem.

Bernardino nie zamierzał rezygnować.

- Porozmawia z nim później.

Modliła się na klęczkach, obok niej klęczała służąca, jak się domyślił. Pani odziana była w czarne szaty, miała welon, ale z tak przezroczystej materii, że widział przezeń połysk rudych włosów. Zatopiła się w modlitwie, lecz nie z pochyloną głową, tylko z wzniesioną ku wotywniej figurze Dziewicy. Zwrócił uwagę na złożone ku górze smukłe, białe dłonie. Ale jej twarz! Nie mylił się - miała anielską urodę. Takiego oblicza nie udało mu się dotąd przedstawić na płótnie

czy stiuku nawet w godzinach największego natchnienia. Serce zaczęło mu walić w piersi. Musi ją malować. Usiadł w ławce przed nią i szepnął:

- Signora!

Służąca aż podskoczyła, natomiast pani obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. Oczy miała błękitne jak woda jeziora Maggiore, nad którym leżało Luino - wioska jego dzieciństwa. Nigdy nie wspominał tego jeziora z taką miłością, jak teraz, gdy porównywał jego barwę z kolorem jej oczu. Nie drgnął żaden mięsień na jej twarzy, która zdawała się bez wyrazu, ale nieruchomość oblicza w niczym nie umniejszała jego piękna.

- Signor? - odezwała się głosem niskim, melodyjnym, lecz w tonie niezachęcającym. Próbował odgadnąć, ile może mieć lat. Siedemnaście? Ale ileż w niej dostojeństwa!

- Signora, chcę, żebyś mi pozowała. Pragnę cię namalować - rzekł, nie próbując tym razem ściszać głosu.

Teraz się nim zainteresowała. Przyszła tutaj, żeby wymodlić cud, a Madonna kogóż jej zesłała? Mężczyznę czterdziestoletniego lub nawet starszego, niemal obrzydliwie przystojnego, zwracającego się do niej z osobliwą prośbą, której nie rozumiała. Czy jest poddawana jakiejś próbie? Co Królowa Niebios chce jej przekazać?

- Namalować... mnie?

Dopiero w tym momencie dotarł do nich Anselmo, gdyż z uwagi na tuszę i obszerne szaty potrzebował więcej od Bernardina czasu na pokonanie długiej nawy.

- Przepraszam, signora, za zachowanie tego człowieka. Jest artystą. „Wielkim artystą”... - wtrącił Bernardino, ale go zignorowano - ...i właśnie pojawił się tutaj, by pokryć malowidłami ściany naszego kościoła. Jeżeli dobrze go zrozumiałem, przedstawił impertynencką propozycję, żebyś, pani, pozowała do jednej z postaci.

- Nie jednej z postaci, tylko najważniejszej - przerwał mu Bernardino. - Samej Najświętszej Marii Panny. - I żeby przydać wagi swoim słowom, podszedł do świętej figury i klepnął ją delikatnie i czule od tyłu niżej pasa.

Simonetta di Saronno dość usłyszała, żeby zrozumieć. Z podniesioną dumnie głową ruszyła ku drzwiom kościoła, a za nią Raffaella. Nie podobał się Simonetcie ton głosu tego mężczyzny, brak szacunku dla świętej figury, lecz było jeszcze coś więcej. Poczyniła żenujące odkrycie, iż mimo żałoby nie pozostała obojętna na jego fizyczność. I nie rozgrzeszał jej z tego boleśnie przeżywany brak Lorenza w łóżu. Czowała się zszokowana, miała wyrzuty sumienia i postanowiła odpokutować winę w domu, modląc się na klęczkach przy swoim przedziu. Nie wysłuchawszy do końca przeprosin księdza Anselma, wyszła z kościoła i wtedy ugodził ją niczym strzał krzyk jej prześladowcy. Stojąc na stopniach, zawołał:

- Zapłacę ci, pani.

\* \* \*

Anselmo gniewnie szarpał Luiniego za rękaw, ciągnąc go ze stopni do drzwi.

- Nie bądź głupcem! To jedna z najbogatszych dam w Lombardii. Nie potrzebuje twoich pieniędzy.

- Nikt nie ma ich za dużo - powiedział Bernardino, nie spuszczać wzroku z oddalającej się sylwetki. - A skoro mówimy o pieniądzach... - Dał się wprowadzić do wnętrza kościoła, by przystąpić do omówienia warunków zlecenia.

- Za pracę nad każdą postacią otrzymasz dwadzieścia dwa franki dziennie, signor - poinformował go ksiądz.

- Nigdy za mało świętych, mam rację? - pytał Bernardino z cynicznym uśmiechem. - Dodają dramaturgii, nieprawdaż? Serca, oczy i piersi wyrywane z pobożnych ciał, które inaczej nie doczekałyby się kanonizowania.

- Po części prawda - rzekł ksiądz nieporuszony szyderstwem. - Wierni wszakże identyfikują się z ich cierpieniem, zwłaszcza w obecnych czasach. Modlą się do nich o wstawiennictwo u Boga, nadają ich imiona dzieciom, wzywają ich nawet wtedy, gdy miotają przekleństwa. Oni są wpleceni w tkankę naszego życia. Tu, w Lombardii, święci spacerują między nami każdego dnia.

- Jak mam to rozumieć?

Anselmo westchnął, odwrócił się i ruszył w głąb kościoła.

- Nawet jeżeli nie wiesz teraz, któregoś dnia zrozumiesz. Bernardino szedł za nim, chcąc dokończyć rozmowę o pracy.

- A jak z kwaterą? - spytał. Ksiądz się zatrzymał.

- Dostałem instrukcję, żeby dbać o chleb i wino dla ciebie, a zamieszkas obok, w kościelnej dzwonnicy. - W głosie Anselma zadźwięczała nuta dumy. - Będzie ci tam bardzo wygodnie. Kampanila jest zupełnie nowa, zbudowana niedawno z beneficjum przyznanego w tysiąc pięćset szesnastym roku. Jedna z najpiękniejszych w tym regionie.

Bernardino mu przerwał, nie interesowała go historia kampanili.

- Dobrze. Za te pieniądze namaluję gratis narodzenie Chrystusa.

Anselmo stłumił śmiech. Zrezygnował też z poprowadzenia Luiniego do absydy i pokazania mu fragmentu Krzyża Świętego, bezcennej relikwii, która była jego ogromną dumą i radością, a przechowywał ją za rubinowym szkłem wielkiego relikwiarza. Jednakże nie pochwalając lekceważącego stosunku Bernardina do świętości, ulegał urokowi artysty. Ponadto wiedział, że ten potrafi malować. Pobierając nauki w seminarium w Mediolanie, Anselmo widział Chrystusa w cierniowej koronie i zachwycił się tym dziełem. Rozpoznał zresztą Luiniego, gdy tylko ten przekroczył próg kościoła, bo uderzająco przypominał



wyobrażenie Chrystusa z mediolańskiego fresku, co potwierdzało znane księdzu opinie o zuchwałości artysty. Być może Bernardino miał twarz bosko piękną, ale z pobożnością i moralnością było u niego kiepsko. Nic dziwnego, że jego kompani i znajomi malarze połączyli nazwisko Luini z nazwą Luino, gdzie się urodził, i ochrzczili go przydomkiem lupino - wilk. Nawet sam Bernardino okazjonalnie podpisywał się łacińskim lovinus. Anselmo westchnął w duchu z nadzieją, że Bernardino nie będzie sprawiał kłopotów. Luini potarł podbródek.

- Pracuję szybko. Chrystusa w koronie cierniowej namalowałem w ciągu trzydziestu ośmiu dni, chociaż na tym fresku umieściłem aż sto czternaście postaci. - Rozglądał się po kościele, podziwiając tę prawdziwą perłę architektoniczną. Wysokie kolebkowe sklepienie, subtelna sztukateria lśniąca bielą stiuku. Natomiast na nieliczne próby anonimowych artystów zamalowania pilastrów i nisz scenami biblijnymi spojrzął z niesmakiem; nie wytrzymają porównania z jego freskami, które już widział w wyobraźni. Dotknął ręką chłodnego, białego pilastra. Lubił personifikować w myśli kościoły. Ten kojarzył mu się z kobietą. Śnieżna białość wnętrza, smukłość dzwonnicy, spokojna elegancja przylegającego klasztoru. Kamienny pilaster rozgrzał się pod jego dłonią na powitanie. Bernardino zaczął przesuwając po nim ręką w górę i w dół, jakby gładził czule udo kochanki.

- Zadowolę cię - szepnął jak do kobiety. W nagłym przypiływie natchnienia spojrzął na pustą ścianę oddzielającą narteks. - Na tamtej płaszczyźnie - wskazał ręką w stronę przedsionka - powinna się znaleźć wielka scena adoracji magów. W centrum oczywiście Niepokalana Dziewica, a do tej postaci będzie mi pozowała Simonetta di Saronno. - Wypowiedział dobitnie jej imię i miał go już nigdy nie

zapomnieć. Anselmo kręcił głową, niepokodzony z uporem Luiniego.

- Ona nigdy na to nie przystanie.

Bernardino wyszczerzył w uśmiechu białe jak u wilka zęby.

- Zobaczymy - rzekł.

## ROZDZIAŁ 5

### Krajobraz Lombardii

Nonna i Amaria krzątały się przy migotliwym blasku świec łożowych. I tak było dla nich lepiej, gdyż w świetle dnia obcy przedstawiałby jeszcze bardziej przerażający widok. Skąpe oświetlenie było miłosierne. Zmieniało jaskrawą czerwień krwi w czerń syropu z melisy, rozmywało zielony odcień miejsc dotkniętych zgorzelą, tonowało chorobliwą żółtość skóry pod skudlonymi włosami, w których wszy poruszały się jak złote ziarenka, zacierało czerwoną siatkę naczynek w przekrwionych oczach, litościwie pozostawiając w nich ciepłe iskierki życia.

Ułożyły Selvaggia - mówiły tak o nim, przyjmując przewisko za imię - na podsuniełym pod ścianę stole, który Amaria wymościła słomą. Rozpaliła ogień od wiązki chrustu obłożonej przyniesionymi z lasu gałęziami, a potem na żar postawiła do podgrzania gar z wodą. Gdy wszystko było gotowe, zabrały się do pracy.

Łachmany na nim rozcinały kawałek po kawałku nożyczkami Nonny. Selvaggio obserwował wszystko, nie wydając ani jednego jęku, lecz wreszcie stracił z bólu przytomność, gdy przyklejone do ciała szmaty zaczęły odchodzić razem z płatami skóry, mimo że Amaria zwilżała resztki ubrania wodą. Wrzucała je natychmiast do ognia. Ale w pasie Selvaggio owinięty był kawałkiem materiału, w świetle świec czarnym od zaschniętej krwi, i ten Nonna na wszelki wypadek odłożyła na bok z myślą, żeby go schować, gdyż wydawał jej się czymś w rodzaju chorągwi czy proporca, który mógł być dla Selvaggia ważny. Wyglądało na to, że ten proporzec został użyty w celu zatamowania krwi z największej rany - rozcięcia tak głębokiego, że Amaria zamarła, a Nonna cmoknęła, zdziwiona, iż człowiek mógł nie zginąć od tak mocnego pchnięcia mieczem. Więcej takich ran

nie zobaczyły, natomiast klatkę piersiową i ramiona miał dosłownie w dziurach, jakby przeszyły go dziesiątki strzał, które ktoś potem starannie powyjmował z ciała. Tyle że te rany, choć okrągłe jak od grotów strzał, były mniejsze, dużo mniejsze. Nonna przeżegnała się i westchnęła do świętego Sebastiana, którego niejedna strzała przeszyła, a przeżył. Przesłoniwszy usta czystą szmatką, żeby nie zakazić ran, nachyliła się nad Selvaggiem i z bliska przyjrzała się jednemu z otworów. Dostrzegła w nim metalowy groszek, który, gdy go wydobyła, ześlizgnął się po ciele mężczyzny i dźwięcznie uderzył w deskę stołu.

- Co to jest? - zdumiała się Amaria.

- Kulka - odparła Nonna. Pallottola di piombo. - To kulka z ołowiu. Jesteśmy w nowym świecie. - Trzymała w palcach metalowy koralik, który w blasku bijącym od ogniska połyskiwał złośliwie niczym świdrujące oko. Nonna niemało wiedziała o sztuce wojennej. Od śmierci Filippa miała uszy i oczy otwarte, obserwując oddziały najemników i żołnierzy przetaczające się przez miasto. - Malutka kulka wystrzelona z broni podobnej do armaty, tylko takiej trzymanej w ręku. Nazywają ją hakownicą lub arkebuzem. Żołnierze padają od tej broni jak muchy, takie się zrobiły czasy.

Nonna wzięła miskę z rąk Amarii, wylała wodę i postawiła naczynie na stole obok leżącego. Teraz miała się nim zająć sama. Nie przystało młodej panie dotykać ciała mężczyzny. Babka rozgrzała nad ogniem sztylet Filippa, pochyliła się nad Selvaggiem...

- Co robisz?! - zawołała Amaria. Nonna nawet nie podniosła głowy.

- Muszę wydłubać te groszki z jego ciała. Są zrobione ze stopu ołowiu i będą go zatruwać, jeżeli je zostawię.

Amaria pokręciła na dłoni pierwszą wyjętą kulką.

- Jest okrągłusienka - dziwiła się. - Jak się takie rzeczy robi?

- Robią te cudenka wszędzie. Nawet tutaj, w Pawii.

- Tutaj?

- Tak. Widziałaś chyba, dziecko, dwie czerwone wieże koło kościoła Świętego Michała, chodziłaś tamtędy?

Amaria kiwnęła głową.

- Niejeden raz. To nogi diabła. Trzeba przebiec między nimi najszybciej, jak się da, i koniecznie z zamkniętymi oczami, bo inaczej diabeł narobi ci na głowę.

Słyszając takie nonsensy, Nonna nie mogła powstrzymać się od śmiechu, niezupełnie stosownego do okoliczności.

- Właśnie tamto miejsce. Gambe del Diavolo. Tam je robią. Ale diabeł sra teraz kulkami.

- Naprawdę? - Amaria szeroko otworzyła oczy. Nonna nie przerywała wyłuskiwania ostrzem metalu. Niektóre kulki były tuż pod skórą, inne głębiej.

- Nie, dziecko. To nie diabeł, większość złych rzeczy na ziemi czynią ludzie. Gdy gorący ołów skapuje ze szczytu wieży, powietrze go oziębia i formuje tak, że ołowiane krople przy zetknięciu z ziemią są już twarde i doskonale okrągłe, jak paznokcie Jezusa. - Nonna westchnęła. - Pod Pawią większość naszych zginęła od postrzałów. - Umilkła na chwilę, wydobywając kulkę, która ugrzęzła głęboko w mięśniu Selvaggia.

Jego ciało z rozsianymi na nim ranami przywiodło jej na myśl naruszoną wojnami Lombardię, cały półwysep zraniony w tak wielu miejscach krwawymi bitwami. Zaczęła je głośno wyliczać jak litanie, wrzucając kolejne kulki do glinianej miski. Z brzękliwym kliknięciem uderzyła o dno kulka i z ust Nonny padła nazwa Garighano, gdzie zginął Filippo. Potem Agnadello. Klik. Cerignola. Klik. Bicocca, Fornovo, Rawenna. Klik, klik, klik. Marignano, Novara. Oblężenie

Padwy. I na koniec bitwa pod Pawią. Wojna przyszła z daleka i wdarła się w progi ich domu. Klik. Kulki wpadały do miski niczym łzy Matki Bożej i leżały tam wianuszkiem - koraliki krwawego różańca. Nonna pochyliła głowę i westchnęła do Boga za wszystkich zmarłych w tych licznych bitwach.

Następnie wzięła nożyce, prosząc Amarię, żeby odwróciła głowę. Odcinała martwe, żółte ciało z brzegów rozchylonej jak paszcza największej rany. Nie miała wątpliwości, że w tym miejscu ciało zostało rozplątane mieczem. Gdy skończyła ten zabieg, podała nożyce Amarii, która je obmyła i zabrała się do skołtunionych włosów Selvaggia. Ścinała je całymi pękami, a potem myła mu głowę wodą z cytryną, żeby wypłukać wszy. Gdy wyciskała sok z połówek owoców na jego głowę, zdało jej się, że mężczyzna wraca do przytomności. Być może zaszczypały go skaleczenia na głowie, bo zamrugał powiekami. Wyszeptała słowa przeprosin, zanim jego oczy znowu się zamknęły. Nonna, zaopatrzona w kościaną igłę i nawoskowaną nić, przystąpiła do zszywania rany, bo nasłuchawszy się opowieści z pola walki, wiedziała, że jeszcze to powinna zrobić. Igłą i nicią posługiwała się wprawnie, bo szycie należało do jej codziennych zajęć. Jeżeli coś było wyszarpane lub rozdarte, należało to zszyć. Tak nakazywał zdrowy rozsądek i sprawdzona na co dzień praktyka. W tych chwilach grozy, gdy miała przed oczami młodego człowieka, którego ciało było dosłownie nafaszerowane kulkami i straszliwie dźgnięte ostrzem miecza, potrzebowała takiego odwołania się do normalności w zetknięciu z brutalnością świata, który bez wątpienia oszalał. Dlatego też, gdy ściągала nicią brzegi rany, by nie wypłynęły z niej wnętrzności, wyobrażała sobie, że zszywa rozdartą poszewkę, żeby nie uciekały z niej pióra.

Amaria miała łatwiejsze zadanie. Naostrzyła sztylet Filippa o kamień z paleniska i zaczęła obcinać zmierzwioną

brodę Selvaggia. Gdy potem wcierała mu w twarz oliwę, doznała dziwnego wstrząsu, poczuwszy ciepło jego skóry i szorstkość zarostu. Nigdy przedtem nie dotykała mężczyzny. Nie знаła kłujących pocałunków ani uścisku muskularnych ramion, bo w jej życiu nie było ani ojca, ani brata. Ten mężczyzna był nowością i pobudził w niej nieznany, przyjemny dreszcz, tak że zarumieniły się jej policzki i dziwnie zabiło serce. Dzięki jej zabiegom odsłoniła się twarz o regularnych, przystojnych rysach, niepospolitych, zupełnie niepasujących do przezwiska. Kiedy Nonna na niego spojrzała, nie miała wątpliwości, że ich dzikus jest młody. Bardzo młody. Kończąc szycie, wyobraziła sobie, że jest Filippem, jej drugim synem, ale na syna był za młody - z racji wieku mógłby tylko uchodzić za wnuka.

Na koniec Amaria zaczęła obcinać zakrzywione jak szpony paznokcie Selvaggia. Potem umyła mu ręce i wtarła w nie aloes, dobry na gojenie skaleczeń i pęcherzy. Zauważyła, że lewą rękę miał miękką w dotyku, natomiast skóra prawej dłoni była zrogowaciała. Dotykała ręki żołnierza nawykłej do trzymania na co dzień miecza. Nonna nałożyła na rany Selvaggia balsam, sporządzony z szaławii i gorącego tłuszczu, w głębsze rany wlewając przedtem wino. Obydwie kobiety pracowały w milczeniu, tylko od czasu do czasu naradzając się, jakie dalsze zabiegi będą dla niego najlepsze. Mijały godziny. Świece i nieruchome ciało skojarzyły się Nonnie z czuwaniem przy zmarłym. Uświadomiła sobie, że ich wspólne wysiłki mogą się tym skończyć, gdyż rany były poważne i niektóre zainfekowane. Mężczyzna mógł nie dożyć świtu.

Czuła jednak, że nawet gdyby zmarł, ona zrobiła, co należało, a czego nie mogła zrobić dla własnego syna. Oczyściła mu bowiem rany i oporządziła ciało, nakryła go czystym lnianym płótnem i tak przygotowała do snu, który przyniesie mu odpoczynek i zdrowienie lub śmierć. Tego nie

wiedziała. Kiedy jednak szary brzask zaczął rywalizować z blaskiem świateł, powieki Selvaggia podniosły się znowu i leciutkie rumieńce zabarwiły ziemistą twarz. Światło dnia spłynęło na niego jak błogosławieństwo. Z opatrzonymi ranami nie wyglądał na rozstającego się z życiem. W czuwające nad nim kobiety wstąpiła nadzieja. Nie majaczył, jego skóra nie' parzyła pod dotykiem, nie płonęły z gorączki policzki. Teraz spokojnie przyjrzały się jego twarzy. Oczy pod otwartymi powiekami miały zieleń liści bazylii, a włosy brązowy odcień piór drzemlika. Gdy znowu opadły mu powieki i zapadł w sen, babka i wnuczka objęły się i dłuższą chwilę go obserwowały. Potem weszły po schodach na pięterko chaty, do sypialni, w której razem sypiały. Zanim zasnęły, z oczu jednej i drugiej polały się łzy. Nonnie z żalu na wspomnienie straty, Amarii z radości, że los jej coś zsyła.



## ROZDZIAŁ 6

### Notariusz

Simonetta di Saronno skryła twarz w dłoniach. Białe, smukłe dłonie, których środkowe palce były jednakowej długości, zupełnie zasłoniły jej oblicze. Żyła do tego dnia w przekonaniu, że sięgnęła dna rozpaczy, tymczasem okazało się inaczej. Została rzucona w głębszą przepaść. Sprawily to słowa człowieka, który siedział naprzeciwko niej w jadalnej komnacie Villi Castello za wielkim, biesiadnym stołem, który bez zastawy sprawiał smutne wrażenie.

Nie płakała jednak. Człowiek, który z nią rozmawiał, nie wzbudził w niej takich emocji jak Bernardino Luini. Tamtego usilnie starała się zapomnieć i wreszcie jego twarz przestała ją prześladować za dnia. Wdzierał się za to nieproszony w jej sny, więc tym żarliwiej modliła się rankiem.

Jegomość siedzący po drugiej stronie stołu był notariuszem. Oderigo Beccaria od lat zajmował się majątkiem rodu di Saronno, do Villi przychodził raz w miesiącu i spędzał długie godziny na naradach z Lorenzem na osobności. Jego przybycie pierwszego dnia miesiąca z gęsim piórem i księgami rachunkowymi, jakby Lorenzo wcale nie umarł, uświadomiło Simonetcie, że jej osobista tragedia dla innych nie ma większego znaczenia. Nie mogła również przypuszczać, że kobieta o takiej pozycji jak ona, która nie musiała troszczyć się o nic więcej poza kolorem sukni i upięciem fryzury, będzie kiedykolwiek zmuszona wgłębiać się w księgi rachunkowe.

Stan finansów, jak się okazało, nie był dobry. Oderigo poinformował ją, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości, że zalega z wypłatami dla dostawców, także dla służby, gdyż kwota pozostawiona przez Lorenza się wyczerpała, jako że miała służyć na pokrycie rachunków tylko na czas jego krótkiej nieobecności. W tym momencie rozmowy Simonetta

nie przejęła się zbyt słowami notariusza. Pograżona w swoim cierpieniu, męczyła się wysłuchiowaniem litanii liczb i pragnęła, żeby Oderigo wreszcie sobie poszedł, a ona mogła powrócić do samotnej kontemplacji. Chciała szybko załatwić sprawę. Odpięła trzy klucze z brązu od paska sukni i zeszła do podziemia, gdzie przechowywano orzechy migdałowca. Jak zwykle rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy nie jest obserwowana, i rozgniatając pod stopami łupiny, skierowała się od schodów w stronę najodleglejszych drzwi, za którymi skrywał się skarbiec Saronnów. W mroku wymacała palcami trzy dziurki od kluczy i otwierając zamki w odpowiedniej kolejności, weszła do skarbcza w przekonaniu, że znajdzie w nim to, czego potrzebowała. Gdy pierwsza szkatuła - z trzema srebrnymi migdałami na niebieskim tle na wieczku - okazała się pusta, spokojnie przeszła do następnej. Niestety, wszystkie szkatuły świeciły pustkami. Simonetta wróciła na górę, usiadła i wtedy właśnie ukryła twarz w dłoniach.

Zrozumiała, że Bóg ją pokarał. W chwilach największego bólu krzyczała do Niego, że nie cieszy jej ani bogactwo, ani klejnoty, ani rozległe posiadłości, skoro odebrano jej jedyne go człowieka, którego kochała. Bóg ją wysłuchał i zabiera wszystko. Co teraz?

Oderigo czekał, aż Simonetcie przejdzie wzburzenie po nieoczekiwanym odkryciu. On nie był zdziwiony aż tak jak ona. Słyszał od bankierów i prawników w Saronno i Pawii, że Lorenzo dał się ponieść wojskowym ambicjom tak dalece, iż zaryzykował utratę majątku. Uparty, w gorącej wodzie kapany młody żołnierz z nadmiernie rozwiniętym poczuciem honoru uważał za oczywiste, że musi wyposażyć swoje konie w najlepszą uprzęż i swoich ludzi w najdoskonalsze zbroje, a nudną i męczącą troską o dochód z majątku i opłacanie służby nie zaprzętał sobie głowy. Mimo wszystko Oderigo był trochę zaskoczony aż tak fatalną nowiną i cmoktał z

niezadowoleniem. Człowiekowi nauczonemu rozwagi w sprawach finansowych trudno było uwierzyć w tak dalece posuniętą lekkomyślność.

Choć Oderigo nie był nikczemnikiem, nie wzruszała go ciężka sytuacja Simonetty. W swojej profesji, zwłaszcza w trudnych latach wojen, wciąż miał do czynienia z klientami, którzy znaleźli się w złej sytuacji materialnej. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, którą nosił przy sobie na takie okazje, ale gdy Simonetta podniosła głowę, zobaczył, że jej oczy są suche. Na niebiosa, jakaż to wielka dama! Po raz pierwszy w swej długiej karierze poczuł coś w rodzaju współczującej sympatii, drgnęło jego chłodne serce. Nigdy dotąd nie widział bowiem oczu wyrażających taki ogrom bezradności, a spojierających na niego z doskonale pięknego oblicza.

- Signora - odezwał się - proszę nie rozpaczać. Dam ci, pani, trochę czasu. Uspokoję twoich dłużników i wrócę za miesiąc. Przez ten czas zechciej ograniczyć wydatki. Z ubrania i sprzętu sprzedaj, co możesz, zredukuj liczbę służby. Być może uda się uratować tę posiadłość. Nie mam jednak na myśli drobnych zabiegów: masz zrobić wszystko, signora, co w twojej mocy; zostaw sobie rzeczy naprawdę niezbędne i ludzi, bez których nie możesz się obejść.

Simonetta po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Jej dom! Nawet w najgorszych momentach tej rozmowy nie przemknęła jej przez głowę myśl, że grozi jej wyniesienie się z Villi Castello. Jakikolwiek miałyby ponieść ofiary, nie dopuści nigdy do rozstania się z tym, co dzieliła wspólnie z Lorenzem. Skinęła notariuszowi głową na znak końca narady. Wyszedł i idąc aleją między migdałowcami, raz po raz wspominał ów moment, kiedy Simonetta di Saronno utkwiała w nim twarde spojrzenie.

\* \* \*

Co to był za miesiąc! Wprowadzanie najdalej idących ograniczeń, żeby przystosować się do sytuacji. Simonetta była pewna, że gdy następnym razem pojawi się tu Oderigo, zadziwią go zmiany, jakie zaszły w Castello. Zwolniła wszystkich służących i służące z wyjątkiem dwojga: ukochanej Raffaelli, której potrzebowała bardziej jako przyjaciółki niż panny służącej, oraz Gregoria. Jego zatrzymała z trzech powodów: po pierwsze nie wykurował się jeszcze z ran, po drugie służył wiernie i z wielkim oddaniem swemu panu jako giermek, no i po trzecie między nim a Raffaellą zadzierzgnęła się nić jednoznacznej sympatii. Będąc sama doświadczona przez los utratą miłości, Simonetta nie miała serca rozdzielać tych dwojga. Jeden służący i jedna pokojówka muszą jej wystarczyć. Każdego dnia Simonetta przemierzała z Raffaellą u boku pokoje pałacu, podejmując decyzje, jakie skrzynie i komody, draperie i obrazy przeznaczyć na sprzedaż. Razem przeglądały zawartość szaf i szkatulek. Klejnoty, futra, suknie z czasów świetności miały zostać sprzedane. Wielki gobelin, zasłaniający całą ścianę komnaty jadalnej, przedstawiający scena po scenie naznaczoną fatum miłość Lancelota i Ginewry, został zdjęty z haków. Zwijając go w rulon, Simonetta czule pogładziła cudowne sploty tkaniny. Kochała te sceny: niewierna królowa i olśniewający rycerz objęci ramionami w namiętym pocałunku, majacząca za nimi postać Artura i na wzgórzu zamek Camelot z białymi wieżami, których stożkowe kopuły układały się w lśniącą koronę. Szaty Lorenza, niedotykane od czasu, gdy je nosił, również postanowiła sprzedać. Nie pozwoliła sobie przy tej okazji na rozczulające wspomnienia. Nie przytknęła twarzy do bielizny Lorenza, żeby znowu poczuć jego zapach, nie pogłaskała aksamitnego rękawa kaftana, przez który nieraz wyczuwała jego silne, muskularne ramię, nie przesunęła ręką po futrze, zakrywającym niegdyś

jego szerokie bary. Bez jednej łzy postanowiła pozbyć się wszystkiego, zostawiając sobie tylko jego strój myśliwski. Nie bez powodu.

Teraz nie starczało pieniędzy na mięso, więc Simonetta zaczęła doskonalić umiejętność strzelania z łuku. Jedną z ulubionych rozrywek wielkiej damy miała się stać zajęciem niezbędnym do przeżycia, jak dla biednego chłopca pańszczyźnianego. Całe godziny spędzała w oknie swojej komnaty, już nie płacząc, lecz wysyłając z rosnącą celnością strzałę za strzałą w migdałowe drzewa. Osiągnąwszy dużą wprawę, zostawiła w spokoju pnie drzew - pokłute niczym święty Sebastian - i oblepiwszy czerwoną gliną orzech, zawiesiła go na najbliższym migdałowcu jako trudniejszy cel. Obwieszała czerwonymi orzechami coraz dalej stojące od domu drzewa, póki nie poczuła się mistrzynią. Postępom sprzyjało to, że lubiła sobie wyobrażać, iż celuje do hiszpańskich żołnierzy, a czasem nawet do tego bezczelnego artysty, którego nie mogła wymazać z pamięci. Ten strzał za jego srebrzyste oczy, a ten za bujne czarne pukle do ramion, kolejny za oszałamiający bielą zębów uśmiech - wspomnienie jego twarzy torturowało ją, rozgrzewając łono, które już na zawsze powinno pozostać zimne. Wędrując po lesie w sfatygowanym stroju myśliwskim Lorenza i zastawiając wnyki lub wyciągając z nich zające, nie mogła się opędzić od natrętnych myśli o tamtym mężczyźnie. Czuła okrutną radość, patrząc na złapane w potrzask zwierzęta, które się dusiły, walcząc o życie. Gdy je oprawiała i strumienie ich gorącej krwi spływały po jej białych rękach, upajała się tą jatką. Od tych widoków stwardniało jej serce. Niczym pogańska wieszczka wróżąca z wnętrzości zwierząt ofiarnych Simonetta z podrobów zajęcy czytała swój los. Ich gorące i silnie bijące serca zamierały i stawały się zimne - jak jej własne. Kiedy wracała do domu z łupem w rękach,

przystawała czasem, wpatrując się w oszronione gałęzie migdałowców, które lśniły, jakby obsypano je diamentowym proszkiem. W zachodzącym zimowym słońcu ściany Villi Castello nabierały różowego odcienia. Widok eleganckiej bryły Villi budził w niej resztki ciepłych uczuć. Bóg zabrał jej miłość, ale tego domu nie da sobie wydrzeć.

Przyzwyczała się chodzić w stroju myśliwskim męża przez cały dzień. Zatrzymała zresztą tylko jedną suknię - z dnia ślubu - ale nigdy jej nie włożyła. Gdy z łukiem przemierzała las, każdy wziąłby ją za chłopca, zwłaszcza że poświęciła to, co miała chyba najcenniejszego. Zgniatając pod stopami opadłe jesienią czerwone liście, przypominała sobie ten wieczór, kiedy Raffaella obcinała jej włosy, a nożyczki śpiewały jej w ucho, że już nigdy nie będzie piękna. Bez żalu zebrała płomiennorude pasma włosów z podłogi i zawinęła je w chustę z zamiarem wysłania do Florencji, gdzie wyrabiano z nich modne peruki i talizmany. Sprzeniewierzyła się swojej urodzie i z upodobaniem oglądała stwardniałe dłonie. Czasy jej świetności minęły. Kiedy po raz ostatni patrzyła w swoje kryształowe lustro w srebrnej oprawie w przeddzień jego sprzedaży, zobaczyła, że wokół twarzy kręcą się niesfornie krótkie loki, i radowała się, że on już nigdy nie poprosi jej o pozowanie.

Niegdyś suto zastawiony stół niewiele teraz miał do zaoferowania. Pokrzepiające były jedynie wieczorne posiłki z zająca lub wiewiórki, do tego znalezione w lesie grzyby. W dobrych latach, kiedy pielęgnowano w Castello ogrody różane i obsadzano alejki spacerowe cisami, ani Simonetcie, ani Lorenzowi nigdy nie przyszło do głowy, że mogliby zrobić lepszy użytek z ziemi, gdyby hodowali warzywa. Taka refleksja ją nawiedzała, gdy przesiadywała wieczorami przy ogniu z gałęzi pociętych przez Gregoria, śpiewając bez akompaniamentu lutni, która poszła na sprzedaż, ulubione

melodie. Kiedy po całym dniu wytężonego wysiłku opadały jej ze znużenia powieki, szła do swojej komnaty i owijała się jedynym futrem, jakie sobie zostawiła. Spała wprost na kamiennej podłodze, gdyż wielkiego dębowego łoża, w którym spędziła noc poślubną, nie było już w domu. Porywy wiatru wdzierały się przez okna, jako że szybki z weneckiego szkła, którymi się chlubili, zostały wyjęte i również sprzedane. Na ogół sypiała mocnym snem z powodu zmęczenia, lecz w ostatnią noc miesiąca budziła się wielokrotnie, gdyż następnego dnia miał się pojawić Oderigo, a nie miała dla niego dość pieniędzy.

\* \* \*

Oderigo był zdumiony zmienionym wyglądem Villi Castello, zwłaszcza że musiał usiąść przy kominku na drewnianej kłodzie, gdyż stoły i ławy zostały wywiezione. Tym razem Simonetta nie rozmawiała z nim na osobności, miała u boku Raffaellę i Gregoria, gotowych błagać prawnika o litość dla swej pani lub bronić jej w razie jego gniewu. W milczeniu przeliczył monety, które mu dała. Nie musiał jej mówić, że było ich za mało. Jednak gdy popatrzył na zacięty wyraz jej twarzy, wstąpiła w niego pewna nadzieja. Simonetta schudła, wewnątrznie stwardniała, ale była nie mniej piękna. Mimo obciętych włosów i podniszczonego myśliwskiego stroju bardziej rzucała się w oczy zmiana w jej zachowaniu niż w wyglądzie. Wychodząc z jej domu przed miesiącem, myślał o niej jako o wspaniałej kobiecie i teraz poczynił taką samą refleksję. Odezwała się pierwsza.

- Signor - rzekła z nową, kategoryczną nutą w głosie. - Nie opuszczę tego domu. Zrobiłam już wiele. Co więcej mogę uczynić? Powiedz mi, proszę, gdzie mam szukać pomocy? U kogo? Jestem gotowa na wszystko.

Oderigo już otwierał usta, ale się zawahał. Znał kogoś, kto mógłby pomóc Simonetcie, lecz jako chrześcijanin niechętnie

by ją tam wysłał. Pokręcił głową, że nie wie, ale Simonetta zauważyła jego wahanie.

- Gdzie? Kto? - pytała z natarczywością. Podeszła do notariusza i dotknęła jego ramienia. - Wiem, signor, że potrafisz mi doradzić. Powiedz, na miłość boską, gdzie mam się zwrócić o ratunek!

Westchnął.

- Zaczna pani, wiem o kimś, kto może ci pomóc. Ale to człowiek interesu, nie zrobi tego ani z miłości do naszego Boga, ani do swojego, ani do żadnego innego, jakiego znam. Nazywa się Manodorata.

Simonetta usłyszała okrzyk Raffaelli i zdumiona zobaczyła, że pokojówka osuwa się na podłogę, zakrywając twarz fartuchem. Pytająco spojrzała na Gregoria, który zęgnął się znakiem krzyża, poruszając ustami w pacierzu. Nie rozumiejąc, o co chodzi, Simonetta zwróciła się z pytaniem do Oderiga.

- Manodorata? A któż to? Może mi pomóc?

- Tak, on jest w stanie ci pomóc, pani.

- Więc dlaczego tak się wzdrygacie na dźwięk jego nazwiska? Jakim jest człowiekiem? Czyżbym miała się zgłosić do samego diabła?

Tym razem Oderigo nie śmiał spojrzeć jej prosto w oczy.

- Niewiele się mylisz, pani. On jest Żydem.



## ROZDZIAŁ 7

### Manodorata

Na drzwiach w murze była wyryta gwiazda. Dziwna, sześcioramienna, jakby nałożono na siebie dwa trójkąty i jeden przesunięto o ćwierć obrotu, żeby wszystkie wierzchołki były widoczne. Simonetta nigdy nie widziała podobnego znaku i na moment lęk ustąpił ciekawości, gdy wodziła palcem po głębokich nacięciach w solidnych dębowych drzwiach. Miała o czym myśleć w tym momencie, gdyż po spotkaniu z Oderigiem tego przedpołudnia wysłuchiwała zgodnego chóru pokojówki i giermka, którzy nie szczędzili słów potępienia dla człowieka zamieszkującego ten dom i dla jego współplemieńców.

Simonetta była dobrą chrześcijanką, sumiennie wypełniającą obowiązki religijne, dopiero w ostatnim miesiącu zaniedbała modlitwy w kościele. Wmawiała sobie, że nie chodzi do Santa Maria dei Miracoli, gdyż skrywa się przed ludźmi z bólem po śmierci Lorenza, jest zbyt zajęta ratowaniem gospodarstwa, dopuszczała nawet myśl, iż zniechęciła Boga za odebranie jej męża. W największej skrytości ducha nie przyznałaby się jednak, że bała się spotkania z prześladowcą ze snów.

Nie chciała się odwrócić od Boga na zawsze. Tłumaczyła sobie, że na razie nie potrafi go szczerze chwalić. I nie ma za co mu dziękować. Mogłaby prosić go o wiele, ale Bóg przestał słuchać jej modlitw. Na domiar złego Raffaella i Gregorio ostrzegali ją, że zaprzeda duszę diabłu, jeżeli będzie się zadawać z Żydem.

Nigdy dotąd nie zetknęła się z tak wzgardliwym stosunkiem do kogokolwiek. Nigdy dotąd nie usłyszała z ust ulubionej pokojówki ani poczciwego giermka tak nienawistnych słów. Dowiedziała się, że Żydzi to prawdziwe demony zła. Mężczyźni są ponoć czarownikami, a ich kobiety

wiedźmami. Odpowiadają za śmierć Chrystusa i za karę mają zdeformowane ciała. Męskie i kobiece genitalia są u nich jednakowe, więc nie współżyją z sobą po bożemu i nie rodzą dzieci w normalny sposób, tylko wypluwają je z gardła w zakrwawionych workach. Piją krew chrześcijańskich niemowląt i siadają do uczyty z ich ciał. Promienie słońca ich nie grzeją, więc wychodzą z domów po zmierzchu, nigdy w ciągu dnia. Są biegli w sztuce czarnoksięskiej i rzucają klątwy na dobrych chrześcijan, tak że ci chorują i umierają. Swojej magicznej mocy używają do gromadzenia bogactwa kosztem bogobojnych chrześcijan, których oszukują.

Jest się czego bać, myślała Simonetta, stojąc pod tymi drzwiami. Tym bardziej że pan tego domu, rzekomo najgorszy z nich wszystkich, uosabia ponoć potężne czarne moce. Ma twarz diabła, ciało niedźwiedzia, plugawą mowę. Podstępnie doprowadza do ruiny ciężko pracujących ludzi. I obnosi się bezwstydnie ze swym bogactwem, gdyż z rękawa wystaje mu ręka ze złota („ze szczerego złota”, zapewniała Raffaella). Tą ręką może zabić człowieka lekkim dotknięciem. Nikt w mieście nie mówi o nim inaczej, tylko Manodorata - „złota ręka”. Lepiej wynieść się z domu, twierdzili Raffaella i Gregorio, niż wspomóc Castello złotem naznaczonym ludzką krwią. Nawet gdyby ten Żyd doraźnie im pomógł, za kilka miesięcy Simonetta i tak będzie zrujnowana lichwiarskimi procentami, bo Żydzi uprawiają lichwę, chociaż Biblia tego zakazuje.

Przekonywali ją i ostrzegali, żeby nie wpadła w szpony tego Żyda. A ona mimo to czuła, że nie ma innego wyjścia. Przede wszystkim nie miała pojęcia, co się z nią stanie, gdy opuści Castello. Dokąd pójdzie? Co z sobą zrobi? Cała rodzina wymarła podczas zarazy, w bitwie zginął Lorenzo. Już po wyjściu z domu, gdy dotarła do Saronno i zmierzała w kierunku żydowskiej ulicy, uświadomiła sobie ponadto, że

choć znalazła się w beznadziejnej sytuacji, to właśnie dzięki temu obudziła się w niej wola walki, która podtrzymywała w niej życie. Instynkt przetrwania, o który siebie nie podejrzewała, stanowił przeciwwagę dla pokusy skończenia z sobą. Ostrze miecza Lorenza było zawsze w zasięgu ręki. A jeżeli to Żyd ma ją zjeść żywcem, niech tak się stanie. Skoro Bóg chrześcijański nie chce jej pomóc, trzeba dać szansę innemu.

Zdjęła rękę z gwiazdy i zastukała do drzwi - tak mocno, że aż ją zabolowały kostki palców. Miała nadzieję, że nikogo nie zastała, a potem zaczęła się tego obawiać. Wreszcie jednak w misternie rzeźbionej kratce judasza nad gwiazdą błysnęła para oczu. Simonetta ze zdenerwowania przełknęła ślinę, ale nie zapomniała instrukcji Oderiga.

- Nazywam się Simonetta di Saronno i przychodzę tu z poręki signora Oderiga Beccarii.

Twarz za kratką zniknęła bez słowa, minęła dłuższa chwila, Simonetta zdążyła wpaść w popłoch, że jej nie wpuszczą. Jednak drzwi się otworzyły. Stała przed nią właścicielka owych oczu, ubrana w czerwoną szatę i obwieszona złotem, wszystko razem kosztowniejsze od każdego ze sprzedanych strojów Simonetty. Nic dziwnego, że ta wzięła ją za panią domu, póki nie usłyszała formuły przywitania. Idąc za służącą przez dziedziniec z fontannami, arkadami i smukłymi kolumnami, podziwiała ich obcą dla jej oka ornamentykę i bogactwo kolorów, urzekające dobrym smakiem mimo przepychu. Wewnątrz domu, chociaż był ogromny, panowało ciepło i unosił się przyjemny zapach kadzidła. Wkraczała w niezwykle bogaty świat, ale dziwny. Poddała się atmosferze wykwintu i niezwykłości.

Za chwilę jednak powrócił lęk, gdy przypomniały jej się opowieści Raffaelli i Gregoria, i znowu poczuła się tak, jakby wkraczała do jaskini lwa. Na szczęście za łukowym

przejściem z lewej strony dostrzegła dwóch blondynek bawiących się pod okiem niańki, której trzy długie i ciężkie warkocze opadały na szkarłatną suknię. Toczyła srebrną piłkę to do jednego, to do drugiego chłopczyka. Piłka miała w środku dzwoneczki i wesoły śmiech dzieci współbrzmiał z ich dźwięczeniem. Ta scena wywołała uśmiech na twarzy Simonetty. Śmiech dzieci i miła niania dodały jej odwagi. Wyglądało na to, że nawet Żydzi kochają dzieci.

Strach ogarnął ją po raz któryś, gdy prowadzona przez służącą w głąb domu, weszła za nią do komnaty, gdzie przy tavolo ujrzała potężną sylwetkę mężczyzny z gęsim piórem w ręku. Wrażenie, że znalazła się w niezwykłym świecie, zostało spotęgowane: spostrzegła, że ten człowiek pisze w księdze od prawej do lewej, więc inaczej, niż to mają w zwyczaju uczciwi chrześcijanie. Kiedy się zbliżyła, zobaczyła litery całkowicie różne od tych, jakich uczyły ją poczciwe siostry zakonne, które czuwały nad jej edukacją. Ponieważ mężczyzna był pochylony nad stołem, a na głowie miał berretto all antica, jakie noszono w Mediolanie, nie widziała jego twarzy. Czyżby to był ten diabeł, z którym miała zatańczyć? Okazało się, że tak, gdyż służąca wskazała jej pozłacane ażurowe krzesło z drugiej strony stołu. „Diabeł” nie przestawał kreślić czarnych znaków wprawną ręką, która skądinąd wyglądała jak każda ludzka ręka. Zwalistość sylwetki też była iluzją, spowodowaną tym, że miał na sobie ciężkie i obszerne futro, chociaż w domu było ciepło. Simonetta nieco się uspokoiła, lecz jeszcze nie była pewna, co zobaczy, gdy ten człowiek podniesie znad księgi głowę. W końcu odłożył gęsie pióro i spojrzał na gościa. Z pewnością nie miał diabelskiego oblicza, ale wzbudzał respekt. Szare, zimne oczy spoglądały z przenikliwością świadczącą o inteligencji. Bardzo pełne usta nie układały się w uśmiech. Wbrew panującej modzie na golenie twarzy nosił brodę, która była natłuszczona oliwą i

starannie przycięta. Mimo czarnych włosów i czarnej brody wyglądał dość staro - musiał mieć pięćdziesiąt lat lub więcej. Odezwał się płynnym dialektem mediolańskim, ale lekki akcent wskazywał, że na co dzień mówi także innym językiem.

- Przyszłaś, pani, załatwić jakąś sprawę dla mojego przyjaciela Beccaria? Prawdę mówiąc, nie nazwałbym go swoim przyjacielem, choć wrogiem także nie. Jak go znam, może jednako splunąć na mnie, jak i prosić mnie o pieniądze. Jeszcze nie wie, co okaże się dla niego lepsze. Jak większość chrześcijan uważa robienie interesów i pieniędzy za hańbiące. Intuicja mi podpowiada, że przychodzisz, pani, we własnej sprawie.

Simonetta się spieszyła, że ją natychmiast przejrzał. Uznała, że lepiej od razu przystąpić do rzeczy.

- Przyszłam po pomoc - powiedziała wprost.

- Wobec tego straciłaś, pani, ileś swojego czasu. I mojego. - Manodorata znowu wziął do ręki pióro i skinął na służącą, żeby wyprowadziła gościa. Simonetta wstała, ale jeszcze się nie poddała, choć gęsie pióro już skrobało po papierze.

- Mogę stracić dom, dlatego proszę o pomoc.

- Widzę, pani, że nie przywykłaś do tego, by błagać o ratunek. Sztuczka polega na tym, że musisz uderzyć we właściwą strunę. Zainteresować mnie. Spróbuj.

- Straciłam męża.

- Starasz się, ale mnie nie przekonujesz.

Simonetta zwiesiła głowę i nabrała głębokiego oddechu, jakby miał być ostatnim w jej życiu. Odezwała się cicho, raczej do siebie.

- Więc nie mam szansy. Jestem skończona. Szkoda, że Hiszpanie nie zabili i mnie również.

Gęsie pióro zatrzymało się na papierze.

- Hiszpanie?
- Tak. Pod Pawią.
- To Hiszpanie zabili ci męża?
- Oni.

Manodorata ręką z piórem wskazał jej krzesło.

- Usiądź, signora.

Obudził w Simonetcie nadzieję, serce waliło jej jak młotem.

- A jednak trafiłaś na właściwą strunę, signora di Saronno. Twoje prośby mnie nie wzruszały, ale mówiąc o śmierci męża z rąk Hiszpanów, wzbudziłaś moje zainteresowanie. Okazuje się, że coś nas łączy. Ja także nienawidzę Hiszpanów. I mam szczególne prawo, żeby mieć złą o nich opinię, a nie czerpię jej ani z plotek, ani z uprzedzeń. - Spojrzenie jasnoszarych oczu przeszywało ją na wskroś. Poczowała się nieswojo, nabrawszy pewności, iż Manodorata domyśla się, co jej o nim mówiono.

Ledwie odzyskała głos.

- Znasz, signor, ten naród?

- Nie mogę nie znać. Tak się składa, że sam jestem Hiszpanem.

Zawirowało jej w głowie.

- Naprawdę?

- Tak. Nie zawsze mówiono o mnie Manodorata. Urodziłem się jako Zaccheus Abravanel. W Kastylii. Mimo to ich nienawidzę. Mnie też zabrali coś dla mnie ważnego. W moim wypadku to była ręka.

Podniósł rękę, którą trzymał dotąd pod blatem stołu. Simonetta nie mogła oderwać od niej wzroku. Rzeczywiście była ze złota, które zaśniło w świetle padającym z witrażowych okien. Widząc jej zaciekawione spojrzenie, Manodorata wyciągnął ku niej tę rękę przez stół. Miała precyzyjnie wymodelowane palce i nawet paznokcie, a gdy ją

odwrócił dłonią do góry, Simonetta zobaczyła zaznaczone linie, a w samym środku, gdzie można by położyć monetę, wyryta była gwiazda, taka sama jak na drzwiach.

- Jak się podoba? - spytał.

- Kunsztownie zrobiona.

- Też tak uważam. Być może doskonalsza niż twoja, bo widzę, signora, że masz trzy palce jednakowej długości, a takiego błędu nie popełniłby dobry rzemieślnik. I rzeczywiście nie jest dziełem Boga, tylko moich florentyńskich braci. Dobrze mi służy. Z legend krążących o mnie ta jedna jedyna jest prawdziwa.

Simonetta oblała się rumieńcem.

- Co jeszcze o mnie mówią? Że pożeram dzieci? Spuściła oczy.

- Resztę łatwo racjonalnie wytłumaczyć. Przypominam niedźwiedzia, bo zawsze noszę futro, gdyż jestem przyzwyczajony do cieplejszego klimatu. Nie lubię ludzkiego mięsa. Mam żonę i dwóch synków, których bardzo kocham. Być może zauważyłaś tę trójkę przy zabawie.

- To była żona?

- Tak. Ma na imię Rebecca. A synowie to Evangelista i Giovan Pietro. Wyglądasz na zdziwioną, pani.

- Bawili się z matką, to mnie dziwi... W zacnych... w chrześcijańskich domach dziećmi opiekują się niańki. Ja ledwie znałam swoją matkę. - To wyznanie ją samą zaskoczyło.

- Więc może te rodziny nie są aż tak zacne. Słyszę, że chrześcijański król Franciszek, wzięty do niewoli pod Pawią, proponuje swoich dwóch synów jako zakładników w zamian za wolność dla siebie. - Manodorata pokręcił głową z dezaprobatą. - Jeżeli chodzi o mój majątek, zgromadziłem go w uczciwy sposób. Rozumiem zasady obrotu pieniądzem i

opanovałem prawidła matematyki arabskiej. A skoro o pieniądzech mowa, pora wrócić do twoich kłopotów, pani.

Simonetta zachęcona jego otwartością szczerze przedstawiła mu swoją sytuację. Manodorata, słuchając, gładził złotą ręką brodę, jakby wyczuwał w niej każdy włos. Milczał dłuższą chwilę, gdy rozmówczyni skończyła, a ona niecierpliwie czekała na jego słowa. Zaskoczył ją.

- Sądzę, że muszę zobaczyć twoją posiadłość, signora. Po pierwsze dlatego, że będzie stanowiła dla mnie zabezpieczenie, na wypadek gdybyś nie mogła mnie spłacić. - Podniósł rękę, by uciszyć protest. - To normalna praktyka. Jest i drugi powód. Być może wymyślę jakiś sposób, aby przynosiła dochód. Jeżeli chcesz ją zachować, niech ziemia dla ciebie popracuje.

Zastanowię się, czy to możliwe. Odwiedzę cię za siedem dni, ale pod jednym warunkiem. Musisz przez ten czas zebrać jakieś pieniądze, zgodnie ze zwyczajem powinnaś bowiem zaofiarować mi odpowiednią kwotę na poczet zadłużenia i za moją pomoc. Wiem, że jesteś szlachetnego urodzenia i nie nawykłaś do pracy, ale musisz popracować, jeżeli chcesz liczyć na moją pomoc.

- Ale jak, gdzie? Żądasz rzeczy niemożliwej! Gdybym potrafiła zarobić pieniądze, nie przyszedłabym tutaj.

- Zastanów się jednak. Czy naprawdę nie ma żadnych możliwości, nie nadarza ci się żadna okazja? Rozważ wszystko, gdyż ja pomagam tylko tym, którzy potrafią pomóc sobie.

Tamtą propozycję oczywiście pamiętała. Słowa niegodziwca, które ugodziły ją jak strzała. Poczytała je wtedy za niewybaczalną obrazę swej godności. Oferta zapłaty składana wielkiej damie. Obecnie jednak mogła stać się wybawieniem.



- Jest pewien... artysta, który chciał mnie malować. Pracuje dla kościoła, tutaj, w Saronno. Lecz proponował to jakiś czas temu. Zmieniłam się... Gdy mnie teraz zobaczy, może już nie chceć, bym mu pozowała. - Wydawało jej się, że w oczach Manodoraty błysnęły iskierki rozbawienia.

- Galanteria nie jest moją mocną stroną, signora, ale zapewniam, że nie ma mężczyzny, który, widząc cię, pani, nie zapragnąłby malować twojej twarzy, gdyby tylko potrafił.

Wstał nagle na znak, że rozmowa skończona.

- Decyzję w tej sprawie pozostawiam w twoich rękach. Przyjdź do mnie w ciągu tygodnia z pieniędzmi na poczet długu lub nie przychodź wcale. - Wyciągnął do niej złotą rękę, ale zauważył w jej oczach wahanie, nim ją uścisnęła.

Zadziwiające, że ta ręka była ciepła w dotyku - prawdopodobnie metal rozgrzewał się od ramienia, do którego była umocowana. W momencie wahania Simonetta napotkała wzrok Manodoraty i znowu nie miała wątpliwości, iż wiedział, co jej naopowiadano. Po raz pierwszy w trakcie ich rozmowy się zaśmiał, co zmieniło jego twarz.

- Nie bój się, signora - powiedział człowiek zwany Manodoratą. - Ona nie zabija.

## ROZDZIAŁ 8

### Amaria się budzi

Kiedy Selvaggio otworzył wreszcie oczy, nie zobaczył nic poza płaszczyzną drewna.

Gałki oczu nie były posłuszne woli, nosem niemal dotykał do tego drewna o powierzchni wygładzonej jak używana latami ława. Patrzył więc na wprost, ani ciut w lewo, ani w prawo, mrużąc powieki. Chyba jest w trumnie. Chyba jest martwy.

Nie przypuszczał, że tak wygląda śmierć. Skoro jest martwy, to dlaczego coś czuje? Skąd ten potworny ból w klatce piersiowej i brzuchu? Spróbował się poruszyć, ale nie był w stanie. Leżał bez ruchu zapatrzony w deskę trumny. W faliste słoje drewna o subtelnych krzywiznach - miniaturowy krajobraz. Łagodne wzniesienia i spadki, a między nimi równiny cichej, żyznej ziemi. Albo łagodne fale spokojnego morza, lekko się wznoszące i opadające, tu i tam czarne cętki sęków - to ryby wyskakujące nad powierzchnię wody. Miał wrażenie, iż oglądana płaszczyzna go wchłania i zamyka w objęciach. Że staje się częścią tego morza czy tej ziemi. W proch obrócony, powracam do ziemi, pomyślał. Drewno jest takie piękne, dlaczego nie dostrzegałem tego wcześniej? Dopiero teraz, kiedy znalazłem się w trumnie, prawdopodobnie złożonej do ziemi.

Lecz nie, nie może być pogrzebany pod ziemią, bo skądś dociera światło, rażąc w oczy. I gdzieś nad równiną lub morzem gniewnie bzyka mucha. Walczy o życie, nie mogąc się wydostać z trumny, która stała się pułapką?

Zdobywszy się na herkulesowy wysiłek, Selvaggio poruszył głową, choć pękała mu z bólu. Jednak mimo tego rozrywającego czaszkę pulsowania zdołał zorientować się, gdzie naprawdę jest. Leżał na słomie, na długim stole. Żdźbła słomy podrażniały mu nos. Podściółka miejscami się złociła w

świetle, a gdzie indziej była czarna od krwi. Jego krwi. Ułożony został na boku, twarzą do ściany. Drewno, które podziwiał, to była jedna z pionowych belek wiklinowo - glinianej ściany. Spróbował przywołać kogoś na pomoc, ale żaden dźwięk nie wydobył się z gardła tak wysuszonego, jakby był na pustyni. Ogarnęła go panika, pot zrosił twarz, schładzając gorące czoło. Przerazało go, że nic nie pamięta: ani skąd się tu wziął, ani co się z nim stało, ani kim jest. Nie miał żadnych wspomnień, tylko to drewno wryło mu się w pamięć. Był jak wytarta szmatką kredowa tabliczka albo jak noworodek. Wiedział już, że mylił się co do trumny; od drewna zaczynało się, a nie kończyło jego życie. Ale przecież coś musiało być wcześniej: jakieś inne miejsce, inne wcielenie. Nawet to drewno podpierające ścianę było kiedyś drzewem stojącym w lesie. Jak to możliwe, że wie o istnieniu morza i ryb, potrafi nazwać trumnę, a nie zna swojego imienia? Jak to możliwe, iż znajduje słowa na wszystko, co widzi, ale żadnego nie może wypowiedzieć? Wszystko wie i nic nie wie. Jego świadomość, rozszerzająca się z każdym momentem jak nadmuchiwane szkło, stawała się naczyniem wypełnionym po brzegi pytaniami. Jak tu przyszedł? Dlaczego leży na tej słomie? Dlaczego na boku? Przekręcił się na plecy i na to ostatnie pytanie dostał odpowiedź. Przeszyły go tysiące ostrzy, jakby opadł na łożo nadziane gwoździami. W straszliwej męce przekręcił się z pleców na drugi bok, uciekając od bólu jak wielka ryba przebita grotem harpuna. Z hukiem spadł na podłogę. Na ten odgłos przybiegła Amaria.

\* \* \*

Amaria przyłożyła mu dłoń do czoła. Było chłodne, nie gorączkował, więc niebezpieczeństwo minęło. Cały dzień i całą noc spał na stole na podściółce ze słomy. Przysunęły stół pod samą ścianę, żeby z niego nie spadł, gdyby się obudził i zaczął poruszać. Ale się nie budził, mimo że donośne

brzmienie katedralnych dzwonów rozlegało się aż dziewięć razy w normalnym dobowym cyklu. Nie reagował, gdy zmieniały mu opatrunki, nie czuł chyba piekącego bólu od nacierania ran gorzką szalwią. Nie słyszał, jak Amaria krząta się w kuchni, nie drgnął nawet, gdy upuściła garnek z polentą. Wyczuwając chłód pod palcami, którymi delikatnie przesunęła po czole leżącego na podłodze Selvaggia, Amaria wiedziała, że będzie żył.

Tak naprawdę bardziej chciała poczuć znowu pod dotykiem ciepło jego skóry, chociaż wmawiała sobie, że sprawdza, czy Selvaggio nie gorączkuje. Więc gdy spojrział jej w oczy, poczuła się winna, ale natychmiast się uśmiechnęła. Jemu usta nie rozchyliły się w uśmiechu, za to oczy się chyba zaśmiały. Amaria pobiegnęła po Nonnę.

Nonna, wymachując kijem, przeganiała kury na podwórku. Słyszając nowinę, burknęła coś pod nosem, lecz serce zabiło jej z radości, że dzikus się obudził. Od kiedy na chwilę otworzył oczy po ich zabiegach, tłumiała nadzieję w obawie, że Bóg go im odbierze, zsyłając na niego sen wieczny. Narzuciła sobie spokój i dystans. Teraz wszakże nie potrafiła udawać obojętności i pospieszyła za trajkoczącą wnuczką do chaty. Młodzieniec podpierał się na jednym łokciu, pomogły mu wgramolić się z powrotem na posłanie, podtrzymując go pod pachami. Amaria podłożyła mu pod plecy zwiniętą skórę owczą, po czym zdjęła z ognia garnek z polentą. Przez cały czas nie zamykały się jej usta.

- Nonna, podtrzymaj mu głowę. Czy możesz trzymać głowę w górze? Otwórz usta, proszę. Zjedz trochę. Pójdzie ci na zdrowie. Nonna, wytrzymaj mu brodę. To tylko polenta, ale gotowałam ją z kozim mlekiem i oliwą i dodałam parmezanu. W spiżarni mamy mały krąg parmezanu na specjalne okazje, Wielkanoc i Boże Narodzenie, a także na dzień świętego Ambrożego. To nasz patron, czczony w Lombardii i w

Mediolanie. Najważniejszy dla mnie święty, bo od jego imienia mam nazwisko. A parmezan na pewno dobrze ci zrobi. Bo jak coś dobrze smakuje, to musi pójść na zdrowie, chyba wiesz? Dzisiaj zabijemy kurę. Nonna, możemy to zrobić? Rosół z kury cię wyleczy, bo nasze kury są najlepsze w całej Pawii. Wszyscy to wiedzą, tak, Nonna?

- Pierwsze słyszę.

- A ja wiem swoje, rosół z kury postawi cię na nogi, a jutro przyniosę z lasu jakieś zioła, trochę rozmarynu do polenty. Rozmaryn ma lecznicze właściwości, znam się na tym. Nonna mówi, że potrafię leczyć jak prawdziwy balwierz, nasłuchiłam się jej pochwał...

- Nigdy czegoś takiego nie mówiłam.

- Zapytasz Silvanę. To moja przyjaciółka. Ostatniej wiosny miała straszną kolkę, tak straszną, że myślałyśmy, iż umrze od tego, ale mój napar z szaławii uratował ją od niechybnej śmierci. Naprawdę, bo przez cały tydzień miała skórę żółciusięnką i opuchnięty język, a potem czuła się jak nowo narodzona.

- Szkoda, że nie została ze sztywnym językiem, to bym nazwała skutecznym leczeniem. Miele nim bez przerwy i tylko za tobą zostaje w tyle, Amario.

- Niech mnie ukarzą wszyscy święci za to, że zapomniałam zapytać, jak się nazywasz! Nie poznaliśmy się jeszcze. Jestem Amaria Sant' Ambrogio, a to moja Nonna. Znalazłyśmy cię w lesie. Okropnie wyglądałeś, ale zajęłyśmy się tobą i teraz masz się dużo lepiej, jak widzę. Prawda, że on zdrowieje, Nonna?

- Niebezpieczeństwo nie minęło, jeszcze bym za niego głowy nie dała.

- Powiesz, jak się nazywasz? Jesteś z Mediolanu? Nonna miała już tego dość.

- Wzywam cię na pomoc, święty Ambroży. Zamilknij że, dziecko! Jak on może coś powiedzieć, gdy zamykasz mu usta łyżką z polentą i nie przestajesz paplać? Pozwól mu odetchnąć, spokój i cisza zrobią więcej niż twoje ponaglanie.

Obydwie nie odrywały wzroku od swojego pacjenta. Zjadł niewiele i przysłuchiwał się z uwagą wymianie zdań między nimi. W jego oczach widniało rozbawienie. Wyglądało na to, że wszystko rozumie, rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie wydobył z gardła żadnego dźwięku. Sprawiał wrażenie zdeprymowanego tym, że jest niemową, i ponawiał próby wydobywania głosu. Nonna go uspokajała:

- Nie męcz się. Za wcześnie na takie rzeczy. Zobaczymy, jak będzie, kiedy cię odżywimy i wyleczymy.

Amaria nie potrafiła długo milczeć. Zaczęła jednak mówić trochę wolniej, nadal patrząc mu w oczy.

- Ale rozumiesz, co mówimy, prawda? - spytała. - Mówisz po mediolańsku? Czy możesz choć kiwnąć głową?

Selvaggio chciał się podźwignąć, lekko unióśł głowę, lecz natychmiast opadł z powrotem na owczą skórę. Nic nie uchodziło uwagi Nonny.

- Zostaw go w spokoju, dziecko. Idź i ukreć szyję kurze. Złap tę czerwoną. Młodzieniec niech odpocznie i poczeka na rosół.

Amaria wyszła z chaty, a Nonna wygładziła na śpiącym kape. Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby przyspieszyć jego zdrowienie, ale mając już pewność, że będzie żył, potrafiła być cierpliwa. Na pytania i odpowiedzi oraz dalsze plany przyjdzie czas, kiedy on wydobrzeje i zacznie mówić, a wtedy niechybnie wróci do swego domu, gdzie jest jego miejsce. Czekala, aż ucichną kroki oddalającej się Amarii, i zacisnęła mocno sękaty palce wokół stwardniałej od miecza ręki Selvaggia, tak jak to uczyniła, żegnając Filippa, gdy szedł

na bitwę. Niewiele wiedziała o człowieku z lasu, lecz jednego była pewna - że nie chce, by odszedł.

Tymczasem Amaria wybiegła na podwórko z sercem przepełnionym radością. Ma dbać o swojego Selvaggia. Zakasała spódnice i z zapamiętaniem goniła czerwoną kure, krzyząc i popiskując jak dziecko. Nagle się zatrzymała. Nie powinna tak krzyżeć: on potrzebuje ciszy i spokoju. Opuściła spódnice, przygładziła włosy, zatknęła za uszy niesforne kosmyki. Pora nabrać powagi, skoro ma przyjąć na siebie odpowiedzialność za kogoś. Musi temu sprostać. Nigdy dotąd nikim się nie opiekowała. Była oczkiem w głowie Nonny, jej najukochańszą wnuczką, pielęgnowaną jak rozkwitający kwiat. Mimo ubóstwa Nonna dbała o to, żeby zaspokoić potrzeby Amarii: dla niej były najlepsze kawałki mięsa, przylepki chleba, resztki wina. Gdy dziewczynka wyrosła ze swojego małego łóżka, Nonna chciała jej nawet oddać własne w jedynym pokoju na górze, ogrzewanym ciepłem z paleniska w kuchni. Na to jednak Amaria się nie zgodziła, rozumiejąc, że z racji wieku babka powinna wygodnie spać. Jej samej miało wystarczyć legowisko na podłodze, gdzie sypiała, okrywając się owczą skórą.

Jako jedyne dziecko w domu Amaria dorastała, nie musząc ustępować rodzeństwu ani uczyć się samodzielności. Opiekowała się jedynie kurami, które teraz wokół jej nóg gdakały, dziobiąc ziarno i rozgrzebując pazurami ziemię. W domu, w którym nie starczało na zabawki, to były jej dzieci, jej lalki. Dlatego odwracała głowę, kiedy Nonna ukręcała łeb kurze, żeby ją potem włożyć do garnka. A teraz ofiarą ma paść czerwona, jej ulubienica. I ma zginąć z jej własnych rąk. Nie uroniła jednak jednej łzy, łapiąc w spódnice durnego i niczego niepodejrzewającego ptaka. Nonna jeszcze nigdy nie zwróciła się do niej z prośbą o zabicie kury. Od dzisiaj coś się zmieniło, gdyż w domu pojawił się ktoś w potrzebie i Amaria miała

dorosnąć do nowej sytuacji. I nie sprawi zawodu. Ścisnęła szyję kury oburącz i usłyszała trzask.

Wracała do domu z ciepłym ptakiem w rękach i dumnie podniesioną głową. W ciągu tych paru minut spędzonych na podwórku wkroczyła w dorosłość. Pod opieką Nonny nie musiała się o nic troszczyć, lecz od dzisiaj... Amaria Sant' Ambrogio przyjmuje na siebie obowiązek opieki nad Selvaggiem.



## ROZDZIAŁ 9

### Cuda czynione przez bezbożnika

Kiedy ojciec Anselmo obserwował Luiniego przy pracy, miał wrażenie, iż jest świadkiem dokonywania się cudów. W tych trudnych czasach nieraz krwawiło mu serce, gdy wypełniał obowiązki kapłańskie, więc kiedy tylko był wolny od rozdawania jałmużny, pocieszania pogrążonych w żałobie i odprawiania mszy za poległych żołnierzy, poprawiał sobie nastrój, patrząc, jak Bernardino atakuje z pasją białe ściany kościoła, które ozywają dzięki jego magii.

Przypatrywał się, gdy malarz z wytrwałością praczki zmywał je wodą z octem. Był obecny, gdy Bernardino chodził z liną i tyczką, czyniąc pomiary i zaznaczając punkty na ścianach. Asystował przy mieszaniu zaprawy z kredą i temperą jajową. Został świadkiem pierwszych cudów - na kartonach powstawały szkice rysowane zamaszystymi pociągnięciami węglem. Śmiało kreślone linie układały się w bogactwo czarno - białych postaci świętych i grzeszników, aniołów i demonów, apostołów i heretyków. A wreszcie, gdy przyszła pora na nanoszenie kolorów, jakież urzekające cudowności dane mu było oglądać! Najpierw Bernardino wypełniał kontury czystym kolorem, nakładanym grubą warstwą. Czerwień, błękit, zieleń i żółć tak mocne i nasycone, iż spektrum barw stworzonych przez Boga im nie dorównywało. Bernardino przyrządzał farby własnoręcznie, jak go uczył sam da Vinci. Sięgał po dary natury, lecz Anselmo tak żywych i pięknych barw w przyrodzie nie widział. Najjaskrawsze kwiaty i królewskie papugi zostałyby przyćmione kolorami Bernardina. A potem artysta cyzelował dalej swe dzieło, nakładając cieńsze warstwy tych samych farb z domieszką bieli. Cóż za subtelne, przytłumione, pastelowe odcienie uzyskiwał: to był łagodny błękit letniego nieba, delikatny rumieniec róży, rozjaśnione żółtko jajka. Nigdy

wcześniej Anselmo nie oglądał tak pięknie i z taką dbałością o szczegóły namalowanych scen, tak ciepłych w tonacji. Zadziwiające zaiste cuda wychodziły spod pędzla Bernardina, który balansował w górze na chwiejnym rusztowaniu z desek i lin, obwieszony pędzlami i paletami, połączonymi wymyślnym systemem pasków i taśm. Pracował tylko w koszuli i rajtuzach, o które co rusz wycierał palce, tak że miały na sobie tyle kolorów, ile najbogatsze witraże. W cieplejsze dni, gdy się rozgrzał przy pracy, ze złością ściągał z siebie koszulę. Wówczas jego owłosiony tors pokrywał się barwnym tatuażem, ożywającym wraz z ruchami mięśni i nadającym mu wygląd rajskiego ptaka. Podczas odprawiania przez Anselma codziennej mszy Bernardino niecierpliwie chodził tam i z powrotem na tyłach kościoła, podczas gdy parafianie wgapiali się w jego na pół ukończone malowidła, zakrywające coraz większe połacie ścian. On sam nie uczestniczył we mszy, nigdy nie klękał ani nie wypowiadał słów modlitwy. Nie mógł się doczekać końca ceremonii i powrotu do pracy. Jego zachowanie niepomiernie dziwiło Anselma, który absolutnie nie mógł pojąć, jak człowiek bez wiary w Boga może malować z takim zapałem i natchnieniem biblijne sceny i pełne słodyczy twarze świętych. W przypiływie miłosierdzia porównywał go do człowieka antyku, a w momentach surowości utożsamiał z poganinem.

Anselmo tak często towarzyszył Luiniemu przy pracy i tak często prowadzili rozmowy, iż ksiądz zaczął wierzyć w możliwość wywarcia na niego wpływu. Przywiązał się do tego człowieka - utalentowanego a zagubionego, powołanego przez Boga do życia i przez Niego zapomnianego. Postanowił, krótko mówiąc, uratować duszę przyjaciela i przekazać mu, dyskretnym nauczaniem, wiarę w świętość człowieka i wytworów jego rąk. Ożywiała go ta ambicja, lecz czekało wielkie rozczarowanie.

- Czy wiesz, Bernardino, iż zdaniem świętego Hieronima malarstwo to sztuka Boga najbliższa, ponieważ przyciąga do Niego oczy wiernych?

Bernardino uśmiechał się i malował dalej, ale miał gotową odpowiedź. Dobrze przejrzał grę księdza i chętnie się w nią włączył. Anselmo będzie się starał zostać jego przewodnikiem duchowym, a on będzie szokował Anselma. Ani jeden, ani drugi nie odniesie sukcesu.

- W starożytnym Rzymie malarze na usługach cezara potrafili po mistrzowsku oddać w płaskorzeźbie klimat orgii, a to dzięki temu, iż kazali niewolnikom kopulować, gdy rzeźbili.

Anselmo nie rezygnował.

- W Watykanie znajduje się obraz artysty, który w tak wielkim religijnym uniesieniu malował Niepokalaną Dziewicę, iż płacze ona prawdziwymi łzami nad grzeszną ludzkością. To tylko jeden z przykładów na to, że talent tak wielki jak twój może poruszać serca wiernych, jeżeli serce samego artysty jest napelnione miłością do Boga.

- Starożytni Majowie wiele dziewcz zamurowali żywcem w fundamentach swoich świątyń. Łzy lały się strumieniami przy takich okazjach.

- W Konstantynopolu z obrazu przedstawiającego wesele w Kanie Galilejskiej leje się wino. Mnich, który go namalował, przypisuje ów cud temu, że się biczował i gorliwie odmawiał modły pokutne.

Bernardino odwrócił się na platformie z desek, która niebezpiecznie się zachybotła. Zatknał za ucho pędzel i napił się wody z bukłaka zawieszzonego u pasa. Z rozbawieniem spojrzął w dół na krągłą figurę księdza, dotrzymującego mu towarzystwa od szeregu dni.

- Chcesz powiedzieć, ojcze, że jeśli stanę się pobożny, moje obrazy będą lepsze?

Anselmo siedział na schodkach prezbiterium i gdy podniósł głowę, żeby widzieć twarz zawieszoną w górze przyjaciela, temu zginęła z widoku tonsura księdza.

- Prawdą jest, mój synu, żeś nadzwyczajnie utalentowany. Martwię się jednak o twoją duszę. Nie wykluczam, że nawet twoje dzieła byłyby lepsze, do doskonałości potrzebne jest bowiem tchnienie Boga.

- Bzdury. Moje dzieła już są doskonałe. Tracisz czas, ojcze - ripostował Bernardino. - Malarstwo bliższe jest nauce niż religii. Malarz nierozumiejący perspektywy to jak uczyony nieznający liter. Ja widzę świat w kategoriach odległości i proporcji. Nie potrzebuję podpory duchowej. Mnie wystarcza dobre wino i objęcia łatwej kobiety. - Z lubością oblizwał wargi.  
- Jaki jest cel twoich nauk, ojcze? Chcesz mnie nawrócić?

Anselmo się uśmiechnął.

- A z jakiego innego powodu tu przychodzę? Z pewnością nie dla przyjemności rozmowy z tobą.

Bernardino odwrócił się tyłem do postaci świętej Agaty, nad którą pracował.

- Sądziłem, że przychodzisz tutaj, by napaść oczy widokiem kobiecych kształtów, w czym lubują się obleśni księza. Ale cię oszukam. Jutro święta Agata zostanie ubrana w szaty, skryję jej ciało przed twoją lubieżnością.

Anselmo pokręcił głową. Nie zwierzyłby się Luiniemu z tego, że dla niego męskie ciało ma o wiele więcej uroku. Skądinąd czynił takie porównania jedynie ze względów estetycznych, związany przysięgą kapłańską nie myślał o cielesnych rozkoszach. Życie w celibacie nawet sobie cenił, ale rozumiał, że Bernardino potrzebuje kobiet. Takie refleksje przywiodły mu na pamięć Simonettę di Saronno, która, co go niepokoiło, przestała przychodzić na mszę. Miał nadzieję, iż przyczyną nie było impertynenckie zachowanie Luiniego.

Powinien chyba wybrać się do Villi Castello i wysłuchać spowiedzi signory, jeżeli okaże się to zgodne z jej wolą.

Bernardino zwrócił uwagę na jego milczenie.

- Nie ma więcej kazań na dzisiaj? Uczeń zwolniony z lekcji?

Anselmo nie mógł wyjawic, gdzie krążyły jego myśli, nie chciał bowiem przypominać Luiniemu o wdowie. Wymyślił naprędce zdawkową odpowiedź:

- Podziwiam twoje dzieło.

Jego oczy przyciągnęła w tym momencie pusta ściana w prezbiterium Cappella Maggiore - biała płaszczyzna nietknięta ręką Bernardina. Nie było na niej żadnych gwoździ ani sznurków, które ułatwiałyby rozplanowanie kompozycji. Ani śladów węgla, więc nie prznosił rysunku z kartonu. Nie było nic.

- Na co przeznaczasz tamtą ścianę? - spytał. - Zabrakło ci materiałów? Zgodnie z instrukcją, jaką otrzymałem od kardynała, mam ci dać zaliczkę, gdybyś potrzebował pieniędzy.

Bernardino zeskoczył ze swojej grędy, wytarł umazane farbą palce o goły tors, na którym sterczały teraz włoski koloru cynobrowego. Zapatrzył się w dal ponad głową księdza.

- Nie chodzi o pieniądze. Na tamtej ścianie namaluję scenę adoracji magów.

- Nawet jej nie zacząłeś?

- Centralną postacią będzie Dziewica. Przy narodzinach syna jej uroda szczególnie zajaśniała. Więc czekam na Simonette. - Bernardino wpatrywał się w pustą ścianę, jakby miał przed oczami wspaniałą wizję tego, co się tam znajdzie.

Anselmo westchnął i przemówił jak do dziecka.

- Signora di Saronno nie będzie ci pozować. Nie pokazuje się w tym kościele, a to dlatego, jak mniemam, że ją obraziłeś.

- Dlatego że się we mnie zakochała. Ksiądz zaśmiał się szyderczo.

- Z pewnością niesłusznie przypisujesz sobie zasługę. Masz przy tym zbyt wysokie mniemanie o własnej urodzie. Obraziłeś bardzo zacną damę, nie uszanowałeś też pamięci jej męża. Radzę ci dobrze, zapomnij o Simonetcie di Saronno.

Bernardino wycierał ręce w szmatę. Błysnął w uśmiechu bielą zębów, co przydawało mu niepozbowionej wdzięku dzikości wilka.

- Ona z pewnością doceniła, a może nawet przeceniła moją urodę. Wróci tutaj. Będzie mi pozować. Przekonasz się, ojcze.

Dokładnie w tym momencie otworzyły się potężne drzwi kościoła i w wejściu do nawy ukazała się signora, o której była mowa. Miała na sobie męski strój, kręcone pukle włosów nie sięgały ramion. Z pewnością się zmieniła, ale jej uroda nadal jaśniała pełnym blaskiem. Zdawało się, że kroczy ku nim jak anioł zemsty.

Wyniosłość Simonetty była iluzją. Uniesiona głowa i wysunięty zaczepnie podbródek miały jej dodawać odwagi. Mierzyła zimnym spojrzeniem obydwu mężczyzn diametralnie różniących się od siebie wyglądem, a jednakowo zastygłych w oczekiwaniu. Jeden korpulentny, niski, z dobroduszną twarzą, na której malował się wyraz zdziwienia. Drugi wyższy, szczupły - bez szacunku dla świątyni zdjął koszulę i pokrył się tatuażem jak poganin! - z zaciętą twarzą, którą dobrze pamiętała. Ten nie okazywał zaskoczenia na jej widok. Zwróciła się do niego jednym słowem, nawiązującym do rzuconej wtedy przez niego propozycji:

- Ile? - spytała.

## ROZDZIAŁ 10

### Pięć zmysłów i dwa wymiary

Siedziała nieruchomo. Opanowała tę sztukę, wiele dni i nocy spędziwszy przy oknie, opłakując Lorenza. Teraz przynajmniej mogła spokojnie oddawać się wspomnieniom o nim w tych wolnych od codziennych zajęć godzinach i jeszcze płacono jej za ten przywilej. Lecz Lorenzo nie panował w jej myślach niepodzielnie, jak być powinno. Wbrew jej woli krążyły one wokół innego mężczyzny.

Wydawało się, że przeszłość przestała ją obezwładniać. Życie musiało toczyć się do przodu, choćby chciała zatrzymać jego bieg. Żyła i oddychała w świecie złożonym z czterech żywiołów. Służyło jej pięć zmysłów i wszystkich używała w godzinach seansów w świątyni cudów. Czuła chłód panujący w kościele, ponieważ niebieska materia owinięta wokół jej ciała nie dawała prawie żadnej ochrony przed zimnem. Wdychała zapach oleju dodawanego do farb i dymu ze słabo grzejącego mosiężnego piecyka na węgiel drzewny, który dobry ksiądz postawił obok. Pod stopami czuła lodowaty chłód kamiennej posadzki, bezlitośnie wchłaniającej ciepło z jej ciała, a w ustach znany, gorzki smak głodu. Jednakże najbardziej zdumiewało ją to, że pobudziły się do życia jeszcze inne zmysły.

Jakże nieprawdopodobne było dzieło tego nieokrzesanego, impertynenckiego mężczyzny! Skąd u niego ten niemal boski talent, jakby pracował natchniony Duchem Świętym? Jak to możliwe, że człowiek, a tym bardziej taki jak ten, potrafi tworzyć niedoścignione arcydzieła? Świetliste postacie świętych z męczeństwem wyrytym na twarzach, aniołowie unoszący się lekko w powietrzu na skrzydłach, z których każda lotka została precyzyjnie odmalowana. Trudno było Simonetcie uwierzyć, że ona również będzie przedstawiona z takim natchnieniem, przetransponowana z trzech wymiarów w

dwa i unieśmiertelniona w podobnej doskonałości koloru i kształtu. Wyidealizowana.

Ale nie święci przyciągali jej wzrok, tylko człowiek z krwi i kości. Dlaczego wobec tylu malarskich cudów wszędzie naokoło ona wciąż wracała spojrzeniem do ich twórcy? Dlaczego mimo obfitości scen mogących przyciągać wzrok nie mogła oderwać oczu od niego? Pracował z pasją, szybko i starannie, co jakiś czas wpatrywał się pilnie w jej twarz, jakby nie była żyjącą istotą, tylko obiektem badań. Co kalkulował i ważył bystrym umysłem, co matematycznie obliczał, gdy nagle wyciągał rękę i niemal przytykał jej pędzel do nosa, zaznaczał jakąś odległość kciukiem, przenosił wymiary na ścianę? A przecież nie praktykował nauki, tylko najwyższego lotu sztukę. Nie mogła nie podziwiać w nim artysty, mimo iż żywiła do niego nienawiść jako do człowieka. Gdy odwrócony malował jej kształty, ona przyglądała się jego sylwetce. Wysoki, choć niedorównujący wzrostem Lorenzowi. Gdy stał przed nią twarzą w twarz, ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Spojrzenie jego oczu ze srebrnym jak u wilka lśnieniem powodowało, że włoski jeżyły jej się na karku, bo czuła zapowiedź niebezpieczeństwa. Te oczy były żywe, bystre i pazerne. Gałki oczne w ciągłym ruchu, nigdy nie odpoczywały. Patrzyły tu i tam, ale jakby nic nie widziały. On obliczał i rysował. Myślał, ale nie czuł. Tak uważała Simonetta. Myliła się.

\* \* \*

Za każdym razem, gdy patrzył na Simonettę, Bernardino nie miał wątpliwości, że urodził się po to, żeby ją malować. Nie było falstartów, momentów wahań, poprawek. Nie mógł od niej oderwać oczu. Od doskonałości figury, linii ramion, delikatnie zaznaczonych mięśni i tej pięknej twarzy niemającej sobie równej. Wszystko go zachwycało: długie nogi, wysokie łuki stóp, delikatne falowanie piersi pod



niebieską szatą. Nie straciła na urodzie mimo obcięcia włosów - zwijały się w loki, okalając twarz rudą aureolą, czego nie potrafiły warkocze. Simonetta była samą doskonałością. Z jednym zastrzeżeniem: Stwórca wymyślił dla niej te osobliwe ręce z zakłóconymi proporcjami. Popełnił błąd i zarazem go nie popełnił, ponieważ odstępstwo od normy uczyniło je pięknieszymi od każdych innych kobiecych rąk. Artysta nie miał zamiaru zlekceważyć tego żartu Stwórcy, naznaczającego Simonettę drobną skazą - nawet kiedy miała rozstawione palce, też wydawały się równej długości jak rozwarte ramiona cyrkla. Będzie chciał to utrwalić. Takie rzekome pomyłki popełniali Arabowie przy tkaniu dywanów lub zdobieniu murów mauretańską ornamentyką, uważali bowiem - i to samo kładł mu w uszy Anselmo - że twór doskonały może wyjść jedynie spod ręki Boga. Skoro tylko Bóg czy Allah mają moc stwarzania doskonałości, zdecydował, że w swoim dziele uwieczni Simonettę niedoskonałą. I za tę możliwość bezbożnik dziękował Bogu. Nie musiał myśleć o niej jak o Królowej Niebios, była kobietą z ciepłym ciałem, mimo że wydawała się zjawiskiem. Po raz pierwszy patrzył na kobietę, naprawdę ją widząc - ona, Simonetta, nie była obiektem do utrwalenia we fresku, lecz osobą, która żyje i oddycha. Martwy jest jej mąż, w niej pulsuje życie. I on, Bernardino, dopiero teraz żyje naprawdę.

\* \* \*

Wtedy, gdy do nich podeszła, zapytał:

- Co mam rozumieć przez „ile”?

Arogancko odpowiadał pytaniem na pytanie, chociaż dobrze wiedział, dlaczego Simonetta przyszła, i jej oczekiwał.

- Zgadzam się na to. Mam pozować za pieniądze. Akurat ich potrzebuję. Więc ile?

Bernardino obszedł ją naokoło, oczy mu błyszczały. Ekscytowała go i postanowił ją rozdrażnić, żeby zobaczyć błyski gniewu w jej oczach.

- Hm, zapłata będzie chyba niższa niż ta, o jakiej wcześniej myślałem. Masz na sobie, signora, dziwny strój, nawet nie wiem, jak go nazwać. Jesteś też rozkosznie umorusana. I co, na Boga, zrobiłaś z włosami?

Ugryzła się w język, chociaż słowa nienawiści cisnęły jej się na usta. Anselmo zrobił użytek ze swoich ust, zastygłych dotąd ze zdumienia w literę „o”.

- Signora di Saronno! Raduje się serce moje, że cię tutaj widzę! Niepokoiła mnie twoja nieobecność. Czy wszystko u ciebie w porządku, pani? Ten ubiór! Twoje włosy? To jakaś... hm... nałożona na siebie pokuta?

Pokręciła głową, skrócone włosy, do jakich nie była przyzwyczajona, zatańczyły niesfornie wokół jej szyi.

- Żadna pokuta, ojcze, bo czymże zgrzeszyłam? - odpowiedziała, odpędzając wspomnienie snów, w których nawiedzał ją Bernardino. - Jestem w biedzie i z tego powodu tu przyszłam. Ale nie potrzebuję litości, chcę pracować i dostać godziwą zapłatę.

Bernardino gładził się po podbródku.

- Hm... - mruzczał. I nagle przedstawił konkretną ofertę: - Cztery miesiące, trzy godziny w tygodniu, trzy franki za godzinę.

- Co!?! - Jeszcze niedawno Simonetta wydawała trzy franki na kokardkę do buta. I kolejne trzy na kokardkę do drugiego.

- Nie dopuszczam targów. Kardynał nie płaci za modelki, nawet tak szlachetnie urodzone, opłacam pozowanie z własnej kieszeni.

- Signor Luini - wtrącił Anselmo. - Nie możesz proponować takich warunków signorze. Należy ją traktować stosownie do jej pozycji.

- Ojczy, ojczy. - Bernardino dobrze się bawił. - Pozwól mi samemu określić warunki, nie pierwszą taką transakcją zawieram. Jeżeli signora chce zarabiać, przestaje być damą, staje się modelką. Pracuje dla mnie. Od tego momentu ja mam wyższą od niej pozycję i ja ustalę zapłatę, a proponuję co najmniej godziwą. Wszelako nie jestem potworem i z góry mówię, że dopuszczam możliwość podwyższenia kwoty, jeżeli signora zgodzi się... na usługi nieograniczające się do pozowania.

Simonetta przymknęła oczy, a łagodny z usposobienia Anselmo wybuchnął gniewem.

- Signor Luini! Będziesz się odnosił z należnym szacunkiem do tej damy lub wyniesiesz się z tego kościoła. Signora di Saronno pochodzi ze szlacheckiego rodu, jest wdową, a przede wszystkim znajdujemy się w domu bożym.

- Więc dobrze. Zostajemy przy trzech frankach.

- Nie o wysokość sumy chodzi, signora. - Anselmo podszedł do Simonetty. - W ogóle nie powinnaś tego robić, pani. Czasy są bardzo ciężkie, ale być może ja mógłbym udzielić ci jakiegoś wsparcia...

Pokręciła głową.

- Nie, ojczy. Mam dom, mam ubranie, mam co jeść. Są ludzie w większej niż ja potrzebie, im rozdawaj jałmużnę. Mogę się podjąć tej pracy i choćby ten człowiek źle mnie traktował, będę musiała to znieść. Bóg poddaje nas różnym próbom. Wygląda na to, że ostatnie miesiące i te najbliższe będą dla mnie wyzwaniem.

Bernardino podrapał się w głowę. Nabożnisią, pomyślał. Będzie z nią trudniej, niż przypuszczał. Dał znak, by szła za nim, i ruszył szybkim krokiem do absydy. Anselmo,

poczuwając się do roli przyzwoitki, podążył za nimi. W absydzie Bernardino rzucił Simonetcie pod nogi obszerną niebieską pelerynę.

- Zdejmij swój strój - rozkazał bezceremonialnie. - Owiń tę szatę wokół ciała. I chcę cię widzieć z gołymi stopami.

Simonetta trzymała pelerynę w ręku z taką miną, jakby tkanina ją parzyła.

- Nie przystoi mi... I zamarznę.

- Tylko bez biadolenia. Pod zwojami materii muszę widzieć zarysy ciała i jak układają się na nim fałdy i drapowania. Błękit zmieni tonację skóry, też muszę to widzieć. Nie muszę natomiast wysłuchiwać skarg. Ten czas jest dla mnie. Proszę usiąść pod tamtą pustą ścianą.

- Teraz?

- Zawsze lepiej dzisiaj niż jutro. Anselmo ciężko westchnął.

- Przyniosę piecyk. - Pogroził palcem Luiniemu. - Dzisiaj tylko godzina, nie dłużej. I traktuj signorę z atencją.

Bernardino nie odpowiedział, czekał na odejście księdza.

Zaczął mieszać farby na palcu, ale spod rzęs obserwował Simonettę, która, zakrywając się niebieską peleryną, wydobywała się z myśliwskiego stroju. Tak, była doskonałością. Na tle błękitu jej oczy śpiewały, a skóra mieniła się tęczą. Ciało zagrało całą gamą subtelnych barw niczym wewnątrz muszli ostrygi. Spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach. Zbliżył się i zmierzyli się wzrokiem.

- A teraz, Simonetto - powiedział - ułożę na tobie szatę. Nie martw się jednak. Nie będziemy dzisiaj cudzołożyć. Odłożymy to na później.

Simonetta zamierzyła się, żeby go spoliczkować, ale chwycił jej rękę w nadgarstku. Jej twarz wykrzywiała wściekłość.

- Jestem signora di Saronno, ty dzikusie! - wrzasnęła. - Jeżeli jeszcze raz mnie tkniesz, zabiję cię!

- No, no, Simonetto - przemówił do niej jak do niegrzecznego dziecka. - To było nieładne. - Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że poczuła ciepło jego oddechu. Myślała, że ją pocałuje, ale powiedział tylko: - Potrzebujesz pieniędzy, ja potrzebuję modelki. Zaczynamy.

\* \* \*

Podczas pierwszej sesji Simonetta milczała jak kamień. Bernardino odzywał się z rzadka i tylko po to, żeby prosić o takie czy inne ustawienie głowy lub ułożenie rąk. Bez jednego słowa zmieniała pozycję wedle jego życzenia. Musiał przyznać, że była najlepszą modelką, z jaką kiedykolwiek pracował. Gdy dzwony rozbrzmiały na nonę, ubrała się, wzięła bez słowa pieniądze i wyszła. Bernardino skrajnie zmęczony pokonał schody dzwonnicy. Czuł się wyżęty i tak opadły z sił jak po nocy spędzonej z kobietą. Zapalił świecę i rzucił się na siennik ze słomy, naciągając futro na głowę. Poderwał się natychmiast. Ułamał kawał chleba i nalał sobie wina, ale nie miał ochoty ani jeść, ani pić. Otworzył Libricciolo, lecz nawet groteski Leonarda go nie zajęły. Podbiegł do okna i zdążył zobaczyć odjeżdżającą na koniu Simonette. Wskoczyła na wierzchowca jak mężczyzna. Jechała na oklep - podejrzewał, że sprzedała siodło. Jakie nieszczęście doprowadziło ją do takiej desperacji, że przyszła do niego? Zdawał sobie sprawę, że czuje się poniżona. Widział, jak popędza konia, kopiąc go po bokach piętami - jedzie, jakby uciekała przed diabłem, pomyślał. Obserwował ją, póki nie zniknęła z widoku, po czym przycisnął głowę do zimnego muru i zamknął oczy. Co się ze mną dzieje? - zdumiał się.

## ROZDZIAŁ 11

Simonetta zaprasza w swoje progi

Na drzewach migdałowych dojrzewały zielone pestkowce. Zwisaly z gałęzi, czekając. Łupiny owoców twardniały i pękały, odsłaniając orzechy. Liście w kolorze soczystej zieleni, lancetowate w kształcie i ząbkowane na brzegach, poruszały się i szeleściły na jesiennym wietrze. Jakaś ręka przygięła w dół jedną z gałęzi, potem drugą, waząc ciężar owoców i zakłócając im spokój, ale po chwili się cofnęła i śmignęły z powrotem w górę, kołysząc się na gałęziach jak nanizane na sznurek dzwonki. Światło padło na rękę, która rozblęsa złotem.

Manodorata odwrócił się do Simonetty.

- I to wszystko? Nie ma żadnych oliwek ani winorośli? Nie hoduje się zwierząt?

Simonetta pokręciła głową. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo niegospodarni byli ona i Lorenzo. Dbali wyłącznie o estetykę posiadłości, pomnażanie bogactwa ich nie interesowało. Ważne było dla nich to, co piękne, a nie to, co użyteczne. Migdałowce rosły tu właściwie dzięki przypadkowi - jedno drzewko przywiózł z Ziemi Świętej któryś z Saronnów, od dawna leżący w grobie, i ono dało początek wielu innym, których pnie skrzypiały teraz w sadzie, gdzie stali Simonetta i Manodorata.

Opuścił złotą rękę i kręcił głową. Osobliwie wyglądał tu, między drzewami, ten człowiek z miasta, dla którego właściwym miejscem były krużganki własnego domu lub rozświetlany złotem mrok synagogi. W wiejskim pejzażu przemieniał się we wzbudzającego lęk niedźwiedzia ze złej baśni. Jego długie brązowe futro zbierało opadłe z drzew liście. Alejki między migdałowcami były zaniedbane i puste, gdyż służba została zwolniona. Raffaella i Gregorio,

usłyszawszy, że ma przyjść Żyd, wybrali się na targ do miasta. Nie mogli zostać, skoro w domu miał się pojawić sam diabeł.

Manodorata zatrzymał się, odwrócił twarzą do Simonetty.

- Shakad - rzekł i zanim spytała, czy ma na myśli migdałowce, po kategorycznym tonie głosu domyśliła się, że tym jednym słowem wydał na nie wyrok.

- Czy znasz, panie, te owoce? - Okazał zdziwienie pytaniem, więc skarciła się w duchu. Bo jakżeż mogła podejrzewać go o taką ignorancję?

- Oczywiście, że znam. Zaskoczony jestem co prawda, że przyjęły się tu, na północy.

- Sprzyja im topografia tego terenu. Przodkowie Lorenza... moi przodkowie przywieźli drzewko z wyprawy krzyżowej i okazało się, że ta ciepła nizina, rozciągająca się pod górami, odpowiada odmianie gorzkiej migdałowca.

Pokiwał głową, ale nie była pewna, czy ją słyszał, czy nie.

- Po hebrajsku nazywamy je shakad. To słowo ma jeszcze inne znaczenie: „wyczekujący, spieszący”. Czyż nie przystaje do twojej sytuacji, signora? Wyczekiwałaś już nazbyt długo. Teraz pora się spieszyć.

Nie odpowiadała, speszona drażliwą aluzją. Więc on także widział ją w oknie. Wdowę dzień po dniu przesiadującą beczynnie w swojej komnacie.

Odezwał się znowu, jego głos nabrał bardzo ciepłego brzmienia.

- W Palestynie kwitną w styczniu, zapowiadają budzenie się wszelkiego stworzenia. Piękne kwiaty, białe - różowe.

Widziała, że jej zbawca jest w tym momencie nieobecny, już go przy niej nie ma, przeniósł się myślą daleko na wschód.

- Laska Aarona była z drzewa migdałowego, którego pąki i kwiaty stanowią ozdobę złotych menor palących się przy szafie ołtarzowej w synagogach. Do tej pory Żydzi chodzą do świątyni z gałązkami migdałowca w rękach.

Simonetta nie wiedziała, co powiedzieć, rozpaczliwie pragnąc ukryć całkowitą ignorancję w sprawach religii żydowskiej. Wszystko, co mówił, było dla niej zupełnie obce, nie rozumiała tej obrzędowości. Na szczęście Manodorata zmienił temat.

- Czy zbiera się tu te orzechy? Czy się na coś przydają?  
Simonetta wzruszyła ramionami.

- Służba zbierała je każdej jesieni, a przechowywane są w podziemiach, gdzie znajduje się także nasz skarbiec, teraz pusty. - Uśmiechnęła się. - Mamy też rodową legendę. Lata temu dwoje służących z tego domu zakochało się w sobie podczas zrywania orzechów migdałowca. To byli Orsolina i Giuseppe, takie nosili imiona. Pragnąc zyskać przychylność kardynała Mediolanu, z orzechów zrobili słodkie ciasteczka, nazwali je amaretti i wręczyli kardynałowi w kościele sanktuaryjnym w Saronno, żeby dostojnik pobłogosławił ich związek. - Uśmiech zgasł na jej twarzy, przypomniała sobie bowiem własny ślub w tymże kościele, początek radosnego związku dwojga, z których jedno obróciło się w proch. Spojrzała na Manodoratę, ale chyba nie czytał w jej myślach, bo na jego twarzy pojawił się cierpki uśmiech.

- No tak, tyle że teraz raczej nie znalazłby się nikt, kto chciałby obdarować słodkimi przysmakami obecnego kardynała, z pewnością nie.

- Jak mam to rozumieć? O czym nie wiem?

- Nieważne. Tak mi się wyrwało. Mów ty, signora, o pożytkach z migdałów.

Przywołała się do porządku, bo rzeczywiście odbiegła od konkretów.

- Migdały można marynować, używać jako dodatku smakowego do mięs i ciast. W Anglii robią z nich marcepan. Można je też po prostu pogryzać, jak kto lubi.



- Czy są pożywne? Czy mają wyraźny smak? A może jakieś lecznicze właściwości?

Simonetta sięgnęła ręką po owoc. Zerwała go i nożem myśliwskim wprawnie wyłuskała nasiono z zielonej łupiny. Podała je Manodoracie.

- Posmakuj sam, signor.

Przez ułamek sekundy Manodorata patrzył z wahaniem na migdał, nim wyciągnął po niego zdrową rękę. Włożył go do ust i żuł przez chwilę, skrzywił się, wyjął jedwabną chustkę i dyskretnie wypluł w nią migdałową miazgę.

- Na święte kości Jakuba, to smakuje jak drewno. Simonetta się roześmiała.

- To samo pomyślałam, kiedy jadłam migdał po raz pierwszy. Teraz uważam, że mają słodczy i chrupkość przyjemne dla podniebienia. - Manodorata wciągnął rękawiczkę na dłoń, pomagając sobie zębami. Prychnął wymownie na znak, że delikates nie przypadł mu do gustu.

- Prowadź mnie do domu, signora - rzekł rozkazującym tonem. - Chcę obejrzeć księgi rachunkowe i mapy.

Simonetta spuściła głowę. Obiecała Raffaelli, że spotka się z Żydem w sadzie i nie wpuści go w progi domu, żeby go nie zbezczęcił. Nie dawała wprawdzie wiary przesądom pokojówki, ale z drugiej strony zwykła dotrzymywać przyrzeczeń. Postanowiła na razie przeciągnąć sprawę, żeby nie rozgniewać swojego gościa. Zmieniła temat.

- Sądysz więc, signor, że te drzewa i ich owoce nie przyniosą żadnego pożytku?

- Na to wygląda - odparł Manodorata. - Sad zajmuje wszakże kawał gruntu. Jeżeli go wykarczujemy i posadzimy drzewa oliwne, powinny przynieść dochód. Założenie winnicy wymaga więcej czasu, winorośl potrzebuje lat, zanim zwróci nakłady. Cieszy mnie, że te drzewa są zdrowe i drewno będzie można sprzedać na opał albo na maszyny wojenne, bo choć

wojna ucichła, to wróci, bo wojna i pokój to dwie strony tej samej monety.

Simonetta spoglądała ze smutkiem na drzewa, które miały pójść pod topór. Wyciągnęła rękę i długimi palcami przesunęła po korze najbliższego migdałowca. Zadrżał pod jej dotknięciem i zwilżył jej dłoń rosą, jakby zapłakał łzami. Ciężko jej będzie na sercu, gdy te drzewa zaczną padać pod ciosami siekier. Stanowią nieodłączną część dziedzictwa rodu Saronno. Trzy migdały Saronnowie mają w herbie. I nagle jeszcze coś sobie uświadomiła. Proporzec z takim znakiem herbowym musiał mieć Lorenzo, kiedy umierał. Ogarnięta nagłym żalem, zacisnęła palce na korze, aż jej szorstkość zaczęła sprawiać ból. Lorenzo. Co byś powiedział, gdybyś mógł usłyszeć, co ten człowiek mi proponuje?

Odezwała się pozornie lekkim tonem, mającym zadać kłam temu, co jej zaciążyło na sercu.

- Mój mąż opowiadał mi kiedyś historię Fyllis, która pokochała wojownika imieniem Demofon. W dniu ślubu została przy ołtarzu, a on ruszył na wojnę i odtąd czekała na jego powrót, aż gdy lata minęły i on nie wracał, powiesiła się na migdałowcu. - Simonetta przypomniała sobie, że gdy rozważała samobójstwo, miała przed oczami konary w sadzie. - Współczujący bogowie - ciągnęła opowieść - przemienili Fyllis w drzewo migdałowe, na jakim się powiesiła. Gdy pełen skruchy Demofon powrócił, Fyllis była pniem z bezlistnymi konarami. Objął martwe drzewo i nagle ono rozkwitło, miłość i wiara potrafią bowiem przewyciężyć śmierć. Nawet teraz migdałowiec jest uważany w Grecji za symbol nadziei.

Manodorata spojrział na nią i jego stalowe oczy dziwnie zmiękły.

- W tej historii dostrzegam i prawdę, i kłamstwo. Twój mąż nigdy nie wróci, lecz miłość i wiara rzeczywiście pokonują śmierć. My, Żydzi, wiemy o tym lepiej niż inni. -

Zamyślił się na dłużej, po czym ruszył dalej alejką. - Chodźmy teraz do domu, signora. Odwdzięczę ci się za piękną legendę inną opowieścią.

Simonetta szła u jego boku, a on opowiadał.

- Daleko stąd i dawno temu była pewna twierdza, która nazywała się Masada. Zbudował ją król Herod, który, jak mówią wasze pisma, chciał zgładzić Jezusa. Masada była twierdzą potężną i także piękną. Stała na szczycie góry wznoszącej się nad morzem, zwanym Morzem Martwym. Przez wiele lat to miejsce służyło Rzymianom jako strażnica, póki nie zdobyli jej zeloci.

- Żydzi? - spytała Simonetta.

- Tak, Żydzi. Kiedy ich miasto Jerozolima wpadło w ręce Rzymian, schronili się właśnie w Masadzie. Rzymianie obiegli fortecę. Zeloci bronili się mężnie, ale byli bezsilni wobec rzymskiej potęgi. Zrozumieli, że klęska się zbliża i opór jest bezcelowy. Na ich czele stał Eleazar ben Jair, który zaproponował zbiorowe samobójstwo. Wyznaczono dziesięciu zelotów, którzy zabili pozostałych, a potem jeden z tej dziesiątki zabił dziewięciu i na koniec sam popełnił samobójstwo.

Simonetta zatrzymała się w miejscu, zszokowana tym, co usłyszała. Manodorata szedł jednak dalej i nie przerwał opowiadania.

- Wraz z upadkiem Masady przestało istnieć państwo Izrael, nasza ziemia obiecana. Odtąd tułamy się po całym świecie, jesteśmy znienawidzeni i wyśmiewani, ale wciąż żyjemy. Każda śmierć jednego z moich braci, których tak wielu zginęło w ciągu wieków, jest tylko kolejnym świadectwem na to, że moc przetrwania czerpiemy z miłości i wiary. Masada nie była końcem naszego męczeństwa. W Yorku w Anglii zapędzono Żydów do wieży Clifford i spalono wszystkich. W Moguncji, po pierwszej wyprawie krzyżowej,

spędzono z kolei Żydów na rynek i każdemu ścięto głowę. W Hiszpanii, już nie tak dawno, ja sam... - Teraz to on się zatrzymał, jakby pod ciężarem wspomnień, i tego wątku nie dokończył. - Sama wiesz, pani, co mówią o nas nawet w tym dobrym i cywilizowanym mieście. - Zaśmiał się gorzko, a ona umknęła ze wzrokiem, przypomniawszy sobie Raffaellę i Gregoria.

- Dlaczego tak was nienawidzą? Manodorata wzruszył ramionami.

- Niektórzy chrześcijanie obwiniają Żydów o śmierć Chrystusa. Oskarżał ich między innymi święty Augustyn z Hippony, którego kości spoczywają w kościele San Pietro w Pawii.

Simonetta pokiwała w zadumie głową.

- Widziałam tam jego grób. Jego relikwie są otaczane czcią i on także, jako wielki nauczyciel wiary.

Manodorata podniósł czarne brwi.

- Otóż to. Przedstawiany jest często z sercem przebitym strzałą, trzyma je w ręku, a ma ono symbolizować żarliwość jego pobożności. Jednak według nas, Żydów, ten wasz błogosławiony nie krzewił wiedzy, lecz szerzył ignorancję. Przecież Chrystus sam był Żydem i zamordowany został przez Rzymian, jako że to rzymski prefekt wydał na niego wyrok śmierci, co jest przecież udokumentowane w waszej Biblii. Można powiedzieć, że twoi przodkowie, signora, bardziej zawinili w tej sprawie niż moi, a jednak nas oskarżają i prześladują. Tutaj, w tym mieście, nienawidzą mnie, bo popełniłem morderstwo.

Simonetta zeszywniała i nagle pożałowała, iż jest z nim sam na sam.

- Morderstwo? - wychrypiała ledwie zrozumiale.

- Zabiłem żonę jednego z obywateli tego miasta. Simonetta niemal zaszła mu drogę, chcąc widzieć jego twarz i

upewnić się, że Manodorata tylko popisuje się czarnym humorem. Tak chyba było, bo szyderczo wykrzywił usta.

- Moja zbrodnia polegała na tym, że szedłem przez plac tego samego wieczoru co ona, a księżyc świecił w pełni. Dama owa w połogu miała zastój mleka w piersi i zmarła z wysokiej gorączki. Jej mąż oskarża mnie o zadanie uroku i rzuca kamieniami w moje dzieci, gdy się pokażą na ulicy. - Simonetta chciała coś powiedzieć, ale nie dał sobie przerwać. - Nie potrzebuję twojego współczucia, signora. Mówię o tym z innego powodu. Otóż moi dawni przodkowie, zeloci, byli oblegani przez twoich przodków, Rzymian. A my tutaj idziemy obok siebie, oddychamy, żyjemy. Ty miałaś męża, a ja - tu jego głos znowu zmiękł - mam żonę. Przebacz mi, pani, ale jesteś taka młoda, że z pewnością znowu kogoś pokochasz.

- To mi się nigdy nie zdarzy. - Simonetta ucięła temat i przyspieszyła kroku, wyprzedzając trochę rozmówcę.

Manodorata uśmiechnął się do siebie: wiedział i widział więcej, niż chciał powiedzieć. Dogonił Simonette, wziął ją za ramię i obrócił twarzą ku sobie.

- Powiedz mi, signora, czy się modlisz?

- Czy się modłę?

- Jesteś chrześcijanką. Czy się modlisz i chodzisz na mszę?

- Tak... to znaczy, tak było.

- Tymczasem opowiadasz starożytne mity, w których znajdujesz pociechę. Czy nie lepiej byłoby zwrócić się do Boga?

- Ty to mówisz, panie? Jesteś z narodu przez wieki prześladowanego przez chrześcijan. Czyż sam nie jesteś nadal prześladowany?

Manodorata pokręcił głową.

- Krzywdy, jakich doznałem, zostały mi wyrządzone przez człowieka, nie przez Boga. Wiara ci pomoże, jeżeli do

niej wrócisz. Nie czuję nienawiści do twojego Chrystusa, potępiam tych, którzy czynią zło w jego imieniu.

Zdumiewał Simonette. Nie spotkała się dotąd z taką zdolnością wybaczenia. Wiedziała, że Raffaella i Gregorio, i inni nienawidzący Żydów obywatele Saronno nigdy by się nie zdobyli na podobną sympatię i zrozumienie dla innej religii. Chciałaby uczynić bodaj jakiś gest zadośćuczynienia wobec tego człowieka za zło wyrządzone jemu samemu i jego narodowi, ale cóż mogłaby zrobić? Spojrzał na nią przenikliwie, stalowe oczy penetrowały jej myśli.

- Możesz wiele dokonać, niewiele robiąc. Traktuj mnie przyjaźnie, zaproś do swojego domu. To gesty drobne, a mogące zmienić świat. - Wysunął łokieć, by ujęła go pod rękę. Rzucił jej wyzwanie: okaż dobrą wolę i odwagę. Nie zawahała się i poprowadziła go w stronę domu. Nie przejmowała się tym, że Raffaella i Gregorio mogli już wrócić i obserwować ich z okna. Gdy szła z Manodoratą po stopniach loggii i przekraczała z nim ramię w ramię próg domu, ogarnęło ją uczucie wdzięczności. Jej serce, na przemian to skuwane lodem na wspomnienie śmierci Lorenza, to rozpalające się płomieniem pod wzrokiem Bernardina, gdy ją malował, nagle ozdrowiało w zwyczajnym cieple. Simonetta znalazła przyjaciela.

## ROZDZIAŁ 12

Selvaggio zaczyna mówić, a Amaria widzieć

Amaria wciąż przypominała sobie pierwszy dźwięk, jaki wydobył się z ust Selvaggia. Od paru tygodni mieszkał z nimi i w miarę jak poprawiało się jego zdrowie, wyznaczał sobie drobne zadania do wykonania w domu i obejściu, żeby pomagać kobietom, które pomogły jemu. Nic nie mówił, ale jego zachowanie świadczyło o dobrym sercu. Rąbał drewno na ogień, opiekował się kurami, karmił świnię. Wszedł w ich życie prawie niezauważalnie i tak się wpasował, że niemal nie dostrzegały zmian, chociaż by go niewyobrażalnie brakowało, gdyby zniknął. Obydwie dotkliwie odczuwały jego nieobecność, gdy poszedł po wodę czy na targ, zostawiając je przecież nie na dłużej niż na parę godzin. Obserwowały go stale: Nonna chciała w nim widzieć syna, Amarię fascynował, chociaż nie potrafiła bliżej określić, na czym to polegało. Ubrały go w stary strój Filippa i opiekowały się Selvaggiem jak dzieckiem, odgadując jego potrzeby, a on odpłacał się im równą troską. Wyglądało na to, że nie tylko jest niemową, ale również nie potrafi pisać, gdyż to sprawdziły, dając mu deseczkę i opaloną gałązkę. Jedyne słyszalne odgłosy, jakie wydawał, to świsty powietrza przy oddychaniu i słuchając ich, gdy odpoczywali przy ogniu, Amaria wyobrażała sobie fale morskie, których nigdy nie widziała. Patrzyła na jego ręce ze świeżymi bliznami, w których zawsze miał kawałek drewna i nóż Filippa. Trudno było nie dostrzec jego fascynacji strukturą drewna, które niemal ożywało pod jego dotknięciem. Zbierał kijki i klocki i nadawał im różne kształty, jakby odkrywał coś fundamentalnego, elementarnego. Tak obsesyjnie pracował w drewnie, iż Nonna i Amaria nieraz rozmawiały o tym za jego plecami, zgadzając się co do tego, że w poprzednim życiu musiał zajmować się ciesielstwem. (Wtedy jeszcze nie wiedziały, że ta obsesja nie ma nic wspólnego z

wcześniejszym życiu Selvaggia, tylko z pierwszym widokiem, jaki miał przed oczami, gdy odzyskał przytomność). Początkowo spod jego ręki wychodziły niezdarne, prymitywne kształty i te próby wrzucał do ognia. Z czasem rozwinął umiejętności i rzeźbił pocieszne ludziki, żeby sprawić przyjemność Amarii. Pod koniec wieczoru zgarniała w spódnice jego dzieła co do jednego i szła z nimi na górę. Z dnia na dzień powiększała się jej sekretna drewniana kolekcja. Mogła obserwować Selvaggia godzinami i to robiła. Niezmordowanie też mu coś opowiadała, usta jej się nie zamykały. Kiedy się śmiał, a zdarzało mu się to coraz częściej, wyglądał dziwnie: twarz mu się wykrzywiała i trzęsło ciało, jak u większości mężczyzn w napadzie śmiechu, tylko żaden dźwięk temu nie towarzyszył.

Wreszcie się doczekały. Selvaggio postanowił zatkać w drzwiach dziurę po wypadniętym sęku, przez którą ze świstem wdzierał się wiatr. Gdy wbijał kołek, nieszczęśliwie podłożył pod młotek rękę i upuszczając go na ziemię, krzyknął z bólu. Amaria w jednej sekundzie była przy nim. Spojrzeli na siebie, nie dowierzając własnym uszom, i wybuchnęli śmiechem - ona dźwięcznym, on jak zawsze bezgłośnym. Ujęła w nadgarstku jego zranioną rękę, podprowadziła go do kominka, kazała usiąść i posmarowała balsamem stłuczenie.

- Spróbuj krzyknąć jeszcze raz! - namawiała rozgorączkowana. - Być może potrafisz mówić. Spróbuj!

Zapomniał o bólu, wykrzywiając dziwacznie usta, by powtórzyć okrzyk. Po kilku próbach się udało. Słyszała wyraźnie gardłowe „o”, podobne do nawoływania świstaka. Śmiała się i klaskała w dłonie. Selvaggio zerwał się ze stołka i zaczął tańczyć, wymachując rękami i powiewając niezwiązanym bandażem. Do tańca dołączyła Amaria, wirowała w kółko, aż furczały spódnice, i wykrzykiwała razem z nim „o, o, o!”. I tak zastała ich Nonna. Słyszac



dźwięki wydawane przez Selvaggia, też miała ochotę ruszyć w tany, lecz się pomiarkowała z uwagi na powagę swego wieku, ale nie tylko, gdyż cichutki głos odezwał się w jej sercu, ostrzegając, że to może być początek najgorszego - odejścia Selvaggia.

\* \* \*

Amaria Sant' Ambrogio stanęła wobec zadania najpoważniejszego jak dotąd w jej życiu - miała nauczyć dzikusa mówić. Serdeczność, zapał i optymizm, właściwe jej naturze, okazały się przydatne. Potrafiła zdobyć się na cierpliwość i znajdowała w tym przyjemność. Jej gadatliwość była wystawiana na ciężkie próby, gdy musiała czekać z uśmiechem na rodzące się w bólu głoski. Po „o” przyszła kolej na „a”, potem na „e”, aż wreszcie opanował je wszystkie. Szczebiotce przyszło milczeć, gdy on walczył o każdą sylabę; gawędziarka zamieniła się w słuchaczkę. Nonna obserwowała nauczycielkę, ciesząc się, że Amaria wkracza w dorosłość dzięki trudnemu zadaniu, jakiego się podjęła. Wiecznie zadyszana, trajkocząca dziewczyna zmieniała się na jej oczach w opiekuńczą kobietę, co korzystnie wpływało także na jej urodę. Powściągliwość dodała jej kobiecego wdzięku, co spostrzegało nawet krytyczne oko babki. Lecz Bóg jeden wie, jaki zamęt ta nowa Amaria zasieje w myślach zagubionego młodzieńca bez nazwiska i rodziny!? W Amarii może znaleźć w jednej osobie i matkę, i kochankę, gorące serce i kojące ramiona. Była uosobieniem życia i zdrowia, i ciepła, a on poznał zimny oddech śmierci. Nonna obserwowała uczącą się parę z mieszanymi uczuciami - radością i obawą.

Nie mogła się nie cieszyć z pierwszych słów Selvaggia. Wróciła akurat z lasu i zastała ich rozgorączkowanych, z trudem tłumiących podniecenie. Posadzili ją przy kominku i kazali się przypatrywać swemu występowi niczym trupie wędrownych komediantów. Ukłękli naprzeciwko siebie,

wyglądali jak para składająca sobie przyrzeczenie narzeczeńskie. Amaria wyciągnęła rękę.

- Mano - powiedział Selvaggio. Nonna już miała poderwać się z ławy, by przeżegnać się na widok tego cudu, ale było ich więcej. Amaria przytknęła rękę do serca.

- Cuore - rzekł.

Potem, gdy Amaria przeciągnęła palcem po wardze, wyartykułował jeszcze słowo bocca. Nonna wyściskała obydwój, podziękowała głośno Bogu, lecz złe przeczucia jej nie opuściły.

Od tego momentu Amaria cierpliwie uczyła go nazywać także inne części ciała, wszystkie sprzęty w domu, póki nie wymawiał poprawnie słów „oliwa”, „saganek” czy „ognisko”. A potem były lekcje na dworze. Na koniec wzięła go do Pawii, gdzie powtarzał za nią nazwy wszystkich stu wież w mieście. W półmroku wnętrza katedry, wypełnionej aromatem kadzidła, cierpliwie uczyła go imion świętych, pokazując rozświetlone blaskiem świec figury z natchnionymi twarzami i rękami wzniesionymi ku niebu. Między nimi był jej patron, święty Ambroży, który tego dnia spozierał na nią wyjątkowo dobrotliwie, umiłowana córka przyprowadziła bowiem do niego poganina. Na Via Cavallotti, w drodze do kościoła San Michele, lawirowali między stadami gęsi i wołami, pędzonymi na targ. Gdy znaleźli się w tej świątyni, okazało się, że Amaria zawiodła jako nauczycielka, bo zabrakło jej słów na nazwanie rojących się na fryzach i kapitelach straszliwych bestii, smoków i innych stworów, toczących między sobą walkę o dusze ludzkie. Weszli na Ponte Coperto, gdzie spędzili trochę czasu, bo zaglądali do rozlokowanych na zadaszonym moście warsztatów i kramów, a potem obserwowali ruch na rzece, podziwiając statki z ładunkiem egzotycznych korzeni, prujące wody Ticino. Amaria zastanawiała się, z której strony świata przybył do nich Selvaggio.

Prowadziła go też do lasu, żeby uczyć nazw ptaków i kwiatów, drzew i ziół. Któregoś razu znaleźli się w miejscu, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Selvaggia. Chichotali cichutko, obserwując kilka dziewcząt, każda oczywiście z wiadrem w ręku, wpatrzonych w taflę pozzo dei mariti. Bawili się jak dzieci, łapiąc w butelkę zielone żaby, z których Nonna miała sporządzić słynny przysmak pawiański: risotto con le rane. Amaria nie posiadała się z radości, bo Selvaggio zaczynał budować całe zdania, najpierw z dwóch, trzech słów jak niemowlę, potem zgrabniejsze jak dziecko, a wreszcie poprawne jak dorosły. Głos miał niski i chrapliwy, chyba z powodu uszkodzonej krtani. Chrypienie nie raziło, podobało się Amarii w połączeniu z dialektem mediolańskim, jakim zapewne kiedyś się posługiwał. Zaczynał się trochę, to nie przechodziło, ale nie nazwałaby tego jakaniami.

Wieczorami Selvaggio starał się jak najwięcej mówić do Amarii, gdy ona gotowała prostą strawę, potem we troje spożywali mięso z warzywami, popijając wino i rozmawiając o wszystkim. On nic nie pamiętał ze swojej przeszłości, nadal nie potrafił powiedzieć, jak się nazywa, co się z nim działo, skąd pochodzi. Nonna wypytywała go na wszelkie sposoby, ale chociaż się usilnie starał, nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób odniósł tak ciężkie rany, jakie potworności niewątpliwie musiał oglądać. Niezmiennie powracał natomiast do motywu drewna, na którym skupiły się jego myśli, gdy się przebudził w ich domu.

- Czy porąbane drewno może wiedzieć, że kiedyś rośło jako drzewo? - pytał, obracając w rękach świeżo ociosany kloc, wzięty ze stosu przy palenisku. - Nie, nie może pamiętać, gdzie stało jako drzewo, czy stało na równinie, czy w lesie. Nie pamięta wiatru, który kołysał gałęziami, ani deszczu, który je zraszał, ani rozgrzewających promieni słońca. Nie pamięta, jak traciło liście jesienią ani jak

pokrywało się zielenią wraz z nadejściem wiosny. Pory roku się zmieniały i wracały te same, rysując w brzuchu drzewa kolejne słoje. My wiemy, że ta szczapa miała kiedyś inne życie, a teraz znalazła się tutaj. I ja jestem tutaj, a przedtem byłem gdzie indziej, ale gdzie byłem, nie wiem. Nie wiem nawet, ile wiosen widziałem, po jakiej ziemi stąpałem w poprzednim życiu.

W takich razach Nonna kiwała głową i czuła się bezpieczniejsza z narastającym przekonaniem, że Selvaggio należy teraz do nich i nie odejdzie.

Dla Amarii był jak słońce, które codziennie świeci, więc nie wątpiła, że on nie zniknie i pozostanie z nią na zawsze. Prowadząc z nim rozmowy, przekonała się, że Selvaggio ma takie same upodobania jak ona. Kochał las i jeziora bardziej niż uroki miasta; chętniej patrzył na pluskające w wodzie ryby niż na morskie potwory wyrzeźbione w kościele San Michele. Kochał przyrodę bardziej niż sztukę. Cieszył go zapach świeżego drewna, które strugał, i smak zwyczajnego wina. Na targu z upodobaniem ważył w dłoniach warzywa - fioletowo połyskujące bakłażany i czerwone jak świeża krew pomidory - wybierając najlepsze na skromny wieczorny posiłek za kilka miedziaków. Te warzywa, które wyrosły na ziemi użyźnionej jego krwią, były dla niego piękniejsze od wielobarwnych witraży ożywiających mrok katedry. Żadna wyrafinowana sztuka go nie wzruszała, uszy miał niewrażliwe na muzykę, za to nasłuchiwał śpiewu wiatru nad rzeką. Imponująca bryła katedry nie robiła na nim wrażenia, natomiast zadzierał głowę, aż trzeszczała mu szyja, żeby jeszcze raz rzucić okiem na sięgający nieba wierzchołek drzewa w lesie. Odwracał też wzrok od kobiecych twarzy na obrazach, żeby ukradkiem popatrzeć na modlącą się Amarię. Oblicza świętych z zastygłym smutkiem na twarzy, ich martwe ciała i kości go nie interesowały, gdy u jego boku tętniło życie w Amarii, która z

każdym dniem stawała się piękniejsza. Serce Selvaggia biło teraz w zgodnym rytmie z naturą, a nie z dworską etykietą.

Nierozłączna para chodziła po mieście, zachowując się coraz stateczniej, rozmawiając na coraz więcej tematów, nie rozstając się nawet na chwilę. Najdroższa przyjaciółka Amarii, Silvana, cierpiała z tego powodu, że towarzyszka zabaw tak często przestaje z Selvaggiem, więc obleciała z językiem miasto. Tych dwoje nic o tym nie wiedziało, czuli się naturalnie i swobodnie, póki nie nadszedł dzień, kiedy siostra spojrzała na brata nowym okiem.

\* \* \*

Przyglądała mu się któregoś ranka na podwórku, gdy bez koszuli, z gołym torsem, pochylony nad konwią, ochlapywał lodowatą wodą twarz i ciało. Gdy zwilżał włosy, zobaczyła grę mięśni pod skórą, świeże blizny na ciele, siatkę żył na przedramionach. Wyczuł chyba jej wzrok na sobie, bo się wyprostował i obrzucił ją gorącym spojrzeniem, przeszywającym na wskroś, zagadkowym. Cofnęła się w cień otwartych drzwi i zagryzła wargi. Zapłonęły jej policzki, walenie serca poczuła aż w gardle, ugięły się pod nią kolana.

## ROZDZIAŁ 13

Elijah Abravanel i gołabek

- Zamieńmy może kilka słów, signora, bo sesje upływają nam w grobowym milczeniu.

Bernardino nie mijał się z prawdą. Odbyły się trzy spotkania, na których Simonetta siedziała zamknięta w sobie niczym małż w skorupie. Czasem czuł się nieswojo pod spojrzeniem jej pięknych i zimnych jak u jastrzębia oczu. Miał za sobą gorączkę rysowania i nakładania kolorów, co robił zawsze z szaleńczą pasją i wtedy domagał się bezwzględnej ciszy, ale na etapie rozjaśniania i przyciemniania barw, subtelnego cieniowania, miał zwyczaj rozmawiać z modelką. Więc i teraz przyszedł czas na konwersację, może dysputę, na co wcześniej by nie przystał. Gdyby twarz Simonetty była ożywiona mimiką, nie mógłby odwzorować linii ust i wykroju oczu, absolutnie doskonałych. Przystąpiwszy do malowania szaty, mógł sobie pozwolić na odprężenie, nawet było mu potrzebne. Niestety, w odpowiedzi na jego sugestię Simonetta zmierzyła go pogardliwym wzrokiem.

Westchnął głośno, odłożył pędzel. Dostał odpowiedź, lecz nie miał zamiaru tak łatwo się poddać. Przeciągnął się i ziewnął, pokazując różowy język i białe zęby.

Jak kundel, pomyślała.

- Cóż robić, pójdę na jakiś czas do tawerny. Skoro nie jesteś, pani, łaskawa rozmawiać ze mną, poszukam innych rozmówców. Proszę się nie ruszać, signora, podczas mojej nieobecności, dobrze? - Ruszył nawą do wyjścia, pobrzękując w kieszeni monetami. Monetami dla niej! Ledwie się pohamowała, by nie biec za nim. Przerwała milczenie.

- Co to ma znaczyć? Co z pozowaniem?

Odwrócił się, ale się nie zatrzymał. Mówił do niej, idąc tyłem ku drzwiom. Co będzie, jeżeli się potknie i rozwali sobie łeb? - przestraszyła się.

- Nacieszę się trochę jakimś towarzystwem, ale wrócę. Sesje będą trwały dłużej, skoro się zawzięłaś, signora, i nie masz zamiaru otworzyć ust. Nie martw się zbytnio, przed północą wrócisz do domu.

Dotarł do drzwi.

- Stój! - krzyknęła Simonetta. Gotowała się ze złości, nie miałoby jednak sensu przedłużanie tortury pozowania z takiego powodu. - Spełnię życzenie, będziemy rozmawiać - powiedziała cicho.

Bernardino podniósł rękę do ucha, przechylił głowę.

- Co!? Nie słyszę! - ryknął przez całą długość nawy.

Nabrała tchu i tym razem nie oszczędzała głosu.

- Powiedziałam, że będę rozmawiać. Jak sobie życzysz. Bernardino wrócił na miejsce, usiadł, wziął do rąk pędzle.

- Świetnie. - Spojrzał na nią, podniósł wyczekująco brwi.

- O czym mamy mówić? - spytała Simonetta drętwo. Podparł ręką podbródek.

- Hm. Jest problem. Już widzę ten sztuczny dialog między osobami takimi jak my.

- To znaczy jakimi?

- Owładniętymi tak gwałtownym do siebie uczuciem.

- O czym ośmielasz się mówić?

- O nienawiści, oczywiście. Przecież mnie nienawidzisz, pani. O czymże innym śmiałybym mówić?

W tym momencie nie mogła nienawidzić go bardziej niż kiedykolwiek przedtem; nie uzewnętrzniła tego, odstępując od szczerości na rzecz dobrych manier.

Uśmiechnął się.

- Proponuję taki oto schemat konwersacji. Ty, signora, zadajesz mi pytanie, lecz musi być interesujące, koniecznie! A potem ja zadaję pytanie tobie. Każda ze stron ma odpowiadać absolutnie szczerze.

- To absurdalne.

- Mam iść do tawerny?
- Nie, nie. Kto zaczyna tę wzajemną spowiedź?
- Ty, pani. Damy mają pierwszeństwo, choćby były tylko modelkami.

Gorączkowo szukała w myśli tematu. Umysł jakby wyjałowiał.

- Gdzie się urodziłeś, signor?
- Och, Simonetto. Cóż za nuda. Mówiłem, że ma być interesująco. Skoro jednak pytanie padło... W Luino, nad jeziorem Maggiore. Teraz moja kolej. Dlaczego tak bardzo potrzebne ci są pieniądze?

Spojrzała na swoje ręce.

- Ponieważ... my... ja... zubożałam przez wojnę.
- Dlaczego tak bardzo potrzebujesz pieniędzy?
- Już wyjaśniłam.
- Nie. Będę pytał dopóty, dopóki nie uzyskam odpowiedzi. Dlaczego potrzebujesz pieniędzy?

Westchnęła zirytowana.

- Mieliliśmy ogromne wydatki. Służba, upiększanie posiadłości, wydawanie uczt, jak przystało ludziom naszego stanu.

- Dlaczego tak nagle potrzebujesz pieniędzy? Simonetta miała dość. Podniosła głos.

- Dlaczego ktoś potrzebuje pieniędzy? Ponieważ jego wydatki przewyższają dochody i wtedy...

- Dlaczego? Pytam po raz ostatni.

- Ponieważ Lorenzo wszystkie pieniądze wydał, idąc na wojnę! - wybuchnęła Simonetta, sprowokowana i wyprowadzona z równowagi nieustępliwością Bernardina. - Nie żałował na rumaki i ludzi, na uprzęż i liberię, na broń. Kiedy poszłam do skarbcza po pieniądze dla notariusza, nie znalazłam nawet jednej monety. Czy zadowolila cię wreszcie odpowiedź?



Miała łzy w oczach, zrobiło mu się przykro. Owszem, przycisnął ją do muru, bo podejrzewał, że mąż ją zawiódł.

Odczuwał wewnętrzną potrzebę potwierdzenia, że Lorenzo nie był jej godny, lecz nie chodziło mu o dowartościowanie siebie kosztem tego nieszczęsnego, już martwego łajdaka ani o znieważanie jego pamięci. Lorenzo di Saronno stracił życie, legło w gruzach życie Simonetty. Bernardino szczerze żałował, iż uległ niegodnemu impulsowi i nią wstrząsnął, zmuszając do porzucenia iluzji, że śmierć przysparza komuś chwały. Nie powiedział jej tego wszystkiego, lecz złagodniał.

- Tak, zadowolila. Twoja kolej, pani. Czekam na pytanie, które mnie zaskoczy.

- Dobrze, mam takie. Czy słyszałeś o Masadzie? - Simonetta nie mogła wymazać z pamięci opowieści wysłuchanej poprzedniego dnia, no i takiego pytania z pewnością nie mógł się spodziewać.

Przeklęty Luini nie okazał, oczywiście, zdziwienia.

- Nie - odparł po prostu. - Moja kolej. - Namysłał się, o co zapytać, ale go zaintrygowała, nie oparł się ciekawości. - Powiedz, co to jest Masada?

- Raczej „gdzie jest”. - Ucieszyła się małym triumfem, lecz minęła chwila dobrego nastroju, gdy zaczęła opowiadać. Bernardino małował, wydawał się nieporuszony ponurą opowieścią, a gdy skończyła, wzruszył tylko ramionami. - Nie zrobiła na tobie wrażenia ta historia? - spytała z niedowierzaniem.

- Czy to jest twoje pytanie? Odpowiadam: rzeczywiście nie. A teraz ja pytam: dlaczego miałyby mnie poruszyć?

- Przecież to byli ludzie tacy jak my. Żyli, oddychali, czuli.

- Zbyt często ludzie zabijają się nawzajem w imię takiej czy innej religii. Trudno się tym przejmować. To nie jest dla mnie ważne.

- Co jest dla ciebie ważne?

- Ja zapytam, bo to moja kolej: kto ci to opowiadał, signora?

- Pewien... Żyd... którego znam. On... on mi pomaga, a na żadnego chrześcijanina nie mogę liczyć.

Bernardino przestał malować i spojrzał jej w oczy.

- Na twoim miejscu nie zadawałbym się z Żydem, signora. To są źli ludzie, napytasz sobie biedy.

- Nie proszę o opinię w moich sprawach. Wzruszył ramionami.

- Twoja kolej na pytanie.

- Co jest dla ciebie ważne?

- Żeby mnie zostawiono w spokoju i żebym mógł malować. Nic więcej mnie nie interesuje.

Simonetta prychnęła ze złością. Rozległy się dzwony na sekstę, ubrała się i obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem, ruszyła do wyjścia. Wróg Żydów, pomyślała, jeszcze jeden powód, żeby go nie cierpieć.

Bernardino odprowadzał ją wzrokiem. Czuł się winny, gdyż odstąpił od reguł gry, które sam narzucił. Nie był szczery w rozmowie, zwłaszcza pod koniec, gdy mówił o Żydach. Tak naprawdę zwyczajnie kłamał. Miał kiedyś złą o nich opinię, ale ją zmienił.

\* \* \*

Wracała do Castello, podsycając w sobie słuszny gniew i oburzenie, i natychmiast powtórzyła wszystko Manodoracie. Ślęczał nad księgami posiadłości w wielkim, ogołoconym ze sprzętów holu. Odłożył na chwilę gęsie pióro, gdy opowiadała. Skończyła, czekając na stosowną reakcję z jego

strony i gniewny komentarz na temat ignorancji chrześcijan. Tymczasem on się uśmiechał.

- Jak możesz, signor, być rozbawiony słowami tego człowieka? - zapytała z niedowierzaniem.

- Ponieważ zaprzeczają temu, co jest w jego sercu. Opowiem, co się przydarzyło mojemu synowi.

\* \* \*

- Elijahu, chowasz coś w ręku? - Rebecca Abravanel zauważyła dziwne zachowanie starszego synka. Na jej pytanie odpowiedział płochliwym uśmiechem, rozbijając ją natychmiast.

- Mam przecież na imię Evangelista, niedawno zostałem ochrzczony.

Uśmiechnęła się czule, chociaż ten chrzest nie był dla niej przyjemnym wydarzeniem.

- Masz rację, ale twojego chrześcijańskiego imienia używamy tylko poza ścianami tego domu. Dla mnie wciąż jesteś Elijahem. A teraz pokaż, co masz w ręku.

Podeszła do niego i delikatnie rozłożyła zaciśniętą dłoń chłopca. Zobaczyła coś zdumiewającego. Na dłoni wymalowany był biały gołębek, misternie wycyzelowany, jak żywy. W locie, z rozwiniętymi skrzydełkami i gałązką oliwną w dzióbku. Wydawało się, że piórka poruszają się w powietrzu, a srebrzystoszare gałązki oliwne jakby igrały w promieniach słońca. Opierzenie ptaszka tylko na pozór było śnieżnobiałe. Gdy przyjrzała się bliżej, dostrzegła, że mieni się najdelikatniejszymi kolorami tęczy. A wszystko to w miniaturze, tak żeby zmieściło się na małej dłoni.

Uklękła. Tego nie potrafiliby namalować ani Elijah, ani służąca Sarah. Jovaphet był młodszy od brata, więc tym bardziej, a ich ojciec, wszechstronnie wprawdzie uzdolniony, nie posiadał umiejętności posługiwania się pędzlem.

- Kto to malował, Elijahu?

Elijah, który miał już na sumieniu złamanie zakazu wychodzenia z domu po zmroku, zdecydował się na powiedzenie całej prawdy.

- Taki pan, który maluje na ścianach. W kościele.

\* \* \*

Elijah wiedział, że nie wolno mu wychodzić z domu bez matki lub Sarah, ale gdy usłyszał nawoływanie domokrażnego handlarza, nie oparł się pokusie wykorzystania tej okazji, żeby kupić czarną marmurową kulkę, o której marzył, od kiedy ją zobaczył w pierwszy dzień żydowskiego tygodnia, bo zawsze w Jom Riszon szli do synagogi. Zapraagnął mieć onyksową kulkę, bo o kamieniach wyrzucanych przez wulkany, góry ziejące ogniem, opowiadał mu ojciec. Z sekretnego schowka między deskami podłogi, o którym nie wiedział nawet Jovaphet, Elijah wyciągnął jedyny dukat, jaki posiadał, i wyślizgnął się z domu przez drzwi z wyrytą gwiazdą.

Na ulicy pełnej ludzi szedł szybko za zawodzącym głosem domokrażcy, omijając łukiem kundle i kałuże moczu. Dostrzegł wreszcie kolorową opończę handlarza, wydętą jak żagiel na wietrze, lecz wkrótce zafurkotała w górze jak poszarpana flaga i zniknęła za rogiem. Skręcił odważnie w boczną uliczkę. Nie było śladu domokrażcy, za to natknął się na gromadkę chrześcijańskich chłopców, niewiele od niego starszych, lecz, niestety, było ich kilku, a on jeden. Grali na ulicy w kamyki, ale go zauważyli. Wiedział, że odróżnia się wyglądem, był inaczej niż oni ubrany i miał pejsy. Zaczął się wycofywać, zanim zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Instynkt go nie zawiódł. Poderwali się w jego kierunku, więc rzucił się do ucieczki.

Biegł w stronę gwarantujących schronienie drzwi z gwiazdą, niestety, przewidzieli to i zablokowali mu drogę. Przez łzy zamajaczyły mu ich wykrzywione złością twarze. Zawrócił i pędził co sił przed siebie. Serce mu waliło jak

oszałałe, pulsowanie krwi w uszach niemal go ogłuszało, niedokładnie słyszał, co wykrzykiwali o nim, o jego ojcu i ukochanej matce. Nie miał pojęcia, dokąd biegnie, póki nie wyrosła przed nim bryła kościoła. Chociaż wiedział, że nie wolno mu wchodzić do chrześcijańskiej świątyni, ciemność za otwartymi drzwiami wydawała mu się zbawieniem. Wpadł do środka prosto w ramiona Luiniego.

Bernardino odsunął go na długość ramienia.

- Co ty tu...?

- Błagam, signor - chłopak dyszał ciężko - gonią mnie. Muszę się ukryć.

Bernardino nie wahał się ani chwili, zarzucił na chłopca niebieską pelerynę Simonetty i posadził go na schodkach prezbiterium. Mały wyglądał jak rzucone niedbale zwoje tkaniny. Wbiegła banda. Nawet oni zwolnili i uciszyli się w domu swojego Boga. Nie przywitał ich Bóg, tylko Bernardino Luini z rękami na biodrach.

Spojrzał na nich groźnie.

- Co tutaj robicie? Odrywacie mnie od pracy, to karygodne. Zmiatajcie stąd.

Odezwał się ich prowodyr, zdobywając się na odwagę, o jaką sam by się nie posadzał.

- Signor, szukamy tutaj szatańskiego pomiotu. Małego żydka, wbiegł tutaj.

Bernardino pokręcił głową.

- Nie do tych drzwi. Słyszałbym go i widział.

- To żydowski demon, który zna czary, schował się przed tobą, panie.

- Naprawdę? Nic o takich demonach nie wiem. Ale inne strachy są prawdziwe. O mnie wiadomo, że przybieram postać wilka, kiedy zapadnie ciemność. W nocy staję się bestią, rozszarpującą kłami niegrzeczne dzieci. Spójrzcie tylko... - Wskazał na ciemniejące niebo. - Noc nadchodzi. - I nagle

wrzasnął: - Wynocha! Vaffanculo! (Vaffanculo (wł.) - wulg.:  
spieprzaj.)

Poskutkowało. Prowodyra opuściła chwilowa odwaga,  
odwrócił się i wybiegł w noc, a za nim reszta.

Bernardino zamknął ciężkie, solidne drzwi i stąpając  
cicho, podszedł do prezbiterium. Niebieski tłumok na  
schodkach płakał. Luini odwinął zwoje tkaniny, odsłaniając  
twarz chłopca, jeszcze przerażonego, ale już z ulgą  
ocierającego łzy i smarki. Płatał mu się język, gdy mówił coś  
o domokrażcy, czarnej kulce, Sarah i Jovaphecie, i o dukacie...

Bernardino odruchowo wziął chłopca na rękę.

- Cii, cii... - uspokajał go. Chłopczyk nie przestawał  
szlochać, więc Bernardino zaczął się rozglądać ponad jego  
głową za czymś, czym mógłby go zainteresować. Już  
wiedział.

- Chodź. - Pociągnął chłopca do palet z farbami. - Pokażę  
ci magiczną sztuczkę. Wyciągnij rękę.

Na dłoni Elijaha widniał czerwony ślad, jaki odcisnął  
dukat, kurczowo ściskany w dłoni i zgubiony podczas  
ucieczki. Luini pogładził czerwone miejsce, umoczył pędzelek  
w farbie i zaczął malować.

Elijah się zaśmiał.

- Łaskocze mnie.

Bernardino sam cieszył się jak dziecko, widząc coraz  
szerzej otwierającą się w zdumieniu buzię chłopca, w miarę  
jak piękniał gołąbek na jego dłoni.

- Zobaczysz teraz obiecaną sztuczkę - powiedział  
Bernardino. - Powoli otwieraj i zamykaj rączkę. O tak. -  
Zademonstrował. - Gołąbek będzie fruwał.

Chłopiec manipulował ręką i piszczał z radości, patrząc na  
poruszającego skrzydełkami ptaszka.

- Niech dobrze wyschnie - doradził Luini. - Jak masz na  
imię?

- Elijah... to znaczy Evangelista. - Bernardino zrozumiał, dlaczego chłopiec się poprawił. Nietrudno było odgadnąć, które imię jest pierwsze.

- A gdzie mieszkasz, Elijahu?

Chłopiec się domyślił, że został rozpoznany jako niechrześcijanin, i po chwili wahania odważył się ujawnić swoje pochodzenie.

- Mieszkam na żydowskiej ulicy w domu z gwiazdą na drzwiach.

Bernardino rozumiał jego rozterkę.

- Więc dobrze byłoby, żebyś wrócił do domu, do mamy. Elijah spojrział z lękiem w fioletowe jak bakłazan niebo.

- Nie wolno mi chodzić po mieście samemu w nocy. Nikomu z Żydów.

Bernardino nie miał wyjścia. Z westchnieniem podniósł z ziemi pelerynę Simonetty i narzucił na siebie. Pachniała kwiatami migdałów - jej zapachem. Nie była jednak pora na takie refleksje. Wziął chłopca na ręce, skrył go pod połami szaty.

- Dobrze - rzekł. - Zaniosem cię do domu.

W skrywających ulice ciemnościach nikt ich nie widział. Elijah, uczepiony jak małpka szyi Bernardina, podpowiadał mu kierunek. W końcu dotarli do drzwi z gwiazdą.

- To tutaj, signor.

Luini postawił chłopca na ziemi i uklęknął, żeby go uścisnąć na pożegnanie.

- Poczekam, aż bezpiecznie znajdziesz się w środku. Do widzenia, Elijahu.

- Do widzenia, signor. Bardzo dziękuję za gołąbka.

- Drobiazg. Ale możesz coś dla mnie zrobić w podzięce.

- Tak, panie?

- Pamiętasz, jak wrzasnąłem na tych chłopaków? Elijah zachichotał.

- Krzyknąłeś vaffanculo, signor.  
- No właśnie. Mama nie powinna się dowiedzieć, że znasz takie brzydkie słowa. Mali chłopcy nie powinni ich używać.  
- Tak, signor.  
- Więc żegnaj. - Bernardino zastukał w drzwi. Czekał w mroku, póki się nie otworzyły. Zobaczył chłopca w radosnym, lecz i gniewnym uścisku matki. Sam z gorąco bijącym sercem wracał do zimnego łóża.

\* \* \*

- Więc dlatego, Simonetto, uśmiecham się, bo wiem, że co innego mówią jego usta, a co innego serce - zakończył Manodorata. - Nie jest takim człowiekiem, jakim się pokazuje światu. Maskuje się. Dobrze znam tę sztukę.

- Maskuje się? - Simonetta nie wierzyła.

- Tak, ale się czasem odsłania. Bo to nie koniec tej historii.

Zakończy się słodkim akcentem, nie oczekuj, że pokazał kolec skorpiona.

\* \* \*

Elijah za karę nie mógł wychodzić z domu przez cały tydzień, bawił się w ogrodzie. Nie mógł przeboleć straty czarnej kulki z wulkanicznego kamienia, a domokrażca zapewne wyruszył już z miasta w dalszą drogę. Trzeba się było zadowolić nudnymi kulkami ze szkła weneckiego. Nie okazywał niezadowolenia, starał się być grzeczny. W pewnym momencie wydawało mu się, że słyszy delikatne pukanie do drzwi w murze. Przyniósł stołek i otworzył kratkę judasza. Przez otwór wleciał mały woreczek i pacnął o ziemię. Elijah zeskoczył ze stołka i podniósł pakuneczek, owinięty płótnem i przewiązany rzemykiem. W środku znalazł okrągłutki i czarny jak noc kamień, o jakim marzył. Już miał wyrzucić kawałek starego płótna, gdy nagle zauważył czarne literki. Znał łacińskie pismo, gdyż matka dbała o jego naukę. Ze



zdumieniem przesylabizował: „Dla Eljaha”. Pod tym napisem widniał znaczek, który nie wymagał umiejętności czytania, bo to był rysunek gołąbka.

## ROZDZIAŁ 14

Noli me tangere

- Kiedy skończysz, signor?

- Wkrótce. Mam pracować w klasztorze kartuzów w Pawii. Z radością myślę o perspektywie przebywania wśród milczących mnichów, znużony jestem twoją paplaniną, signora. - Bernardino odpowiadał na jej pytanie, nie odrywając wzroku od fresku.

Uśmiechnęła się, a jeszcze niedawno oburzyłaby ją jego bezczelność. Przyzwyczała się do niej. Pokiwała głową, czując w sercu lekkie ukłucie żalu. Udało im się zawrzeć coś w rodzaju rozejmu, a nawet czynili drobne kroczki w kierunku przyjaźni. Od kiedy dowiedziała się, co zrobił dla syna Manodoraty, patrzyła na niego nowym okiem. Zobaczyła w nim chłopca, chociaż był dużo od niej starszy. Przejrzała jego pozę i pozorną butę. Skrywał prawdziwe wnętrze, mówił co innego, niż myślał. Tworzył swój wizerunek dla ludzi równie daleki od rzeczywistości jak jego freski. Simonetta uważała, że Luini nieprawdziwie przedstawia kondycję ludzką. Jego malarstwo było teatrem. Maryja, do której to postaci pozowała, przeżywała miłość, bóle rodzenia i stratę umiłowanego syna. Nie mogła w prawdziwym życiu mieć zawsze tak pogodnej twarzy jak na malowidłach Bernardina. Umierający męczeńską śmiercią święci nie mogli, była tego pewna, znosić tortur z wdzięcznością i akceptacją na twarzach, jakkolwiek silna wspierała ich wiara. Poddawani byli oni, jak i ona sama, zbyt ciężkim próbom, przeżywali niewypowiedziane udręki ciała i duszy. W tym momencie Simonetta uśmiechnęła się w duchu, gdyż pozwoliła sobie na zbyt dużą arogancję, ośmielając się porównywać własne cierpienia z ich męczeństwem. Nie musiała znosić fizycznych tortur jak święta Łucja, której wyłupywano oczy, czy święta Agata, której kleszczami wyrywano piersi.

Bernardino zauważył tylko uśmiech na jej twarzy i ani się domyślał, o jak makabrycznych rzeczach rozmyślała. Zrobił właśnie ciekawe odkrycie, po raz pierwszy dostrzegając, że Simonetta marszczy nos u nasady, gdy się uśmiecha. Jej twarz stawała się przez to bardziej ludzka i dostępna, mniej eteryczna i księżycowa. Poczł się nagle idiotycznie szczęśliwy i mimowiednie błysnął cudowną bielą zębów.

- Nie powiesz chyba, że marzysz o końcu pozwania? - rzucił zaczepnie. - Nie uwierzę, że nie spodobały ci się nasze sesje. - Głos miał nieznośnie kpiarski, co zlekceważyła.

- To wielki zaszczyt pozować do postaci Dziewicy... Przerwał jej.

- Nie mów, że wierzysz w to wszystko. - Szerokim, nonszalanckim gestem ogarnął swoje dzieła: sceny przedstawiające zaślubiny Dziewicy, adorację magów, Chrystusa w Świątyni Jerozolimskiej. - Nie wierzysz, że te wydarzenia naprawdę miały miejsce. Spojrzała na niego surowo.

- Przeciwnie. To wszystko jest lapalissiano. - Wymknęło jej się to określenie, zanim ugryzła się w język. Żałowała, że padło z jej ust. Chociaż znaczyło: „oczywista prawda”, to w języku lombardzkim funkcjonowało od niedawna, a pochodziło od nazwiska generała de la Palisse'a, pod którym służył Lorenzo. Szanowanego i zupełnie prawdziwego, ale już martwego jak Lorenzo. Usiłowała pokryć skonfundowanie szybkim pytaniem. - Ty nie wierzysz?

- Nie. W żadne słowo Pisma Świętego.

- Dlaczego?

Odwrócił się plecami i niemal z furią zaczął korygować niebiańską poświatę, jaką nadał niebieskiej szacie. Pod szybkimi smagnięciami pędzla błękit nabierał głębi i wtedy ożyły wspomnienia z dzieciństwa.

- Kiedy byłem mały, mieszkałem nad jeziorem Maggiore. Mój ojciec był rybakiem i codziennie wypływał łodzią. To wielkie jezioro. O bardzo niebieskich wodach i rozciąga się w dal aż po horyzont. Małemu chłopcu wydawało się przeogromne. Myślałem, że to morze. Chodziłem tam latem i przesiadywałem na brzegu. - Bernardino opuścił rękę z pędzlem pod naporem wspomnień. - Wyobrażałem sobie lądy leżące za tym oceanem: nieznane bestie i nieznane krajobrazy. Chodząc nad brzegiem, ze wzrokiem zatopionym w oślepiającym błękitcie, nie czułem, że ostre kamyki niemal ranią mi stopy. Kiedy mrużyłem oczy, jezioro stawało się niebem, a niebo jeziorem. Stykały się na widnokręgu i były tego samego koloru. Ten błękit! Nigdy nie potrafiłem go namalować. - Odwrócił się i spojrział na nią. Jej oczy miały dokładnie ten odcień, przynajmniej dla niego, ale tą refleksją się z nią nie podzielił. - Wpatrywałem się w wodę pluskającą u moich stóp. Obmywała kamyki i się cofała. Zapytałem kiedyś matkę, dlaczego woda tak się zachowuje. - Głębokie westchnienie rozcięło mu piersi niemal do bólu. Wypuścił powietrze, żeby mówić dalej. - Moja matka nie miała dla mnie czasu. Była zajęta wujkami. Miałem ich wielu. Przychodzili każdego popołudnia, gdy tylko ojciec wyruszał na wieczorny połów. Matka zakazała mi wspominać ojcu o tych wizytach. Mówiła, że wujkowie są z nim skłóceni, jak to w rodzinie. - Bernardino podniósł wzrok i wykrzywił usta w uśmiechu, który nie był uśmiechem. - Tylu wujków - kontynuował - a żaden nie był podobny do mojego ojca. - Nagle zabrał się z powrotem do pracy i jednocześnie zaczął mówić z nerwowym pośpiechem. - Matka powiedziała mi, że nad brzegiem siedzą aniołowie i bardzo głęboko oddychają, tak głęboko, że woda faluje i stąd są przyływy i odpływy. Zapytałem, dlaczego nie można zobaczyć aniołów, na co odpowiedziała, że ludzie nie mogą ich oglądać, bo są grzeszni. Jeden z wujków, który był

akurat u nas w domu, parsknął na to śmiechem i pocałował ją w ramię, mówiąc, że mama powiedziała samą prawdę. Nie podobał mi się jego rechot, więc znowu poszedłem nad jezioro i czekałem na ojca. - Bernardino bezwiednie zacisnął rękę na trzonku pędzla. - Przez całe popołudnie starałem się być grzeczny i mieć pobożne myśli, żeby móc zobaczyć anioły. Siedziałem nad jeziorem, póki nie przybiła łódź ojca. Zapytał, co robię tak późno na brzegu. Wyznałem, że czekam na anioły i chcę zobaczyć, jak za sprawą ich oddechów powstają przypyływy i odpływy. Westchnął i usiadł koło mnie.

„Bernardino, aniołowie nie przesiadują na tym brzegu - rzekł. Byłem zmęczony, bolała mnie głowa od słońca i wypatrywania aniołów. Nie mogłem się pogodzić z tym, co powiedział, zbierało mi się na płacz, zacząłem krzyczeć: Są aniołowie, są tutaj!”.

„Kto ci naopowiadał takich bajek?”.

Zrozpaczony, straciłem głowę i zapomniałem o zakazie matki.

„Mama! - wrzasnąłem. - I wujek”.

„Jaki wujek?” - spytał cicho.

Przypomniało mi się, co matka mówiła o kłótni w rodzinie, ale nie mogłem cofnąć swoich słów.

„Nie wiem który. Tylu ich przychodzi do domu. Ten akurat był u nas dzisiaj”.

Ojciec wstał i długo, bez słowa, wpatrywał się w wodę, która chlupotała przy brzegu. Kiedy się odwrócił twarzą do mnie, miał wilgotne oczy.

„Bernardino. Twoja matka jest kłamczuchą. Zawsze nią była. - Zanurzył rękę w wodzie i podszedł do mnie. Wsunął mi palec do ust, głęboko, co nie było przyjemne. - Posmakuj - powiedział. - Ta woda jest słodka, a nie słona. To nie jest morze, Bernardino. Tu nie ma przypyływów i odpływów. Ani aniołów. A ja nie mam braci. - Wyjął palec z moich ust.

Zanim odszedł, dotknął delikatnie mojego ramienia, tylko jeden raz. - To jest jezioro, Bernardino. Zwyczajne jezioro".

Simonetta wstrzymała oddech, czekała. Bernardino przeciągnął ręką po oczach, zostawiając niebieską smugę na brwiach.

- To były ostatnie słowa, jakie słyszałem z ust ojca. Gdy wróciłem do domu, już go nie zastałem. Matka obwiniła mnie o to. Rozpiła się, a „wujkowie” przestali przychodzić, lecz nie minęło wiele czasu i znowu się pojawili. A ja zacząłem rysować węglem, sam wypalałem go na plaży. Rysowałem na wyłowionych z jeziora deskach, kawałkach żagli, na czym popadło. Nie istnieją aniołowie, dobrze, to ja je stworzę, postanowiłem. Miałem piętnaście lat, kiedy zamalowałem cały nasz drewniany dom. Jednym wielkim freskiem. Zastępy aniołów, cherubinów i serafinów, cała niebiańska kompania. Matka wpadła w furję. Płakała i wrzeszczała na przemian, a „wujek”, który był tego dnia, złał mnie pasem. Poczekałem, aż pójdą do łóżka, i ukradłem mu konia. Wiedziałem, że wielki mistrz, Leonardo da Vinci, jest w Mediolanie i pracuje dla księcia Ludovica Sforzy. Zebrałem wszystkie swoje rysunki i jechałem konno przez całą noc. Czuwałem okrągły tydzień przed studio Leonarda, dzień w dzień natykał się na mnie, aż wreszcie się zgodził na audiencję. Na moje rysunki ledwie rzucił okiem, ale dał mi kawałek węgla i kazał narysować rękę. - Bernardino spojrzał na rękę Simonetty, z rozstawionymi akurat palcami, i uśmiechnął się do tamtego wspomnienia. - Zostałem jego uczniem jeszcze tego samego dnia.

Spojrzał na swoją rękę. Na dłoni miał cztery półksiężyce w miejscach, gdzie w skórę wbijały się paznokcie, kiedy kurczowo ścisnął pędzel. Półksiężyce powoli napływały krwią. Popatrzył w górę na anioły, które stworzył własną ręką.

Lekko unosiły się nad jego głową, dmąc radośnie w wielkie trąby.

- Leonardo też nie był wierzący - mówił Bernardino do sufitu. - Twierdził, że można rozbudzać wiarę u innych, samemu nie wierząc. On szanował jedynie Magdalenę, jak ja szanowałem matkę, też upadłą kobietę. Co zaczęła matka, skończył da Vinci. Straciłem wiarę. Leonarda pasjonowały ludzkie namiętności, nie miał estymy dla dewocji.

Simonetta ośmieliła się mu przerwać.

- Jakie namiętności? - zapytała cicho.

Cenił miłość, pomyślał Bernardino. Dobrze pamiętał radę, jaką dał mu Leonardo przy pożegnaniu. Powiedział, że Luini zostanie dobrym malarzem dopiero wtedy, gdy odzyska zdolność kochania. Święte słowa. Życie upływało mu na łatwych podbojach, figlowaniu z kobietami i dziewczętami, matronami i dziewicami, lecz jego serce nie zbudziło się nigdy z odrętwienia, w jakie popadło, gdy matka przestała być matką. Tego dnia, kiedy go okłamała i z domu odszedł ojciec, Bernardino utracił niewinność uczuć - roztrzaskał się wizerunek idealnej matki i kobiety. Postawił ją na piedestale i patrzył na nią z nabożeństwem jak na figurę Madonny. A ona kłamała, wrzeszczała i wypchnęła go z domu w ramiona łatwych kobiet, za którymi się odtąd uganiał, ale nie znajdował w tym prawdziwej przyjemności. Wieczny poszukiwacz świętego Graala. Miłości. Otworzył usta, żeby wypowiedzieć to proste słowo, które dla niego znaczyło wszystko i nic. Powiedzieć je głośno i spojrzeć w oczy kobiecie, która stała się dla niego bardzo ważna i nigdy się o tym nie dowie. Ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Uwiązał mu w gardle, a do oczu niebezpiecznie cisnęły się łzy. Łzy!?! Nie płakał od tamtej nocy, kiedy galopował na koniu od jeziora do Mediolanu, zalewając się potokami łez,

porywanymi w ciemność, bo pęd i gorący nocny wiatr osuszały mu policzki, zanim zdążyły zwilgotnieć.

Odłożył pędzle, zostawiając je wbrew nawykowi nie w wodzie, lecz na palecie. Mignął mu przed oczami pusty owal, gdzie powinna być twarz Dziewicy, lecz nie mógł pracować dzisiaj dłużej. O mało co nie spadł ze swojej grzędy. Przeszedł obok Simonetty, która wyciągnęła do niego rękę. Zdawało się, że tego nie zauważył, miał odwróconą głowę, ale usłyszała, że wymamrotał:

- Noli me tangere.

Po raz drugi w życiu Bernardino uciekał od kobiety, którą kochał. Wbiegając schodami dzwonnicy do swojej samotni w wieży, przeskakiwał po kilka stopni naraz. Nie dał Simonetcie znaku pożegnania, nawet nie odwrócił głowy, ale to dobrze, gdyż pod jej spojrzeniem, gdy go odprowadzała wzrokiem, straciłby rezon i otworzył przed nią serce. Tego właśnie rozpaczliwie pragnął uniknąć. Niebieskie jak toń jeziora oczy Simonetty napełnione były ciepłem i współczuciem.

Dopiero dużo później, wieczorem, Simonetta zdała sobie sprawę, co mówił do niej w tym nieszczęsnym momencie, gdy wyciągnęła do niego rękę. Noli me tangere. Już była pewna. Sięgnęła po rodzinną Biblię, która jak zawsze leżała na stoliku blisko jej przednie, i zaczęła przerzucać pożółkłe kartki, póki nie znalazła miejsca, jakiego szukała. Dicit ei Iesus: Noli me tangere, nondum enim ascendi ad Patrem meum: vade autem ad fratres meos, et dic eis: Ascendo ad Patrem meum et Patrem vestrum, Deum meum et Deum vestrum. Ten fragment: zmartwychwstały Chrystus mówi do Magdaleny, kobiety, którą kiedyś kochał i która kochała jego, i którą wybrał na pierwszego świadka swego zmartwychwstania. Rzekł jej Jezus: Nie dotykaj mnie, bo jeszcze nie wstąpiłem do Ojca; ale idź do braci moich i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego, do Boga mego i Boga waszego (Jan



20,17; Nowy Testament. Towarzystwo Biblijne w Polsce,  
Warszawa 1994.).

## ROZDZIAŁ 15

### Święty Piotr pod Złotym Niebem

Amaria wpatrywała się w swojego świętego. Na niego nie bała się patrzeć, a na innych tak, zwłaszcza na przesytego strzałami świętego Sebastiana i na świętego Bartłomieja z wiszącymi płatami zdartej żywca skóry. Sant' Ambrogio, święty Ambroży, był jej osobistym świętym. Stróż, ojciec, patron, przyjaciel. W blasku świec jego oczy zdawały się czarniejsze i większe, jeszcze okrągłejsze i bardziej dobrotliwe. Lubiła jego i ten wizerunek w kościele San Pietro in Ciel d'Oro.

Bazylika Świętego Piotra pod Złotym Niebem.

Z upodobaniem powtarzała tę piękną nazwę. Wyobrażała sobie świętego Piotra pobrzękującego pękiem kluczy w jaśniejącym złociście niebie i świętego Ambrożego u jego boku. W kamiennym sarkofagu, zdobionym płaskorzeźbami, spoczywały kości jeszcze innego świętego, Augustyna z Hippony.

Amaria rzuciła okiem na scenę przedstawiającą trumnę Augustyna, niesioną przez longobardzkiego króla Liutpranda, który nakazał przewiezienie relikwii Augustyna z Kartaginy do Pawii, i przesunęła palcami po kamiennych figurkach żałobników. Ale ten orszak i sam święty Augustyn, trzymający w ręku serce przebite strzałą, nie wzbudzał jej większego zainteresowania. Nie był częścią jej rodziny, nie nosiła jego imienia, nazywała się przecież Sant' Ambrogio. Szkielet Augustyna, niegdyś przemierzający suche równiny Kartaginy i podpierający jego mięśnie i narządy, nie wydawał jej się bardziej realny od ikony Ambrożego, chociaż niewiele wiedziała o życiu swojego świętego, tylko tyle, że wsławił się w czasach rzymskich jako żarliwy chrześcijanin, głoszący Słowo Boże wśród pogan. To jej wystarczało, by widzieć w nim człowieka takiego jak wszyscy inni. Mogła do niego

mrunąć okiem i uśmiechać się w nieskończoność. Tego roku jej serce przepęłniała szczególna wdzięczność. Zapaliła świeczkę pod ikoną.

- Wszystkiego najlepszego w dniu imienin, święty Ambroży - szepnęła. - I dziękuję za Selvaggia.

\* \* \*

Wyszedłszy na plac przed kościołem, Amaria naciągnęła na głowę kaptur. Miała dzisiaj odświętną fryzurę. Postanowiła skończyć z niedbale zaplatanymi warkoczami, w które podczas leśnych eskapad wplątywały się mchy i liście. Na jej prośbę Selvaggio zrobił dla niej drewniany grzebień i używała go co wieczór, starannie rozczesując zmierzwione włosy, póki ich długie pasma nie zalśniły jak heban. Dla uczczenia dnia imienin uczesała się wedle mody mediolańskiej: czerwona opaska ze wstążki tuż nad brwiami i skrócone w loki włosy, zebrane na karku, ozdobione pączkami różyczek. Ubrała się w najlepszą suknię, rdzawego koloru, a na usta nałożyła warstwę maści z czerwonej glinki, choć różu wcale nie potrzebowały. Chciała jak najpiękniej wyglądać, odwiedzając swojego świętego, ale gdy się modliła w kościele, sumienie podszeptywało jej cichutko, że wszystko to zrobiła dla Selvaggia. Bo to on zerwał kiedyś różyczki ciemiernika, zachęcając, żeby wplotła je we włosy, gdyż będzie jej w nich do twarzy. To on zachwyił się rdzawą sukienką, gdy ją włożyła w dzień świętego Michała, i mówił, że kocha kolor ziemi. On także powiedział, że najchętniej widzi ją z włosami zebranymi do tyłu, bo wtedy może podziwiać jej piękną karnację. Mimo przejmującego chłodu Amarii zapłonęły policzki.

Obserwowała wydychane powietrze, które, zwijając się w kształt smoka, pożerało płatki śniegu. Zachodziło słońce, robiło się późno jak na wędrowkę po mieście, miała tylko

nabrać wody przy źródle, gdyż w tym celu wzięła z sobą wiadro. Pilno jej było do domu, do Nonny i... do niego.

Było tak zimno, że musiała rozkruszyć zamarznąłą tafłę wody przy fontannie. Migiem napełniła wiadro i odwróciła się, by w wyrosłym znienacka przed nią lśniącym napierśniku zobaczyć własne odbicie. Zniekształcone, rozcięte na pół wzdłuż linii lutowania pancerza. Podniosła wzrok. Drogę zagradzał jej szwajcarski żołnierz.

Rozpoznała go po wyglądzie, całe miasto dobrze znało błyszczące zbroje, dziwną, „kaszlącą” mowę, butę i bezczelność tych żołdaków, uważanych za najlepszych najemników na świecie. Ci mężczyźni ze Szwajcarii z twarzami w bliznach, naznaczonymi trudami wojaczki, nie grzeszyli urodą i wyglądali staro mimo młodego wieku. Byli utrapieniem dla mieszkańców Pawii i wiele skarg wpływało na nich do komuny miejskiej. Oskarżano ich o molestowanie kobiet i wszczynanie bójek z mężczyznami. Wszystko z powodu frustracji, normalnej u żołnierzy ćwiczonych do boju i czasowo pozbawionych zajęcia, bo sami wywalczyli chwilowy pokój. Treścią ich życia była walka. Nienawidzili bezczynności i tam gdzie stacjonowali, szukali okazji do bijatyk, póki nie wysłano ich na kolejny front. Uważali się za zbawców Pawii z powodu zasług w ostatniej bitwie, teraz nudzili się tutaj i rozrabiali. Już wcześniej niejeden zaczepiał Amarię, nie rozumiała, co do niej wykrzykiwali, lecz mogła się domyślać. Odgrywali zawsze tę samą pantomimę, demonstrując wulgarnymi gestami podziw dla jej ponętnych kształtów. Przedtem chodziła po mieście w towarzystwie Silvany... odstawiła ją z powodu Selvaggia, a jego nie wzięła dzisiaj z sobą. Dlaczego? Ponieważ chciała podziękować swojemu świętemu za Selvaggia, a tego nie mogła zrobić w jego obecności. Tak więc przyszła do miasta sama. A Szwajcarów było tym razem trzech.

Rozejrzała się niespokojnie. Nieco dalej, na brukowanym rynku dostrzegła zaledwie kilka osób; i nic dziwnego, zrobiło się przecież mroźno i zapadał zmierzch. Żołnierze ją otoczyli, gadali coś do siebie, rechotali i zaczęli ją poszturchiwać. Wytrącili jej z ręki wiadro, poczuła lodowate zimno w oblanych wodą nogach. Zanim zrozumiała, co się dzieje, leżała brzuchem do ziemi i widziała płatki śniegu znikające w kałuży wody. Kątem oka spostrzegła, że znikają również ci nieliczni obywatele, którzy jeszcze plątali się po rynku. Było jasne, że nie mają zamiaru przeszkadzać żołnierzom, czyniącym zamach na cnotę jakiejś nieszczęsnej dziewczyny. Nie warto było nadstawiać głowy w jej obronie. Czyjeś ręce trzymały ją za kark, zaczęła się szamotać i wołać o pomoc, na jaką nie miała co liczyć. Policzek niemal przymarzył jej do lodowatego bruku, w ustach poczuła smak krwi. Usłyszała szcęk miecza wyciąganego z pochwy. Czyżby chcieli jej uciąć głowę? Nie, było jeszcze gorzej, bo miecz upadł na ziemię i za sekundę rozpoznała odgłos rozpinanego pasa. Jeden z nich szykował się do gwałtu, dwaj inni trzymali ją za ręce. Była bezsilna. Gapiała się na miecz, którego ostrze pokrywało się bielą śniegu. Żołnierz już gmerał w jej spódnicach. Bliska szaleństwa z przerażenia, zobaczyła nagle dobrze znany but z surowej skóry wsuwający się pod miecz i ten wprost frunął w górę. Nie czując ręki prześladowcy na karku, podniosła głowę i tak jak tamci trzej śledziła w zdumieniu lśniące ostrze unoszące się ze świstem wysoko w śnieżne niebo, ponad wieżę kościoła San Pietro, by spaść z taką precyzją, że rękojeść miecza wpadła wprost w dłoń Selvaggia. Ponieważ Amaria leżała na ziemi, wydawał jej się wyższy, a z wysuniętą gniewnie szczęką i ogniem w oczach przypominał bardziej anioła zemsty niż jej drogiego Selvaggia.

Szybkim ciosem miecza rozplątał szyję jednego z prześladowców - trysnęła krew, a potem parowała na zimnych kamieniach. Znów błysnęła stal, gdy Selvaggio mocnym pchnięciem przeszył wnętrzności drugiego żołnierza, nieomylnie znajdując nieosłonięte miejsce między napierśnikiem i baldrykiem. Wyciągnął ostrze z jego ciała i obracając się na pięcie, pchnięciem spod ramienia bezbłędnie dosięgnął trzeciego napastnika, nawet go nie widząc. To wszystko trwało nie dłużej niż mgnienie oka, w absolutnej ciszy. Wszyscy trzej leżeli teraz martwi naokoło Amarii. Czerwone różyczki ciemiernika powypadały z jej fryzury i ułożyły się w skromny cmentarny wianuszek. Sypiący gęsto śnieg nie wszystko pokrył bielą i chłodem, zostawiając czerwone smugi parującej świeżej krwi. Amaria ogarnęła wzrokiem scenerię po jatce, potem samego Selvaggia, który stał bez ruchu z mieczem w ręku, a trzymał go tak nieporadnie, jakby nigdy się nim nie posługiwał.

Chociaż podniosła się z ziemi, przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu i obydwójce milczeli, patrząc tylko na siebie. Jej pierwsze słowa wcale nie były podziękowaniem.

- A więc byłeś żołnierzem - rzekła, wskazując na miecz. Spojrzał na rękojeść broni, jakby te słowa go poraziły.

- Co było kiedyś, nie mogę powiedzieć - odparł, zacinając się jak zwykle. - Lecz od dzisiaj jestem żołnierzem. - Popatrzył na nią dziwnie, tak samo jak kiedyś na podwórku, kiedy się mył. Ogarnęła ją słabość i nie wiedziała, czy sprawia to widok trzech trupów, czy może oczy mściciela. Straciła przytomność, nie wiedząc, że silne ramiona Selvaggia podtrzymały ją, zanim upadła na ziemię.

\* \* \*

Trzymając dziewczynę w ramionach, stojącą w dniu imienin jak nigdy dotąd, Selvaggio przechylił głowę i wznosił

oczy ku niebu. Nie wiedział, dlaczego otwiera szeroko usta i chciwie łapie na język chłodne płatki śniegu. Serce przepełniała mu wielka radość, gdy pod rozgwieżdżonym niebem niósł Amarię do domu.

## ROZDZIAŁ 16

### Oddech aniołów

- Są cudowne.

Wielebny Anselmo był pod niezwykłym wrażeniem malowniczych fresków. Kręcił się po kościele z zadartą głową i cmokał z podziwu. W transepcie scena zaślubin Dziewicy Maryi. Ona i Józef w szatach barwy nasyconego błękitu jak wody jeziora w słońcu. Święty Józef wkłada obrączkę na palec prawej ręki oblubienicy, ona patrzy w oczy poślubianego męża. Anselmo rozpoznał osobliwą rękę Simonetty di Saronno, również jej twarz ukazaną z profilu, i zastanawiał się, ile wycierpiała zmuszona do pozowania do tej sceny w kościele, w którym sama poślubiła swojego księcia, teraz martwego. Zadziwiające, że święty Józef, skromny cieśla, ma coś z wyglądu szlachetnie urodzonego signora di Saronno, pomyślał. Naprzeciwko tego fresku kolejne arcydzieło: scena dysputy z doktorami w świątyni, tyle że na tym fresku Luini z wrodzonym sobie tupetem sportretował siebie, przedstawiając Jezusa jako dorosłego. Rozłożone w gestykulacji ręce i rozgorączkowana twarz to Bernardino jak żywy, więc aż nieswojo poczuł się ksiądz, stojąc w dole z bliźniakiem Chrystusa. Na tym fresku jest także Simonetta jako kobieta starsza, bo już matka, a dzięki zmyślnej sztuczce z perspektywą jest większa niż postać syna. Żywy błękit szaty, jedna ręka wyciągnięta do niego, druga spoczywa na sercu. Anselmo poczuł nagły niepokój. Luini nigdy nie czynił mu zwierzeń na temat swojej rodziny, ale bystry umysł księdza, zainspirowany freskiem, odpowiedział mu wszystko. Odgadł, że Simonetta znaczy dla Bernardina bardzo wiele. Nie jest obiektem przelotnego, łatwego do zaspokojenia pożądanego, lecz przedmiotem prawdziwej i głębokiej miłości, osobą, w której chce widzieć jednocześnie i matkę, i kochankę, i żonę. Namalował jej portret z natury, bez zdobień i sztuczek, bez



uświęconych tradycją atrybutów Dziewicy. Simonetta nie trzyma w ręku złotej lilii ani rozkwitłej róży. W tle nie ma ukwieconej gałązki migdałowca, która by symbolizowała czystość Maryi, a z uwagi na modelkę miała jeszcze dodatkowe znaczenie. Luini znał, oczywiście, całą tę symbolikę, lecz z niej zrezygnował na rzecz ziemskiego wizerunku Niepokalanej. Księdzu przypominał się w tym momencie patron Bernardina, święty Bernard z Clairvaux, wielki czciciel Dziewicy, którą darzył żarliwą miłością. Zamyślony, skonsternowany Anselmo przeszedł, wraz z Luinim idącym za nim krok w krok, do prezbiterium Cappella Maggiore. Tutaj scena ofiarowania Dzieciątka Jezus w świątyni i znowu Simonetta: spowita w nieodłączny błękit składa w modlitwie swoje wąskie, białe ręce, z macierzyńską troską prosząc o błogosławieństwo dla synka. I jeszcze jedno cudowne zaskoczenie dla księdza: w tle tej sceny jego własny kościół Santa Maria dei Miracoli, przeniesiony z Saronno na betlejemskie wzgórza. Znajoma, biała i elegancka sylwetka wśród obcych pól. I wreszcie naprzeciwko najpiękniejszy i najdoskonalszy fresk ze wszystkich, przedstawiający adorację magów. Simonetta, w tej samej niezrównanej niebieskości, trzyma na kolanach Dzieciątka, gwiazdę poranną, której blask wskazywał drogę trzem królom. Wszystko jest przemyślane co do najdrobniejszego szczegółu. Dzięki efektowi przestrzennemu wydaje się, że stajenka występuje ze ścian; mienią się naszywane wielobarwnymi klejnotami stroje królów i świty, lśni hebanowa czerń ich skóry. Wielbłądy i rumaki na dalszym planie dumnie wyciągają szyje. Tyle cudeniek na tym fresku, a jednak dominuje na nim tchnąca pogodą postać w błękitnej szacie.

Bernardino stał obok niego bez ruchu i bez słowa, z przechyloną głową, podpierając kciukiem podbródek. Anselmo rzekł do przyjaciela:

- Nawet ja, który widziałem każdy etap powstawania tego dzieła, czuję się świadkiem cudu.

- Hm - usłyszał w odpowiedzi.

Ksiądz przekreślił głowę w jego stronę. Zdziwiło go nietypowe milczenie Bernardina, bo zwykle wyśpiewywał pochwały pod własnym adresem.

- Bernardino, czy aby dobrze się czujesz?

Bernardino sam nie był tego pewien. Miał wrażenie, że dopadła go jakaś choroba. Gdyby wierzył w medycynę, szukałby pomocy u aptekarza. Dotychczas był zdrowy jak koń, odporny na wszelkie schorzenia, medyków miał w pogardzie i nie zaufałby ich kuracjom, tak jak nie wierzył w moc modlitwy, mimo że za nią stała wyższa potęga. Ale rzeczywiście nie czuł się normalnie. Wino i jedzenie straciły smak. Igraszki z kobietami tym bardziej. A przecież, na Boga, niemało było ślicznych dziewcząt w Saronno i niejedna wodziła za nim wzrokiem, gdy podczas mszy chodził tam i z powrotem na uboczu, z niecierpliwością wyczekując końca nabożeństwa, żeby znowu dorwać się do pędzla. Każda mogłaby być jego; wiedział, że talent artysty przydawał mu atrakcyjności w ich oczach, chociaż wystarczała sama uroda. Jednak nie skosztował żadnej, nie miał kobiety od przybycia do Saronno. Nie chciał się zwierzać księdzu, ale coś musiał mu odpowiedzieć.

- Czuję się dobrze, dziękuję za troskę. Czy inaczej mógłbym stworzyć takie dzieła?

Nie jest tak źle, pomyślał Anselmo. Odetchnął z ulgą i poczuł się zachęcony do zadania pytania, które od dłuższej chwili go nurtowało. Gdy podziwiał fresk, odniósł bowiem niejasne wrażenie, że czegoś tam brakuje.

- Czy to skończone dzieło? - zapytał.

- Tak, wielebny Anselmo. Wpadłem na pomysł, żeby zostawić Dziewicę bez twarzy. Może dla wielu to zbyt

nowatorska sztuczka, ale jestem gotów bronić jako artysta swego punktu widzenia.

Słyszając ironiczny komentarz Bernardina, Anselmo nabrał pewności, że przyjaciel wrócił do siebie. Podszedł więc jeszcze bliżej do fresku i przyjrzał mu się uważniej. No tak, biały owal tam, gdzie powinna być twarz Maryi. Nie rozumiał, jak mógł nie zauważyć tego wcześniej, mimo że to postać Dziewicy przyciągała uwagę kosztem innych. Błękit szaty, lekkość fałd tkaniny i światłość promieniująca od Matki Bożej nakłaniały, by szukać jej twarzy, a tej nie było. Zamiast świętego oblicza dziwna, niestosowna pustka, jakby Maryja nałożyła maskę, jak Wenecjanie podczas karnawału, tylko że ta tutaj nie miała otworów na nos i usta. To było zaiste intrygujące.

Bernardino przestępował z nogi na nogę i, co jeszcze bardziej osobliwe, miał minę winowajcy.

- Dzisiaj skończę. Jeszcze tylko jedna sesja z grande signora, panią na Castello, i fresk będzie gotowy.

- Ona dzisiaj przychodzi? - Anselmo zdumiał się i nie potrafił tego ukryć.

- Tak. - Oczy Bernardina zwięzły się z ciekawości w szparki. - Dlaczego pytasz, ojcze? Dzisiaj jest... chwileczkę... dwudziesty czwarty lutego? Czy to jakieś mało znane chrześcijańskie święto, o którym nie wiem? Po raz pierwszy Jezusek zrobił kupkę?

Anselmo przybrał naprawdę srogą minę na tak dalece niestosowną drwinę, ale odpowiedział na pytanie.

- Nie, nie. Nic takiego. Ale to bardzo dobrze, że twoja praca jest na ukończeniu, ponieważ przed nami ważne wydarzenie. Jutro sam kardynał zatrzyma się tutaj w drodze do Pawii i odprawi mszę świętą. Pragnie obejrzeć pracę, którą zamówił. To wielki dla nas zaszczyt.

- Kardynał mediolański? Jutro?

- Tak. Mam tutaj pismo, które właśnie wręczył mi jego wysłannik. - Machnął zwiniętym rulonem. - Znasz Jego Eminencję?

- Tylko z plotek. Anselmo pokiwał głową.

- Opowiadają, że jest człowiekiem... wielkiej surowości. Nie myślę jednak, że jest bezwzględny czy okrutny, jak się o nim mówi. Dużo wymaga od siebie samego jako sługi bożego i stąd jego surowość dla innych. Pobożność objawia się w bardzo różny sposób.

Bernardino się zaśmiał i ożywił.

- Jeżeli pobożność kardynała podpowie mu, że powinien mi dać kolejne zlecenie, nie będę go rozliczał z innych form, jakie ona przybiera. - Zatarł zziębnięte ręce. Przyszło mu nagle do głowy, że ratunku dla siebie powinien szukać poza Saronno, i ogarnęła go niecierpliwość, żeby skończyć pracę i wyjechać. Miał wrażenie, że jego złe samopoczucie wiąże się jakoś z Simonettą di Saronno. Może rzuciła na niego urok albo klątwę... - Więc wszystko jasne - rzekł. - Będę ją malował jeszcze przez jeden dzień.

I wszystko będzie skończone. - Ale nie fresk miał na myśli.

\* \* \*

Prawdziwy problem polegał na czymś innym. Rzeczywiście ostatnio pracował marudnie, ociągając się z ukończeniem postaci Simonetty. Po raz pierwszy nawiedziły go wątpliwości, czy dorósł do zadania, jakie przed nim stoi. Nie był pewien, czy potrafi przedstawić jej twarz w ujęciu en face. Na innych freskach malował Dziewicę z profilu, oczy miała odwrócone od patrzącego. Nie spróbował jeszcze przetransponować na ścianę pełnej urody Simonetty, głębi jej oczu, gdy spozierały na wprost. Nie przeszkadzało mu jej nienawistne spojrzenie. Stracił pewność siebie, ponieważ od niedawna była dla niego miłsza i zakiełkowało w nim

poczucie zagrożenia. Usilnie starał się pozostać nieczuły na jej wdzięki i nawet stał się bardziej kąśliwy, ale odnosił wrażenie, że Simonetta nie traktuje poważnie jego pozerstwa i jej wielkie oczy przenikają jego duszę. Wciąż walczyli z sobą, ale teraz on był bardziej agresywny, ona złagodniała. Od czasu, kiedy opowiedział jej o swoim dzieciństwie - przekłeta chwila słabości! - niejedną raz w jej oczach widział cień sympatii. Parę razy się zaśmiała, przekomarzając się z nim, i ten perlisy śmiech mocno go poruszył. W takich razach zstępowała z nieba na ziemię i wtedy oblewał go żar i krew zaczynała pulsować mu w żyłach do wtóru tym dźwiękom. Dzisiaj będzie jeszcze twardszy. Nie zdradzi żadnych oznak słabości, choćby próbowała go czarować.

\* \* \*

Nie odwrócił się, gdy wchodziła. Wiedział, że to ona, bo muzykę jej kroków słyszał w snach. Mimo dreszczu, jaki go przeszył, nie podniósł wzroku, tylko rzucił w jej stronę niebieską pelerynę.

- Przebierz się, aby szparko - warknął. - Mamy dzisiaj dużo pracy, bo jutro z Mediolanu przyjeżdża z wizytą kardynał i trzeba namalować twoją twarz, signora.

Nie poruszyła się, więc na koniec na nią spojrział. Twarz miała bladą, podkrążone oczy. Oczy sarny, nie jastrzębia. Coś się zmieniło. Nie kryła bezbronności. Triumfował.

- Dlaczego stoisz jak słup, signora? Nie mogę mitrzyć z robotą.

- Signor Luini - odezwała się prosząco. W ten sposób jeszcze się do niego nie zwracała, rzeczywiście była inna. - Nie mogę dzisiaj pozować.

- Dlaczego nie?

- Jestem... niedysponowana.

- Niedysponowana!? Co mam przez to rozumieć? Nie obchodzą mnie babskie krwawienia ani to, że masz mdłości,

bo jakiś młokos zrobił ci dziecko, signora. Tutaj dzieją się naprawdę ważne sprawy. Zajmuję się Sztuką. Proszę, szykuj się do pozwania.

Jego brutalność niemal odebrała jej dech. Nie odgryzła się, jak miała w zwyczaju. Zaskoczony był nowym wydaniem Simonetty i nie wiedział, na czym stoi. Żywił dotąd przekonanie, że ją dobrze poznał, tymczasem pokazywała mu nowe oblicze. Poczł się zagubiony, sfrustrowany, co spowodowało, że atakował ją dalej.

- No więc?! - wrzasnął.

- Nie ma mowy o żadnej z tych rzeczy, jakie wspomniałeś. Po prostu... dziś upływa rok od dnia, kiedy straciłam męża.

Bernardino zacisnął pięści, żeby stłumić narastającą falę współczucia. Jeżeli pozwoli sobie na chwilę słabości i tkliwość, chyba utonie wraz z nią w morzu smutku. Było mu przykro i wstyd, że ją zranił. Kąsał, ale nie chciał sprawiać bólu. Odwrócił się tyłem, wziął do ręki pędzle. Nie przeprosił, nie powinna wiedzieć, że jest przerażony własnym okrucieństwem. Jeżeli poprosi o wybaczenie, będzie zgubiony. Targały nim zbyt silne emocje.

- Usiądź, proszę - nakazał surowo. Potulnie usiadła, jakby dała się pokonać raz na zawsze.

Simonetta po upływie roku przeżywała głębszy smutek niż poprzednio. Kiedy Lorenzo umierał pod Pawią, ona w Castello żyła jeszcze nadzieją. Przez całą zimę nie miała pewności, że jest martwy, i wyczekiwała go z wiosną. Ale wtedy pojawił się Gregorio di Puglia z wieścią, że Lorenzo zginął w lutym i śnieg pokrył jego ciało. Nie mogła pojąć, jak to możliwe - on jest martwy, a ona żyje. Pamiętała, co robiła w dzień jego śmierci. Tańczyła i piła. Gdy wychylała do dna puchar szlachetnego hippocrasa, najdroższego z likierów, gorąca krew Lorenza wypływała z niego na zamarzniętą

lombardzką ziemię. Świadomość tego wprawiała ją w irracjonalne poczucie winy. Jak mogła się dobrze bawić i nie wiedzieć, że on w tym czasie umiera? Mąż i żona stanowią jedno ciało, zjednoczeni świętym sakramentem. Dobra żona, pobożna, powinna wyczuć ten moment, w którym mąż wydaje ostatnie tchnienie. Ona się śmiała. Dlatego wciąż czuła się winna. Widocznie była złą żoną. Nieprawda - tu pamięć nie prowadziła jej na manowce.

Nigdy nie przestała być mu wierna, nie miała na sumieniu żadnych grzeszków. Może istnieje miłość bardziej namiętna, ale kochała go głęboko. Wszystko robili razem, byli jednomyślni w każdej sprawie. Była żoną posłuszną, oddaną, cnotliwą. A jednak przytłaczała ją poczucie winy i nie tylko z tego powodu, że zawiodła ją intuicja w momencie jego śmierci. Nie zaznała spokoju sumienia od dnia, kiedy zobaczyła twarz i tors Bernardina Luiniego, i wbrew sobie musiała przyznać, że tak pięknego mężczyzny dotąd nie widziała, ustępował mu nawet Lorenzo. Szatańskie pokusy odpędzała, idealizując wizerunek Lorenza. Utrwalała w pamięci jego dobroć, powściągliwość, szlachetność. Tęskniła do niego w każdym momencie. W ciągu tego roku przeżyła okres gwałtownej rozpacz, potem kilka miesięcy pustki w sercu, wreszcie gdy przyszło zagrożenie ubóstwem, wstąpił w nią gniew, zaciętość i determinacja. Problemy finansowe spowodowały, że poznała dwóch mężczyzn, z których jeden, Manodorata, został jej przyjacielem, a drugi, Bernardino, wrogiem. Obydwaj podtrzymywali w niej wolę życia. Manodorata dał jej nadzieję, Bernardino pobudzał do walki. Rozumiała, że w jednakowej mierze zasługują na wdzięczność. Miała za sobą jeden rok bez Lorenza, zaczynał się następny, a potem miał przyjść kolejny bez niego i tak aż do końca jej życia. Pustynna przyszłość do sądnego dnia? Ogarnięta apatią nawet nie potrafiła złościć się na Bernardina.

Pozowała mu posłusznie, siedząc na stopniach prezbiterium w niebieskiej pelerynie, ale łzy cisnęły jej się do oczu i wreszcie wytrysnęły. Bernardino zauważył je natychmiast, gdyż nie odrywał wzroku od jej twarzy. Tego się właśnie bał. Łez Simonetty, którym nie potrafiłby się oprzeć. Skrzyły się jak diamenciki w jej oczach i toczyły gęsto po policzkach. Te oczy i te łzy wywołały burzę chaotycznych wspomnień i emocji. Błękit nieba nad ukochanym jeziorem dzieciństwa, tafla Maggiore i niebo, niebo i woda zlewające się w jedno. Anioły głęboko wciągają i wydychają powietrze, woda wzbiera i cofa się w przyptywach i odpływach, których nie ma. Ojciec na pożegnanie dotyka jego ramienia. Ukochana matka, jedyna kobieta, przy której czuł się szczęśliwy. Jak w transie podszedł do Simonetty. Znajdował się na brzegu wzbierającego jeziora, zalewały go potoki jej łez. Ukląkł, błagając o ratunek. Wziął ją w objęcia i pocałował mocno w usta, czując, że oplatają go jej ramiona i rozchylają się ciepłe wargi. Poczł smak łez, słony, nie słodki - to było lekarstwo, jakiego potrzebował. I natychmiast wiedział, co mu dolegało. Znalazł świętego Graala, którego szukał. Kochał Simonettę di Saronno i jednocześnie w tym momencie niepojętego szczęścia dowiedział się, że ona również go kocha.



## ROZDZIAŁ 17

Gregorio zmienia życie Simonetty po raz drugi

Gregorio di Puglia znowu pił na umór. Od kiedy zima zaczęła kasać mrozem, unikał roboty poza domem i większość dnia spędzał w pomieszczeniach kuchennych Villi Castello, przypatrując się krzątaniu Raffaelli. Kuchnia była jedynym ciepłym miejscem w ogromnym domu, ponieważ podtrzymywano tu palenisko przez cały dzień. Wielki ceglany piec, w którym niegdyś godzinami buzował ogień, gdy przygotowywano wystawne uczy, stał zapomniany z brzuchem czarnym i pustym. Zagnieździły się w nim kanie i żurawie, ozdabiając poczerniałe cegły białymi odchodami.

Siedział więc Gregorio na ławie, a Raffaella sypała mąkę na stół, bo miała zagniatać ciasto na chleb. Wyglądało to, jakby prószył śnieg, a tego Gregorio nie chciał sobie przypominać. Tak więc znowu pociągnął łyk z kubka. Niewiele było jadła w Villi, ale o grappę dla siebie Gregorio zadbał. Zacier z pestek winogron przerabiał w prymitywnym destylatorze własnej konstrukcji, trzymanym w piwnicy. Otrzymywał napój przezroczysty, biały, smrodliwy i palący w gardło, ale pomagający zabijać czas.

Rozpędzać nudę pomagała też Raffaella. Ta śliczna dziewczyna pocieszała go od roku. Dzisiaj jednakże nawet widok jej podrygujących przy ugniataniu ciasta piersi nie rozpraszał jego smutku. Świadomy był dlaczego. Dokładnie rok temu walczyli wraz z panem ramię przy ramieniu, jego pan zginął, a on żyje.

Nie mógł wiedzieć Gregorio, bo nie znał aż tak dobrze swojej pani, że przeżywa takie same rozterki jak Simonetta. Od roku zmagał się z poczuciem winy i gnębiły go wątpliwości, czy aby do ostatka dochował wierności swemu panu. Czy naprawdę nie mógł uratować tego, którego kochał jak brata? Czyż nie było jego obowiązkiem nie odstępować go

ani na krok, zablokować mieczem pchnięcie, które go raniło? Czy nie powinien zasłonić go własnym ciałem, żeby nie powalił go grad ołowiu? Kiedy tego wypił, uważał, że zrobił dla Lorenza wszystko, co było w jego mocy, i z melancholią winił arkebuzy za jego śmierć. Z nastaniem dnia wszakże, gdy już od szarego świtu głowa pękała mu z bólu, zaczynało go gryźć sumienie. Wiedział, że zgodnie z kodeksem rycerskim dobry giermek powinien oddać życie, zanim jego pan wyzionie ducha. Razem brali udział w wielu bitwach, dowcipkowali w drodze, gdy łeb w łeb szły pod nimi konie. Jedli z tej samej misy i sypiali w polu pod jednym przykryciem, żeby im było cieplej. Lorenzo nie przybierał póz wielkiego pana - byli w tym samym wieku i razem dorastali jak rodzeni bracia. Ojciec Gregoria towarzyszył ojcu Lorenza jako giermek, więc Gregorio znał Lorenza o wiele dłużej niż jego młodziutka żona. Lorenzo nie podkreślał różnic między sobą a giermkiem, przeciwnie: uczył go czytać i pisać, jak uczono jego samego. Natomiast signorę cechowała arystokratyczna wyniosłość. Kiedy Lorenzo się ożenił i wprowadził Simonettę do Castello, Gregorio poszedł w odstawkę. Kodeks rycerski mówi wprawdzie, że więź między giermkiem i panem nigdy się nie zrywa, lecz zakochany w gibkiej jak trzcina, pięknej małżonce Lorenzo przestał się bratać z wiernym sługą, przedkładając słodcze małżeńskiej miłości nad rycerskie ideały. Ale powróciło partnerstwo, gdy znowu wyruszyli na wojnę i znaleźli się razem na bitewnym szlaku, przemierzając Lombardię i zapuszczając się poza jej granice w imię sprawy, jakiegokolwiek sprawy, zamiłowanie Lorenza do wojaczki rozgorzało bowiem wraz ze wzrostem zamożności dzięki wniesionemu przez żonę wianu. Tak więc wkrótce pan i giermek byli nierozłączni jak przedtem.

Simonettę Gregorio widywał raczej rzadko i z daleka. Wydawała mu się nieśmiała i chłodna. Dopiero po śmierci

Lorenza odkrył w niej ciepło, jednakowo dzielili ból i gniew. Począł ją szanować i polubił. I jej, i jemu zabrakło tego samego obiektu miłości i to ich do siebie zbliżyło. Raffaella, której uczucie do signory rozkwitło, gdy z domu odeszli mężczyźni, też przyczyniała się do zmiany wizerunku Simonetty w oczach Gregoria. Przekonał się, że w nowej sytuacji Simonetta okazała się dzielna i odważna, więc chociaż trudno mu było zaakceptować sprzymierzenie się z Żydem, rozumiał, że z tą znajomością wiąże się plan uratowania Castello i honoru rodzowego nazwiska - nazwiska Lorenza. Dzisiaj już dobrze myślał o pani na Castello i nie wątpił, że wciąż opłakuje stratę męża.

Rozrzewnił się i żeby wyrzucić z pamięci śnieg i krew, sięgnął do piersi Raffaelli z nadzieją na rozkoszną chwilę zapomnienia, jaką zawsze potrafiła mu zapewnić. Ukochana, dzieląc właśnie ciasto, odtrąciła natarczywą rękę, zostawiając na niej śnieżną plamę.

- Daj mi spokój. Muszę się pospieszyć, bo inaczej nie będzie chleba na dzisiejszą noc.

Simonetta zaplanowała całonocne czuwanie. Mieli usiąść we troje przy świecach i modlić się za duszę Lorenza. Chleb, wypieczony w kształcie krzyża, był niezbędny jako symbol śmierci i zmartwychwstania. Gregorio gderał pod nosem. Miał ochotę na łóżkowe igraszki, na rozgrzanie kości i serca.

- Gdzież ona się wałęsa w taki dzień?

- Gdzie? - Raffaella przeciągnęła ręką po brwiach, by odgarnąć włosy z oczu, ale jeden kosmyk pozostał, przecinając czoło na pół. Przykre wspomnienie znowu boleśnie ukłuło Gregoria, gdyż tak samo biegło cięcie przez czoło Lorenza, zniekształcając szlachetną linię jego brwi. - A jak myślisz, dokąd mogła pójść? Do kościoła, darmożjadzie, modlić się za naszego pana. Pewnie powinieneś zrobić to samo. - Raffaella nie miała dzisiaj czasu dla Gregoria.

Wystawiał na próbę jej cierpliwość miną winowajcy, miała go dość. Kochała go, ale wołała, żeby przestał plątać jej się pod nogami.

Gregorio wstał, chwiejąc się na nogach.

- Już dobrze, dobrze. Pójdę tam i pomodłę się za najlepszego człowieka, jakiego znałem.

Raffaelli zrobiło się go żal. Wiedziała, że bardzo kochał swojego pana.

- Więc rusz się - rzekła, ale już łagodniejszym tonem. - I przyprowadź panią, ciemno i zimno na dworze, niech wróci bezpiecznie.

Gregorio szedł aleją między migdałowcami. Rok temu w kierunku Villi Castello, teraz się od niej oddalał. Wtedy wiedział, że zmieni życie Simonetty na zawsze. Teraz nie mógł wiedzieć, że znowu wpłynie na jej losy. Szedł pomodlić się za duszę ukochanego pana do tego samego kościoła, w którym był świadkiem jego ślubu. I zobaczył signorę di Saronno, ale nie jak rok temu płaczącą w oknie, lecz na stopniach prezbiterium w namiętym uścisku z innym mężczyzną. W kościele, w którym brała ślub.

## ROZDZIAŁ 18

### Ulubione dzieło malarskie kardynała Mediolanu

Gabriel Solis de Gonzales, biskup Toledo, samozwańczy kardynał Mediolanu, był miłośnikiem sztuki. Jej poświęcał czas w chwilach wolnych od wypełniania okrutnych nakazów powołania. Cenił kompozycje Fernanda Gallegi, dzieła pędzla Luisa Dalmau i zachwycające mistrzowskim opanowaniem perspektywy obrazy Pedra Berrugete. Wszystkie je mógł podziwiać w miastach swojej ojczyzny. Po przybyciu do Italii szczególne upodobanie żywił do malarstwa Paola Uccella. Tenże zachował się niewdzięcznie i zmarł, zanim kardynał zdążył złożyć u niego zamówienie na wielkie dzieło sakralne. W tej sytuacji wybór padł na Bernardina Luiniego. Luini, zdaniem kardynała, był nawet większym mistrzem pędzla niż Uccello, tyle że nie dorównywał mu stanem oświecenia umysłu w zakresie tematyki biblijnej. Jednak bez wątpienia przewyższał go pod względem stylu. Kardynał znalazł sobie rozrywkę, z zadufaniem znawcy tropiąc wpływy, jakim ulegał Luini: gra światłem naśladowująca księżycowe tonacje Bergognonego skonstrastowana wdzięcznie z klarownym realizmem Foppy, no i może do tego klasyczna surowość i wyrazistość Bramantina? Tak, Luini z pewnością był autorem dzieł, które robiły wrażenie, zwłaszcza te w opactwie w Chiaravalle, gdzie na jego talent kardynał po raz pierwszy zwrócił uwagę. Bez wątpienia trafił na właściwego artystę i może go wprzęgnąć do przedsięwzięcia, jakie zaplanował. To nie było drobne zadanie - należało przywrócić wiarę w regionie, który chorował na accidia, i temu lenistwu duchowemu należało się przeciwstawić.

Po tym jak nakazano wszystkim Żydom, którzy nie chcieli przyjąć chrześcijaństwa, opuścić Hiszpanię, osiedlili się w sposób naturalny w nowej hiszpańskiej prowincji, Mediolanie. Ta ich druga inwazja wielce niepokoiła kardynała i dlatego

uważał, że imponujące freski o tematyce religijnej w siedlisku zła są ważne i pobudzą gnuśnych w wierze Lombardczyków do pobożności. Lombardia była prawdziwym tygłem, co się nie zmieniało od 1230 roku, kiedy to udzieliła schronienia katarom. Powszechnie uważano ją za bastion wszelkich herezji. Po paru wiekach kryzys wiary pogłębiły wojny - w obliczu ludzkich tragedii ignoranci zawsze kwestionują istnienie Boga - ale największą troską kardynała był ów napływ niepożądanego elementu żydowskiego. Złe wiatry przywiały ich tutaj z Hiszpanii w ślad za armią. Kardynał zakrył usta upierścienioną dłonią, jakby chciał uchronić się przed trującymi wyziewami. Żydzi przyszli tutaj jak morowa zaraza, przybywali na statkach jak plaga. A Kościół ich nie powstrzymywał. Prawo kanoniczne zezwalało im na osiedlanie się na włoskiej ziemi, pod warunkiem że będą pożyczycie pieniądze chrześcijanom. Kardynał nie wiedział, czy Luini jest człowiekiem pobożnym, lecz waga sprawy czyniła tę rzecz nieważną. Chodziło o to, żeby stworzył wielkie dzieło, zachęcające do pobożności. Skądinąd wiadomo mu było, że sławny Leonardo, mistrz Luiniego, ma na dworze Sforzów reputację wizjonera z jednej strony, a szaleńca z drugiej. W drodze na uroczyste nabożeństwo, które miał celebrować z okazji inauguracji fresków w kościele Santa Maria dei Miracoli w Saronno, myśli kardynała powędrowały do Urbino, gdzie dawno temu wspinał się na wzgórze, by stanąć przed wielkimi drzwiami tamtejszego kościoła, a potem zanurzyć się w kadzidlany mrok świątyni. W wonnym ciepłe wnętrza szedł nawą do ołtarza, przed którym przyklęknął. A nad ołtarzem ujrzał cud nad cudami, Legendę o sprofanowanej hostii, przedstawioną przez Uccella na siedmiu tablicach. Te malowidła podziwiał niezmiennie do dzisiaj, ale jedno sobie szczególnie upodobał. Przywiązani do pala Żydzi, podpalani żywcem za zbezczeszczenie hostii, tworzą scenę tak

realistyczną w szczegółach, że niemal czuje się żar płomieni i swąd palących się ciał niewiernych. Na młodym obcokrajowcu, który po awansowaniu go na stanowisko w Watykanie natychmiast udał się do Urbino, żeby obejrzeć to nowo powstałe dzieło, wywarło ono tak ogromne wrażenie, że zatopił się wtedy w religijnej ekstazie. Na tle niemal nagiego, jakby wypalonego krajobrazu, pod czarnym niebem i drzewem z gwiazdami, Żyd w czerwonej czapce i czerwonej tunice, w niebieskich rajtuzach, patrzy w męce na płomienie liżące mu stopy. Dwoje złotowłosych dzieci, ledwie sięgających mu do pasa, ubranych na czarno, ogień już ogarnął. Dziesięciu mężczyzn, czterech na koniach, przygląda się stosowi jak widowisku. Młody Solis de Gonzales podniósł głowę i wyciągał szyję, żeby widzieć lepiej, bliżej. Odchyłał głowę, jakby spijał tę scenę, czując, że pije przemienioną krew, skalaną przez Żydów. Patrząc na inną tablicę cyklu, przedstawiającą drabinę przystawioną do czarnego drzewa i anioła unoszącego się nad okrutną sceną, zapragnął wejść po stopniach tej drabiny i przycisnąć twarz do barwnego płótna w orgiastycznym, sadystycznym - religijnym szale. Analizując potem własne przeżycie, jak to miał w zwyczaju, kardynał zastanawiał się, czy jego ekstatyczne uniesienie nie wiązało się ze wspomnieniami z ojczyznej ziemi. Pamiętał też, że w wyższej partii nastawy ołtarzowej, nad sceną z palącymi się Żydami, na dalszym planie obrazu przedstawiającego komunię apostołów przyciągnął jego wzrok widziany z profilu księżę Federigo da Montefeltro w otoczeniu świty. Kardynał żywił uznanie dla księcia, doceniając jego wyczucie proporcji w kwestii zagrożeń dla chrześcijaństwa na półwyspie. Niebezpieczeństwo z zewnątrz, ewentualna inwazja Turków otomańskich nie stanowiła dla księcia przedmiotu tak wielkiej troski, jaką byli wrogowie wewnętrzni, czyli Żydzi. Ale jego wizja miasta oczyszczonego z tych elementów wydawała się

kardynałowi utopią. Oczyszczenie przez ogień wyobrazone tylko w sztuce to mało, powinno się ono bowiem realizować w praktyce w każdej włoskiej stolicy i każdym włoskim mieście, tak jak było w jego ojczyźnie. To, co symboliczne, powinno stać się rzeczywistością, gdyż bluźnierczy akt sprofanowania hostii winien być pomszczony.

Tablice Uccella widział jako młody człowiek, ale nigdy ich nie zapomniał. Posrebrzyły się jego włosy i broda, osłabił wzrok, lecz ową predellę w tamtym kościele wciąż miał przed oczami. Jego akolici, młodszy od niego wiekiem, szanowali go, gdyż coraz bardziej przypominał wizerunek Boga, ale kardynał nie miał w sobie boskiej dobroci. Nienawiść do Żydów owładnęła nim całkowicie i czernią zamalowała jego serce. Nie był zwolennikiem Marcina Lutra - jego zdaniem ten człowiek wyrządził tyleż szkód, ile uczynił dobra przez tak zwane reformowanie Kościoła - ale w jednej sprawie Luter wypowiadał się bezwzględnie słusznie. W liście do przyjaciela kardynała, wielbego Spalatina z Genui, pisał:

Doszedłem do wniosku, że Żydzi zawsze będą przeklinać Boga i Go znieważać, i także Chrystusa Króla, jak przepowiadali wszyscy prorocy...

Kardynał nie mógł natomiast podzielić niezrozumiałych sentymentów, wyrażonych dalej w tym liście:

A przez to są skazani gniewem bożym na potępienie, jako że mogą okazać się niepoprawni, jak mówi Eklezjastes, a kto jest nie do naprawienia, staje się raczej gorszy niż lepszy przez poprawianie.

Kardynał Solis de Gonzales wierzył w poprawianie niepoprawnych i miał zamiar się tego podjąć.

Jak to zrobiono w Hiszpanii.

Takie to przyjemne refleksje towarzyszyły mu, gdy wkraczał w lektyce do Saronno, otoczony strażą w purpurowych liberiach. Nie mógł oczekiwać bezwzględności



we freskach, które miał tutaj zobaczyć, ale cieszyła go myśl, że jego wiara znajdzie w nich odzwierciedlenie. Przyczynił się do tego, że freski powstały, i czuł z tego powodu wielką satysfakcję, jakby sam je namalował. Z okna lektyki machał upierścienioną dłonią do obywateli miasta, którzy wyszli na ulice, żeby uczestniczyć w spektaklu, jaki zorganizował. Niektórzy nie wykazywali należytego entuzjazmu. Przyglądał się tłumowi z wyższością, litością i pogardą. Oczywiście nie mogli sobie odmówić oglądania procesji, bo w tych biednych i posepnych czasach takie barwne widowisko musiało przyciągać ludzi. Wiedział, że Żydów nie ma na ulicach, gdyż na jego żądanie wydano stosowny nakaz: wszyscy niewierni mieli pozostać w domu, gdy on i jego orszak zmierzali przez miasto do kościoła.

A jednak jeden Żyd był świadkiem jego wjazdu. Stał z tyłu za tłumem, milcząc, gdy inni wiwatowali, twarz skrywał pod kapturem. Jasnoszare oczy, w odcieniu zimnego morza, które kiedyś przebył, żeby się znaleźć w tym mieście, wpiły się w lektykę i siedzącego w niej kardynała. On znał kardynała, a kardynał jego. Gdyby Solis de Gonzales zadał sobie trud przyglądania się twarzom wyległych na jego powitanie ludzi, a nie rozmarzył się, wspominając swoje ulubione obrazy, być może dostrzegłby, że człowiek zakrywający się opończą odwraca się nagle i odchodzi, na pożegnanie błysnąwszy złotem, gdy wiatr rozwiął mu poły okrycia.

## ROZDZIAŁ 19

Dziewica bez twarzy

Simonette zawodziły zmysły.

Jak przez mgłę widziała przepych szat i blask klejnotów, gdy kardynał i jego orszak dostojnie kroczyli główną nawą. Słyszała śpiewną recytację tekstów mszalnych, ale nie rozróżniała słów. Nie czuła zapachu kadzidła ani smaku śnieżnobiałej hostii na języku. Nie podniosła wzroku, gdy poczuła przytknięty do ust kielich z krwią Chrystusa. A jednak nie została pozbawiona odczuwania w ogóle, o nie. Pewnych doznań jej nie oszczędzono. Gorące wargi Bernardina odcisnęły się na jej ustach nieusuwalną pieczęcią barwy czerwonego wina. Przeciągnęła po niej długimi palcami, żeby zetrzeć ślad po nim, usunąć piętno zdrady. Pochylała głowę ze wstydu.

Przyszła tutaj, żeby się modlić, bo popełniła wielki grzech. Jak mogła pozwolić mu na pocałunki na stopniach, na których przysięgała wierność Lorenzowi? Nie pocieszało jej to, że Bernardino z zaskoczenia przypadł do jej nóg i przywarł do ust. Nie zapomniała, że natychmiast rozchyliła wargi, żeby poczuć jego język, i oplotła ramionami jego szyję. Przytuliła się mocno i z wdzięcznością, napełniona szczęściem, o jakim już zapomniała. Więcej nawet, jeśli miałyby być całkiem uczciwa, szczęściem, jakiego dotąd nie zaznała. Wstrząśnięta tym, oderwała się wreszcie od niego. Uciekła, szlochając i przysięgając sobie, że nigdy nie wróci. Otarła się w drzwiach o kogoś, kto wchodził, ale nie rozpoznała twarzy, oślepią łzami zawstydzenia. Bernardino jej nie dogonił. Wskoczyła na konia i zmusiła go do galopu, nie bacząc na śliski trakt. Śnieg zacinał ją w twarz, nie chłodząc gorejących policzków.

Spędziła długą i bezsenną noc, tonąc we łzach i żalu, ale gdy szary świt rozjaśnił niebo, podjęła już decyzję. Wiedziała, że Bernardino będzie jej szukał, a jej nie starczy sił, żeby go

odtrącić. Postanowiła więc iść do kościoła, gdzie tłum zapewni jej bezpieczeństwo, i tam stawić mu czoło, powiedzieć, że nie mogą być razem. Perspektywa zobaczenia go znowu i perspektywa niezobaczenia go już nigdy były równie bolesne. Obecność na nabożeństwie w kościele, w którym to on stworzył świat kolorów i klimat świętości, była prawdziwą torturą. Oglądając dzieło jego cudownego talentu, nie mogła znieść myśli, że taki człowiek jej pragnie, a ona musi go odtrącić. Postać Madonny - czyli Simonetty - zapobiegliwy Anselmo zasłonił swoim cennym, wielkim relikwiarzem. Nie wiedział o incydencie, jaki się wydarzył, ale zobaczył, że fresk nie jest ukończony. Za relikwiarzem z fragmentem Krzyża Świętego siedziała więc Królowa Niebios bez twarzy. Anselmo był przekonany, że tylko trzy osoby o tym wiedzą, ale w rzeczywistości wiedziały cztery.

Simonetta drżała. Miała pewność, że Bernardino krąży gdzieś na tyłach ołtarza jak zabłąkany pies. Czuła jego oczy na sobie i łzy ścisnęły ją za gardło.

\* \* \*

Miotał się między ścianami absydy, robiąc ósemki niczym wilk. Tym razem z większą niecierpliwością niż zwykle wyczekiwał końca nabożeństwa. Musiał z nią porozmawiać. Trawiła go niecierpliwość, ale czuł jednocześnie radość i nadzieję. Całowali się, więc wszystko stało się jasne, obydwójce o tym wiedzieli. On odkrył treść życia. Fałszywe dotąd tony jego serca zbiegły się w zgodny rytm i zabrzmiały w duszy harmonijnym akordem. Głowę miał pełną poezji, a ciało żaru. Nie mógł się doczekać, kiedy ją posiadzie, to pragnienie wypierało wszystko inne. Nie zamierzał się bawić w trubadura i miłość dworską, nie rozumiał żalonych westchnień do niedostępnej damy serca, której się nigdy nie będzie miało. Żałoba Simonetty, jej skrupuły, jej martwy mąż i jej Bóg nie mogą stanąć im na przeszkodzie. Będą żyć jak w

pradawnych czasach, jak poganie, którzy nie słuchali anielskich chórów, tylko głosu burzącej się krwi. Nie istnieje niebo, nie ma życia po śmierci. Dla nich niebo będzie na ziemi, a kiedy umrą, ich kości zamienią się w proch, ale będą spoczywać obok siebie.

Zobaczył ją. Wypatrzyłby Simonettę wszędzie. Siedziała ze służącą między ludźmi, z głową pochyloną, twarzą zakrytą kapturem. Rozpoznał ją natychmiast. Znał ten kąt nachylenia kształtnych ramion i miękkie układanie się na nich tkaniny. Nie patrzyła na niego, lecz miał pewność, że jeśli uda mu się przemówić do niej i wziąć ją w ramiona, wszystko będzie dobrze.

Raffaella obserwowała swoją panią. Nie miała pojęcia, co jej dolega, skłonna była przypisywać to melancholii, jaka ogarnęła również Gregoria. Wiedziała, że przeżywają boleśnie rocznicę śmierci Lorenza, ale mimo wszystko zaskoczył ją ten nieposkromiony wybuch żalu u obojga, jakby tragedia zdarzyła się wczoraj. Przez całą noc pani płakała, czuwając w świetle świec, natomiast reakcja Gregoria była jeszcze dziwniejsza, ponieważ w ogóle nie siedział z nimi. Wrócił o świcie, śmierząc piwem z tawerny, z zaczerwienionymi od łez i alkoholu oczami. Zamiast przeprosić signorę, rzucił jej spojrzenie tak pełne jadu, że nie mogła tego nie dostrzec. Zawsze okazywał pani na Castello szacunek, więc wprawił Raffaellę w osłupienie, ale musiała wstrzymać się z dociekaniem przyczyn takiego zachowania, gdyż Gregorio zapadł w pijacki sen, a one spiesznie szykowały się do kościoła. Raffaella miała nadzieję, że tajemnica wyjaśni się po nabożeństwie. Wróciła wraz z panią do ławy po przyjęciu sakramentu i rozglądała się ukradkiem, czy nie ma gdzieś Gregoria, by mogła ją uspokoić jego skruszona mina. Najwyraźniej jednak nie przyszedł. Przypuszczała więc, że

jeszcze odsypia nocne pijaństwo i już się nie pokaże w kościele. Była w błędzie.

W momencie kiedy wszyscy wierni pogrążeni byli w cichej modlitwie, otworzyły się gwałtownie drzwi kościoła. Głowy odwróciły się w stronę wejścia. Chwiejąc się na nogach, wchodził Gregorio. Szedł nawą, roztrącając ludzi, śledziły go oczy wszystkich obecnych. Bernardino przestał krążyć między ścianami, stanął jak wryty, tknięty złym przecuciem. Widział tego człowieka wchodzącego do kościoła poprzedniego wieczoru. Koło niego przebiegli obydwój, ona w ucieczce, on w pogoni.

Kardynał starał się kontynuować czytanie tekstu, potem zaintonował Ave Maria, skupiając wzrok na księdze ksiąg. Jednakże gdy wymienił imię Świętej Dziewicy, Gregorio wybuchnął śmiechem. Obłąkańczym rechotem szaleńca. Kardynał zamilkł, obrzucił intruza mrozącym krew w żyłach spojrzeniem i skinął na straż. Ruszyli jak jeden mąż spod cienia filarów w kierunku intruza. Ujęli go pod ramiona i ciągnęli do wyjścia, a Raffaella otworzyła usta w niemym okrzyku przerażenia. Nawa była długa i Gregorio miał dość czasu, żeby wykrzyczeć, co chciał.

- Pada imię Królowej Niebios. Ale czy wiesz, Eminencjo, że modelka - tu splunął - niegodna była pozować do postaci Marii, Matki Bożej? - Przeżegnał się niezdarnie. - Ona pasuje do Marii Magdaleny, pierwszej wśród nierządnic. - Bernardino wysunął się z ukrycia kocimi ruchami. Nie wiedział jeszcze, czy powali giernka na ziemię, czy zatka mu usta. Zatrzymał go w miejscu triumfujący okrzyk Gregoria. - A oto macie uwodziciela. Macie swojego geniusza, wielkiego Bernardina Luiniego. - W tawernie Gregorio zasięgnął języka i dowiedział się wiele o Luinim, a im więcej pił, tym więcej znajdował powodów, by nim gardzić. Teraz pijackie obelgi potoczyły mu się wartko z ust. - Jak można być takim

niegodziwcem? Malować piękne obrazy i zniewalać żony mężnych żołnierzy. On nie widział nigdy pola bitwy, nie czuł w dłoni rękojeści miecza ani jego ostrza w swoim ciele. Tutaj się kryje, tu, w domu bożym, obściskiwał ją i gruchali jak dwa gołąbki. Warci tego, żeby im napluć w twarz. - Nie powstrzymał się od splunięcia, ale gęsta flegma tylko wyciekła mu z ust, mieszając się na brodzie ze łzami. - Jak mogłaś, o pani? - zwrócił się bezpośrednio do Simonetty głosem załamującym się z żalu i przepicia. Odważyła się spojrzeć mu w oczy, ale natychmiast umknęła ze wzrokiem, wstrząśnięta jego pełnym rozpaczą spojrzeniem. - Tutaj brałaś ślub, signora! Ślub! Z człowiekiem tysiącrotnie więcej wartym od niego. Człowiekiem, który za nas walczył i zginął. Jak Chrystus! Tak jak sam Chrystus! - Głos Gregoria nabrał mocy wraz z tym, jak zapanował nad chaosem myśli i skryształizowała się owa paralela, oświecając jego umysł niczym światło błyskawicy. - Jak Chrystus, który umarł na krzyżu. Ten Krzyż Święty skrywa teraz ich hańbę. - Oburzenie dodało mu sił, wyrwał się z rąk straży i skoczył do relikwiarza. Zanim ktokolwiek mógł go powstrzymać, zwałił go z nastawy ołtarzowej kaplicy. Rubinowe szkło ochroniło świętą relikwię, nie wypadł fragment drewna, ale huk był donośny. Gregorio natychmiast został schwytyany ponownie, ale jego głos wybijał się ponad tumult wokół niego. - Tam oto ona siedzi. Madonna nie jest do końca namalowana, bo byli zbyt zajęci uciechami ciała, żeby pamiętać o niebie.

Tłum wiernych zamarł w szoku wobec tak niesłychanego obrazoburstwa. Spozierali to na nieskończoną postać Madonny, to na signorę di Saronno. Bernardino zamarł w miejscu, Simonetta podniosła się z ławy i stała nieruchomo jak kamienny posąg. Rzewny apel Gregoria do jej sumienia i łzy poruszyły ją znacznie silniej niż jego gniew. Bardziej niż strącenie relikwiarza, bardziej niż odsłonięcie nieskończonego

fresku. Nie winiła giermka, słuszne było jego oburzenie, daleko jej było do jego lojalności.

Gregorio skończył występ, zatoczył się i rozszołał, potulnie dał się prowadzić strażnikom, którzy wypchnęli go za drzwi. Tylko tych dwoje nie usiadło - Simonetta i Bernardino. Stali, patrząc na siebie, jakby ponad bezkresną pustynią, bo rozdzieleni na zawsze. Ona wreszcie spuściła wzrok i osunęła się na ławę, jej puste oczy wyrażały poddanie się losowi. Rosła wrzawa wokół niej, spojrzenia przesywały ją jak groty, jadowite słowa raniły jak kolce, ale wiedziała, że zasługuje na potępienie. Bernardino wciąż stał na oczach tłumu, porażony świadomością, że ledwie ich miłość wypuściła delikatne kielki, zmroził je publiczny skandal, nie dając im szans na wzrost. Oczy świata były na nich zwrócone, osądzając ich, wskazując na nich złowrogo brudnymi paluchami.

Siedząc na ceremonialnym fotelu, kardynał patrzył na dwoje przestępców wzrokiem szklanym, przenikliwym i niebezpiecznym. Nie mógł okazać tolerancji dla tego, co słyszał i widział. Pojął jedno: do tego domu bożego wkradło się nieposzanowanie świętości, herezja i rozwiązłość i naznaczyły hańbiącymi rysami piękne freski, jego dzieło, bo to on je sobie wymarzył i za nie zapłacił. Cudowne malowidła okrywały się czernią na jego oczach. Nie widział świętych i aniołów, tylko oblicza naznaczone ponurym piętnem grzechu. Para, na którą patrzył, miała takie samo piętno wyryte na twarzach. Moment gorzkiej refleksji przerwał mu powrót straży. Kardynał odezwał się nie po łacinie, lecz w dialekcie mediolańskim, żeby wszyscy obecni go zrozumieli: - Aresztować go.

## ROZDZIAŁ 20

Święty Maurycy i święty Ambroży toczą bój

- Czy go aresztują? - Ogień rzucał ciepły blask na zatrwożoną twarz Amarii.

- Kto? Komuna miejska Pawii miałaby aresztować Selvaggia? - odpowiedziała pytaniem Nonna. - Szwajcarzy nie mają tu przyjaciół, nikt za tymi trzema nie zateśkni. Nikt tutaj nie lubi najemników. A ich rodziny są daleko w Szwajcarii. Ciała znikną i nigdy nie będą odnalezione. Obywatele Pawii są, być może, tchórzliwi, jak się okazało, ale po fakcie potrafią zatuszować sprawę. Uprzątną ślady szybko i w tajemnicy. Niezadowolenie z powodu zachowania Szwajcarów narastało od dawna. Dostali dobrą nauczkę.

Selvaggio siedział z nimi przy ogniu, milcząc i pocierając dłoń, od której niczym dzwon trzykrotnie odbiła się rękojeść miecza. Trzy ciosy, trzech martwych i trzy dni upłynęły. Te trzy dni Selvaggio i Amaria spędzili w czterech ścianach domu ku zdumieniu Nonny. Wreszcie zdecydowali się powierzyć jej swój sekret. Amaria potrzebowała pokrzepienia, bo w każdym momencie oczekiwała, że straż miejska zapuka do ich drzwi. Miecz jednego z trzech najemników, świadectwo zabójstwa, znalazł się w domu, gdyż Selvaggio odruchowo zatknął go za pas, bojąc się napaści w drodze powrotnej do domu. Sam nie rozumiał swojego instynktownego zachowania. Wiedział, że powinien ukryć broń, ale na razie zostawił ją przy kominku. Z osadzonego w rękojeści amuletu z niemym wyrzutem łypał na niego okiem święty Maurycy, rycerz tebański, który zginął męczeńską śmiercią. Szwajcarzy nie rozstawali się z jego wizerunkiem, wierząc w jego protekcję. Ale tamtego dnia zwyciężył święty Ambroży. Narzucał się wyobraźni Selvaggia obraz walki tych dwóch świętych, w której przegrywa Maurycy. Święty Ambroży czuwał wtedy nad swoimi dziećmi, nad cudowną



dziewczyną, której nazwisko pochodziło od jego imienia. Selvaggio spojrział na Amarię, siedzącą na jedynym w domu krześle, które przysunęła blisko paleniska, żeby się ogrzać. Nonna narzuciła owczą skórę na dygoczącą z zimna czy strachu wnuczkę i przyniosła jej kubek rosółu. Sama była wstrząśnięta ich straszną opowieścią, ale nie potrzebowała ciepła z ogniska, bo rozgrzewała ją radość z powodu ocalenia Amarii z rąk oprawców. I to Selvaggio ją uratował. Amaria wciąż szczykała zębami, drżały jej ręce, w których trzymała fajansowy kubek, ledwie trafiała nim do ust. Selvaggio oplótł jej ręce swoimi, dodatkowo je rozgrzewając.

- Już po wszystkim - wyjąkał. - Są martwi, nie mogą cię skrzywdzić.

Amaria nie przyznała się, czego naprawdę się boi. Czyn Selvaggia, jego odwaga i siła, wzbudziły jej podziw, lecz jednocześnie zaczynał ją prześladować lęk, że drogi jej sercu, poczciwy Selvaggio, który nie skrzywdziłby nawet muchy, zmienił się w kogoś innego.

## ROZDZIAŁ 21

### Dzwony Santa Maria dei Miracoli

Jak Gregorio słusznie powiedział, Bernardino nie był żołnierzem. Rzucił się do ucieczki. Gdyby miał czas na refleksję, być może dostrzegłby ironię w tym, że będąc starszy o lat dwadzieścia, dziwnym zrządzeniem losu znowu musi uciekać przed osiłkami w liberiach, ponieważ dopuścił się zamachu na cnotę niewieścią. Jak nigdy w życiu nie było mu jednak do śmiechu. Stracił miłość życia, nie miał zamiaru stracić wolności.

Droga do drzwi głównych była zagrodzona przez strażników, więc nie zastanawiając się, czy to dobry pomysł, wybiegł bocznymi, szukając schronienia w wieży dzwonnicy - swojej wieży. Wbiegał po schodach i potem po drabinie linowej ze zręcznością małpy. Dobrze znał drogę, wielokrotnie wspinał się w ciemności po kamiennych stopniach i drewnianych szczeblach, wsłuchując się w groźny szept nieruchomych dzwonów. Dotarł do swojej izby, w której od miesiący mieszkał. Nie słyszał, żeby go ścigano. Ostatecznie jednak go dopadną, a każdy z nich był silniejszy od niego i uzbrojony. Znalazł się w pułapce jak szczur. Nagle go olśniło. Nie przyjdą tu po niego. Kardynał wymyślił znacznie skuteczniejszy sposób na ściągnięcie go na dół.

W niemym przerażeniu obserwował, jak napinają się liny i masywne dzwony z drzeniem przechylają ku niemu zięjące czernią spiżowe paszcze. Zdażył zakryć uszy, nim rozległo się pierwsze, potężne uderzenie ich serc, lecz i tak od ogłuszającego huku niemal stanęło jego serce. Krzyczał, ale siebie nie słyszał. Przy dostojnych dźwiękach bliźniaczych gigantów obiegił cztery okna i czterokrotnie silne podmuchy zimowego wiatru odrzucały go do wewnątrz. Nie zobaczył, co może go czekać na dole, bo mroźny wicher i śpiewny ryk dzwonów wyciskały mu z oczu potoki łez. Na znak

solidarności uszy i nos zapłakały krwią. Zdawał sobie sprawę, że musi się natychmiast wydostać z tego miejsca, bo za chwilę oszaleje. Nie zdecydował się na zejście w dół prosto w paszczę lwa. Rzucił się do północnego okna - na północ od Saronno leżało jezioro Maggiore - i skoczył w otchłanną ciemność jak spadająca gwiazda.

Wylądował z odgłosem trzasku gałęzi i bez tchu. Zrozumiał, że miłosierne drzewo zamortyzowało jego upadek. Nie mógł wstać o własnych siłach, ale znalazła się pomoc. Skądś wyłoniła się czarna sylwetka, ktoś się nad nim nachylił. Bernardino chwycił wyciągniętą do niego czyjąś rękę i dźwignął się z jej pomocą na nogi.

- Czy jesteś w stanie iść, signor? - usłyszał nagłacy szept.

- Tak.

- Biec?

- Chyba tak.

- Więc biegnij za mną.

Wąskimi uliczkami i ciemnymi zaułkami biegł z trudem za potężną, niedźwiedziowatą sylwetką. Cały był obolały, czuł piekielny ból w mięśniach i żebrach. Chłoszczący śniegiem wiatr kąsał pociętą liśćmi twarz, w ustach miał smak krwi, którą bezlitosne dzwony wycisnęły mu z nosa. Nie był pewien, czy nie biegnie w kolejną pułapkę, ale nie dbał o to. Wszystko było lepsze od oprychów kardynała.

W końcu dotarli do jakichś drzwi, jego zbawca zapukał i odwrócił się, by odejść. W pamięci Bernardina odżyło wspomnienie podobnej sytuacji. Kiedyś, przed innymi drzwiami, rozstawał się z chłopcem, któremu pospieszył z pomocą. Schwycił mężczyznę za ramię, nie pozwalając mu zniknąć w mroku nocy. Spod kaptura błysnęły ku niemu stalowe oczy.

- Gdzie jesteśmy? - wymamrotał, połykając krew.

- Przed domem księdza. Z tego, co wiem, signor, jest twoim przyjacielem.

- Dlaczego ratowałeś mnie z opresji, panie?

- Kto udziela pomocy mnie i moim bliskim, może liczyć na moją pomoc.

Bernardino musiał się zadowolić tą enigmatyczną odpowiedzią, gdyż jego wybawca rozpułynał się w ciemności. Otworzyły się drzwi i Bernardino osunął się w ramiona gospodyni księdza. Poczciwa kobieta gdakała nad nim jak kwoka, znała go bowiem jako przyjaciela ojca Anselma. Bernardino, otumaniony wydarzeniami, nie był w stanie odpowiadać na jej pytania. Pomyślał, że upadek zaszkodził mu na głowę, gdyż mógłby przysiąc, że ręka, która podźwignęła go z ziemi, była ze złota.

## ROZDZIAŁ 22

### Alessandro Bentivoglio i klasztor w Mediolanie

Bernardino wałęsał się po bogato urządzonego domu, brał do ręki wykwintne przedmioty, które zdobiły wnętrze, oglądał je i odkładał na miejsce. W krótkich chwilach, kiedy nie rozpamiętywał utraty Simonetty, popadał w zdumienie, że skromny i pokorny sługa boży, jakim wydawał mu się Anselmo, żyje wśród takiego przepychu i z tak liczną służbą. Miał dość czasu, żeby zapoznać się z całym domem, gdyż Anselmo ostrzegał go, że ludzie kardynała wciąż go poszukują i opuszczenie schronienia grozi niebezpieczeństwem. Kardynał nie zwykł puszczać w niepamięć zniewagi i kipiała w nim żądza zemsty.

Upływał trzeci dzień od ucieczki z kościoła, Bernardino odzyskał formę fizyczną, ale serce było chore. Dowiedział się od służby, że Simonetta skazała się na wygnanie, zamknawszy się na głucho w Villi Castello. Za zamkniętymi okiennicami przebywała w ciemności jak dziewice więzione przez smoki.

Nie przesłał jej listu, ponieważ rękę miał nienawykłą do pióra, nie mówiąc o kłopotach z ortografią. Postanowił coś namalować na welinie, który spreparował z cielęcej skóry. Pracował w napięciu, ponieważ żaden z jego obrazów nie wydawał mu się tak ważny jak ten. Wysłał Anselma jako emisariusza. Ksiądz, z niewyczerpalnymi zasobami dobrej woli, zgodził się doręczyć welin, mimo że absolutnie nie aprobował tego romansu. Luini namówił go, przysięgając, że incydent podpatrzony przez Gregoria był niewinny, a do Simonetty żywi najprawdziwszą miłość. Z niecierpliwością czekał na powrót księdza z wyprawy do Villi Castello i gdy tylko otworzyły się drzwi, znalazł się przy nim.

- Czy ją widziałeś, ojczy?
- Tak.
- I?

Anselmo pokręcił głową.

- Nie chce cię widzieć. Nakazuje, abyś zostawił ją w spokoju.

- Czy dałeś jej obrazek? Musiała wszystko zrozumieć, gdy zobaczyła!

- Bernardino, dałem jej twój obrazek. Lecz ona chce z tym skończyć i musisz uszanować jej wolę.

- Sam się do niej wybiorę.

\* \* \*

I tak zrobił. Jediną nagrodą było to, że wreszcie zobaczył jej dom. Wielki i piękny. Ozdobiony krenelażami. Doznał niesamowitego uczucia, gdyż replika tego pałacyku żyła w jego wyobraźni. Widział także - był dalekowzroczny - sylwetkę Simonetty w oknie. Złotorude, sięgające ramion włosy. Rdzawy, męski kaftan do polowania. W ręku trzymała kawałek welinu. Gdy spostrzegła Bernardina, odwróciła się z taką męką w oczach, że serce zakłuło go boleśnie, jakby przeszła je strzała. Było oczywiste, że sprawia jej ból, że jego widok to dla niej tortura, jednak nie potrafił i nie chciał tego zrozumieć. Nic nie wskórawszy, wracał do domu księdza, rozmyślając, co robić dalej, jak się do niej dostać. Targany gniewem szedł brawurowo przez miasto, nie zasłaniając twarzy. Po mieście krążyli ludzie kardynała, bacznie się rozglądając za zbiegiem, narastała w nim obawa, że został przez kogoś rozpoznany i zadenuncjowany. Pętla się wokół niego zaciskała. Wbrew złym przeczuciom dotarł do gościnnego domu bezpiecznie. Zastał Anselma czekającego przy zapalonych świecach i musiał wysłuchać połajanek przyjaciela, jakby sam nie wiedział, że źle robi.

- Nadstawiasz głowy, pozostając tutaj.

- Nie dbam o to.

- Swoją obecnością przysparzasz cierpień damie, a kochasz ją, jak twierdzisz. Powiesz mi, że o to również nie dbasz?

Bernardino milczał. Nie chciał krzywdzić Simonetty, lecz nie potrafił z niej zrezygnować. Miał wrażenie, że z jego serca sączy się krew, powoli, jak piasek w klepsydrze. Jeżeli tego nie powstrzyma, zginie. Lecz cóż więcej mógł tutaj działać? Nie miało sensu obleganie jej domu, gdyż powzięła ostateczną decyzję i niechybnie pozwoli mu umrzeć z głodu, a się nie podda. Nie mógł wziąć pałacu szturmem i wdrzeć się do środka, jakkolwiek silne było pragnienie, żeby wziąć ją w ramiona. Anselmo wyczuł, że przyjacielowi wraca rozum, i dalej wywierał presję, zwłaszcza że miał gotowy plan ratunku.

- Wiem o pewnym wpływowym człowieku. Nazywa się Alessandro Bentivoglio. To wielki mecenas sztuki, zaplanował udekorowanie wnętrza słynnego klasztoru w Mediolanie, przeznaczając na to fundusze jako patron zakonu. Jego najstarsza córka przyjmowała tam święcenia zakonne. Fundacja ma upamiętniać męczeństwo świętego Maurycego.

- Świętego Maurycego?

- Święty Maurycy, wódz legii tebańskiej, oddał życie za wiarę.

Bernardino nie był dzisiaj w nastroju cierpliwego słuchacza.

- Wiesz, ojczu, że nie studiowałem teologii.

Anselmo się ożywił, widząc okazję do objaśnienia materii, którą się pasjonował.

- Euchariusz z Lyonu, biskup, podaje jako swoje bezpośrednie źródło Izaaka, pierwszego biskupa Genewy, który z kolei zna tę historię od jeszcze innego biskupa, Teodora z Octodurum...

- Szybciej...

- Sprowadzając opowieść do meritum - Anselmo wolał się streszczać, niż stracić słuchacza - święty Maurycy to chrześcijański męczennik, oficer rzymski zamordowany wraz z całym swoim legionem za odmowę uczestnictwa w pogańskich obrządkach przed bitwą.

Bernardino zaśmiał się szyderczo.

- Zostałem publicznie wyśmiany, ponieważ nie byłem i nie jestem żołnierzem. Oczekujesz ode mnie, ojcze, że podejmę się pracy ku chwale chrześcijańskiego żołnierza męczennika. Zaiste twój Bóg ma poczucie humoru.

- Ta praca przyniesie ci wiele satysfakcji. Pomyśl tylko: cały klasztor i przylegający do niego kościół. A znalazłszy się tam, przemyślisz swoją sytuację z większą jasnością umysłu.

- Ale do Mediolanu? Biskupiej stolicy człowieka, który chce mnie unicestwić? Dlaczego miałbym wybierać się do jaskini lwa?

- Ponieważ lew nigdy nie poluje w samym sercu swojego terytorium. Masz największą szansę ujść zemsty Jego Eminencji, jeżeli będziesz siedział mu przed nosem, w jego mieście. To najlepsza kryjówka.

- Nie odwiedzi klasztoru?

- Nie ma prawa, to żeński klauzurowy zakon. Każdy może się modlić w przyklasztornym kościele, ale na terenie samego klasztoru mogą przebywać jedynie siostry zakonne. Będziesz bezpieczny. Freski zostaną przypisane „malarzowi ze szkoły lombardzkiej”, a twoje autorstwo ujawnione, gdy minie zagrożenie. To nie jest rzadkością.

Bernardino milczał. Oferowano mu schronienie, a ręka go swędziała do roboty. Jak daleko sięgał pamięcią, nie miał takiej przerwy w malowaniu. Uplłynął cały dzień i noc od wykonania obrazka na pergaminie dla Simonetty.

Zachęcony brakiem protestu, Anselmo kontynuował.



- I pamiętaj o jednym, Bernardino. Wiem, że masz opinię wilka polującego na niewieście wdzięki. Ale w kościele San Maurizio będziesz przebywał wśród świątobliwych kobiet. Musisz się zachowywać przyzwoicie. Pamiętaj, to twoja jedyna szansa, żeby umknąć sprawiedliwości. Nie potrafię ci pomóc inaczej.

Bernardino się zachnął.

- Uwierz mi, drogi Anselmo, siostrzyczki mogą się czuć całkowicie bezpieczne. Moje serce zostaje w zamku na wzgórzu. Żadna święta kruszynka w habicie mnie nie skusi, póki ktoś taki jak ona stąpa po tej ziemi.

Anselmo uśmiechnął się dobrotliwie.

- Tak też myślałem. Nigdy w życiu bym cię tam nie zarekomendował, gdyby nie spotkało cię to nieszczęście. Po tym, co się zdarzyło, mam pewność, że jesteś niegroźny niczym mnich. - Tu uśmiechnął się prowokująco. - Nie jak mnich, raczej jak eunuch. - Bernardino nie zachichotał, jak to jeszcze niedawno bywało, gdy sobie żartowali, więc ksiądz spróbował osłodzić gorzką pigułkę. - To nie musi trwać wiecznie, ale na razie będzie lepiej, jeżeli się stąd na jakiś czas oddalisz.

Bernardina nawiedziło dalekie, przykre wspomnienie wygnania z Florencji.

- Będziesz miał zanego mecenasa - przekonywał dalej Anselmo. - Żołnierza i bywalca dworów, który kocha sztukę - zakończył.

- Skąd go znasz? Anselmo zawahał się chwilę.

- To mój stryj.

Oczy Bernardina zwięziły się w szparki. Za długo żył na tym świecie, żeby się nie domyślać, co to znaczy.

- Chcesz powiedzieć, przyjacielu, że to twój ojciec?

- Tak - potwierdził Anselmo. - Mój naturalny ojciec. To bardzo dobry człowiek, ale jak każdy nie jest wolny od

grzechu. - Spojrzał na pierścienie na palcach. - Okazywał mi serce i choć naznaczony jestem nieprawym pochodzeniem, zadbał o moją pozycję. - Zatoczył ręką koło, jakby ogarniał cały dom i wszystko, co się w nim znajduje. - Wspiąłem się wysoko, a być może znajdę jeszcze dalej. Ale skandal czy infamia, jak wolisz, mogą mi zaszkodzić. - Spojrzał przyjacielowi prosto w oczy, żeby mieć pewność, że dotarło do niego pełne znaczenie tego, co powiedział.

Bernardino spuścił wzrok.

- Rozumiem cię. Wystawiam siebie na niebezpieczeństwo? Dobrze. Zagrożam szczęściu najdroższej mi osoby? To wciąż niewystarczający powód, bym stąd zniknął. Ale zaszkodzić tobie, mojemu najwierniejszemu bratu, byłoby niedopuszczalne. Poleć mnie swojemu stryjowi. Udam się tam.

Parę godzin później, gdy dzwony wzywały na kompletę, Anselmo zegnał wyruszającego pod osłoną nocy Luiniego. Przez chwilę rozpamiętywał ich rozmowę. Powiedział, że dobrzy ludzie nie są bez grzechu, i nie mówił tego zdawkowo. Kiedy przyjdzie mu stanąć u bram niebieskich, a święty Piotr będzie ważył jego uczynki i wpisywał je do księgi Dobra, uwzględnione zostanie, że chociaż Bernardino sam stracił wiarę i nadzieję, podtrzymał je w cudzym sercu - ojca Anselma Bentivoglia.

## ROZDZIAŁ 23

### Trzy osoby odwiedzają Castello

Simonetta zauważyła księdza z okna, wpuściła go do domu i wysłuchała w milczeniu. Anselmo wyczuwał, że odwróciła się od Boga, i szczerze nad tym bolał. Zachęcał ją do uczestniczenia w nabożeństwach, ale wątpił, że pojawi się w kościele po tym, jak z niej publicznie szydzono. Żegnany skłonami migdałowców, szedł do bramy niemal pewny, że w kościele będzie oglądał jedynie wizerunki Simonetty, a jej żywej raczej nigdy nie zobaczy.

Simonetta znowu czekała przy oknie. On przyszedł, jak się tego spodziewała. Trzymała w ręku jego obrazek na welinie. Ich spojrzenia spotkały się na odległość. Stał za czarnym w zimowej porze żywopłotem różanym, schwytny jak w potrzask przez kłujące gałązki. Zanim trysnęły jej z oczu łzy, odwróciła się od okna i zmiała w dłoni obrazek. Kiedy wróciła do okna, jego już nie było. Była zadowolona i jednocześnie zdruzgotana.

Nawet gdyby odtrąciła Boga, i tak nie rzuciłaby się w ramiona Bernardina. Do szczęścia nie ma łatwej drogi. Kochała go, ale nie mogła być jego; nie ma szczęśliwego zakończenia po tak złym początku. Potrafiłaby zapomnieć o Bogu, ale nie o Lorenzu i publicznej hańbie.

Została zupełnie sama. Raffaella oznajmiła jej ze łzami w oczach, że Gregorio przyparł ją do muru: albo odejdzie z Castello, albo nigdy więcej go nie zobaczy. Simonetta postanowiła nie zatrzymywać ukochanej służącej, bo choć postępek Gregoria wydawał jej się potwornością, znajdowała dla niego usprawiedliwienie. Do tego nie miałyby serca patrzeć na rozpacz Raffaelli, gdyż ją samą los dwukrotnie rozdzielił z ukochanym mężczyzną i poznała smak cierpienia. Pozwoliła więc jej odejść.

Dotąd Simonetta żyła w przeświadczeniu, że nie ma boleśniejszej straty od śmierci męża. Przekonała się, w jak wielkim była błędzie. Rozłąka z Bemardinem, zanim ich miłość zdążyła rozkwitnąć, okazała się stokroć gorsza. Rachunek sumienia, jaki czyniła, potęgował tylko poczucie winy i ból. Wiedziała, że gdyby się do niej zbliżył i wyrzekł jedno słowo, uciekłyby z nim, gotowa poddać się niszczącej namiętności. Zerwanie z Kościołem nie oznaczało jednak wyrzeczenia się kodeksu moralnego, jaki wyznawała. Wciąż odróżniała dobro od zła, chociaż wołałaby, żeby tak nie było. W swojej zimnej i pustej fortecy pokrzepiała się bezużytecznym myśleniem, że bije dla niej gorące serce, a gdy ogień przygasał, rozgrzewało ją grzeszne wspomnienie jego pocałunku. Drżała i z zimna, i na wspomnienie jego ramion. Wędrowała po zmarzniętym migdałowym sadzie, obserwując, jak ostatnie liście opadają z drzew, które cudem uniknęły ciosów siekiery. Zdawała sobie sprawę, że musi opuścić posiadłość. To była tylko kwestia czasu. Skończyły się pieniądze, jakie dostawała za pozowanie, a Manodorata nie pokazał się od czasu incydentu w kościele. Cóż, nie mogła liczyć na pomoc godnego szacunku człowieka, mimo że wyznawał inną wiarę i nie jego świątynię skalala. Obawiała się narażać na szyderstwa ze strony obywateli Saronno, więc skazała się na izolację. Nie odważyła się wyruszyć do miasta i odwiedzić Żyda mieszkającego za drzwiami z wyrytą na nich gwiazdą.

Nie doceniła go. Nie rozumiała, że ktoś żyjący pod ostrzałem ordynarnych żartów i szyderstw nie odpłaca tym samym. Nie wiedziała, że wyszydzany pomyśli dwa razy, zanim sam zacznie z kogoś szydzić. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że potępiona przez chrześcijan, tym bardziej zyskuje w oczach Manodoraty.

Znowu stała w oknie. Kiedy w alei wiodącej do pałacyku pokazała się odziana w obszerne futro postać, stąpająca ciężko niczym niedźwiedź, podziękowała Bogu, zbiegła na dół do loggii i w serdecznym geście rozłożyła ramiona na powitanie gościa. Z podobnie wyciągniętymi nagimi gałęziami czekały na niego migdałowce, ale takie porównanie nie mogło jej przyjść do głowy.

## ROZDZIAŁ 24

### Święty Maurycy i jego legion

Przekraczając próg kaplicy przy klasztorze Świętego Maurycego w Mediolanie, Bernardino Luini miał wrażenie, że wchodzi do więzienia.

Posępny nastrój zaczynał go ogarniać wcześniej, kiedy w przebraniu zakonnika wjeżdżał o bladym świcie do miasta. Wartownicy przed wielką rzymską bramą, broniącą wjazdu na Porta Ticinese, tylko machnęli mu ręką bez żadnych dociekań co do celu podróży, tak że poczuł się na tyle pewnie, iż wspaniałomyślnie nakreślił kilka znaków krzyża nad ich głowami. Kiedy jednak skrzyżowali za nim piki, odniósł wrażenie, że jest w pułapce. Mediolan był miastem zamkniętym, otoczonym murami, z dostępem tylko przez strzeżone bramy. Ulice zaprojektowano tak, by pokazać światu, jak ma wyglądać w całej swej glorii idealne miasto - miało szerokie arterie i potężne, połyskujące srebrzyście budowle licowane marmurem i granitem. W tym przepychu trudno było pozostać anonimowym, nie ginęło się jak w labiryncie starej, ciasnej zabudowy innych miast. Miejska utopia, stolica Lombardii, była miejscem dla patrycjuszy, a nie nękanym plagami chłopów. Szedł wzdłuż eleganckiej rzymskiej kolumnady, na którą rzucała zimny cień masywna bryła przysadzistej bazyliki San Lorenzo, i nie mógł wyzbyć się wrażenia, że mimo nowych budowli i nowych arterii serce Mediolanu pozostało antyczne. Rzymskie korzenie były wszędzie widoczne, nowa zabudowa sąsiadowała ze starą, przeszłość i teraźniejszość miały ten sam rozmach w dążeniu do majestatyczności i ponadczasowości. Przeszedł go dreszcz z zimna, okrył się szczerzej - słabe poranne słońce nie docierało jeszcze na ulice i ogromne cuda architektury tchnęły chłodem i surowością. Nawet urzekająca pięknem gotycka katedra z lasem srebrnych wieżyczek powiała grozą,

skojarzywszy mu się z nabitym gwoździami łóżem tortur. Bernardino dobrze znał miasto: spędził tu parę szczęśliwych lat w studiolo Leonarda, zanim mistrz zabrał go z sobą do Florencji, gdzie idylla skończyła się dla Bernardina przymusowym wygnaniem. Ciekawe, że nie czuł sentymentu do miejsca kilkuletniego pobytu, może dlatego, że Leonardo teraz już nie żył i nie mógł powitać ukochanego ucznia. A może żadne inne miejsce na ziemi poza Saronno już nigdy nie wyda mu się domem? Tam znalazł przystań, zakotwiczył się, bo spotkał Simonettę. Odcięty od cumy niebezpiecznie dryfował, aż zaplątał się w sieć, z której niczym homar trafił do garnka. Nie mogło ulżyć jego losowi to, że garnek jest architektonicznym cudem.

Ale nie wszystko tutaj okazało się tak wspaniałe. Tego wieczoru, gdy musiał kopać zmęczonego muła, by szedł dalej po bruku Corso Magenta, bo na tej ulicy znajdował się klasztor, i gdy dotarł wreszcie przed skromne drzwi w nieozdobionej niczym fasadzie, pomyślał, że źle zrozumiał instrukcje Anselma. Przekroczywszy próg, znalazł się w ponurym sześcianie, zimnym i ciemnym. Po chwili oczy przyzwyczyły się do ciemności i zrozumiał, że stoi w przeznaczony dla osób świeckich części znacznie większego kościoła, odciętej od reszty wysoką ścianą, sięgającą prawie po ożebrowanie sufitu. Tak powstała zamknięta przestrzeń na planie kwadratu. Wątle światło docierało tu jedynie przez umieszczone wysoko w ścianach bocznych małe, okrągłe okna w stylu lombardzkim, w jakich bardzo się lubował Ludovico il Moro. Kiedy Bernardino robił rozpoznawczy obchód, jego kroki odbijały się echem od ścian. Idąc wzdłuż ściany dzielącej kościół na dwie części, odkrył dwa ażurowe prostokąty i zamknięte na głucho drzwi. Jak się wydawało, tylko one łączyły dwie oddzielone od siebie przestrzenie. Drgnął, bo poryw wiatru zatrzęsął z hukiem dębowe drzwi,

przez które tu wszedł, potęgując urojenie, że trafił do więzienia. Jak każdy więzień po omacku szukał wyjścia i znalazł w końcu otwarte drzwi na tyłach ołtarza jednej z ciemnych kaplic. Kolejne wnętrze było bardziej prostokątne i z pewnością większe. Stanąwszy na środku pod wysokim sklepieniem, obracał się w koło z zadartą głową. Pilastry ginęły w ciemnoniebieskim, rozgwieżdżonym niebie, namalowanym przez jego poprzednika z większym entuzjazmem niż talentem. Pod wirującymi gwiazdami nie mógł być w więzieniu, ale nie poczuł się wolny. Dekoracja sufitu i chłód tu panujący wywoływały tylko złudzenie, że jest na dworze.

Stale przenikało go zimno, ostatni raz było mu ciepło, gdy oplotły go ramiona Simonetty. Usiadł ciężko na kościelnej ławie i skrył twarz w dłoniach, przerażony przedsięwzięciem, jakie go czeka. Dlaczego się zgodził? Jak ktoś martwy może ożywić taką przestrzeń - dwie części ogromnej świątyni i liczne w nich kaplice? Czy pędzle będą powolne jego ręce, czy też stracił pasję artysty wraz z utratą miłości? I dlaczego, do diabła, nie ma tu nikogo? Zimno i potworne zmęczenie robiły swoje. Zapragnął położyć się na kamiennej posadzce i zasnąć.

Nie mógł sobie na to pozwolić. Pierwszym zadaniem, warunkującym otrzymanie pieniędzy, było namalowanie portretów protektorów. Taki był obyczaj. Gdziekolwiek wykonywał zlecenie, jakkolwiek święte było miejsce, zawsze mecenas nalegał, żeby jego podobizna miała pierwszeństwo - przed Madonną i świętymi, nawet przed samym Chrystusem. Przywiózł na mule niezbędne akcesoria i sprzęt, więc zmontował rusztowanie i zabrał się do wizerunku Alessandra Bentivoglia, największego pana w Mediolanie i ojca jego ukochanego przyjaciela.

\* \* \*



Spotkanie z signorem Bentivogliem odbył wcześniej tegoż ranka, zaraz po przybyciu do miasta. Miał pełną świadomość, że najpierw musi złożyć uszanowanie świeckiemu protektorowi, zanim pokłoni się Bogu w klasztornej kościele. Idąc po marmurowych posadzkach wielkich sal pałacu signora Bentivoglia w Borgo delia Porta Comense, nie sądził, że stanie przed obliczem człowieka o tak szlachetnej i pełnej powagi fizjonomii. Z pewnością był on także jakby stworzonym dla portrecisty modelem - mężczyzna w zaawansowanym wieku, lecz ze zdecydowanymi rysami twarzy, z brodą i włosami czarnymi jak u Maura. Bernardino spodziewał się zobaczyć kogoś w typie dandysa, utrącajusza, człowieka trwoniącego majątek i mało ważącego słowa, który w Lombardii spłodził niejednego bękarta, nie tylko Anselma. Podczas szkicowania twarzy Bentivoglia, gdy tenże oznajmił, że musi także powstać drugi portret - fresk tejże wielkości co jego własny - a mianowicie jego małżonki i wielkiej miłości, Ippolity Sforzy Bentivoglio, patronki zakonu benedyktynek pod wezwaniem świętego Maurycego, Bernardino miał okazję się przekonać, że poznał człowieka poważnego, a nie lekkoducha.

Szlachetny głos nabrał tak ciepłego brzmienia, kiedy Bentivoglio mówił o ukochanej żonie, iż Bernardino podniósł głowę znad szkicu kreślonego zamaszystymi pociągnięciami węgla. Poczul nagle więź z tym mężczyzną, który kochał równie mocno jak on. Portret damy powinien być bez zarzutu, postanowił.

- Jeżeli dostąpię zaszczytu zrobienia także szkicu signory, będę mógł ręczyć, że portret w niczym jej nie uchybi.

Odpowiedziało mu smutne, kamienne spojrzenie szarych oczu.

- To nie będzie ci dane. Chciałbym, żeby to było możliwe. Bernardino zawahał się przez moment.

- Panie, poddam się twojemu życzeniu, ale pozwól sobie powiedzieć, że portret jest zawsze doskonalszy, gdy artysta może wykonać studium z natury.

Przezroczyście oczy nagle się zamglily, jakby zalał je przypływ.

- Moja pani nie żyje od pięciu już lat. Możesz ją malować, signor, patrząc na nią oczami tych, którzy utrwalili ją za jej życia.

Tak rozpoczynał Bernardino realizację zamówienia. Od wizerunków mecenasa i ducha. Nie widział jeszcze podobizny signory Bentivoglio. Był wstrząśnięty tragedią męża, sesja ciągnęła się w milczeniu, a na koniec niemal płakał wraz ze swoim modelem. Czuł na sobie wzrok dostojnika, a serdeczność, z jaką ten go żegnał, świadczyła o wielkiej przychylności, zdobytej dzięki okazanemu współczuciu, choć w istocie do prawdziwej empatii Bernardino nie był zdolny. Łzy popłynęły mu z egoistycznych pobudek. Tylko własna strata mogła go tak poruszyć. Strata Simonetty.

Teraz stał na platformie i przystępował do pracy nad freskiem mającym wyobrazić Alessandra. W dostępnej dla wiernych części kościoła nie było żywego ducha, nikt się nim nie zainteresował. Rysował na ścianie dzielącej dwie części, a ponieważ nie dochodziła do sklepienia, usłyszał, że po drugiej stronie, gdzie osobom świeckim nie wolno było wchodzić, zaczyna się ruch. Świątobliwe siostrzyczki, których nie mógł widzieć, odmawiały pacierze. Był zadowolony, że jest od nich izolowany, potrzebował skupienia, żeby się upewnić, czy nie stracił daru, jakim go los obdarzył.

Ręka go nie zawodziła, pewnie przenosił szkice na podmalówkę z tempery i stopniowo na ścianie pojawiał się Alessandro, a towarzyszyły temu odprawiane za ścianą modły. Chorały śpiewane przez zakonnice były tak piękne, słodkie i melodyjne, że dźwięki wyrwały go z rzeczywistości. Tonał,

przyływ zalewał mu oczy, czuł, że za chwilę straci świadomość. Ściągnął brwi, potrząsnął mocno głową, śpiew ucichł i wtedy zorientował się, że ktoś go obserwuje.

W dole stała kobieta, wysoka, zastygła w bezruchu. Miała postawę dostojnej damy, ale twarz nieupiększoną, opaloną i rumianą, niczym wiejska młódka. Usta wąskie, spierzchnięte, oczy małe i ciemne, przyjazne. Nie potrafił określić jej wieku - między dwadzieścia a trzydzieści lat? - mimo że najwidoczniej wystrzegą się maści i sztuczek, jakimi damy szlachetnego urodzenia odejmują sobie lat. Niewyskubane brwi i ani śladu jakiejś szminki. Opalenizna wskazywała na to, że często przebywa na świeżym powietrzu, dystynkcja na dworskie obycie, czemu z kolei przeczył habit zakonny. Z pewnością nie była piękną, lecz emanował z niej spokój, a gdy się uśmiechnęła na powitanie, twarz rozjaśniła się wewnętrzną dobrocią, tak że Bernardino natychmiast zapragnął ją namalować. Ujęła go ciepłem, zanim jeszcze wypowiedziała jedno słowo, i zadziałała jak balsam na poranioną duszę. Miał wrażenie, że kiedyś już ją spotkał, że ją dobrze zna. Uśmiech był pierwszy, potem przyszły słowa przywitania.

- Signor Luini, jak mam prawo się domyślać? Przykro mi, że nikt nie wyszedł ci na powitanie, ale przybyłeś w porze kontemplacji, kiedy ja i siostry spacerujemy po terenie klasztoru, milcząc. Nie! - Wyciągnęła rękę, widząc, że Luini zamierza zejść ze swojej platformy. - Nie schodź, signor, wygląda mi na to, że to karkołomne przedsięwzięcie. - Zaśmiała się znowu dobrotliwie. - Jestem siostra Bianca, przeorysza tego klasztoru.

Podniosła rękę z pierścieniem, insygnium swojego urzędu. Bernardino zszedł niżej i pochylił się, żeby go ucałować. Zbliżając usta, przyjrzał mu się uważnie. Granat w gotyckiej oprawie w kształcie krzyża. Barwy gorącej krwi, ale zimny jak

kamień w zetknięciu z jego wargami. Pomyślał, że tylko starsze matrony noszą takie pierścienie.

Ze zdumiewającą przenikliwością odgadła jego myśli.

- Sądzisz, signor, że młoda na piastowanie takiego urzędu.

Luini spuścił wzrok.

- Przebacz mi, pani. Ja tylko... ja właśnie... pomyślałem sobie, że dama taka jak ty... tyle jest interesujących rzeczy w świecie. - Zarumienił się. - Byłem przekonany, że taką władzę w zakonie sprawują wdowy albo... - Zamilkł zażenowany.

Przeorysza znowu się zaśmiała.

- Kiedy Bóg cię wzywa, nie zwraca uwagi na wiek. Wstąpiłam do tego zakonu całe cztery lata temu, dokładnie w tym samym roku, kiedy nasz książę Franciszek Drugi Sforza ponownie zasiadł na tronie w tym mieście. W życiu innych kobiet istotny jest wiek, kiedy wychodzą za mąż i rodzą dzieci, mnie to nie dotyczy. Żyję każdego dnia w rytm kanonicznych godzin, a rok mija mi zgodnie z kalendarzem ustanowionym z woli boskiej.

Luini się uśmiechnął.

- Sostro Bianco, czy popełnię nietakt, nie przerywając pracy? Ważny jest moment, kiedy dzieło się wyłania, a wygląda na to, że dzisiaj wieją mi pomyślne wiatry.

Przeorysza się zbliżyła.

- Rzeczywiście idzie ci dobrze, signor. Bardzo do niego podobny.

Luini wdrapał się z powrotem na platformę, przeorysza nie odeszła, raczej wyczuwał, niż widział, że go obserwuje. Przypomniawszy sobie Anselma w kościele w Saronno i uśmiechnął się do siebie.

- Czy przeszkadza ci czyjaś obecność, gdy pracujesz, signor? - zapytała.

- Zwykle tak. Ale siostra przypomina mi kogoś, kto też lubił się przyglądać, gdy malowałem. On również jest osobą duchowną.

- Zapewne został urzeczony darem, w jaki Bóg cię wyposażył. To nie lada sztuka wyczarować na ścianie osobę, która wygląda jak żywa, jakby tu z nami była. My, zakonnice, obcujemy na co dzień z Bogiem, ale nie oglądamy cudów dokonujących się na naszych oczach, chociaż czytamy i dysputujemy każdego dnia o świętych, którzy cuda czynili. Być może niesłusznie przyjęliśmy, że epoka cudów minęła. Dobrze jest widzieć, że to nieprawda.

Bernardino wydawał się ograbiony ze zwykłej pewności siebie. Czując się niegodny podziwu i komplementów przeoryszy, gorączkowo szukał w głowie zastępczego tematu. Miał go przed oczami. Człowieka, którego malował.

- Wasz protektor. Jakim jest człowiekiem? Sprawił na mnie wrażenie osoby wielce dostojnej.

- Jest żołnierzem i poetą, a to nie wszystko, co można o nim powiedzieć. Jest bardzo pobożny i dlatego prosił, żeby go namalować w pozycji klęczącej, odmawiającego modlitwę. Uważa, iż nasz zakon potrafi przekazać żarliwość wiary rozleniwionemu laikatowi Mediolanu. Ta ściana oddziela Kościół Zakonny od Kościoła Wiernych. Tak je nazywamy. - Bernardino uśmiechnął się pod nosem, rozbawiony ironią zestawienia tej drugiej nazwy z jego tu obecnością. Przeorysza mówiła dalej. - Wejść tutaj i wyjść stąd można jedynie przez sekretne drzwi w jednej z bocznych kaplic, ale siostrom nie wolno przechodzić na tę stronę, a osobom świeckim na nasz teren. Ty, signor, i ja jesteśmy jedynymi wyjątkami od tej reguły, ponieważ ty musisz pojawić się w moim świecie, a ja zaglądać do twojego. Ale modlić się do Boga będziemy razem. Spójrz tam. - Ruchem głowy wskazała niebo. - Ściana nie sięga sklepienia, więc wierni słyszą nasze pieśni. A te tutaj

- wskazała na dwa ażurowe prostokąty - umożliwiając z kolei nam uczestnictwo w najważniejszych częściach mszy świętej; przez ten od strony ewangelii obserwujemy podniesienie, a przez ten od strony eucharystii możemy z wiernymi adorować Pana. - Znowu uśmiechnęła się promiennie. - Dzięki żarliwości wiary i dzieleniu się nią nasz patron wspiera to zgromadzenie i kościół pod wezwaniem świętego Maurycego.

Luini przypomniał sobie historię tego świętego, opowiadał o nim Anselmo. Żał nim targnął, że ukochanego księdza tu nie ma.

- Dlaczego signor Bentivoglio upodobał sobie świętego Maurycego?

- Ponieważ signor Bentivoglio jako kondotier dowodził Szwajcarami w bitwie pod Novarą, a święty Maurycy otaczany jest wielką czcią w Szwajcarii. W Agaunum, gdzie poniósł męczeńską śmierć, wystawiono mu kościół. Znasz, signor, tę historię? - Beraardino miał na końcu języka „tak”, ale sytuacja i sama przeorysza przypominały mu Anselma, za którym zatęsknił, więc zachęcił kobietę do opowiadania.

- Proszę, niech siostra mi opowie, mając wolną chwilę.

- Zgodnie z legendą, podczas panowania tetrarchów: Dioklecjana, Maksymiana, Konstancjusza i Galeriusza, powstał w Górnym Egipcie legion tebański - zaczęła siostra Bianca. - Liczył sześć tysięcy sześciuset żołnierzy, a ich dowódcą był oficer o imieniu Maurycy. - Miała melodyjny głos i umiejętność obrazowego opowiadania. Jak dotąd Bernardino nie miał sposobności spotkać kogoś z porównywalnym darem, który by sprawiał, że słuchacz widział wszystko w wyobraźni. Pomyślał, że ten talent pomaga jej w wypełnianiu powołania, ponieważ uwiarygodnia każde słowo tekstu biblijnego, jaki siostram czyta, lub pouczających przypowieści, jakimi je karmi. Spojrzał w dół, żeby na nią patrzeć, potem jednak przeniósł wzrok wyżej.

Miał przed oczami płaszczyznę pustej ściany, szarą przestrzeń do ożywienia kolorami i kształtami. Zmrużył oczy, gdy legion rzymski maszerował nad głową siostry Bianki. - W roku Pańskim dwieście osiemdziesiątym szóstym - mówiła - legion był częścią wojsk pod wodzą Maksymiana, który wiódł je do Galii, by stłumić powstanie chrześcijan. Rozprawiwszy się z buntownikami, Maksymian wydał swojej armii rozkaz, by wszyscy wzięli udział w obrzędzie dziękczynnym za udaną misję, a rytuał obejmował złożenie ofiar pogańskim bogom... ofiar z chrześcijan. - Bernardino przyłożył ręce do skroni, czując zapach krwi i słysząc krzyki zabijanych. - Tylko legion tebański odmówił uczestnictwa w obrzędzie. Wycofał się i rozłożył obozem w pobliżu Agaunum. Niesubordynacja Maurycego rozsierdziła Maksymiana, kazał legion zdziesiątkować.

- Dziesiątkować? - spytał Bernardino.

- Co dziesiąty żołnierz miał zostać poddany egzekucji.

- Więc Maurycy i jego ludzie nie ulegli, chociaż co dziesiąty miał zginąć? Kto by się na to zgodził? Kto miałby w sobie tyle silnej woli, a może szaleństwa?

- Człowiek, który głęboko wierzy, iż postępuje słusznie. Karę wykonano, mimo to legion w dalszym ciągu odmawiał podporządkowania się rozkazowi. Spotęgowało to wściekłość Maksymiana i zarządził kolejne dziesiątkowanie. Maurycy i jego ludzie znowu się nie ugięli i wówczas Maksymian rozkazał zabić wszystkich, którzy pozostali przy życiu. Nie stawiali oporu, szli na śmierć z przekonaniem, że zostaną uznani za męczenników wiary.

- Wszyscy zginęli? Co do jednego? Sześć tysięcy sześciuset żołnierzy?

- Każdy położył głowę pod miecz, również Maurycy i jego oficerowie. Urządzono polowanie na tych, którzy nie byli w Agaunum, i ich także ścięto.

Bernardino pokręcił głową. Scena przed nim ociekała krwią, martwi żołnierze leżeli pokotem na polu. Jakież marnotrawstwo, pomyślał.

- Myślisz, że zginęli na darmo? - spytała siostra Bianca cicho. - Wierzyli w sprawę, za jaką umierali. Wydaje ci się, być może, iż w nic nie wierzysz? - Spojrzała na niego przenikliwie. - Każdy musi w coś wierzyć. Jest chyba i w twoim życiu, signor, coś tak ważnego, albo ktoś, że dla tego czegoś lub kogoś poszedłbyś na śmierć, czyż nie tak?

Bernardino milczał dłuższą chwilę. Był ktoś, za kogo oddałby życie bez sekundy wahania. Jednak upierał się przy swoich wątpliwościach.

- Co dobrego wyniknęło z takiej ofiary? Przeorysza machnęła ręką z pierścieniem.

- Nasz zakon pod jego wezwaniem będzie spieszył z pomocą biednym i potrzebującym w Mediolanie. I nie tylko nasz klasztor, ale wiele innych powstaje ku czci tego świętego. Nasz protektor uważa, w co i ja głęboko wierzę, że historia Maurycego niesie przesłanie nadziei. Nadzieja i wiara nie umierają nigdy i nigdy nie umiera miłość. Tam, w Agaunum, na grobie Maurycego wzniesiono kościół. Signor Bentivoglio z takich samych pobudek patronuje uświetnieniu tego miejsca.

- Wydaje się, że dobrze znasz jego intencje.

- Nie mogę nie znać. Zanim Bóg nazwał mnie siostrą Biancą, żyłam jakiś czas na świecie jako Alessandra Sforza Bentivoglio. Protektor naszego zgromadzenia to mój ojciec.

Bernardino odwrócił głowę zdumiony i skonfundowany. Nic dziwnego, że przeorysza przypominała mu księdza Anselma. Przecież to jego naturalna siostra! Czy ona wie, że ma brata? Czy ojciec powiedział oderwanej od ziemskich spraw niewieście o swoim grzechu?

Siostra Biancą zauważyła, że się nagle odwrócił, i zinterpretowała to po swojemu.



- Chcesz pracować, signor, zostawię cię w spokoju. Bemardino nie zdążył zaprotestować. Przeorysza zniknęła w drzwiach prowadzących do części kościoła dla zakonnicy. Zlął ze swojej grędy i znowu popatrzył na ścianę, na której widział sceny opisywane przez Biancę i jej brata. Nie zobaczył ani śladu krwi, ani jednego tebańskiego legionisty.

- Miłość nie umiera - powiedział głośno do siebie. - Nie umiera, Simonetto. - (Nie mógł wiedzieć, że takie same słowa usłyszała ona od dobrego człowieka innej wiary; tylko zostały wypowiedziane nie w kaplicy, ale w migdałowym sadzie). Na ścianie, na której zawiesił wzrok, zdeptaną ziemię zaczęła porastać zielona trawa, a potem zginęła pod wypiętrzającym się w niebo miastem. Święty Maurycy, młody, silny i znowu żywy, wznosił własną świątynię na kościach sześciu tysięcy sześciuset zamordowanych żołnierzy. Z ziemi trysnęła nadzieja. Bemardino zabrał się z furją do malowania, by wizja nie zniknęła mu przed oczu.

## ROZDZIAŁ 25

### Alembik

- Co teraz zrobisz, signora?

Simonetta i Manodorata siedzieli w podziemnym skarbcu wprost na podłodze. Miejsce nie było najsympatyczniejsze, zimne, zaśmiecone łupinami owoców migdałowca, ale dawało schronienie przed niepożądanymi gośćmi. On pierwszy usiadł na ziemi, krzyżując po turecku nogi, ona, odziana w strój Lorenza, poszła w jego ślady i stwierdziła, że taka pozycja jest całkiem wygodna.

- Nie wiem - westchnęła.

- Ten artysta, Luini. Wyjechał. - Manodorata nie patrzył na nią, po głosie zrozumiała, że to stwierdzenie, a nie pytanie.

- Tak. Wyjechał - powtórzyła z trudem, bo głos jej się załamywał.

Manodorata pokiwał głową ze zrozumieniem, więc nie czuła potrzeby tłumaczenia się przed nim ani też nie zadała mu pytania, skąd wie, co się zdarzyło w kościele. Była pewna, że jej nie osądza. Sam przepowiedział, że czeka ją nowa miłość, i to się sprawdziło. Nie mówił tylko, że będzie bolało bardziej niż za pierwszym razem. Jego szare oczy, podobne do tych innych, ale nie takie same, przepełnione były bezmiarem współczucia i zrozumienia.

- To dobrze, że wyjechał. Kardynał jest mściwy. Nie zna granic w zaspokajaniu żądzы zemsty. Dyszy nienawiścią i czeka.

Simonetta owinęła się ciaśniej peleryną, odczuwając groźbę jak lodowaty powiew.

- Znasz tego człowieka, panie?

Manodorata głośno wypuścił powietrze z płuc, opadły mu z rezygnacją ramiona, niczym żagle, gdy ustaje wiatr.

- Znam. To on pozbawił mnie ręki. - Simonetta szeroko otworzyła oczy. - Tak - ciągnął - na każdą opowieść

przychodzi czas i pora ci o tym opowiedzieć. Będiesz wiedziała, jak to ze mną było. - Podniósł nadgniły owoc z ziemi i jedną ręką wyłuskiwał pestkę. - W Toledo, trzy lata temu, Gabriel Solis de Gonzales, piastując godność kardynalską, poświęcił się służbie dla nowo powołanej instytucji, zwanej Sanctum Officium.

Pytający wzrok Simonetty zdradzał niewiedzę.

- Ma też inną nazwę. Inkwizycja.

Simonetcie wydawało się, że Manodorata zniżył głos, gdy wypowiadał to straszliwe słowo. A może to było złudzenie?

- Toledo uważałem za swoje miejsce na ziemi. Pożyczałem pieniądze na procent tamtejszym obywatelom, cieszyłem się uznaniem jako uczciwy bankier. Mnie i Rebecce urodzili się dwaj synkowie, Elijah i Jovaphet. - Uśmiechnął się, wymawiając imiona tej trójki, ale uśmiech natychmiast zgasł. - Kochaliśmy się bardzo, lecz świat zaczął nas nienawidzić. Zmuszono nas do zamieszkania w Juderii, dzielnicy, jaką Wenecjanie nazywają gettem.

W Saronno mamy żydowską ulicę, pomyślała Simonetta.

- Lecz to było za mało dla inkwizycji. Pod groźbą wypędzenia z kraju zmuszono mnie do przejścia na wiarę chrześcijańską.

Simonetta wydała okrzyk zgrozy. Jakże straszną cenę musiał zapłacić za pozór bezpieczeństwa. Manodorata, z uwagi na jej reakcję, czuł potrzebę wyjaśnienia swego postępu.

- Oczywiście nie jestem z tego dumny. Ale zrobiłem to tylko na pokaz. Chciałem chronić rodzinę i dom. W czterech ścianach, w sekrecie, pielęgnowaliśmy nasze obyczaje i praktyki religijne.

Simonetta wyciągnęła rękę i położyła na jego ramieniu.

- Źle mnie zrozumiałeś, signor. Nie winię ciebie, tylko tych, którzy cię do tego zmusili.

Kiwnął głową i mówił dalej.

- Musieliśmy nadać chłopcom chrześcijańskie imiona. Dla Elijaha wybraliśmy imię Evangelista, a Giovan Pietro dla Jovapheta. Wydawały nam się najbliższe ich żydowskim imionom. Stwarzaliśmy pozory, że żyjemy jak chrześcijanie, ale nie przestawano z nas sztydzić. Mówiono o nas marranos. Po hiszpańsku „świnie”. - Pokręcił głową. - A inkwizycja wciąż była nienasycona. Aresztował mnie i przesłuchiwał ten sam człowiek, który teraz poluje na obiekt twojej miłości. Nie kto inny, tylko sam Gabriel Solis de Gonzales. W trybunale inkwizycyjnym znalazł pole do realizowania twardej polityki wobec moich współbraci.

Teraz Simonetta pokręciła głową. Jakież to złe licho przywiodło tutaj kardynała, żeby skrzyżowały się drogi tych dwóch ludzi. Nie dość tych krzywd, jakich doznał od niego Manodorata? Pomyślała jedynie, że świat jest mały, ale nie miała czasu na snucie refleksji, gdyż głos Manodoraty, monotonny, z obcym akcentem, wlewał się do jej uszu niczym potok złych wieści.

- Zażądano ode mnie, abym zadenuncjował moich współbraci, tych konwertytów, którzy, oficjalnie przyjąwszy chrześcijaństwo, pozostali wierni judaizmowi. Nie mogłem pójść na dalsze ustępstwa. Z uwagi na rodzinę przestałem być sobą, straciłem godność. Uchybiłem swojej wierze i podjąłem ryzyko, że nie zaznam zbawienia na łonie Abrahama. Jednak wszystko, co robiłem dotąd, obciążało mój własny rachunek. Nie mogłem podejmować decyzji pociągających konsekwencje dla innych. Spojrzałem w blade oczy tego diabła i powiedziałem: dość, tego nie zrobię. - Zamilkł na chwilę, zanim wyrzucił z siebie to najgorsze: - Zapłaciłem za to utratą ręki.

Simonetta zamarła.

- Nie zapomnę tego odoru, gdy ją przypalano. Oczy Gonzalesa świeciły jaśniej niż płomienie. Wypuścili mnie, kiedy stało się oczywiste, że nikogo nie zdradzę. Któregoś wieczoru przyszedł do nas mój przyjaciel Abiathar i ostrzegł mnie, że kardynał nadal dybie na moje życie. Dał mi na krótko wolność, mając nadzieję, że doprowadzę go do innych wpływowych Żydów. Następnego dnia odpłynęliśmy do Genui. Gdy przybiliśmy do włoskich brzegów, zamówiłem u pewnego florentyńskiego mistrza rękę ze złota. Ma symbolizować, że nie dam się złamać. Osiedliliśmy się w tym cichym miasteczku w przekonaniu, że jest tu atmosfera tolerancji dla innowierców. I się nie rozczarowaliśmy. Simonetta była zdumiona jego słowami.

- Mówisz, że tutaj spotykasz się z tolerancją? Przecież nawet ja... - Zawiesiła głos.

Uśmiechnął się gorzko.

- Plotki? Słowa? Obelgi? Opluwanie przez ignorantów? To w gruncie rzeczy nie boli. Atmosfera tolerancji to dla nas dzień bez połamanych kości. Dzień, w którym nie płonie twój dom, kiedy do niego wracasz. Dzień, kiedy cię nie okradziono, a twoje dzieci i żona nie zostały obrzucone na mieście kamieniami czy wyzwiskami. Tak żyliśmy w Saronno. Do dnia, kiedy złe wiatry przywiały tutaj kardynała.

Simonetta ściągnęła brwi.

- Jak mam to rozumieć? Czy on wciąż tu jest? Manodorata się zaśmiał.

- On nie. Zbyt kocha wygody i luksusy, jakie ma w swoim pałacu w Mediolanie, ale pozostawił miazmaty nienawiści. Szukając twojego przyjaciela malarza, signora, zrobił rozeznanie sytuacji w mieście i wie, gdzie są nasze domy i jakie prowadzimy interesy. Żydzi żyjący i pracujący w jego biskupstwie! Nie pozwoli na to, byśmy tu oddychali.

Milczała. Obydwoje stali się wyrzutkami. Kiedy tamtego dnia wybiegła z kościoła, ludzie śmiali się jej w twarz, a kilkoro splunęło jej pod nogi. Wcześniej nie była w stanie wczuć się w cierpienia Manodoraty, teraz już tak.

Manodorata przerwał jej zadumę.

- Przyszedłem tutaj nie bez powodu. Jeżeli postanawiasz zostać w Castello, signora, musimy bez zwłoki zadbać o jakieś zabezpieczenie dla ciebie na przyszłość. Niewykluczone, że wkrótce już nie będę mógł ci pomagać.

- Czy... czy podejrzewasz, że Gonzales będzie próbował cię skrzywdzić?

Tego Manodorata był pewien, ale nie chciał niepokoić Simonetty.

- Oczywiście, że nie. Przecież nie wie, że tu mieszkam. Jednakże spróbuje odebrać Żydom majątki, a w każdym razie zabroni nam prowadzić interesy. A więc... - jego głos nabrał oficjalnego tonu - nasza rozmowa zatoczyła wielkie koło. Pytam o to samo co na początku. Czy tutaj zostajesz, signora?

Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w migdał, który Manodorata trzymał w ręku. Symbol rodu Lorenza i jej także, i wszystkiego, co wiązało się z Villą Castello.

- Tak - rzekła i powtórzyła argument, który usłyszała dawniej. - Nie mam dokąd pójść. - Spojrzała mu w oczy, - Spośród wszystkich ludzi ty, signor, wiesz najlepiej, jak daleko można się poświęcić, żeby ratować swój dom.

Kiwnął głową, zrozumiał wszystko.

- Bardzo dobrze. Sprowadzę tu nazajutrz żydowskich robotników. Przyniosą siekiery, zetniemy twój sad i przygotujemy ziemię pod uprawy. Znam praktykowaną przez Arabów metodę obsiewania pól na zmianę różnymi gatunkami roślin, dzięki czemu gleba pozostaje płodna z roku na rok.

Ze smutkiem przytaknęła. Cisnął orzechem w przestrzeń i zbierał się do wyjścia.

Orzech wylądował gdzieś w ciemności, brzęknęło szkło. Spojrzeli na siebie, Simonetta zerwała się na nogi. Ostrożnie poruszała się w mrocznym kącie i wychynęła stamtąd z dziwnym zestawem szklanych butli i rurek. Manodorata poszedł jej śladem w to samo miejsce i znalazł piecyk oraz miedzianą misę.

Simonetta poustawiała wszystkie te rzeczy w rzędzie.

- Co to może być? - spytała. Manodorata się zaśmiał.

- Alembik w częściach. Ktoś w tym domu pędził alkohol.  
- Powąchał jedną z butli. - Grappa. - Zdjął korek z szyjki glinianej amfory i natychmiast odchylił głowę, wykrzywając się ze wstrętem. - Rodzaj brandy - rzekł.

- Jak to urządzenie działa? - pytała Simonetta, biorąc do ręki poszczególne części, zimne oraz lepkie od brudu.

- To sztuka znana od dawna, ja tego nie potrafię. Zasada, jak się domyślam, polega na tym, że tutaj wlewa się sfermentowany sok.

- Z czego?

- Napój można otrzymać z czegokolwiek. Ta grappa - znowu się skrzywił - powstała z pestek winogron. Zacier podgrzewa się dopóty, dopóki się nie skropi... o tutaj, a potem przechodzi przez filtr... ten tutaj...

- Skąd to się tu wzięło... przecież nie Lorenzo... on gustował w winie.

Manodorata uśmiechnął się zagadkowo.

- Ja pytałbym giermka. Widywałem go tego podpitego.

Kiedy indziej Simonette pewnie by to rozbawiło, ale wydarzenia ostatniego tygodnia i okrutne oskarżenia ze strony Gregoria były zbyt świeże. Wzięła do ręki amforę z zamiarem wyrzucenia jej. Manodorata chwycił ją za przegub.

- Nie jestem medykiem, Simonetto, ale radziłbym ci wziąć ten dzban do łóżka, a zaśniesz snem sprawiedliwego.

Mam wrażenie, że od dnia nabożeństwa w ogóle nie zmrużyłaś oka.

Rzeczywiście tak było. Nie opuszczały jej myśli o Bernardinie i jego ucieczce, nie pozwalając zasnąć. Manodorata niepostrzeżenie się wymknął, zanim zdążyła go zatrzymać. Spojrzała na amfore, wzruszyła ramionami i postanowiła zabrać ją na górę. Odwracając się do wyjścia, dostrzegła, że coś błyska bielą w ciemności... niczym gwiazdka. Zatrzymała się, przyklękła i odstawiła dzbanek na ziemię. Potem odnalazła obłuskany przez Manodoratę migdał i zgarnęła ich więcej. Po raz pierwszy od niedzieli Simonetta zapomniała o bolącym sercu.

Wpadła na pewien pomysł.



## ROZDZIAŁ 26

### Wyczarowane z drewna

Siedzieli przy palenisku. Nonna bujała się w rzeźbionym fotelu na biegunach, zachwycona komfortem, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Mężczyzna, który stał się członkiem rodziny, czekał cierpliwie na pochwałę, podparłszy ręką podbródek. Ze zmrużonymi oczami patrzył na dzieło swych rąk. Jeszcze był przewiązany w pasie szmatą do polerowania drewna. Kiedy go znalazłyśmy w lesie, opasywał go niebieski proporzec, pomyślała Norma.

- No i jak? - spytał wreszcie.

- Jest cudowny - odpowiedziała, pokazując w uśmiechu tyleż czarnych dziur co zębów. Rzeczywiście fotel był wspaniały. Podobnie nowe belki z cedrowego drewna, którymi Selvaggio wzmocnił niski sufit. Połyskiwały świeżą jasnością w świetle bijącym z paleniska, napełniając izbę żywicznym aromatem. Nowe i solidne były też drzwi i okiennice, które położyły kres przeciągom. W maleńkim obejściu Selvaggio zbudował nawet mały kurnik ku uciechu domowego ptactwa. Wciąż zbierał drewno, obciosywał je, coś projektował w głowie i potem nadawał temu kształt. Cudeńka wyskakiwały spod jego rąk, od kiedy odkrył w sobie talent, jakiego by się nie powstydział sam święty Józef, ojciec Jezusa i pierwszy wśród cieśli.

Uśmiechnął się do Nonny, lubił przebywać w jej towarzystwie. Kiwała mu głową w rytm bujania się na fotelu. Selvaggio był darem od Boga.

Uświadomiła sobie ostatnio coś więcej. Zawsze porównywała go z Filippem i widziała w nim syna, który się na nowo narodził. Musiała jednak przyznać, że Selvaggio okazał się o wiele lepszym człowiekiem. Sięgała pamięcią w przeszłość, przypominając sobie pobyty Filippa w domu.

Upijał się, siedząc przy ogniu, albo szedł do Romów, którzy pod wieczór zbierali się pod arkadami Ponte Coperto. Właśnie z Cyganami najchętniej spędzał czas przy wielkich ogniskach, dopóki komuna miejska nie ograniczyła ich swawoli. Grali w kości i pili słodkie wino, bawili się ze śniadymi dziewczynami i rzeźbili na skrzypcach. Tam wieczorami można było znaleźć Filippa, a nie z matką w domu. Teraz cieszyła się każdym wieczorem. Siedziała z dwojgiem młodych ludzi w ciepłe bijącym z paleniska, czując, że wszyscy troje są sobie bliscy.

Był jeszcze jeden powód do radości, ponieważ tydzień czy dwa temu Selvaggio odkrył, że potrafi pisać. Któregoś wieczoru wyciągnął osmalony patyk z ognia i zaczął rysować na polepie jakieś znaki. Wyraźne i poprawne litery, świadczące o tym, że przebył solidną edukację. Z wielką satysfakcją zaczął uczyć kaligrafii Amarię, odwiedzając ją jej za naukę mówienia. Podczas tych lekcji towarzyszył mu nieokreślony niepokój. Gdy dziewczyna pisała słowa, których uczyła go wcześniej wymawiać, jemu cisnęły się do głowy pytania. Kiedy nabył tę umiejętność? Czy był skrybą lub notariuszem? A może nauczycielem?

Bo potrafił nie tylko pisać, ale również czytać. Widząc, że ma opanowaną i tę sztukę, Nonna zniosła na dół z sypialni rodzinną Biblię. Starsza pani nie potrafiła sama czytać łacińskich tekstów, natomiast Selvaggio, gdziekolwiek otworzył stronę, czytał bez trudu. Jeszcze trochę chrypiał, ale mówił już płynnie, umysł zaś wyprzedzał niedawno opanowaną mowę.

Szczęśliwy każdy, kto boi się Pana, który chodzi jego drogami! Bo z pracy rąk swoich będziesz pożywał, będziesz szczęśliwy i dobrze ci będzie. Małżonka twoja jak płodny szczep winny we wnętrzu twojego domu. Synowie twoi jak sadzonki oliwki dokoła twojego stołu. Oto takie

błogosławieństwo dla męża, który boi się Pana. Niechaj cię Pan błogosławi z Syjonu, oglądaj pomyślność Jeruzalem przez całe swe życie. Oglądaj dzieci twoich synów. Pokój nad Izraelem! (Psalm 128, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum.).

Selvaggio zamknął księgę, uradowany przeczytaną lekcją. Nie trzeba szukać Boga w katedrze, wyłaniającego się ze śnieżnych chmur na pięknym fresku lub przemawiającego dźwiękami cudownych chorałów. Obecność Boga odnajduje się w rzeczach prostych: owocu winorośli, chlebie, rodzinie, dzieciach. Gdy podniósł wzrok, miał przed sobą twarze dwóch kobiet ocieplone migotliwym blaskiem płomieni. One dwie się nim opiekowały. Pod tym dachem było prawdziwe piękno i prawdziwa dobroć.

Od niedawna wieczory wyglądały więc inaczej. Selvaggio rezygnował ze strugania w drewnie i czytał na głos psalmy i przypowieści biblijne. Nonna słuchała, od czasu do czasu kiwała głową, pochylona nad naprawianą odzieżą lub koronkową robótką. Amaria ćwiczyła pisanie liter. Selvaggio znał teksty z Biblii, nie zapoznawał się z nimi po raz pierwszy. Wiedział, że już ich kiedyś słuchał, w uszach brzmiała mu intonacja głosu księdza, czytającego lekcje i ewangelie, a było to gdzieś w odległym kościele, którego nazwy nie pamiętał. Wiedział, że melodyka jego własnego głosu, wznoszące się i opadające frazy są echem, naśladownictwem śpiewnej recytacji owego księdza, którego kiedyś znał, a którego postać czasem rysowała mu się mgliście w pamięci, czasem zamazywała.

\* \* \*

Wkrótce Selvaggio przystąpił do uczenia Amarii czytania. Dwie głowy, jedna jasna, druga ciemna, pochylały się nad świętą księgą i w takich momentach Nonna miała jeszcze inną refleksję na temat Selvaggia. On nie tylko potrzebował matki,

która by go żywiła i się nim opiekowała, zakiełkowała w nim również tęsknota do dziecka. Przyszedł tu z niczym, okazano mu wielkie miłosierdzie, więc gorąco pragnął odwdzińczyć się losowi i stać się potrzebny. Amaria zastąpiła mu rodzinę, której zabrakło. Nonna widziała, że wyżywał się jako jej nauczyciel i cieszył się zamianą ról. Napawało go również satysfakcją to, że nowe meble uczyniły ich ubożuchną chatę wygodniejszym miejscem do życia. Tak się wprawił w stolarce, że nawet sprzedawał swoje wyroby w mieście, dzięki czemu mogli sobie pozwolić na lepsze mięsa i owoce, i droższe wina. Nonna widziała jaśniejącą dumą twarz Selvaggia, gdy wkraczał do domu z dobrami zakupionymi za zarobione przez siebie pieniądze. Był naprawdę dobrym człowiekiem. Obserwowała go podczas niedzielnych nabożeństw w bazylice Świętego Piotra pod Złotym Niebem, ukradkiem zerkając w bok zza złożonych do modlitwy, pokłutych igłą rąk. Modlił się żarliwie, ze wzruszającą pobożnością neofity, lecz była przekonana, iż podczas wieczornych czytań Biblii wracał do wiary wcześniej nabytej, w jakiej żył przez lata. Dostrzegała w nim moralną siłę i determinację, żeby w nowym życiu, podarowanym przez Boga, zachować prawość obyczajów. Nachodził ją w takich razach niepokój, że jego rodzina, straciwszy niezastąpionego syna czy brata, odczuwa jego brak i może się o niego kiedyś upomnieć. Przepędzała czarne myśli, pozwalając sercu cieszyć się tym, co z woli bożej zyskała. Po mszy wracali do domku nad rzeką, zjadali skromny posiłek, risotto lub polentę, a potem Nonna często wycofywała się na górę, rozumiejąc, że młodzi chcą побыć z sobą sam na sam. Teraz, bujając się w przód i w tył w nowym fotelu, uśmiechała się do swoich pogodnych rozmyślań, a Selvaggio odpowiadał uśmiechem, przekonany, że źródłem jej radości jest wyłącznie prezent od niego.

- To wzór z Flandrii - rzekł i urwał, ściągnawszy brwi. - Sam nie wiem, skąd mam tę wiedzę.

Nonna przestała się bujać.

- Czy odzyskujesz pamięć, Selvaggio? - zapytała, ogarnięta strachem.

Potarł ręką kark, pokręcił głową.

- Mam od czasu do czasu przebłycki wspomnień; przebijają mrok umysłu, migocząc nieśmiało jak gwiazdy na nocnym niebie, ale gdy sięgam po nie, znikają niczym gwiazdy spłoszone nastaniem dnia. Pozostają jedynie zmysłowe wrażenia zapachów, smaków i dotyku.

Nonna delikatnie rozkołysała fotel, uspokojona.

- Niektóre widoki także - ciągnął Selvaggio. - Pamiętam na przykład gołębnik, mały drewniany domek i jego mieszkańców, ale nie wiem, gdzie stał. Nieważne. Chyba zrobię taki sam dla Amarii, może jego obraz przestanie mnie prześladować. - Czy to rozegrała się wyobraźnia Nonny, czy też rzeczywiście zarumienił się i spuścił wzrok, gdy wymówił imię jej wnuczki?

- Ach, dla Amarii! - Roześmiała się porozumiewawczo. - Biega za kurczakami, zaraz się znajdzie. - Zrozumiał prowokację, szarpnął za szmatę, którą miał przewiazaną w pasie, i rzucił nią w stronę Nonny. Złapała ją w locie. Wyszedł przez nowiutkie tylne drzwi, które dla wygody domowników dorobił, a ona ukołysała się myślą, że choćby jego głowa poradziła sobie z pamięcią, serce powinno zatrzymać go tutaj.

## ROZDZIAŁ 27

### Smak

Zmysł smaku i żaden inny, tylko smaku.

Simonetta zamknęła oczy, nakazała ogłuchnąć uszom. Tej nocy musiała zapomnieć o krwawiącym z bólu sercu. Po raz ostatni nasłuchiwała przed chwilą w gęstniejącym mroku, czy spomiędzy skazanych na zagładę migdałowców nie dobiegnie jej szept Bernardina. Już nie będzie jednak szukała zarysów jego twarzy w układających się w dziwne formy chmurach, które zachodzące słońce zabarwia od dołu płomienistą czerwienią. Wróciła do domu i usiadła przy pokaleczonym rysami stole. Zapaliła łożową świecę i w jej świetle jeszcze raz przyjrzała się badawczo aparaturze, którą złożyła w całość. Kilka razy wysunęła koniuszek języka - dzisiejszej nocy ma się zdać na swoje kubki smakowe.

Wcześniej rozebrała w piwnicy alembik na jeszcze drobniejsze części i w kuchni zmontowała miedziano - szklaną konstrukcję. Każdy pokryty kurzem fragment wносиła po schodach ostrożnie, jakby trzymała w ramionach dziecko. Czyściła jedną część po drugiej zamszową skórką maczaną w wodzie z octem, patrząc z podziwem, jak spod brudu wyłania się połyskująca ciepłą barwą miedź i zielona krakelura szkła.

Teraz wlała do miedzianej misy grappę i wodę, a po chwili namysłu także starą brandy. Od świeczki łożowej rozpałała w mosiężnym piecyku. Ogień wygasł w palenisku, ale w piecyku buzował wesoło, podgrzewając do wrzenia mieszaninę w misie. Czowała ciepło płomieni i odurzający zapach oparów. Do wrzątku wrzuciła garść migdałów, obranych z brązowej skórki, jasnych i twardych jak kości. Wytworzyła się para, diamentowe kropelki zamigotały w rurkach i zaczęły ściekać do podstawionego naczynia. Simonetta spróbowała końcowego produktu. Miał smak grappy i brandy, i niczego więcej. Wstała i sięgnęła po

moździerz. Utłukła w nim migdały, po czym proszek z dodatkiem najlepszej oliwy utarła na gęstą, gładką masę. Wycisnęła ją przez lnianą szmatkę do miedzianej misy, dołączyła wody i wymieszała zawartość. Biała jak mleko emulsja po zagotowaniu i skropleniu miała leciutki smak migdałów.

Simonetta nie zwracała uwagi na niesione z wiatrem dźwięki sanktuaryjnych dzwonów, ogłaszające najpierw godzinę nieszporów, a potem komplety. Wzrok i słuch miała wyłączone, zmysł smaku podpowiadał jej, że za mało było migdałowej pasty. Dodała więcej i w kolejnej próbie jeszcze więcej. Wpadła w gorączkowy pośpiech, ścigając się z nadchodzącym brzaskiem. Wyciągnęła wielką księgę rachunkową, wzięła nóż i gęsie pióro, naostrzyła je. Umaczała w atramencie i jąła pisać. Wyćwiczoną w kaligrafii ręką zapisała wszystko, co dotąd robiła, niezbyt równo, jako że ponaglało ją bicie dzwonów.

Znowu wstała i zaczęła myszkować w królestwie Raffaelli, otwierając to słoik z jakąś przyprawą, to z ziołami. Dodawała je do mieszaniny. W inkrustowanym pudełku znalazła bryłkę brązowego cukru, rarytas przyniesiony w darze gospodarzom przez któregoś z bogatych gości. Wrzuciwszy ją do misy, obserwowała, jak zmienia się w złotą gumę, a potem w miód, aż wreszcie rozpuszcza się, nadając płynnej masie piękny odcień bursztynu. Opary pachniały słodko i uderzały do głowy, a końcowy, krystalicznie przejrzysty płyn miał smak słodki i gorzki zarazem.

Jednak wciąż była niezadowolona.

Podniebienie miała wyrobione. Jako niemowlę, któremu wciskano do buzi gałgankowy smoczek, poznała smak korzenno - miodowej weneckiej marsali, a potem wielu wykwintnych win. Po ślubie dzięki Lorenzowi poszerzyła zakres smakowych doświadczeń. Próbowowała piwa i różnych brandy, grappy i limoncelli. Przede wszystkim jednak na ich

stole gościły najprzedniejsze wina z Lombardii i z dalszych okolic: Sassella i Grumello z doliny Valtellina, czerwone wina z winnicy Valcalepio i białe z Oltrepo Pavese, San Colombano z Lodi i Chiaretto z zachodniego brzegu jeziora Garda. Wiedziała, co sprawia rozkosz językowi, i ku temu teraz zmierzała. Pracowała przez całą noc, wzywając na pomoc świątobliwych ojców z Chartreuse, którzy swój zielony ziołowy likier warzyli z imieniem Boga na ustach. Czowała się siostrą arabskich nomadów destylujących na pustyni słodki arak. Próbowwała i próbowała, aż zaczęło jej się kręcić w głowie i straciła kontrolę nad zmysłami. Nie mogła skupić wzroku, a jej myśli niczym gołębie pocztowe wiedzione instynktem powróciły do Bernardina. W stanie odurzenia wydawało jej się, że przygotowuje ten napój dla niego. Serce wezbrało miłością, która dodała jej natchnienia. Simonetta wybiegła z domu i w aromatycznym powietrzu nocy zrywała z rozpiętych na trejżach gałęzi dojrzałe morele. Jeszcze ciepłe od słońca, delikatne w dotyku jak futerko nowo narodzonej myszki. Morele dodadzą słodyczy, tak upajającej jak ta, którą czuła, kiedy Bernardino wycisnął palący pocałunek na jej wargach. Dorzuciła jeszcze goździki z chińskiego dzbanuska, czarne jak jego włosy i równie gorzkie jak wspomnienie owej chwili, kiedy się odwrócił od niej, stojącej w oknie, i zbiegł w dół wzgórza. Skórka najzieleniejszego jabłka, owijająca się wokół ręki niczym biblijny wąż Ewy, przypomniła upajający moment moralnego upadku, gdy wziął ją w ramiona. Zaraz potem sok ze złocistej cytryny użądlił ją w nacięcia od noża na rękach, karząc palce, które zanurzyły się w czarne włosy, gdy przyciągała jego twarz do swojej. Dopiero wtedy, kiedy te wszystkie wspomnienia uświadomiły jej kwintesencję ich związku, zaczęła łączyć słodycz z gorzkością i wiedziała, że wreszcie jej się udało. Piła łączywie otrzymaną miksturę i gorączkowo zapisywała gęsim piórem dokładne proporcje i



składniki, jakich użyła. Głowa kiwała jej się nad czarnymi atramentowymi znakami, czoło niemal dotykało kremowych kart księgi, a ona wyobrażała sobie, że pije z ukochanym z jednego kielicha i śmieją się razem w jakimś miejscu na ziemi, gdzie słońce ozłaca ich skórę. Tak sobie wyobrażała, chociaż wiedziała, że tak nigdy nie będzie.

\* \* \*

Zziębnięta i zeszywniała obudziła się przy stole na odgłos szurania butami. Ostrożnie uniosła głowę, bo czaszkę rozsadał straszliwy ból. W ustach czuła smak popiołu, zapuchnięte od snu oczy poraziło światło dnia. Poruszyła wargami na widok patrycjuszowskiej sylwetki Manodoraty, który stał przed nią, nie kryjąc rozbawienia. Głowę miała tak ciężką, iż musiała ją podeprzeć rękami. Usłyszała jęki - swoje własne. Manodorata rzucił okiem na alembik. Nie komentował sytuacji. Zamiast tego odezwał się rzeczowo:

- Drwale już tu są. Czy mają zacząć wyrąb?

Dziwnie odbierała jego głos. Jakby z zaświatów. Nie bardzo rozumiejąc znaczenie słów, leciutkim skinieniem wyraziła zgodę. Podeszedł do drzwi i wydał swoim ludziom rozkaz głosem zbyt donośnym jak na jej obolałą głowę. Wrócił i usiadł naprzeciwko.

- Eksperymentowałaś, signora? - Nie było odpowiedzi. - Czy mogę? - Wskazał na porcelanową filiżankę. Bała się pokręcić głową, więc tylko przymknęła oczy, co wziął za przyzwolenie. Podniósł filiżankę do ust. - Szalom - rzekł i skosztował napoju. Przedłużające się milczenie ją zaintrygowało i zmusiła się do rozwarcia ciężkich powiek, by na niego spojrzeć. Twarz Manodoraty wyrażała zdumienie.

- Cud alchemii! - wykrzyknął.

- Naprawdę? - z trudem wydobyła chrypiący głos. Podniósł sztuczną rękę.

- Jak florentyńczycy zamienili ciało w złoto, tak ty, signora, dokonałaś podobnej sztuki. Przysięgam na Jehowę, że chciałbym wiedzieć, co w tym jest!

- Głównie migdały.

Przekrwione oczy spotkały się ze stalowymi, w jednych i drugich pojawiła się konsternacja, jedno i drugie usta otworzyły się jednocześnie.

- Drwale! - wykrzyknęli unisono. Poderwał się z krzesła.

- Idź do łóżka, signora. Ja ich powstrzymam.

\* \* \*

Gdy wchodziła po schodach, które wydawały się bez końca, jakby prowadziły w górę zamkowej wieży, słyszała biegnącego Manodoratę i jego krzyk.

- Zostawcie te drzewa!

Nigdy dotąd nie słyszała podniesionego głosu Manodoraty ani nie widziała u niego pośpiechu. Wybiegał z kuchni jak oszalały niedźwiedź. Opadła na łóżko i zamknęła oczy, bo wirujący pokój był nie do zniesienia. Zasypiała z uśmiechem na twarzy.

## ROZDZIAŁ 28

### Cyrkowa wieża

Bernardino zaczął się czuć w klasztorze jak w domu. W jego celi stało tylko łóżko, wisiał krzyż i na taborecie leżała Biblia, ale niczego więcej nie potrzebował. Libricciolo Leonarda - notatnik, z którym się nie rozstawał - położył obok świętej księgi, uśmiechając się przy tym; zaiste dobrana para miała czuwać nad jego snem. Ubierał się w czasie pobytu tutaj w skromny habit konwersa z brązowego szorstkiego sukna, które wkrótce pokryło się plamami od farb, ale ten strój mu odpowiadał. Nogi, obute tylko w sandały, wiecznie mu marzły, czego jakby nie zauważał. Okno jego celi, usytuowanej od południowej strony małego klasztoru, wychodziło na dziedziniec pokryty zieloną murawą i na ogródek ziołowy. Czerwona wieża w rogu mieściła herbarium na dole i dobrze wyposażoną bibliotekę na górze. Poczucie uwięzienia nie opuściło go całkiem, zwłaszcza że siostra Bianca postawiła sprawę jasno: nie powinien wyruszać w miasto z uwagi na zagrożenie ze strony swego prześladowcy. Kardynał miał opinię człowieka mściwego, więc Bernardino nie odważył się robić wycieczek do miasta, w którym kiedyś mieszkał, ale też nie zależało mu na zwiedzaniu. Za młodu spędził w Mediolanie wiele lat, a przybył tutaj ze swoim mistrzem, którego ściągnął do stolicy księżę o smagłej twarzy, Ludovico il Moro, urzeczony wizją idealnego miasta, jaką roztoczył przed nim Leonardo: zwodzone mosty, aleje dla pieszych ponad poziomem ulic i inne tego rodzaju fantastyczne pomysły. Bernardino pracował pod kierunkiem Leonarda, gdy powstawało malowidło ścienne Ostatnia Wieczera, największe dzieło mistrza. Trwało to aż trzy mordercze lata, które spędzali w klasztorze Santa Maria delie Grazie ku utrapieniu dobrych braciszków i zniecierpliwieniu księcia. Znój klasztornych dni wynagradzał sobie Bernardino

nocnymi uciechami z poczciwymi i niepoczciwymi mediolańskimi damami. Teraz jego całym światem był klasztor San Maurizio, pracował między Kościołem Wiernych i Kościołem Zakonnym i wcale nie miał ochoty na nocne eskapady za klasztorne mury. Jego więzienie, jeżeli to miejsce rzeczywiście nim było, całkiem mu odpowiadało. Poznał i polubił swoją strażniczkę, zdumiewał się, że towarzyski więziennej niedoli były szlachetnie urodzonymi damami i wielce prawego charakteru. Jakby przebywał na dworze lub składał wizytę w wielkiej rezydencji. Kilka dam z rodu Sforzów, parę z Borgiów i jedna z rodziny Este bez wątpienia dodawały splendoru zakonowi pokornych mniszek. Siostra, która prała jego habit, wywodziła się z Medyceuszów. W żadnym wypadku nie mógłby powiedzieć, że siostrzyczki były brzydkie czy zeszpecone wiekiem. Niejedna ze ślicznych twarzy, które widywał, nie tak dawno stanowiłaby dla niego wielką pokusę, a przynajmniej skłaniała do ubolewania nad tym, że jej właścicielka odczuła powołanie. Teraz jednak jego serce było zamknięte dla wszystkich kobiet poza jedną i nawet jeśli ta nie mogła być jego, żadnej innej nie chciał. Potrzebował przyjaźni i tę znalazł w San Maurizio w obfitości. Powoli zaznajamiał się z zakonnkami. Siostra Ugolin nadzorowała herbarium i parzyła mu herbatę z szałwii, gdy cierpiał na ból głowy po wielu godzinach malowania przy świecach. Siostra Petrus przynosiła co rano i co wieczór jedzenie i piwo do jego celi, nie wypadało bowiem, żeby zasiadał do wspólnego posiłku w refektarzu. Ta starsza dama lubiła przysiąść w jego celi i gdy spożywał prosty posiłek, raczyła go opowieściami z zewnętrznego świata, które zbierała od żebraków przychodzących pod bramę po jałmużnę. Znajdowała upodobanie w makabrze i patrząc na przezuwającego Bernardina, informowała go z lubością o okropnościach dziejących się poza murami: roznosiciela

zarazy spalono żywcem na Piazza Vetra na tyłach bazyliki świętego Lorenza.

- Świętego Lorenza! - chichotała, otwierając szeroko bezzębne usta i z niewinną poufałością szturchając Bernardina w żebra. - Czy nie sądzisz, signor, że Bóg ma poczucie humoru? Bo czyż świętego Lorenza nie pieczono żywcem na ruszcie? Wiesz, że kazał Rzymianom skosztować pieczystego przed przełożeniem go na drugą stronę? Zastanawiam się, czy nasz zapowietrzony nieszczęśnik pomodlił się do tego świętego, gdy piekł się, doświadczając takiego samego losu.

Bernardino nie potrafił rozsmakować się ani w jedzeniu, ani w nowinach. Żegnał powłóczącą nogami zakonnice uśmiechami i kiwaniem głową, ale historia biedaka roznoszącego zarazę nie bardzo go poruszała.

Żywiej reagował na to, co opowiadała mu siostra Conceptione, zajmująca się biblioteką. Wysoka, wyglądająca na hermafrodytę i piekielnie inteligentna zakonnica. Przyzwalała na to, by Bernardino wspinał się na sam szczyt czerwonej wieży i w jej obecności przerzucał iluminowane karty zbiorów żywotów świętych. Jeden z nich uznał za szczególnie cenny: Złotą legendę Jakuba de Voragine'a. Siedząc w przestronnym i widnym skryptorium, w ciszy naruszanej jedynie przez jednostajne skrzypienie sunących po pergaminie gęsich piór w rękach pracowitych mniszek, z tej właśnie słynnej księgi, z czerni jej perfekcyjnie wykaligrafowanych liter i mieniących się jak klejnoty kolorowych miniatur czerpał natchnienie do swojej pracy. W porannym słońcu, pochylony nad kodeksem, dziękując w duchu Leonardowi za to, że wprowadził go w tajniki czytania, zapoznawał się z różnymi ścieżkami prowadzącymi do świętości. Dźwięczały mu w uszach słowa mistrza: „Musisz się nauczyć czytać po łacinie, Bernardino. To język, który odsłoni przed tobą wszystkie sekrety świata, święte i

grzeszne". Ze Złotej legendy dowiedział się Bernardino po raz pierwszy o historii świętej Łucji. Czytając o dziewicy zmuszanej do nierządu, myślał o swojej matce. Zapięły go oczy, gdy doszedł do fragmentu opisującego, jak Łucji wydłubywano oczy, ale prychnął głośno, zdumiony cynizmem Boga, który zrosił gałązki chrustu na jej stosie, żeby nie zapłonął, skazując ją miłosiernie na późniejsze ścięcie mieczem.

- Czy mogę zapytać - odezwała się siostra Conceptione, zerkając do księgi sponad jego ramienia - cóż to takiego wyczytałeś, signor, że nie powstrzymałeś się od tego głośnego protestu? - Uśmiechała się jednak, a on odwzajemnił się tym samym, nie bardzo wiedząc, co może powiedzieć, żeby nie urazić jej uczuć.

- Zdumiało mnie... to jest... czy wszystkie te opowieści należy traktować dosłownie? Czy siostra wierzy, że sam Bóg wygasił ogień pod stopami Łucji? A może właśnie zaczął padać deszcz?

- Ach, o to chodzi. Męczennica z Syrakuz. - Głos zakonniczy przypominał suchy szelest pergaminu. - Uratowała ją pogoda, lecz czyż to nie Ojciec Niebieski decyduje o pogodzie i jej kaprysach?

Bernardino wzruszył ramionami.

- Więc dlaczego dobry Bóg nie uchronił Łucji przed ciosem miecza? A dlaczego wcześniej nie uratował jej oczu?

- Czasami jakaś istota skazana jest na męczeństwo, żebyśmy uczyli się na jej cierpieniu. To nasz Pan sprawił, że Łucja uniknęła jednego losu, a drugiego już nie, ale święta Apolonia - zakonnica pochyliła się i przewróciła karty księgi - dobrowolnie skoczyła w ogień, gdy ją zmuszano, żeby złorzeczyła Chrystusowi.

- Tak zrobiła? - Bernardino był zszokowany. - Z własnej woli? Nie wepchnięto jej?

Conceptione kręciła głową, aż szeleścił czarny welon na białym kapturze.

- Wiele wycierpiała z rąk żołnierzy Decjusza. Połamali jej szczęki, w ikonografii przedstawiana jest często z cęgami, którymi wyrywali jej zęby. Ale do ognia skoczyła z własnej woli. Gdy namalujesz tu w kaplicy Apolonie z powyrywanymi zębami i Lucję z pustymi oczodołami, obraz ich cierpień będzie prowadził innych do Boga.

Bernardino z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A Agata? - spytał. Gdy odwracał stronę, w słońcu zabłysnął złoty liść. - Jej z kolei wyrwano piersi! Czemu Bóg nie uchronił jej przed takim losem, przed utratą kwintesencji kobiecości?

- Bóg nie zsyłał tych strasznych cierpień na żadną z kobiet, o których mówimy. Torturowali je ludzie. Chodź za mną, signor. - Prowadziła go schodami w dół, niepewne kroki świadczyły o bardzo zaawansowanym wieku, jakiego z jej wyglądu nie odgadł. Na dziedzińcu odwrócił się, gdy wskazała na czerwoną wieżę, z której wyszli. - Ta wieża nie została zbudowana na potrzeby naszego zakonu. Jest znacznie starsza. To wieża antycznego cyrku, rzymskiego cyrku, postawiona dawno temu, kiedy Mediolan został stolicą cesarstwa. Tutaj, gdzie stoimy, gdzie my, siostry, czytamy i modlimy się, gdzie pielęgnujemy nasze lecznicze zioła, była niegdyś arena krwawych zawodów, arena śmierci. Plac zabaw bezbożnych Rzymian. Lucja ginęła męczeńsko w okresie prześladowań za panowania Dioklecjana, Agata za panowania Decjusza. Cierpienia, jakie stały się ich udziałem, zadawali im śmiertelnicy, poganie, na rozkaz potężnych władców owych czasów, królów i imperatorów. W tej wieży więziono pierwszych chrześcijańskich męczenników: Gerwazego, Protazego i Feliksa. Po arenie cyrku krążyły rydwany i walczyli na niej gladiatorzy ku uciechu cesarza Maksymiana.

- Maksymiana? - Bernardino odgrzebał z pamięci to imię. Siostra Conceptione spojrzała na niego bezbarwnymi oczami.

- O nim mówię. Słyszałeś, signor, o tym cesarzu?

- Tak - potwierdził Bernardino, przypominając sobie historię opowiadaną przez przeoryszkę. - Jest winien męczeństwa świętego Maurycego. Wymordował sześć tysięcy sześciuset żołnierzy.

Z ust górującej nad nim wzrostem siostry Conceptione spłynął na niego bezzębny uśmiech.

- Właśnie tyłu. - Ruszyła, powłócząc nogami, z powrotem do wieży. - Uczysz się, signor Luini, uczysz się pilnie - powtarzała, nie odwracając głowy.

Naprawdę się uczył. Kręcił się po klasztorze jak wprawiony w ruch bączek. Wirowało mu w głowie od coraz to nowych skojarzeń. Historiom z życia świętego Maurycego, które ożywały na ścianie podczas opowiadania przeoryszki, przydawała wiarygodności historyczna postać cesarza potwora, który tutaj, w tym miejscu, dysząc z diabelskiej uciechy, oglądał makabryczne widowiska. W miejscu uświęconym teraz imieniem człowieka, którego zamordował. Oszołomiony Bernardino położył się na trawie i zapatrzył na przepływające po niebie obłoki. Uczył się.

Wbrew sobie zaczynał wierzyć w Boga.



## ROZDZIAŁ 29

Amaretto

- Amante?

- Amare?

- Amarezza?

Simonetta i Manodorata siedzieli naprzeciwko siebie. Dwie filiżanki napełnione bursztynowym napojem stały na stole, jedna przed nią, a druga przed nim. Sięgali po nie raz po raz, szukając najtrafniejszej nazwy dla alchemicznego wytworu Simonetty. Kochanek? Kochać? Gorycz kochania?

- A może - odezwała się Simonetta - najlepiej zacząć od początku wszystkiego, od orzecha, nasienia. Mandorla...

- Nazwa orzecha twoich drzew jest bardzo podobna do mojego imienia.

- Właśnie. Ochrcimy więc ten likier imieniem Manodorata, jeśli wyrazisz zgodę. Nie powstałby bez ciebie.

Manodorata pokręcił głową tak mocno, że aż aksamitny róg kaptura zakołysał się na jego plecach od ramienia do ramienia.

- To by nie dawało żadnych szans. Jestem znany w tym regionie i skojarzenie z Żydem nie wpłynęłoby korzystnie na twoją sprzedaż. Rozważmy jeszcze inne twoje sugestie, signora.

- Cóż... migdał po łacinie to amygdalus...

- Brzmi naukowo...

- Bo oznacza także migdałek gardłowy. Manodorata prychnął.

- Niezbyt atrakcyjnie się kojarzy. Co dalej? Simonetta znowu spróbowała napoju. Była zbyt trzeźwa,

żeby dostąpić objawienia jak w nocy, kiedy podczas prób destylacji wspominała na zmianę to rozkosz, to ból, jakie przyniosła jej miłość do Bernardina.

- Najbardziej uderza mnie w smaku połączenie słodczy i goryczy. A słowa amare i amarezza są bardzo zbliżone do siebie.

Manodorata kiwnął głową.

- W gruncie rzeczy ktoś mógłby powiedzieć, że miłość łączy się z goryczą: słowo amare to początek dłuższego amare - zza.

Simonetta uśmiechnęła się cierpko.

- Więc miłość musi kończyć się goryczą? Niezbyt zachęcająca homilia.

- Niestety, prawdziwa.

- Przecież ty, signor, masz Rebeccę i dwóch synów.

- Nawet najbardziej kochające się osoby rzadko kiedy umierają tego samego dnia. Przychodzi taki dzień, gdy każdy zostaje sam, lecz miłość trwa wiecznie, jak już mówiliśmy.

Simonetta zadrżała na wspomnienie Bernardina. Czy ją pamięta, gdziekolwiek jest, czy też leży w objęciach innej? Zaiste gorzka to myśl.

- Wybierzmy zatem nazwę amarett - o. Nasz napój bowiem jest tylko trochę gorzki. Miejmy nadzieję, że jego smak będzie sprawiał radość, przynajmniej póki my żyjemy na świecie.

Od dnia, kiedy wymyślili nazwę dla likieru, ich wspólne przedsięwzięcie z rozmachem ruszyło do przodu. Manodorata sprowadził żydowskich wyrobników, żeby zerwali owoce i podcięli odpowiednio migdałowce w celu polepszenia przyszłorocznych zbiorów. Simonetta doglądała tych prac. Instruowała robotników, mając w pamięci, co jej swego czasu mówił Lorenzo: „Między gałązkami nie może być za dużego odstępu, przelatująca między nimi jaskółka musi lekko złożyć skrzydełka”. Kiedy ten etap ukończono i gałęzie zostały elegancko poprzycinane, Simonetta, stojąc na ganku, rzeczywiście zauważyła małego ptaszka nurkującego między

gałęzie. Wyraźnie widziała, że składał skrzydełka. Zadrżała ogarnięta niedobrym przeczuciem, bo czyż Rzymianie nie wysnuwali złowrogich wróżb z niskiego lotu jaskółki? Otrząsnęła się z chwilowego nastroju i poszła do kuchni, gdzie zatrudnione przez Manodoratę kobiety uwijały się jak pszczoły w ulu, przygotowując migdałowe mleko.

Manodorata pomyślał o wszystkim. Wyłożył pieniądze na sprowadzenie brązowego cukru z Konstantynopola, cytryn z Cypru i jabłek z Anglii. Goździki i przyprawy przywiozły frachtowce znad Morza Czarnego, a także przydźwigali posłańcy z Genui. Destylator pracował dzień i noc, pracowite Żydówki na nowo wniosły do domu życie, napełniając go gwarem rozmów i dziwnie brzmiącym śpiewem. Ich słodkie śpiewy i gardłowe dźwięki mowy docierały do każdego pomieszczenia.

Z Wenecji przybył najcenniejszy ładunek: puste kryształowe butelki, każda opatulona niczym niemowlę. Kiedy Simonetta odwinęła z jedwabiu pierwszą z nich, niemal odebrało jej oddech, tak piękne było to cacko: niezrównany blask i przejrzystość oraz perfekcyjny kształt greckiej amfory, no i płaskie dno, żeby butelkę można było bezpiecznie stawiać. Całość zdobił jeszcze korek w kształcie migdała, z umocowaniem z niebieskiej wstążki w odcieniu herbowych barw rodu Castello.

\* \* \*

Simonetta nie wiedziała, ile dukatów zainwestował Manodorata w ich przedsięwzięcie, ale musiało to być bardzo dużo. Tymczasem gdy butelki zostały już napełnione, zakorkowane i zapakowane w skrzynki, okazało się, że to nie koniec jego inwestycji. Manodorata wszedł pod schodach na górę, zapukał do drzwi komnaty Simonetty i wszedł do środka. Niemal go nie było widać zza czerwieni i złota obfitych zwojów materii.

Simonetta odwróciła się od okna i odłożyła łuk, bo akurat polowała na gołębie, żeby było co jeść. Ubrana była jak co dzień w mocno już sfatygowany strój myśliwski Lorenza. Miała włosy dłuższe, ale niemal skudłacone, jeden policzek czerwony od szarpnięć cięciwy, ponadłamywane paznokcie i zniszczoną skórę na rękach od oskubywania z piór ptasich trofeów. Manodorata tylko westchnął i rzucił barwne narecze na łożo.

- Co to jest? - spytała, opuszczając wnękę okienną.

- Pora, byś nie musiała zadawać takich pytań, signora. To jest suknia. Czyżbyś zapomniała, że takie rzeczy istnieją i służą kobietom?

Zapatrzyła się w szatę, która roztaczała blask, jakby była podświetlana od spodu. Zanim odważyła się jej dotknąć, Simonetta wytarła starannie ręce o bryczesy. Przesunęła dłonią po gładkim i chłodnym materiale. Rubinowa czerwień tkaniny zdobiona była złotą nicią, a całość naszywana perełkami, migoczącymi jak gwiazdki. Simonetta zapragnęła nagle poczuć miękkość tej sukni na swoim ciele.

- To dla mnie? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie sędzę, żeby pasowała na mnie. - Manodorata usiadł na poślaniu.

- Simonetto, nie mogę sprzedawać twojego likieru. Musisz to robić sama. Pomimo tego, co się zdarzyło... mówię o ostatnich tygodniach, nadal jesteś wielką damą, nosisz szlachetne nazwisko i jeżeli cokolwiek mi zostało z mojej wiedzy na temat handlu, to mogę cię zapewnić, że wkrótce będziesz znakomitym kupcem.

Simonetta się zachnęła.

- Ja... przecież ja nie... to jest... nie wypada mi.

- O co chodzi? - zapytał cierpko, jakby był przygotowany na taką reakcję.

Westchnęła.

- Nie wychowywano mnie do handlu. Mam szlacheckie pochodzenie, jestem patrycjuszką. Nie znam się na... interesach. Mój ojciec i matka, także Lorenzo, powiedzieliby, że hańbię nazwisko, swoje i ich. Chociaż po prawdzie - spojrzała na niego swoimi wielkimi oczami - ostatnio już je zhańbiłam.

Manodorata zniecierpliwiony poderwał się na nogi.

- W waszym sposobie myślenia jest dla mnie wiele tajemnic. Przede wszystkim nie rozumiem pogardy chrześcijan dla słowa „handel”, jakby nawet nie wolno go było wypowiedzieć niczym najobrzydliwszego przekleństwa, jakie mogłoby paść z ust najgorszego z włóczęgów. Czasy się zmieniają, Simonetto. Stary świat odchodzi. Nazwisko rodowe nie zaopatrzy twojego stołu w mięso ani kominka w drewno. Natomiast w połączeniu z twoim likierem może ci zapewnić dobrobyt. - Ujął jej podbródek w dłonie. - Będiesz twarzą tego napoju, kapitanem na statku, nie możesz się ubierać jak źle opłacany stajenny.

Simonetta odprężyła się nieco, chociaż jeszcze z żalem spojrzała na swój strój. W głębi duszy tęskniła już do kobiecego wyglądu, ale rezygnację z niego uważała za pokutę, jaką winna odbyć za sprzeniewierzenie się pamięci Lorenza.

- Włóż to na siebie, signora - ponaglił ją Manodorata. - A to ci pomoże. - Zaprezentował dalsze szczodre dary. - Zwierciadło, także z Wenecji. Grzebień. Różana maść do rąk. - Mały flakonik potoczył się po nakryciu łóżka. - Na koniec mam jeszcze to... - Wyciągnął rękę, w której coś się mieniło. To była misterna koronka na głowę w kolorze sukni i jak suknia przetykana złotą nicią i ozdobiona perłami. - Zrób coś, signora, z tym gniazdem na głowie. Bo zagnieżdżą się w nim wróble. - Z tymi słowami wyszedł.

Simonetta zamknęła okiennice i zrzuciła z siebie ubranie. Umyła się od stóp do głów, polewając ciało wodą deszczową z

cebrzyka. Pokryła się gęsią skórką i szczękała zębami z zimna i emocji, ale oczy jej błyszczały ciemnym błękitem. Naciągnęła na siebie suknię i zasznurowała gorset najciaśniej, jak mogła. Chłodny jedwab rozgrzał się wkrótce od jej skóry. Długo rozczesywała splątane włosy, póki nie opadły w swobodnych kaskadach na ramiona. Były wystarczająco długie, żeby się pokusić o modną fryzurę zwaną coazzone. Na czubku głowy upięła koronkę, żeby ją wpleść we włosy. Palce, odzwyczajone od zaplatania warkocza, musiały sobie przypominać, jak potulnie poddawały się ich ruchom bujne włosy, gdy ich właścicielka była żoną i wielką damą. Na koniec Simonetta przesunęła rękami po włosach i wsunęła pod koronkową siateczkę niesforne miedziane kosmyki. Poobgryzała starannie paznokcie, żeby je wyrównać, i wtarła w ręce różane mazidło. Uszczypnęła delikatnie każdy policzek i zagryzła wargi, by się zaróżowiły. Dopiero wtedy podniosła do twarzy weneckie zwierciadło. Zobaczywszy swoje odbicie, aż podskoczyła z podniecenia. Wielkie oczy, cera perłowo gładka. Usta koloru róży, a oczy tak błękitne jak wstążki przy butelkach amaretto. Twarz miała szczuplejszą niż kiedyś i lekko podkrążone oczy, ale włosy zachowały płomienistą barwę i lśniły przy każdym ruchu, konkurując z powodzeniem z blaskiem złotych nici i perełek, zdobiących wplecioną w nie koronkę. Obniżyła lustro, bo chciała się zobaczyć w sukni.

Zauważyła, iż ramiona straciły dawną krągłość, od ciężkiej pracy delikatnie zarysowały się mięśnie, sylwetkę ma smukłą niczym chart. Gdy schodziła ze schodów, w kuchni ustała praca i wszyscy wybałuszyli na nią oczy, nawet Manodorata, zwykle powściągliwy, wydawał się poruszony. Wzbudziła tak wielki zachwyt, że aż zaszklily się jej oczy z rozżalenia, iż Bernardino nie może jej podziwiać. Nie poddając się roztkliwieniu, zwróciła się z pełnym gracji

uśmiechem do Manodoraty. Nic nie mówił, więc zadała pytanie:

- No i jak?

Kiwał powoli głową i wreszcie się zaśmiał.

- Ujdzie - powiedział. - Doskonale sobie poradzisz.

\* \* \*

W dzień wiosennego jarmarku w Pawii, pierwszego w roku i największego w regionie, Simonetta ubrana w nową suknię wyszła na loggię. Nowa klacz, której z tęsknoty za ukochaną służącą nadała imię Raffaella, stała osiodłana, potrząsając grzywą udekorowaną czerwonymi i złotymi wstążkami. Czekał także juczny muł, obładowany skrzynkami z likierem Amaretto, pobrzękując dzwoneczkami jak rosyjskie sianie. Simonetta wciągała już rękawice do jazdy, gdy nadszedł Manodorata, żeby się pożegnać, ale ku jej zaskoczeniu nie sam. Obok niego stanęła młoda, smagła dziewczyna, wysoka, z roztropnymi, ale smutnymi czarnymi oczami, wskazującymi na południowe pochodzenie.

- To jest Veronica z Taorminy - przedstawił ją. - Pomoże ci dzisiaj, signora. Nie wzbudzi komentarzy, gdyż jest chrześcijanką, a nie Żydówką. - Simonetta kiwnęła głową, doceniając jego takt.

- Witaj, Veronico - rzekła. Manodorata mówił dalej.

- Veronica pomoże ci na targu i będzie czuwała nad twoim bezpieczeństwem w drodze. Czy można? - To pytanie skierował do dziewczyny, rozchylając jej pelerynę i odsłaniając kilka sztyletów, każdy z rękojeścią w kształcie krzyża maltańskiego. - Ona zapewni ochronę tobie i twojemu utargowi. Tam, skąd pochodzi, jest więcej zbójców niż orzechów.

Simonettę to zaciekawiło i zwróciła się do Veroniki.

- Chętnie posłucham w drodze opowieści o takich okolicach.

Dziewczyna spojrzała na nią smutnymi oczami i tylko pokręciła głową. Manodorata pospieszył z wyjaśnieniem:

- Żałuję, ale nie usłyszysz, pani, żadnych opowieści z ust tej damy.

Simonetta patrzyła to na niego, to na nią.

- Nie mówi naszym dialektem? Manodorata wbił wzrok w ziemię.

- Kiedyś mówiła. Poznałem Veronicę, ponieważ wyszła za mąż za jednego z naszych, to było w hiszpańskim Leonie. Jako chrześcijanka, która poślubiła Żyda, ucięto jej język, a męża pozbawiono życia.

Simonetta, wstrząśnięta, uścisnęła serdecznie dłoń dziewczyny. Zdumiało ją, że takie nieszczęścia mogą być konsekwencją miłości, że świat w tak okrutny sposób stanął na drodze do ludzkiego szczęścia. W tym wypadku skrzywdził osoby, które przecież kochały się z błogosławieństwem chrześcijańskiego Boga. Sama niewiele czasu poświęcała ostatnio Bogu i w tej historii znalazła dla siebie usprawiedliwienie.

Wyruszyły w drogę z odnowionymi ranami w sercach, ale w trakcie jazdy poprawiły im się nastroje. Simonetta pod urokiem świeżej majowej zieleni i słońca zaczęła wyśpiewywać piosenki na powitanie wiosny, a Veronica nuciła gardłowo do wtóru. Okazało się też, że nieźle się porozumiewają, chociaż rozmowa polegała na pytaniach z jednej strony i potakiwaniu oraz uśmiechach z drugiej.

Gdy wjechały do Pawii, znalazły się w uciążliwym ścisiku i jazgocie. Szczały kundle, trzoda pędzona na targ tarasowała ulice. Błazen w kolorowym kostiumie popisował się żonglerką, jakiś sprzedawca kur rozwijał ptakom skrzydła jak wachlarze. Przed słynnym zadaszonym mostem nad Ticino musiały zsiąść z siodła i prowadzić wierzchowce za uzdy. Veronica szła przodem i torowała drogę swojej pani, budząc



szacunek wyniosłym milczeniem. W miarę jak podchodziły w górę, ciżba gęstniała i gdy wreszcie znalazły się na rynku na tyłach przysadzistej katedry, kakofonia sięgnęła szczytu. Minstrele zawodzili ludowe przyśpiewki przy akompaniamencie hałaśliwych lir korbowych, a sprzedawcy wykrzykiwali głośno ceny. Wspaniałe zapachy pasztecików i ciast walczyły o pierwszeństwo z ostrymi odorami owczej uryny i koźlego łajna. Po stroju rozpoznały strażnika miejskiego, który z umęczoną i zaaferowaną miną wskazał im, gdzie mają się rozłożyć z towarem. Okazało się, że przydzielono im miejsce w samym środku sześcioramiennej gwiazdy, jaką tworzyły białe kamienie na szarym tle. Nic nie mogło Simonetty bardziej ucieszyć niż taka dekoracja bruku. Żydowska gwiazda w cieniu chrześcijańskiej świątyni. Uznała to za dobrą wróżbę dla ich przedsięwzięcia. Zabrała się do wyładowywania butelek, podczas gdy Veronica już zdjęła z muła części składanego stołu i montowała stoisko. Setki innych kupców rywalizowało o klientów, tak że Simonette ogarnęły wątpliwości, czy uda jej się sprzedać choćby jedną butelkę wspaniałego eliksiru. Ale nakryła stół niebieskim aksamitem i ustawiła na nim kryształowe amfory, starając się, żeby jej oferta wyglądała kusząco. Za radą Manodoraty otworzyła jedną butelkę i postawiła na stole cynowy kubek na długim łańcuchu, którego drugi koniec Veronica umocowała do nogi stołu. Za cenę zaledwie jednego centesimo potencjalny nabywca mógł skosztować napoju. Stały przy stoisku i czekały. Słońce podnosiło się coraz wyżej i coraz większy tłum przewalał się w jedną i w drugą stronę. Jak Manodorata przewidział, ludzie zatrzymywali się, żeby pogapić się na damę w czerwonej sukni, wielu chciało spróbować likieru i potem go kupowali. Z każdą sprzedaną butelką rosła pewność siebie Simonetty, zniknęło gdzieś zażenowanie i zaczęła się wdawać w pogawędki, czarowała

ludzi swego stanu dostojnym wdziękiem wielkiej damy, z handlarzami i czeladzią wymieniała zaś ludowe mądrości. Veronica była niezastąpiona, pracując za jej plecami: ręce miała zajęte przeliczaniem pieniędzy, a oczy jednocześnie widziały wszystko. Przegoniła łobuziaków, którzy wpełzli pod stół i czyhali tam na słodkie krople ściekające z cynowego kubka i łańcucha. Dwa razy w żelaznym uścisku jej ręki ucierpiały łapska kieszonkowców, a gdy zauważyła, że jakaś wdzięcząca się do Simonetty dama ukradkiem wyłuskuje perełki z jej sukni, błysnęła sztyletem, przepędzając spryciarę. Kiedy dzwony zabrzmiały na nonę, wszystkie butelki co do jednej były sprzedane, a miasto huczało od wieści o cudownym nowym napoju. Mieszkańcy tłoczyli się przy stoisku, wykrzykiwali głośno zamówienia, utrudniając pakowanie, tak że Simonetta wysłała Veronicę do notariusza z prośbą o wypożyczenie gęsiego pióra i pergaminu, na którym mogłaby zapisać zgłoszenia. Po południu wyruszyły, obiecując, że jeszcze wrócą do miasta. W drodze powrotnej śpiewały na cały głos, a zawieszony na karku jucznego muła tłusty worek dukatów kołysał się, pobrzękując.

\* \* \*

Amaria Sant' Ambrogio, która przyszła na jarmark kupić figi, podziwiała niezwykłą damę w czerwonej sukni i posmakowała napoju z cynowego kubka. Była niezwykle podekscytowana i zapragnęła sprowadzić tu Selvaggia, bo czuła potrzebę przeżywania z nim każdej radości. Kiedyś podwinęłaby spódnicę i pognęła co sił do domu, ale ponieważ ostatnio baczyła na godne zachowanie i nie mogła sobie pozwolić na odsłanianie nóg, więc tylko przyspieszyła kroku. Zastała Selvaggia w warsztacie, który zbudował sobie w ich obejściu, i pociągnęła go za rękę, nie pozwalając nawet zdjąć fartucha. Ruszyli natychmiast, żeby jak najszybciej znaleźć się na placu katedralnym, zobaczyć piękną jak z bajki damę i

spróbować cudownego likieru o smaku migdałów. Słońce stało jeszcze wysoko, gdy dotarli do katedry, ale na placu zamiast stoiska ujrzeli puste miejsce. W tłumie Amaria z łatwością wypatrzyła strażnika miejskiego, bo wyróżniał się urzędowym tabardem na wzór szachownicy, i dowiedziała się od niego, że signora odjechała dosłownie przed chwilą. Musieli się zadowolić relacjami pocziwych mieszkańców Pawii, którzy z takim entuzjazmem opowiadali o dostojnej damie w czerwieni i jej niewiarygodnym trunku, jakby ich ogarnęło majowe szaleństwo. Amaria zapomniała o narzucanej sobie powściągliwości w mowie i przez całą drogę powrotną usta jej się nie zamykały, tylko opisywała z zachwytem signorę piękną jak sama Królowa Niebios. Selvaggio miał swoje zdanie na ten temat. W jego oczach jedyną prawdziwą kobiecą piękną była dziewczyna, która szła obok niego.

## ROZDZIAŁ 30

### Pogrom

Manodorata, opatulony w niedźwiedzie futro, przemierzał rynek w Saronno. Nawet jeżeli jakiś człowiek splunął mu pod nogi lub przeżegnał się na jego widok, on tego nie zauważył. Od rana narastał w nim niepokój, zwłaszcza że wraz z żoną i synami złamał post. Dzień wstał zimny, ale słoneczny i nie działo się nic nadzwyczajnego, a jednak Manodorata nie mógł usiedzieć w swoim fotelu ani odprężyć się w ogrodzie. Postanowił przejść się, żeby odpędzić lęki, jednak złe przeczucie towarzyszyło mu podczas przechadzki jak nieodłączny cień. Chociaż nie założył kryzy, czuł dokuczliwe mrowienie na karku. Przesunął palcami wokół szyi pod kołnierzem, lecz to nie przyniosło ulgi. Czuł się jak skazaniec, który położył głowę na pieńku i owiewany chłodem czeka na moment, gdy spadnie topór.

Kiedy przechodził obok kościoła sanktuaryjnego, dostrzegł kątem oka, że na wietrze trzepocze coś białego. Zbliżając się do drzwi kościoła, zaczynał odczuwać przerażenie, bo oto stawał oko w oko ze źródłem swoich lęków. Poranne nieokreślone obawy, które kąsały najpierw jak pojedyncze osy, potem coraz gromadniej, by wreszcie zawisnąć nad nim czarną chmurą, same go tu przywiodły: do gniazda os. Roily się na bieli papieru starannie wykaligrafowanymi czarnymi literami, a pod tekstem w nienagannej łacinie widniała pieczęć kardynała. Przeczytawszy tekst, Manodorata natychmiast zawrócił do domu.

Gdy tylko zamknęły się za nim oznaczone gwiazdą drzwi, zrzucił z siebie futro i zawołał Rebeccę. Po raz drugi podczas trwania ich małżeństwa oznajmiał jej, że muszą opuścić dom i uciekać, żeby ratować życie. Kardynał obwieścił bowiem, że prawo Żydów do posiadania własności i prowadzenia

interesów w regionie zostaje im cofnięte i jeżeli którykolwiek z nich nie podporządkuje się edyktowi, zostanie skazany na stos. Rebecca objęła męża, a on, nieco tym pokrzepiony, ją z kolei uspokoił zapewnieniem, że zdążą się spakować i wyruszyć rano.

Ta decyzja była fatalnym błędem.

Ze względu na synków nie zmienili wieczornego rytuału i zanim chłopcy poszli spać, zjedli z nimi wieczorny posiłek i wspólnie się pomodlili. Hashkiveinu odmawiał Elijah, trzymając w rękach dwie świece. Dostał wypieków na twarzy, tak był przejęty tym, że dostał tego przywileju. Recytował: „Połóż nas do snu, Adonai, nasz Panie; pozwól nam wstać do życia, Królu nasz, i rozłóż nad nami płaszcz pokoju”. Jego dziecięcy głosik dźwięczał jak dzwoneczek, kremowe świece były niemal tak wysokie jak on sam, a ich migotliwe światło całowało jego złote loki, zmieniając go w aniołka. Twarz chłopca wyrażała jednak całkiem ziemskie uczucia dumy i zadziorności. Obydwoje rodzice uśmiechali się do niego, ale Manodorata czuł w sercu ból. Wydawało mu się, że nigdy nie kochał małego bardziej niż tego wieczoru. Wszystkowidzącym oczom Elijaha nie umknęły przygotowane do podróży kufry, ale pełen zaufania do rodziców wiedział, że we właściwym czasie dowie się tyle, ile powinien wiedzieć.

Wkrótce chłopcy znaleźli się w łóżkach, a Rebecca przysłała do męża.

- Czy mam się dzisiaj położyć w łóżku z tobą? - spytała, z uśmiechem, unosząc brwi w łuk.

Poczuł kadzidlany zapach jej skóry i dostrzegł również, że pogodna z natury Rebecca drży z lęku. Uśmiechnął się do niej uspokajająco, ale pokręcił głową.

- Nie, mój klejnocie - powiedział. - Musimy dobrze wypocząć, bo jutro czeka nas daleka podróż. - Chwyciwszy za

ciężkie czarne warkocze, przyciągnął ją delikatnie do siebie i pocałował, jak to zrobił zaraz po ślubie.

Rebecca oddaliła się do swojej komnaty, a w domu pojawił się nieoczekiwany gość, Isaac, syn Abiathara, wierny przyjaciel, ubrany w czarno - biały strój żydowskiego uczonego. Usiadł przy kominku na zapraszający gest gospodarza, upił trochę wina, ale wkrótce poderwał się z miejsca, a jego brzydka twarz wyrażała nerwowe podniecenie.

- Zaccheusie, słyszałeś chyba o skierowanym przeciwko nam dekrecie. Dokąd się udajesz?

Manodorata westchnął.

- Do Genui. Znajdziemy tam jakiś statek i popłyniemy na wschód, pewnie będziemy szukać szczęścia na terenie Imperium Otomańskiego. Nie wiem, na jaki pokład zdołam się wkupić.

Isaac podrapał się po brodzie.

- Genua. - Ciężko mu to słowo. - Znana z nienawiści do Żydów i nękana przez zarazę. Ponure miejsce.

- To prawda. Jest to jednak najbliższy duży port, a w tych czasach my, Żydzi, chyba nigdzie nie jesteśmy mile widziani.

Isaac ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Dlaczego jednak się ociągasz? Gdybyś ruszył dziś w nocy, mógłbyś dotrzeć do Genui już w szabat.

Na twarzy Manodoraty pokazał się słaby uśmiech, ale oczy przesłaniało migotanie ognia.

- Isaacu, przyjacielu, nie wiesz, co to mieć żonę i dzieci. Nie mogę wystraszyć synów. Te kilka godzin zwłoki nie będzie miało znaczenia.

Isaac opróżnił do dna puchar z winem.

- Mam nadzieję, że masz rację. Ja wyruszam do Pawii jeszcze tej nocy. - Wyciągnął rękę. - Pewnie się już nigdy nie zobaczymy. Byłeś dobrym przyjacielem i życzę ci pomyślności. Szalom.

- Szalom - odpowiedział Manodorata. - Po raz drugi zaciągam u twojej rodziny dług wdzięczności, gdyż to twój ojciec, Abiathar, niech spoczywa w pokoju, poradził mi, żebym opuścił Toledo.

Isaac pokręcił głową.

- Pamiętaj, że ty udzieliłeś mojemu ojcu pożyczki bez procentu, co uchroniło nas przed nędzą i umożliwiło ucieczkę tutaj. Nie mówmy więc o długach wdzięczności.

W odpowiedzi Manodorata wyciągnął rękę, tę prawdziwą, i objął Isaaca w serdecznym uścisku na pożegnanie. Potem siedział jeszcze przez godzinę, wpatrując się w rozżarzone węgielki, ale tak naprawdę niczego nie widział. Gdy poczuł chłód, poszedł wreszcie do swojej komnaty i położył się w futrze na łóżku. Nie miał siły się rozebrać.

Nawiedziły go dziwne i przerażające koszmary senne. Śniło mu się, że ubrany w czerwony aksamitny kaftan, czerwony kaptur i niebieskie rajtuzy stoi przywiązany do drzewa. Z boku widział czarną drabinę sięgającą gwiazd. Jego synkowie, Elijah i Jovaphet, ubrani na czarno, byli z nim, jeden przywiązany do jego prawej nogi, drugi do lewej. Kiedy patrzył w dół, widział ich złociste blond główki. Obydwaj płakali. Otaczało ich dziesięciu mężczyzn, czterech siedziało na koniach różnej maści - niczym jeźdźcy Apokalipsy. Kopuła czarnego nieba nad jego głową ukwiecona była gwiazdami. Z gałęzi drzewa nad nim zwisały takie same kwiaty, kołysane wiatrem. Pod stopą wyczuwał wypukłość okrągłego kamienia. Gdy podpalili liny, którymi przywiązano go do drzewa, poczuł żar na piersi, zaczął się palić i krztusić. Słyszał krzyki przerażonych językami ognia chłopców. Sztuczna ręka ze złota rozgrzała się i paliła go w nadgarstek.

Obudził się.

\* \* \*

Łóżko ogarniały płomienie, zajął się baldachim i drewniane nogi, płomienie zaczynały lizać kapę. Nie czuł złotej ręki, leżała w ogniu. Wskoczył z łoża i pobiegł do pokoju Rebekki, ale ogień zatarasował mu drogę. Z jej komnaty buchał żar jak z pieca. Manodorata cofnął się i rzucił się do pokoju dzieci. Niemal się rozplakał, gdy stwierdził z ulgą, że śpią spokojnie. Obudził ich, zabrał kołdry, jakieś ubrania i zbiegł z chłopcami po schodach. Zza wiodących na ulicę drzwi z gwiazdą dochodziły ordynarne wrzaski zgromadzonej cizby. Manodorata zawrócił, przeciął dziedziniec, uciszając w biegu Jovapheta, który płakał, i Elijaha, który zadawał pytania. Kopnięciem otworzył furtę do ogrodu ziołowego. W nieprzeniknionym mroku parł naprzód, trzymając dzieci w górze. Brnął przez grząską ziemię, a gdy zostawił za sobą dom, potykał się na wyboistej ulicy i wreszcie dotarł na obrzeża Saronno. Nie odwrócił się ani razu, ruszył dobrze sobie znaną ścieżką do Villi Castello.

\* \* \*

Simonetta widziała nadchodzących. Jak zwykle wyglądała przez okno swojej komnaty. Wstała o brzasku, bo tego dnia miało się rozpocząć zbieranie owoców w sadzie. Szli, słaniając się na nogach, aleją między migdałowcami. Zbiegła na dół i od razu wiedziała, że stało się coś bardzo złego. Dbały o prezencję Manodorata teraz wyglądał na obszarpańca i śmierdział. Wszyscy uciekinierzy byli czarni od dymu, a starszy z synów - Elijah? - miał na twarzy białe smugi od łez. Manodorata pokręcił głową, gdy zaczęła mu zadawać pytania.

- O nic nie pytaj, signora. Błagam, połóż chłopców do łóżka. Ja muszę wracać. - Twarz wykrzywił mu grymas bólu. - Rebecca...

Zrozumiała i natychmiast wzięła chłopców na ręce. Manodorata odwrócił się i pobiegł aleją.

- Tato! - krzyknął Elijah. Wymagał pocieszenia.



- Tata zaraz wróci - powiedziała Simonetta, mając nadzieję, że tak będzie.

Z osmalonej twarzy chłopca wyzierały zalęknione niebieskie oczy.

- A mama?

Nie wiedziała, co odrzec.

- Tata poszedł jej szukać. A teraz chodźmy do domu, musicie się umyć i położyć do ciepłego łóżka.

Elijah poddał się bez protestu jej zabiegom, a Jovaphet wsadził kciuk do buzi i przestał zawodzić. Gdy niosła go do kuchni, bawił się jej włosami. Simonetta czuła zamęt w głowie, bo nigdy dotąd nie miała do czynienia z dziećmi. W jej sferze kobiety oddawały dziecko pod opiekę mamki i niańki, Simonetta nie widywała często braciszków i siostrzyczek, kuzynów i kuzynek. Położyła małego Jovapheta na futrze przy kominku i rozejrzała się, żeby wybrać coś, czym mógłby się pobawić. Chiński dzbanuszek na przyprawy wydał jej się odpowiedni i rzeczywiście małemu spodobały się żywe kolory i małe węzowate smoki, więc mogła się zająć obmywaniem z brudu twarzy Elijaha. Na szczęście zauważyła, że Jovaphet zsuwa się w stronę paleniska i zdążyła do niego podbiec, ale ubranko pokryła świeża warstwa sadzy. Na dodatek udało mu się otworzyć dzbanuszek i wkładał do buzi pachnący czarny goździk. W ostatniej chwili wyjęła mu go z rączki, a rozsypaną przyprawę starannie zebrała. Ledwie z tym skończyła, musiała biec do Elijaha, który potracił miskę z wodą, zalewając sobie zziębnięte nogi. Simonetta nie wiedziała, czy ma się śmiać z własnej bezradności, czy płakać nad sobą, ale wystarczyło, by spojrzała na wyraz twarzy Elijaha. Chłopiec drżał cały, usta zacisnął w wąską linię. W świetle z kominka widziała zaszklone od powstrzymywanych łez oczy. Przecierając mu twarz, a potem ośmielając go, by pomagał jej umyć buzię i rączki młodszego brata, Simonetta

zmusiła się do szczebiotu, czując jego sztuczność. Wreszcie zaniósła ich na górę i położyła we własnym łóżku, przykrywając malców opończą z wiewiórczych skórek. Wiedziała, że musi zejść na dół dopilnować zbiorów, więc ucieszyła się, że Jovaphet natychmiast zasnął z kciukiem w buzi. Tymczasem z oczu Elijaha trysnęły łzy i ściekały mu po policzkach na uszy. Nie odrywał od Simonetty wzroku, ściskając kurczowo jej rękę. W jednej chwili zrozumiała, co powinna zrobić. Zniknęła bezradność i poczucie niekompetencji. Jedną ręką, bo drugą trzymał Elijah, uwolniła się z peleryny, weszła na łóżko i położyła się obok małego. Przytuliła się do niego i przymknąwszy oczy, całowała jego jasnozłotą główkę, wdychając słodko - gorzką woń dymu z drewna. Przemknęło jej przez myśl pytanie, dlaczego ci chłopcy mają blond włosy, i w tymże momencie przeklęła własną ignorancję. Przecież nie muszą mieć czarnych włosów, śniadej cery i wschodnich rysów. Od momentu, gdy dotknęła wargami głowy Elijaha i posmakowała jego łez, narastało w niej pragnienie, żeby chronić malca i jego braciszka. Czuła, że kocha go jak własnego syna. Tuliła go, póki nie usnął, i dopiero wtedy niechętnie wyplątała palce z jego paluszków, pocałowała w śpiące usta i zeszła na dół do robotników. Odwróciła się jeszcze przy drzwiach i szepnęła do pogrążonych we śnie, że wszystko będzie dobrze, chociaż sama w to nie wierzyła.

\* \* \*

O szarym brzasku Manodorata wracał do Saronno. Wcześniej w nocy nie musiał kierować się blaknącymi gwiazdami, gdyż wskazywała mu drogę czarna chmura dymu unosząca się nad żydowską ulicą. Zbliżywszy się do domu, zobaczył, że został z niego zwęglony szkielet bez dachu z resztkami ścian, które jak nierówne zęby wyszczerzały się ku niebu. Czarne schody prowadziły donikąd. Przywoływał z

pamięci i odmawiał każdą znaną modlitwę, nie tracąc nadziei, że Rebecce udało się jakoś uciec z płomieni. Zakrył twarz i wmieszał się w motłoch, który plądrował dom z żarłocznością kruków rozdziobujących martwe szczątki. W rękach człowieka, w którym rozpoznał zezowatego piekarza, dostrzegł szkatułkę matki. Miał ochotę go zabić, widząc, że ten splunął na nią, wytarł ją o rękaw i gdy błysnęło srebro, wsunął do kieszeni.

Manodorata przeszukiwał wzrokiem gruzowisko, by wreszcie znaleźć przerażające potwierdzenie swoich obaw. Spod osmalonej belki wystawał czarny szkielet ręki z rozczapierzonymi palcami skierowanymi ku niebu. Na jednym widniał złoty pierścień z gwiazdą Dawida, który podarował Rebecce w Toledo w dzień zaręczyn. Nogi się pod nim ugięły, osunął się na kolana. Położył rękę na gorących popiołach i potem z czarnych kości zdjął pierścionek. Piekarz klepnął go w ramię z taką siłą, że mało brakowało, a byłby upadł twarzą w popioły.

- Masz szczęście, łajdaku! - usłyszał. - Cenny łup, z pewnością nie powinna była tego nosić żydowska dziwka. Szkoda, że nie znalazłem tego przed tobą. - Piekarz odszedł i kontynuował poszukiwania, szperając po kątach, które Manodorata i jego rodzina kochali. Pociemniało mu w oczach i na moment nie był zdolny oddychać, gdyż owładnął nim straszliwy gniew. Powaliłby tego człowieka jednym ciosem, gdyby nie pamiętał o swoich synach, synach Rebekki. Wsunął pierścionek na najmniejszy palec i odszedł szybko ze zwieszoną głową. Wracił do Villi Castello.

Gdy szedł aleją przez sad, płakały nad nim migdałowce, a jemu przypomniawszy się sen z ostatniej nocy. Znalazł najpotężniejsze drzewo z najpiękniejszym widokiem i przykleknął przy nim. U jego korzeni wygrzebał w chłodnej ziemi niewielką jamę i tam złożył pierścień. Odmówił

tehillim, a wiatr porywał hebrajskie słowa lamentacji i roznosił je po wzgórzach. Potem znalazł okrągły kamień i jak nakazuje obyczaj, położył go na grobie Rebekki.

Dopiero wtedy skierował kroki do pałacyku. Dwaj zbieracze podnieśli ręce na powitanie, ale szalom uwięzło im w gardłach, gdy zobaczyli jego twarz. Kamienną, bez jednej łzy w oczach, jego serce zamieniło się bowiem w kamień tak czarny jak spalony dom, tak czarny jak kości Rebekki i ziemia, w której spoczął pierścień. Jego serce przepełniała nienawiść do kardynała Mediolanu.

## ROZDZIAŁ 31

### Anioł ze świecami

Bernardinowi przyśnił się Elijah, chłopiec z gołąbką na dłoni. Nie wiedział, dlaczego wspomnienie o nim nawiedziło go akurat teraz. We wszystkich snach wracał wprawdzie do czasów w Saronno, ale w marzeniach sennych obejmowały go szczupłe ramiona Simonetty. Nie śnił o obrazach, które namalował, ani o ważnych przyjaźniach. Tylko o niej. Tego dnia jednak, obudziwszy się wcześniej z niespokojnego snu, już o bladym świetle wyszedł ze swojej celi i spacerując po terenie klasztoru, przypominał sobie wtulonego w jego ramiona chłopca, którego niósł do domu, by nie zrobiono mu krzywdy. W całym swoim życiu nie czuł przywiązania do żadnego dziecka, tymczasem ten chłopiec poruszył jego serce. Zaledwie świtało, ale z Kościoła Zakonnego już dochodził śpiew siostrzyczek, których żarliwą pobożność niezmiennie podziwiał. Uśmiechnął się do siebie, bo czyż sam nie zrywał się o brzasku do powinności, do jakich wzywała go sztuka, jego religia?

Poszedł wprost do Kościoła Wiernych, do swoich pędzli. Gdy mieszał farby, znowu stanęła mu przed oczami buzia Elijaha i choć sen blaknął, pozostał żywy obraz kędzierzawej głowy i śmiejących się oczu chłopca, gdy trzymając Bernardina za rękę, przysięgał, że nie powtórzy nigdy brzydkiego wyrazu. Wspomnienie przeszło Bernardina dreszczem, starał się je odpędzić. Oby chłopiec nie był martwy, przeraził się. Nawiedził mnie we śnie, jak czynią zmarli. Zmarli lub będący w niebezpieczeństwie. Jeśli tak, mam go upamiętnić, pomyślał. Pociągnięcia węglem ułożyły się w postać anioła ze skrzydłami wyrastającymi z ramion, ale ten uroczy putto nie przypominał wyniosłego cheruba dumnego z zasiadania wraz z serafinami w najwyższych chórach anielskich, bo miał wdzięczną twarz Elijaha, chłopca

z krwi i kości. Bernardino pracował do południa, dodając kolory i cienie. W rękach aniołka umieścił dwie ceremonialne świece, które w całości kompozycji zdawały się szalami sprawiedliwości. Rzucając na główkę odbłask łożowych świec, wydobył złocisty połysk loków. Na koniec cofnął się i podparł zmęczoną ręką podbródek. Przypomniało mu się, że gdy los zetknął ich z sobą, chłopiec instynktownie mu zawierzył, wymieniając swoje prawdziwe imię, a dopiero później się poprawił i podał imię Evangelista, jakie mu nadano podczas chrztu. W tym momencie Bernardino poczuł niepokój. Chłopiec jest Żydem. Czy mam prawo, zastanawiał się, przedstawiać go wśród wizerunków chrześcijańskich świętych, by czuwał nad nim Bóg chrześcijan, choć on wyznawał innego? Nie wiedząc dobrze dlaczego, nałożył na paletę czerwony pigment, wymieszał i gęstą warstwą farby pokrył skrzydła. Gdyby potomność miała zastrzeżenia, czerwień krwi będzie tego anioła wyróżniać - był inny niż wszystkie.

## ROZDZIAŁ 32

### Ręka, serce i usta

Amaria i Selvaggio wybrali się do lasu. Pod osłoną drzew natychmiast złapali się za ręce, bo ostatnio mieli w zwyczaju tak spacerować, gdy tylko znikali z ludzkich oczu. Dzisiaj czuła, że Selvaggio ciągnie ją w wybranym przez siebie kierunku.

- Dokąd idziemy? - spytała.

Uśmiechnął się, ale spojrzenie zielonych jak liście oczu umknęło gdzieś w bok.

- Zobaczysz.

Nie pytała już więcej. Była szczęśliwa, trzymając go za rękę, gotowa dać się prowadzić dokądkolwiek. Co chwila patrzyła na ukochaną twarz, dziwnie poważną, w ciemnych i jasnych plamach, bo pocętkowało ją przebijające przez liście słońce.

Selvaggio też na nią co rusz popatrywał, podziwiając jej urodę. Tego dnia była w cudownej harmonii z przedwiośnią i cieszyła jego oczy, jakby stała się boginią wiosny. Jej cera tryskała zdrowiem, połyskiwały w słońcu włosy, starannie ułożone w loki wijące się wokół uszu i szyi, a przy tym ozdobione na cześć nadchodzącej wiosny białymi stokrotkami. Miała na sobie suknię koloru soczystej zieleni. Szyła ją Nonna przy świetle ognia z paleniska, a materiał kupił on z własnych zarobków. Ciemne oczy Amarii błyszczały ożywieniem i obietnicą. Była uosobieniem życia i płodności. Wyobrażał ją sobie leżącą na nim i pod nim, śmiejącą się, jej bujne włosy rozrzucone na poduszce. Wyobrażał ją sobie z jego dzieckiem w łonie - jej kształty zaokrąglające się z każdym kolejnym miesiącem. Mrużył powieki, bo roztańczone promienie słońca wciskały mu się do oczu, pobudzone pożądaniem serce łomotało tak gwałtownie, że niemal tracił przytomność. Pragnął jej całym sobą, ale nie tylko jako kochanki, widział w

niej źródło życia, które da początek rodzinie, jego rodzinie. Amaria wyrwała go z objęć śmierci i przywróciła do istnienia. Była owocodajną winoroślą i chciał żyć długo, żeby widzieć dzieci ich własnych dzieci.

Idąc wzdłuż krystalicznego potoku, mijali gęstwiny i polany, aż doszli do pozzo dei mariti. Gdy Amaria usłyszała plusk wodospadu, a potem zobaczyła jezioro, bardzo się ucieszyła.

- To tutaj się poznaliśmy! - wykrzyknęła.

Selvaggio się uśmiechnął i doprowadził ją w miejsce, gdzie tafla była spokojna, tylko wyskoczyła nad nią ryba i błysnąwszy srebrną łuską, zniknęła. Kiedy powierzchnia wody się uspokoiła i wyglądała jak lustro, obydwójce pochylili się nad nią.

- Czy wiesz, co mówią o tym miejscu? - zapytał Selvaggio, kładąc ręce na jej ramionach.

Zarumieniła się.

- Mówią, że... że jeśli dziewczyna popatrzy na wodę, zobaczy tam twarz... przyszłego męża - odezwała się niepewnie, jak w półśnie.

- Czy to prawda?

Przyjrzała mu się bacznie, wiedząc, że lubi się z nią przekomarzać. Miał jednak poważną minę i natychmiast zrozumiała, że on nie żartuje.

- Ty powiedz...

- Myślę, że to prawda. - Odwrócił ją twarzą do siebie i wtedy serce podskoczyło jej w piersi, gwałtownie jak ryba, którą widzieli. - Kocham cię, Amario Sant' Ambrogio - usłyszała. Potem padły trzy słowa, których go w pierwszej kolejności uczyła wymawiać: powiedział mano, sięgając po jej rękę; cuore, przykładając jej dłoń do swego serca; bocca, całując ją delikatnie w usta.



Miała oczy pełne łez, gdy wreszcie oderwali się od siebie. To były łzy szczęścia, śmiała się i płakała, i wyglądała pięknie.

- Chodźmy do domu - rzekła. - Musimy o tym powiedzieć Nonnie.

Wracali szybko przez las, potem przez most na rzece i dalej przez miasto, ale tym razem Amaria trzymała Selvaggia za rękę, żeby wszyscy mogli to widzieć, ponieważ tak miało być już zawsze.

## ROZDZIAŁ 33

### Święta Urszula i strzały

Bernardino miał za sobą okropną noc. Na słomianym sienniku przekręcał się z boku na bok, a gdy otwierał oczy, widział przesuwane się po suficie celi makabryczne wizje. Płomienie, krzyki i Simonetta w niebezpieczeństwie. Zasnął w końcu, ale dręczyły go majaki senne i kiedy się obudził o szarym brzasku z policzkami mokrymi od łez, nie mógł przewyciężyć uczucia paniki, bo zatarła mu się w pamięci twarz Simonetty. Pospieszył do pracy w części kościoła dla wiernych i kiedy tylko ucichł śpiew siostr odprawiających tercję, niecierpliwie oczekiwał, że usłyszy zbliżające się kroki siostry Bianki. Wiedział, że przyjdzie, bo zawsze go odwiedzała, zanim przystąpiła do wypełniania obowiązków dnia. Poważnie potraktowała zachętę z jego strony, a dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wyglądał jej towarzystwa, nie chcąc być sam ze złymi przeczuciami, jakie go ogarnęły.

Wkrótce wiedział, że ona już jest, chociaż weszła bez stukotu sandałów. Raczej ją wyczuwał, niż słyszał, i był pewien, że gdyby się odwrócił, zobaczyłby ją siedzącą z nabożnie złożonymi dłońmi, obserwującą z podziwem poganina, który maluje religijne sceny tak, jakby wierzył w każdą historię i symbol. Poczul się pokrzepiony jej przyjściem, a przecież nie kojarzyła mu się ani z postacią matki, ani siostry, ani w ogóle z żadną kobietą, jaką kiedykolwiek znał. Nigdy dotąd nie czuł podobnej obojętności wobec płci, a tylko przyjazną więź, wolną od trudności i wyzwania, jakie normalnie obciążają kontakt między mężczyzną i kobietą. Własna matka, często pijana albo zabawiająca takiego czy innego kochanka, miała dla niego bardzo mało czasu. Simonetta, którą kochał całym sercem, odtrącała go w imię zobowiązań wobec swojego Boga. Tymczasem siostra Bianca o nic nie prosiła, a poświęcała mu

czas, dzieliła się z nim wiedzą, tchnęła spokojem i przynosiła pociechę.

- Dzisiejszy temat? - dobiegł go łagodny głos.

- Święta Urszula.

- Aha, więc święta Urszula.

- Proszę o niej opowiedzieć. Wiem tylko tyle, że przedstawiana jest ze strzałami. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Snęła więc opowieść, jakby opowiadała bajkę dziecku, czego nigdy nie robiła jego własna matka. Jak w każdej historii i w tej były chwile szczęścia i chwile smutku, mieszały się z sobą dobro i zło. Nie oszczędziła mu niczego.

- Dawno temu w Bretanii żył dobry król, który miał na imię Teonotus. Jedyna córka była słońcem jego życia. Dbał o jej wykształcenie, tak że posiadała wiedzę o wszystkich ziemskich lądach i żywiołach. Potrafiła nazwać każdy kwiat i każdego ptaka, rozpoznawała ciała niebieskie i wymieniała nazwy krajów leżących na czterech krańcach ziemi. Księżniczka wyrosła na dziewicę równie piękną, jak mądrą, więc wkrótce starania o małżeństwo z nią rozpoczął Conan, syn króla Anglii, zamorskiego kraju, wówczas pogańskiego, który nie przyjął jeszcze chrześcijańskiej wiary.

Przeorysza ciągnęła swą opowieść, a Bernardino, jak to już było przedtem, widział opisywane przez nią sceny na pustej ścianie, na której miał malować. Nie rozumiał, co się z nim stało, że z taką ostrością widzi to wszystko, jakby był bratem jasnowidzów czy wróżbitów, czy proroków pogańskiego świata, a jednocześnie wizjonerem i prorokiem świętej wiary. Miał przed oczami pełne realizmu sceny. Patrzył właśnie, jak złota księżniczka, piękna i mądra, klęka i całuje w pergaminowy policzek siwobrodego ojca.

- Króla ogarnął wielki smutek z tego powodu, że opuścił go ukochana córka - opowiadała przeorysza - ale ona obłożyła zgodę na zamążpójście trzema warunkami.

Bernardino widział jak żywą Urszulę, gdy prostuje się, wysoka i smukła jak trzcina, by wygłosić mowę do angielskich emisariuszy.

- Po pierwsze, żądam, żeby ksiązę wysłał do mnie ze swego kraju dziesięć najszlachetniej urodzonych dam, które zostaną moimi towarzyszkami i przyjaciółkami; każda z tych dam ma przybyć z tysiącem panien służebnych dla siebie i jeszcze proszę o tysiąc takich panien dla mnie - mówiła Urszula. - Po drugie, ksiązę musi się zgodzić na odroczenie zawarcia małżeństwa i dać mi trzy lata na to, żebym wraz z przybyłymi do mnie pannami zwiedziła świątynie w dalekich krajach, dzięki czemu umocnimy się w wierze. Po trzecie, żądam, aby ksiązę Conan przeszedł na prawdziwą wiarę i przyjął chrzest. Nie mogę go poślubić, mimo że jest księciem wielkim i doskonałym, jeżeli nie będzie równie doskonałym chrześcijaninem.

Bernardino uśmiechnął się do siebie, podziwiając rezolutną młodą kobietę. Zwracając się do przeoryszy, ściszył głos, jakby Urszula była tu z nimi.

- Więc odmówiła mu siebie, bo chciała, żeby przyjął wiarę.

- Sądziła raczej, że Conan uzna warunki za niemożliwe do spełnienia i dzięki temu uwolni się od niego - powiedziała siostra Bianca. - Lecz Urszula była piękna jak żadna inna kobieta stąpająca po ziemi. Miała perłową cerę, lśniące jak złoto włosy i oczy niebieskie jak szata Madonny.

Bernardino przełknął ślinę, bo pomyślał o Simonecie, której oczy dokładnie odpowiadały temu porównaniu. Starał się bez powodzenia wywołać jej wizerunek z pamięci, żeby zobaczyć ją równie wyraźnie jak tę świętą, o której mówili. Nie potrzebował szczegółowego opisu Urszuli, ponieważ widział ją na ścianie przed sobą. Zaczął szkicować jej twarz szybkimi i pewnymi pociągnięciami, a Bianca mówiła dalej.

- Anglicy rozesłali listy na wszystkie strony, do Irlandii, Szkocji i Walii, prosząc książąt i możnych panów, żeby przysłali na dwór angielski swoje córki wraz z najpiękniejszymi i najszlachetniej urodzonymi dwórkami. Urszula zgromadziła wokół siebie jedenaście tysięcy panien i na zielonej łące nad strumieniem ochrzciła te, które jeszcze nie wyznawały prawdziwego Boga. Potem wyruszyły wszystkie do Rzymu, zamierzając odwiedzić tamtejsze świątynie. Droga oblodzonymi szlakami górskimi była tak trudna, że Bóg wysłał sześciu aniołów, by czuwali nad jedenastotysięczną pielgrzymką. Dotarły do Włoch i przemierzały krainę wielkich jezior, naszą ukochaną Lombardię, gdzie ośnieżone góry widzą w zwierciadłach wód swoje bliźniacze siostry. Na koniec dotarły do Świętego Miasta, gdzie wkrótce przybył Conan, żeby po trzech latach złączyć się z panią swego serca i otrzymać błogosławieństwo od samego papieża. Urszula pokochała narzeczonego. Zapoznał się bowiem z zasadami wiary chrześcijańskiej i przyjął chrzest. Nagiał się do jej woli, spełnił wszystkie postawione warunki, więc w imię Boga otworzyła mu swe serce.

Przed oczami Bernardina znowu pojawiły się wizje, ożyła ściana. Obserwował zmieniające się sceny, lecz nie mógł pozbyć się myśli, że tak wielkie szczęście stanowi zachętę dla fatum, zapowiada horrory, jakie przyśniły mu się w nocy. Słodkie chwile ustępują miejsca rozpacz, tak stało się z jego miłością do Simonetty. Przeczuwał, że Conana i Urszulę też czeka rozłąka, i ogarnęło go wielkie współczucie dla pary, która w świątyni klękała właśnie do modlitwy.

- Pokłoniwszy się Bogu w świątyniach apostołów Piotra i Pawła, pielgrzymka wyruszyła w dalszą drogę do Kolonii.

Barbarzyńscy Hunowie, którzy oblegali to miasto, dostrzegli zagrożenie związane z jej przybyciem. Obawiali się,

że piękne uczestniczki pielgrzymki osiadą w mieście i po krótkim czasie zaczną wychodzić za mąż za zdobywców i nawracać ich na swoją wiarę, a w rezultacie dojdzie do chrystianizacji całego rejonu. Napadli na bezbronne, siejąc śmierć celnymi strzałami z łuków. Pierwszy padł książę Conan, u stóp swojej księżniczki. Okrutni żołnierze jak stado wilków rzucili się na kobiety i wyrznęli jedenaście tysięcy tych niewinnych owieczek.

Znowu Bernardino zobaczył na ścianie masakrę, którą melodyjnym głosem opisywała przeorysza. Wśród leżących na ziemi ciał szukał Urszuli. Był pewien, że gdzieś tam jest, ale żyje, musiał dokładnie znać jej los.

- Urszula, odważna i nieugięta, zniosła to wszystko z wielkim hartem ducha. Jej olśniewająca uroda i bohaterska postawa wzbudziły tak wielki podziw barbarzyńców, że ją oszczędzili. Pojmali stojącą samotnie nad martwymi towarzyszkami i powiedli do swojego króla. Ten, zauroczony jej pięknnością i odwagą, zaproponował, by go poślubiła. Odpowiedziała na to słowami wzgardy i potępienia, a rozsierdzony król napiął łuk i przeszył jej serce trzema strzałami, które ją zabiły. Jednak Urszula i jedenaście tysięcy dziewic przewyciężyły śmierć, ponieważ stały się sławne dzięki swemu męczeństwu. Urszula zrezygnowała z ziemskiej korony, ale zasłużyła na koronę w niebie. Została patronką tych wszystkich, którzy zginęli od strzał z łuku, a w tamtych czasach poległych w ten sposób było niemało. - Zakonnica zamilkła, bez wątplenia z nadzieją, że Bernardino przemyśli jej ostatnie słowa.

Zacisnął pięści. Nie mógł się pogodzić z morałem opowieści, przesłaniem o nieuchronności męczeństwa. Jakże był naiwny, mając przez moment nadzieję, że Urszula przeżyła. Przecież koniec jej życia upamiętniony był we wszystkich chrześcijańskich świątyniach. Pomyślał

natychmiast o Simonetcie i jej odwadze, która manifestowała się nie na polu bitwy, lecz w codziennym życiu. Przypominał sobie, jak z podniesioną głową przyszła do niego, żeby zarobić na dom, z jakim hartem ducha stawiała czoło w kościele szyderstwom obywateli Saronno i wreszcie jak była dzielna, gdy spojrzawszy na niego z okna, dała mu do zrozumienia, że ma odejść, chociaż wszystko poza wiernością Bogu przemawiało za tym, żeby byli z sobą. Wspominał, jak opowiadała o codziennych polowaniach na ptactwo, gdy mierząc z łuku do ofiar, wyobrażała sobie, że ma przed oczami wrogich Hiszpanów, którzy zabili jej męża. Czy znała historię Urszuli? Czy modliła się do patronki tych, którzy polegli od strzał? Szatę Urszuli pomalował złotą i białą farbą, a płaszcz jaskrawoczerwoną. Ognistorude włosy okalały jej bladą twarz i opadały na plecy. Siostra Bianca już poszła, a on jeszcze długo pracował. W jednej ręce Urszuli znalazł się pęk strzał, a w drugiej liść palmowy. Precyzyjnymi ruchami pędzla nakierował wzrok świętej na anioła z czerwonymi skrzydłami, który widniał poniżej. Domalował śmiertelną strzałę, złowieszczo wystającą z piersi Urszuli. Jej oczy, poważne, na pół zakryte wydatnymi lombardzkimi powiekami, nie wyrażały bólu mimo przeszywającej serce strzały; patrzyły na Elijaha, jakby umierająca kobieta mówiła, że przyszłością są dzieci. Na koniec Bernardino zmieszał biały pigment ze złotym i na głowie świętej umieścił niebiańską koronę - lekki ażurowy diadem z symbolicznym kwiatem lilii, wysadzany mieniącymi się srebrem i złotem diamencikami. Gdy skończył, popadł w zadumę, zadając sobie pytanie, czy Simonetta wykazałaby się podobną odwagą w obliczu wyboru między życiem i śmiercią. Nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że wchłania go ciemność, jaka już rozsnuwała się na dworze. Zszedł z platformy i niezgrabnie przyklękawszy, zaczął się modlić po raz pierwszy od wielu lat. Nieprzyzwyczajony do

modlitewnej płynności z trudem wiązał słowa i urywał zdania. Nie adresował modlitwy do nikogo, do żadnego ze świętych, ani do Ojca, ani Syna, ani Ducha Świętego. Błagał żarliwie, by nie nadszedł taki dzień, który zmusi Simonette do użycia łuku i strzał.



## ROZDZIAŁ 34

### Drzewo Rebekki

Manodorata z synami poddał się naleganiom Simonetty i pozostał w Castello. Stworzyła im w pałacyku namiastkę domu, wyposażając dzięki nowym możliwościom finansowym kilka komnat meblami i przedmiotami w stylu kastylijskim, które wyszukała w Pawii, a także w Como i Lodi oraz na innych targach, gdzie sprzedawała likier Amaretto. Manodorata nigdy nie wspominał Rebekki i Simonetta nie pytała o nią, bo wiedziała, że gdy tamtego tragicznego dnia po raz drugi przyszedł do Castello, ona już nie żyła. Jovaphet, za mały, żeby rozumieć, co się stało, pytał o matkę każdego dnia, ale dawał się pocieszyć karmelkiem czy pocałunkiem. Elijah, posępny i małomówny, codziennie moczył w nocy łóżko, budził się z krzykiem i rozpalonym czołem. Simonetta widziała, że Manodorata jest zbyt przygnębiony, żeby pocieszać synków, więc wzięła to zadanie na siebie. Kładła się spać z nimi, tak że Elijah znajdując w półśnie jej rękę, natychmiast głębiej zasypiał, nie uświadamiając sobie, że to nie Rebecca jest przy nim.

Z nadejściem wiosny Elijah zaczął przychodzić do siebie. Powracał mu uśmiech na twarz, a Simonetta nieraz słyszała, że śmieje się beztrosko, ścigając się z Jovaphetem w sadzie. To ją cieszyło, ale nie ustąpił niepokój o przyjaciela. Manodorata skupiony był wyłącznie na produkcji i sprzedaży amaretto, jakby jego serce umarło. W okresie kanikuły, gdy dni były dłuższe i wieczory jasne, przesiadywali we dwoje przy kominku i popijając migdałowy likier, rozmawiali o wspólnym przedsięwzięciu. W takich chwilach miała nadzieję, że Manodorata zacznie mówić o stracie, jaką poniósł. Nie mówił jednak, a ona też nie wspominała Bernardina, więc siedzieli razem z ranami w sercach jak dwie turkawki z obciętymi skrzydłami, skazane na to, że już nie będą latać.

Któregoś targowego dnia w Pawii do Simonetty i Veroniki podszedł ubrany na czarno mężczyzna. Przywitał je po hebrajsku i zapytał o Manodoratę. Obawiając się podstępu, Simonetta spojrzała pytająco na Veronicę, na której zdrowym rozsądku nauczyła się polegać. Niemowa skinęła głową, więc Simonetta powiedziała tyle, ile mogła, o Manodoracie i jego synach. Żyd zadał jeszcze kilka kurtuazyjnych pytań i się uklonił.

- Proszę mu przekazać najlepsze życzenia od Isaaca z Toledo - rzekł na pożegnanie. - Miałem szczęście, że kiedyś nazywał mnie swoim przyjacielem.

Simonetta znowu spojrzała na Veronicę.

- Dlaczego, signor, nie miałbyś powiedzieć mu tego osobiście? Zapraszam do mojego domu, gdzie znalazł gościnę.

Isaac wracał z nimi, a po drodze opowiadał Simonetcie, w jakich okolicznościach zaciągnął wraz z ojcem ogromny dług wdzięczności u Manodoraty, i gdy wysłuchiwała skomplikowanej historii o lichwie, procentach i ratowaniu przed bankructwem, podziwiała znowu poczucie solidarności u Żydów. Kiedy ona znalazła się w potrzebie, żaden chrześcijanin nie wyciągnął do niej ręki, to Żyd pospieszył jej na ratunek i zaoferował przyjaźń.

Na ganku loggii dwaj mężczyźni objęli się ramionami, a więc intuicja jej nie zawiodła. Wcześniej udała się na spoczynek, żeby nie przeszkadzać im w rozmowie. Miała nadzieję, że Manodorata otworzy się przed starym przyjacielem i zacznie wreszcie mówić o Rebecce.

\* \* \*

Isaac nie opuścił Castello. Simonetta doceniła jego status uczonego i zatrudniła go jako nauczyciela dla chłopców, gdyż uznała za konieczne zapewnić im dobrą edukację i dogłębną znajomość tekstów świętych ksiąg żydowskich. Nabywała wiedzę razem z nimi, gdyż Elijah lubił jej opowiadać historie i

przypowieści, z jakimi się zapoznawał. Dziwiła się, jak różne, a zarazem podobne są obydwie religie. Tymczasem lato ustąpiło jesieni, a w domu atmosfera się ociepliła. Wraz ze zmieniającymi się porami roku bardziej pogodny stawał się Manodorata. Simonetta obserwowała także z radością, że między Isaakiem i Veronicą nawiązuje się przyjaźń, która może się rozwinąć w coś więcej. Przyszedł też dzień niezapomniany. Elijah wpadł do kuchni, żeby pokazać znaną w ogrodzie czerwoną jaszczurkę. Leżała na jego ręce nieruchoma, ciepła, wysuwając języczek, wyglądała jak miniaturka smoka. Podniecony Elijah nazwał Simonettę mamą. Nie skomentowała tego, zbesztła go za błoto na butach, ale serce zabiło jej radośnie i mocno przytuliła chłopca. Wkrótce nazywanie Simonetty mamą weszło mu w nawyk, a Jovaphet poszedł w jego ślady. Simonetta z niepokojem spoglądała na Manodoratę, ilekroć chłopcy tak na nią wołali. Jego oczy pozostawały nieprzeniknione, ale synów nie strofował ani nie poprawiał. A ona cieszyła się pozyskaniem ich miłości. Nie przypuszczała, że dzieci mogą tyle dla niej znaczyć i że w jej poranionym sercu znajdą się nieograniczone pokłady uczucia. Marzyła niegdyś, że ten dom zapełni się większą rodziną, którą będzie kochała i która odwzajemni tę miłość. Myślała o dzieciach, które się z niej narodzą. Teraz uczyła się, że ciepło rodzinne znaczy więcej niż linia krwi.

\* \* \*

Wszystko było dobrze, póki nie przyszedł piekarz z Saronno. Dom stał się zamożny, więc Simonetta złożyła zamówienie na chleb i ciasta, żeby uczcić drugie zbiory migdałów i zrobić przyjemność chłopcom. Minał dokładnie rok od czasu, gdy zamieszkali w Castello, i pragnęła, żeby w rocznicę tamtego dnia nie nawiedziły ich złe wspomnienia. Manodorata, który był zajęty w sadzie, natychmiast poznał

piekarza po zezie i kartoflowatym nosie, ale patrzył na niego o ułamek sekundy za długo. Mając wciąż w oczach obraz tego niegodziwca, jak spluwa na prochy Rebekki, nie powstrzymał się od rzucenia mu nienawistnego spojrzenia. Przeklął swoją lekkomyślność, widząc, że piekarz natychmiast zawrócił muła. Manodorata nie miał na sobie futra, ubrany był jak zbieracze w czerwoną czapę i tunikę oraz niebieskie rajtuzy, a na sztucznej ręce miał rękawicę, ale wiedział, że mimo to został rozpoznany.

\* \* \*

Następnego dnia przyszli.

Zapadała noc i na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy. Manodorata zrywał ostatnie owoce z gałęzi największego migdałowca, który nazywał w duchu „drzewem Rebekki”. Chłopcy bawili się przy nim w ciuciubabkę. Przez wzgląd na pamięć matki zostali tego dnia ubrani w czarne tuniki, kontrastujące z czerwono - niebieskim roboczym strojem ojca, ale mimo żałoby byli weseli. Jeden biegał z opaską na oczach, drugi z witką w ręku - na zmianę. „Ślepy” wyciągał ręce i potykając się, usiłował złapać brata, który szturchał go witką i robiąc uniki, wołał „Ciuciubabka!”. Ten widok poruszył nagle Manodoratę, skojarzył mu się bowiem z szyderczą personifikacją synagogi. Jako symbol znienawidzonego żydostwa przedstawiana była w sztuce pod postacią Żydówki z oczami zasłoniętymi opaską, która miała sugerować oddawanie się ciemnym praktykom, oraz z głową kozła w ręku, co było jeszcze gorsze, gdyż miało wskazywać na kontakty z diabłem. Takie wyobrażenie synagogi Manodorata widział w katedrze w Strasburgu. Kamienna statua kobiety z opaską na oczach i pochyloną posepnie głową stała tam w jednej z nisz. Odwrócił się wtedy z obrzydzeniem i pomyślał, że nie warto się przejmować prostą ikonografią. Gdy dzisiaj naszło go to wspomnienie, uświadomił sobie, że

utrwalane w ten sposób przesady mają bezpośredni wpływ na jego życie. Przez nie stracił rękę i żonę, a teraz znowu czuł złowieszczy zapach zbliżającego się nieszczęścia. Po zachodzie zrobiło się zimno, Jovaphetowi zaczęły się kleić oczy, pora była wracać do domu. Manodorata odwrócił się, żeby zawołać dzieci, i musiał zmrużyć oczy - poraziło go jakieś światło, jakby już wschodziło słońce, potem pojawiło się drugie i kolejne.

Pochodnie.

Ogień zawsze zwiastował kłopoty dla niego i rodaków. Przygarnął synów i pospieszył aleją prowadzącą na ganek, niestety, drogę zagroził mu piekarz z pochodnią, która oświetlała jego odrażającą twarz z zezowatymi oczami.

Schwycili Manodoratę i przywiązali do drzewa Rebekki. Zacisnęli sznury okręcone wokół piersi tak mocno, że ledwo mógł oddychać. Krzyknął do chłopców, żeby uciekali, ale byli w takim szoku, że nogi wrosły im w ziemię. Widząc, że nie mają szans na ucieczkę, Manodorata, krztusząc się, zaczął ich uspokajać. To tylko zabawa, mówił. Krzyczeli jednak przeraźliwie, gdy przywiązywano ich do jego nóg i obkładano chrustem ich stopy. Unieruchomieni, próbowali się wyrwać z więzów, kwiląc żałośnie jak dwa zajaczki złapane we wnyki. Wołali „Tato!”, a łzy spływały im na żałobne ubranka. Czuł, jak małe rączki szukają po omacku jego rąk, a ramionka ocierają się o jego uda. Nic nie mógł zrobić. Byli zdani na łaskę Boga, a Bóg chyba odwrócił od nich oczy. Manodorata przebiegł wzrokiem po twarzach prześladowców z nadzieją, że wypatrzy kogoś z ludzkim obliczem, być może trzymającego się na uboczu, niepewnego, co robić. Gdyby znalazł się w tej gromadzie ktoś zdradzający wahanie, Manodorata błagałby go do ostatniego tchu nie o życie dla siebie, tylko o uwolnienie chłopców. Ale wszystkie twarze były wrogie, oczy złe i z każdych ust padały ordynarne

epitety, przed jakimi przez całe życie chronił uszy Elijaha i Jovapheta. Wzniósł oczy ku gwiazdom, obojętnie spozierającym z czarnego nieba, a potem przeniósł wzrok na czarną drabinę, którą motłoch przyniósł, żeby łamać gałęzie na stos. W tym momencie Manodorata zrozumiał, że nie ma ratunku. Ta godzina została zapisana w jego losach. Sen, jaki mu się przyśnił, miał się zmaterializować. Koszmar senny stawał się żywym obrazem. Oto był przywiązany do drzewa, a dzieci do jego nóg - trzech męczennicy czekający na śmierć w płomieniach. Otaczało ich dziesięciu mężczyzn, z których sześciu zbiło się w szydzącą grupę na czele z piekarzem, a czterej siedzieli na koniach. Dokładnie jak w jego śnie: na białym, czerwonym, czarnym i siwym. Niebo wyglądało jak czarna otchłań i Manodorata wiedział, że stanął u kresu. Spojrzał w dół na dwie blond główki i zaczął wykręcać ręce, aż sznury poprzecinały mu ciało. Wiedział, że się nie uwolni, ale chciał po raz ostatni dotknąć złotych loków dzieci. Ciepłych i jedwabistych.

- Kocham was - szepnął. Nigdy im tego przedtem nie powiedział i nigdy więcej nie powie.

Zbliżył się piekarz z pochodnią i cuchnącą flegmą plunął mu w twarz. Manodorata nawet się nie wzdrygnął ani nie nadstawił drugiego policzka, jak nakazuje Biblia, tylko wwiercił się wzrokiem w szpetne oczy piekarza i przeklął go za to, co uczynił. Ten, zdetonowany, spuścił głowę i w geście zemsty rzucił pochodnię w podłożone drewno. Siarczyście zaklął, gdy chrust nie zajął się ogniem. Manodorata usiłował przydeptywać iskry spętanymi nogami, ale nawet nie było takiej potrzeby, gdyż ogień nie chciał się rozpalić. Wyczuł nagle pod stopą okrągły kamień nagrobny Rebekki, który zagrzebał w tym miejscu przed rokiem. Wiedział, że ona jest tutaj z nimi. Płomyk nadziei ożywił mu serce, ale zgasł szybko, bo piekarz nasączył oliwą z oliwek sznury na jego

piersi i przytknął do nich płonąca główńię. Czując, że jego ciało się smaży, Manodorata wiedział, że z nim koniec, ale na szczęście płomienie szły w górę, nie liznęły jeszcze głów chłopców. Być może Bóg patrzy na to, odpowie na błagania i ich uratuje, pomyślał. Zamknął uszy na szyderstwa oprawców i płacz dzieci. Wzniósł oczy ku niebu i próbował się modlić po hebrajsku, ale w skołatany umyśle, przyćmionym niewyobrażalnym bólem, nie odnajdywał błagalnych pacierzy. Nasuwały się tylko słowa, które wypowiadał Elijah podczas ich ostatniej wspólnej wieczerzy przed śmiercią Rebekki: „Połóż nas do snu, Adonai, nasz Panie; pozwól nam wstać do życia, Królu nasz, i rozłóż nad nami płaszcz pokoju”. Zanim wypowiedział „amen”, płomienie sięgnęły jego gardła.

\* \* \*

Simonetta, którą do okna ściągnęła luna, pomyślała w pierwszej chwili, że płonie las i stamtąd idzie ogień, zaczynając pożerać jej drzewa. Natychmiast jednak dostrzegła z przerażeniem krąg płonących pochodni, przywiązane do migdałowca postacie ojca z synami i otaczających drzewo mężczyzn i konie. Nie zastanawiała się nad wyborem broni: niewiele wiedziała o arkebuzie - ani jak go trzymać, ani jak z niego strzelać - a czasu na zwłokę nie było. Sięgnęła po łuk i strzałę, napięła cięciwę. Wycelowwała grot w piekarza, bo wydawało się, że wodzi rej w gromadzie, ale coś ją powstrzymało. Twarz Manodoraty nad językami ognia. Simonetta zmusiła się, żeby spojrzeć na przyjaciela. Nie okazywał bólu, patrzył na nią, nie odrywał od niej szarych oczu błyszczących w osmalonej twarzy, potem lekko skinął głową i na koniec przymknął powieki. Zrozumiała, że go nie uratuje, ale już wiedziała, co ma zrobić. Kiedy płomień liznął brodę Manodoraty, wypuściła strzałę prosto w obwiązaną sznurami pierś. Była pewna, że przeszła serce, ponieważ natychmiast opadła mu głowa. Wszystko odbyło się w

mgnieniu oka. Trzęsąc się na całym ciele, zbiegła po schodach, na dole odciągnęła od drzwi Isaaca, który ruszał przyjacielowi na pomoc. Veronica szykowała swoje maltańskie sztylety, ale Simonetta pokręciła głową.

- Zostań w domu - syknęła. - Za dużo ich jest, dobiorą się także do ciebie.

Schodząc z ganku, Simonetta opanowała cisnące się do oczu łzy i wysoko uniosła brodę. Kurczowo zacisnęła jedną pięść na łuku, a drugą na pęku strzał, by ukryć drżenie rąk. Miała na sobie białą suknię oblamowaną futerkiem. Wyglądała jak przywrócona do życia święta Urszula. Zdawała sobie sprawę, że prawdziwy test dopiero ją czeka. Zmierzała w stronę tłuszczy z poczuciem, że chyba nastąpił koniec świata, widziała spadające z nieba gwiazdy. W stanie rozgorączkowania niewiele docierało do jej świadomości, lecz gdy zimne kwiatki obsypały jej policzki, zdumiała się. Płatki śniegu. We wrześnie! Spełniała się Apokalipsa świętego Jana i zapłakało niebo.

Stanąła twarzą w twarz z piekarzem, gdy ogień trawił jeszcze ciało jej przyjaciela, przesycając powietrze nieznaną wonią przypiekanego ludzkiego mięsa. Krople gorącego tłuszczu skapywały na głowy płaczących chłopców. Chociaż bała się, że ogień może sięgnąć ich włosów, odwróciła się do tłumu, maskując się okrutnym uśmiechem.

- Celny strzał, signora - odezwał się piekarz z szacunkiem, bo wzbudziła jego podziw. Słyszał krążące plotki o tym, że dziwka z Saronno przygarnęła Żydów i z litości dała im u siebie pracować. Najwyraźniej nie taka była prawda.

- Miałam prawo wysłać na tamten świat niewiernego nędznika, który wtargnął na moją ziemię - zmusiła się do wypowiedzenia tych słów.

Rozległ się szmer aprobaty.



- Zamierzaliście spalić również żydowski pomiot - dodała. - Ale widzę, że zamokła podpałka. - Ten cud się rzeczywiście zdarzył.

- Ano - rzekł piekarz, bez wątpienia prowodyr. - Musieliśmy nasączyć oliwą sznury i pomogło, a on dzięki temu bardziej cierpiał, bo najpierw przypiekało się jego serce.

Simonetta nakazała uszom nie słuchać opisu mąk, w jakich umierał jej najdroższy przyjaciel, i pod sypiącym z nieba śniegiem podeszła do drzewa. Ujęła w dłonie twarz Elijaha i podniosła mu głowę, by spotkały się ich oczy.

- Zaufaj mi - powiedziała bezgłośnie, odwrócona plecami do oprawców. A potem zwróciła się do nich. - Dobrzy ludzie - zaczęła - okażcie mi przyjaźń i zostawcie te szczenięta ze mną. - Rozczapierzyła palce Elijaha. - Tymi małymi rękami mogą dla mnie pracować. Daję wam słowo, że wychowam ich w chrześcijańskiej wierze. Mają niewiele lat i nie zdążyli się zainfekować hebrajską zarazą. Bóg uśmiechnie się do nas w podzięce za powiększenie jego trzody o dwie owieczki.

Rozległ się pomruk zgromadzonych, wstrzymała oddech.

- Dobrze mówi - odezwał się sprzedawca odpustów. - Tak uczy nas Pismo Święte.

- To prawda - dołączył karczmarz. - Sam mam dwóch malców. Ja bym tych chłopczków oszczędził. Ich ojciec popełniał grzechy i za nie zapłacił.

Simonetta nie była w stanie patrzeć na zwęglone ciało przyjaciela. Błyskawicznie wyciągnęła nóż myśliwski i przecięła więzy chłopców, drżąc z niepokoju, że ktoś jej w tym przeszkodzi. Chciała ich przytulić, lecz z tym musiała poczekać. Kwilących i lejących łzy szarpnęła niemal brutalnie za nadgarstki.

Mężczyźni zaczęli się rozchodzić, tylko piekarz się ociągał, a oczy rozbłyskiwały mu chciwością na myśl o ręce ze złota, której nie stopił ogień.

- Niech się nim nasycą kruki - rzekła Simonetta na koniec, ale piekarz nie odchodził. Sprowokowała go jednak do konkretnego pytania.

- A co z ręką?

Szybko znalazła odpowiedź.

- Dam ją ojcu Anselmo. Sprawiedliwie się stanie, jeśli złoto niewiernego zostanie spożytkowane na święte cele.

- Ona ma rację - poparł pomysł sprzedawca odpustów, jej największy sprzymierzeniec. - Dlaczego ty miałbyś je dostać? Jeżeli złoto pójdzie do kościoła, skorzystamy wszyscy, nie musi puchnąć akurat twoja sakiewka. - Odciągnął kompana, ale zanim odeszli, pokłonili się, wprawdzie niezbyt nisko, dali jednak do zrozumienia, że nabrali do niej szacunku. Simonetta błysnęła miłym uśmiechem, choć podziw ze strony tych ludzi przyprawiał ją o mdłości. Bojąc się, że może być obserwowana, szorstko wepchnęła dzieci do domu, ale gdy tylko przekroczyła próg, nogi się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę u stóp Isaaca i Veroniki. Złapała Isaaca za rękę.

- Teraz tylko ty możesz mu pomóc. Odczekaj trochę, musisz mieć pewność, że sobie poszli. Odetnij go od drzewa, ubierz godnie i odpraw rytuały zgodne z waszą religią. Zasłużył na lżejszą śmierć, skoro jednak tak odszedł, teraz należy mu się wszystko co najlepsze. Ja muszę położyć chłopców spać.

Veronica pomogła jej wykopać i ułożyć milczących i bladych malców do snu. Wspominając dzień, kiedy opiekowała się nimi po raz pierwszy, po śmierci ich matki, Simonetta zdała sobie sprawę, że minie sporo czasu, zanim się uspokoją. Na razie padali z nóg po szoku, jaki przeżyli dzisiejszej nocy. Pocałowała klejące się oczy jednego i drugiego, ale tym razem nie zapewniała, że wszystko będzie dobrze. Złożyła obietnicę, z której będzie mogła się wywiązać.

- Zaopiekuję się wami - przyrzekła.

\* \* \*

Simonetta zeszła na dół i przyłączyła się do czuwającego przy drzewie Isaaca. Wykopał już dół na ciało, czarny na tle białej ziemi. Drżała z zimna i emocji, starając się zrozumieć, co się stało. Jak to możliwe, że najbliższy przyjaciel odszedł w mgnieniu oka i leży tutaj martwy? Zginął z jej własnej ręki? Przykryty opończą Isaaca z białą - czarnej skóry czeka na pochówek. Nie widziała żadnego wybrzuszenia, więc domyślała się, że strzała została wyciągnięta z jego piersi. Była wdzięczna Isaacowi za wzięcie tego na siebie, bo uniknęła widoku wbitego w serce grotu, który sama tam posłała. Jestem tchórzem, oskarżała się, patrząc, jak padający śnieg zmienia łaciatą opończę na nieskazitelnie białą.

- Teraz jest jak trzeba - powiedział Isaac. Simonetta zamrugała, by otrząsnąć z powiek płatki śniegu.

- Co jest jak trzeba? - spytała. Bo przecież tej nocy w ogóle tak nie było, świat się przewrócił do góry nogami. Grube płatki śniegu stwarzały iluzję, że z nieba spadają gwiazdy, i jej samej wydawało się, że leci w bezkresną otchłań.

Isaac wskazał na ciało przyjaciela.

- Całun zrobił się biały. Takiego koloru powinien być tachrihim, w jaki ubieramy naszych zmarłych. Widzę w tym rękę Boga.

Simonetta, milcząc, podwinęła rękawy złotej sukni i wzięła drugą łopatę. Zadziwiło ją, że Isaac odwołuje się w takim momencie do Boga, skoro ten opuścił swojego wiernego wyznawcę i zabrał go niewinnym dzieciom. Wyobrażenia nasunęła jej nagle obraz opisywany przez Manodoratę, kiedy po raz pierwszy szczerze z sobą rozmawiali, tu, pod drzewami. Serce przebite strzałą w rękę świętego Augustyna, który winę za śmierć Chrystusa zrzucił na Żydów. Ten symbol wydał jej się teraz niezwykle znaczący i ważny, ale

skołatany umysł nie potrafił zgłębić jego sensu. Wiedziała tylko, że jeżeli zobaczy kiedyś wizerunek świętego, to w jego rękę będzie biło serce przeszyte strzałą z jej łuku. Serce jej przyjaciela. Pracowali dalej w milczeniu, przyłączyła się do nich Veronica. Kopali grób, a śnieg sypał z nieba. Zadźwięczała nagle łopata Simonetty w zetknięciu z metalem, w ziemi błysnął złoty pierścień. Wytarła go o suknię i w jasnym świetle księżycy ujrzała gwiazdę z sześcioma ramionami.

- To Rebekki - powiedział Isaac. Simonetta kiwnęła głową i poczuła, że spazm szloch lodowatą ręką ściska jej gardło.

Skończyli kopać i złożyli ciało do zimnej ziemi, a wtedy Isaac zaintonował ostatni obrzęd. Tehillim. Odmawiał słowa tego samego psalmu, którym żegnał żonę Manodorata. Simonetta nie odkryła ciała, ale zanim zaczęli przysypywać je ziemią, ukłękła, sięgnęła pod całun z opończy i wymacała złotą rękę. Wsunęła pierścień Rebekki na zimny palec z metalu, który pod jej dotykiem zrobił się ciepły, jakby Manodorata żył jeszcze. Gorące łzy popłynęły jej z oczu. Jego ciało ulegnie rozkładowi, pomyślała, ale te dwa symbole męża i żony będą spoczywać w tej ziemi na wieki. I natychmiast ślubowała w duchu, przy tym grobie i pod tym drzewem, że złota ręka pozostanie w tym miejscu i nigdy nie trafi do skarbca Anselma. Wiedziała, że on to zaaprobuje.

Zasypali ziemią grób, a czarny kopczyk w jednej chwili pokrył się bielą, bo śnieg sypał gęsto. Veronica wzięła Simonettę pod rękę, by ją zabrać do domu, dając do zrozumienia, że należy Isaaca zostawić teraz samego. Kiwnąwszy potakująco głową, nauczyciel dotknął drżącego ramienia Simonetty.

- Nie ma tu jego rodziny - rzekł - więc ja przyjmę na siebie rolę szomrim, strażnika zmarłego. Zostanę tutaj jakiś czas, będę przy nim czuwał, modląc się.

Simonetta skinęła głową. Poczwała się nagle śmiertelnie zmęczona, a mimo to nie była pewna, czy zdoła zasnąć po tym, co widziały jej oczy. Trzymana pod rękę przez służącą - a tak naprawdę przyjaciółkę - poszła do domu i od razu udała się na górę, żeby położyć się w komnacie z chłopcami, w razie gdyby potrzebowali jej w nocy.

Po tym, co zrobiła, była w stanie fizycznego i psychicznego wstrząsu. Trzęsły jej się ręce i szcękala zębami, chociaż w komnacie było ciepło. Kolana dygotały przy każdym kroku. Gdyby teraz miała napiąć cięciwę i wycelować, nie byłaby do tego zdolna. A przecież zaledwie godzinę temu, pod wpływem chłodnego impulsu, wykonała błyskawiczną egzekucję. Zabiła człowieka. Przeszła strzałą bijące serce, a fakt, że to serce i tak umierało, nie umniejszał wagi jej uczynku. Czy rzeczywiście Lorenzo zabijał każdego dnia podczas swoich długich wypraw wojennych, z powodu których zostawiał ją samą? Ona odebrała życie z litości, on to robił dla chwały, zwycięstwa, politycznych korzyści. W odruchu, który ją zadziwił, złożyła drżące ręce, przyklękła na miękkich kolanach i dzwoniąc zębami, poruszała ustami w modlitwie. Przez miesiące była oddalona od Boga, lecz teraz, po szokujących i makabrycznych wydarzeniach wieczoru, podziwiała niezłomną wiarę Isaaca, mimo że tej postawy nie rozumiała. Nie modliła się od wyjazdu Beraardina. Wiedziała, że nie musi błagać o przebaczenie za skrócenie życia Manodoraty, ponieważ kładła kres jego męczarniom i ratowała jego dzieci. Nie modliła się ani o wybaczenie, ani o duszę przyjaciela. Na to będzie jeszcze czas. Poczwała nagle potrzebę podziękowania Bogu za cud, anomalię pogodową, która sprawiła, że padający śnieg zmoczył podpałkę i nie

zapłonął ogień, w którym zginęłyby dzieci. Odświeżyły się w jej pamięci żywoty świętych i przypomniała sobie historię świętej Łucji, uratowanej od spalenia żywcem dzięki temu, że nie udało się rozpalić stosu. Przypomniała sobie również świętą Apolonię, która dobrowolnie rzuciła się w ogień i zginęła na stosie jak Manodorata. Miała teraz te przypowieści w małym palcu, jakby czekały na nią - zatarte przez jakiś czas w jej pamięci - a przywołane, wróciły do jej komnaty jak zagubieni przyjaciele. Wyjrzała przez okno na księżyc i gwiazdy i ze złożonymi dłońmi przemówiła do świętych kobiet, z których jedna trafiła do raju bez oczu, a druga bez zębów. - Dziękuję wam - powiedziała tylko.

## ROZDZIAŁ 35

Hrabina Challant

Bernardino przywykł do rytmu godzin kanonicznych. Jutrznia, pryma, tercja, seksta, nona, nieszpory, kompleta. Brzmiały dla jego ucha jak kroki: marsz pojedynczych sylab - jutrznia, pryma, tercja, seksta, nona - przechodzący na zakończenie modlitewnego dnia w bieg podwójnych - nieszpory, kompleta. Ścigaj się ze słońcem przed zachodem, przyspieszaj z oddawaniem czci Bogu, nim zapadnie noc, i zacznij nowy dzień pacierzami od brzasku. A wbrew temu nie odczuwało się tutaj żadnego pośpiechu, narzucanego tempa, gorączkowości. On też pracował spokojnie i tylko śpiew sióstr podpowiadał mu, ile czasu poświęcił na dany fragment. Czuł się dobrze w monotonii tego miejsca i wśród zakonnic kontemplujących na dziedzińcu, pracujących w ogródku ziołowym, głośno czytających Pismo Święte. Zamieszkiwał w świecie, gdzie nie było ostrych słów ani gwałtownych namiętności. Nie było hałaśliwego zgiełku, tylko szmer pacierzy, nie słyszał odgłosów donośniej szych niż szelest habitów na kamiennych alejkach, nic nie atakowało jego uszu poza śpiewną recytacją psalmów. Przyjaźń z siostrą Biancą działała jak balsam, będąc naturalną kontynuacją przyjacielskich więzi, jakie zadzierzgnął z jej bratem, dobrodusznym księdzem z nieprawego łóża. Uśmiechał się skrycie, myśląc o podobieństwie między nimi z powodu więzów krwi i o tym, że każde z nich, czy to z prawego, czy z nieprawego łóża, dziedziczyło wiele cech wspólnego ojca.

Bernardino wstawał radośnie każdego ranka, by rozpocząć kolejny dzień dekorowania tego zacisznego miejsca i kolejny dzień sycenia się otaczającą go pobożnością, którą wchłaniał niczym gąbka. Od tamtej nocy, kiedy klęknął i się modlił, zaczął niepewnie rozmawiać z Bogiem pod nieobecność siostry Bianki. Oczekując dzisiaj przyjścia przeoryszy,

przystąpił do malowania świętej Katarzyny w nastroju wewnętrznej równowagi. I spokoju. Tym bardziej więc zaskoczyło go gwałtowne wejście Bianki i jej zdenerwowanie. Rozerwała kokon jego spokoju i przeniosła go w jednej chwili do innego świata, świata przemocy, namiętności i śmierci.

\* \* \*

- Co się stało?

- Potrzebuję twojej pomocy, Bernardino. Czy zejdiesz? - Jej głos był nagły i kategoryczny. Takiego nie znał.

- W jakiej sprawie? - Bernardino był zaintrygowany.

- Jest mało czasu - nagliła przeorysza. - Bliska mi osoba jest w poważnym niebezpieczeństwie. Dobrze, że masz na sobie szaty konwersa. Tak ubrany będziesz w tłumie bezpieczny.

- W tłumie? - Za habit Bernardino był wdzięczny. W ostatnich miesiącach zaledwie kilkakrotnie wybrał się do miasta, a były to wyprawy niezbędne: spotykał się z patronem i kupował pigmenty, i za każdym razem miał świadomość, że kardynał wciąż może go poszukiwać. Jakby odczytując jego myśli, przeorysza postawiła sprawę jasno.

- Wiem, że narażasz życie, signor, wychodząc poza te mury. Nie proszę cię z lekkim sercem. Czy pójdziesz ze mną, czy nie?

Zastanawiał się tylko przez moment. Z natury był raczej odważny, a jeszcze więcej miał w sobie naturalnej ciekawości, więc podniecała go perspektywa zobaczenia, co się dzieje w Mediolanie.

- Oczywiście, że idę.

Bez dalszych wyjaśnień siostra Bianca poprowadziła go do cyrkowej wieży, przeszli przez herbarium i boczną furta wyszli na zewnątrz. Corso Magenta była zatłoczona, więc posuwali się wolno w kłębiącym się tłumie, brzęczącym niepokojąco jak tysiąc os. W nagłym odruchu Bernardino



spojrzał do tyłu na fronton klasztoru z jego fasadą z kamienia z Ornavasso i marmurowymi gzymsami, tak jak dziecko patrzy tęsknie na dom, z ociąganiem wyruszając do szkoły. Opuściwszy bezpieczne schronienie wewnątrz klasztornych murów, poczuł się bezbronny, nękany złymi przeczuciami. Słońce wychylało się nieśmiało zza chorobliwie żółtoszarej chmury i świeciło przyćmionym blaskiem niczym kometa zapowiadająca nadejście zarazy lub wojny. Bernardino nasunął głębiej kaptur i starał się nie patrzeć na twarze w tłumie, które wydawały mu się szpetne i złe w porównaniu z anielskimi obliczami sióstr. Pociągnął przeoryszę za rękaw.

- Co to za tumult? Dokąd oni idą? Dokąd my idziemy?

- Żeby zobaczyć egzekucję. Przyspieszmy kroku, bo się spóźnimy.

- Proszę mi więc opowiedzieć o tym po drodze. Kogo mają spałaszować? - Widząc wyraźne przygnębienie Bianki, przygryzł wargę i pożałował niefortunnego słowa.

- Hrabinę Challant, drogą przyjaciółkę moją i mojej rodziny.

- A więc także i ojca siostry? Z pewnością się za nią wstawi.

- Sprawy zaszły za daleko. Lud domaga się jej śmierci.

- Lud? Dlaczego?

- Uznali, że mają moralne prawo osądzać ją za rozwiązłość obyczajów. Kobieta, której grzechem było to, że kochała więcej niż jednego mężczyznę, gwoli prawdy więcej niż dwóch.

Serce zabiło na alarm w piersi Bernardina. Oto dowód na to, że kobiety, które chcą mieć prawo do miłości, są skazane na potępienie. Jego rywal, Lorenzo, był co prawda martwy, a jednak jako duch z przeszłości sprawił, że on i Simonetta musieli się rozłączyć na zawsze. W Saronno została wyszydzona przez mieszkańców, a tutaj, w Mediolanie,

mogłaby nawet zostać skazana na śmierć za uleganie namiętności.

- Jak doszło to takiego finału?

Bianca zaczęła opowiadać historię hrabiny. Niesieni jak liście porwane prądem szli w strumieniu ludzkim, który przelewał się obok katedry i dyktował kierunek.

- Hrabina Challant, jedyna córka bogatego lichwiarza i Greczynki, mieszkała z rodzicami w Casale Monferrato. Panna niezwyklej urody została mimo pośledniego pochodzenia żoną hrabiego Ermesa Viscontiego, a była wtedy w szesnastym roku życia.

Bernardino słyszał o takich zamążpójściach.

- Ile lat miał mąż?

Bianca się uśmiechnęła i zniknęła bruzda między jej brwiami, by za chwilę powrócić.

- Wystarczająco dużo, żeby być jej dziadkiem. Zabrał ją do Mediolanu. Odwiedzała często dom mojego ojca i w żadnym innym nie bywała. Bawiła się ze mną, przy niej dorastałam, była dobra i pogodna, ale trzymano ją z dala od innego towarzystwa. Jej sędziwy mąż powiedział kiedyś mojemu przyjacielowi Matteo Bandellowi, że poznał jej temperament nadto dobrze, iżby pozwolić jej na kontakty z cieszącymi się zbytnią swobodą mediolańskimi damami. Po śmierci Ermesa, kiedy miała lat dwadzieścia, wróciła do Casale i bawiła się wesoło z licznymi kochankami. Jeden z nich, hrabia Challant z Valle d'Aosta, został jej drugim mężem. Uległ jej wyjątkowym powabom, ale nie układało się między nimi. Porzuciła go i zamieszkała w Pawii. Majątek ojca i pierwszego męża uczynił ją bogatą i mimo że przybyło jej lat, wciąż była piękna. Rzuciła się w wir uciech, miała znowu wielu kochanków.

Bernardino pomyślał sobie, że hrabina wiodła świetne życie, ale już przeczuwał, że w opowieści nastąpi zły zwrot.

Potrącany przez tłum, uchwycił rękaw habitu przeoryszy, żeby ich nie rozdzielono, ciekaw był dalszego ciągu.

- Trzeba wymienić dwóch kochanków hrabiny. To Ardizzino Valperga, hrabia Masino, i Sycylijszyk Don Pietro di Cardona. Hrabia Masino szybko jej się znudził, zwłaszcza że Don Pietro kochał ją namiętnym uczuciem młodzieńca. Na ślepo spełniał każde jej pragnienie. A kazała mu zamordować jego poprzednika.

Bernardino był zszokowany tym, że ta kobieta, wprawdzie grzeszna, okazała się morderczynią.

- Siostrze Bianco, wydaje mi się, że ta dama była w gruncie rzeczy złą istotą. Czy możesz jako służebnica boża bronić takiej kobiety? Wstawiać się za nią z nadzieją, że uniknie kary?

- Wszyscy jesteśmy grzesznikami, Bernardino. Ale żaden człowiek nie ma prawa odbierać innemu życia, tylko Bóg jest władny. Jeżeli ona poniesie śmierć, to książę Sforza będzie takim samym mordercą jak Don Pietro.

- Więc doszło do tego morderstwa? Jak to było?

- Mieszkała wtedy w Mediolanie. Don Pietro napadł na hrabiego Masino, gdy ten wracał z wieczornej uczyty. Zabił go, ale został schwytany. Wyjawiał potworną rolę damy swego serca i osadzono ją w więzieniu. Trzymają ją w Porta Giova, zamku Sforzów. Egzekucja ma się odbyć dzisiaj rano.

- Co możemy zrobić?

- Mam nadzieję, że ją wykupię. Bo chociaż postąpiła źle, już za to odpokutowała, a poza tym nie powinna odpowiadać za czyn popełniony przez kogoś innego. Chociaż noszę habit, jestem kobietą i serce pęka mi z żalu, że kobieta ma ponieść śmierć za to, co zrobił mężczyzna, choćby go do tego namawiała. Będę do niej apelowała, żeby wstąpiła do naszego zakonu i w naszym kręgu spędziła resztę życia, wzbudzając w sobie skruchę. - Tłum zatrzymał się na moment w miejscu i

przeorysza odwróciła się twarzą do Bernardina. - Zrozum, signor, kiedy myślę o hrabinie, nie widzę rozpustnicy, a tym bardziej morderczyni, tylko pełną delikatności damę, która w domu mojego ojca bawiła się z samotnym dzieckiem.

Fala ludzka spiętrzyła się przy katedrze, gdzie przekupnie czatowali na naiwnych. Sprzedawali podobiznę hrabiny, sławnej piękności o złotych włosach i nadobnej twarzy. Przeorysza i Bernardino z pochylonymi głowami torowali sobie drogę przez ciżbę. Handlarze oferowali wodę święconą do pokropienia ciała, a bardziej przedsiębiorczy potrząsali garściami żółtego końskiego włosia, wmawiając, że to włosy z głowy hrabiny. Na platformie z desek komedianci w groteskowych maskach odgrywali tragifarsę cielesnej żądzy i mordy. Obydwaj kochankowie biegali po scenie z ogromnymi fallusami z papier mache, a aktor w peruce z długich żółtych włosów smagał ich z sadystyczną lubieżnością różgą, póki smagły Sycylijczyk nie zabił neapolitańczyka, który wyrzucił w ciżbę gapiów czerwone wstążki, mające imitować krew. W finale wielki srebrny topór spadł na białą szyję hrabiny, żeby było więcej krwi.

Podniecenie tłumu sięgnęło szczytu, co wprawiło Bernardina w oszołomienie i poczucie zagubienia, zważywszy, że ostatnie miesiące spędzał w ciszy i spokoju. Zrozumiał, dlaczego przeorysza potrzebowała ochrony w taki dzień. Widział podekscytowane pary obściskujące się bezwstydnie i samotną dziewczynę, usiłującą się wyrwać z kręgu mężczyzn, którzy gwizdali i szarpali na niej suknię. Wzniósł oczy i zobaczył świętych stojących na szczytach wieżyczek katedry, patrzących ze smutkiem na sceny w dole. Na tle chorobliwie żółtego nieba oni też wydawali się aktorami. Bernardino poczuł w tym momencie niepokój o los hrabiny, która miała zostać ścięta za grzechy kochanków, i energiczniej zaczął przeć do przodu.

Zbliżali się do obwarowań Porta Giova, potężnej czerwonej twierdzy z blankowanym zwieńczeniem murów obronnych, która dawała bezpieczne schronienie Sforzom, odgradzając ich od miasta. Dzisiaj wieża zegarowa, Torre del Filarete, otworzyła podwoje i tłum wlewał się do wewnątrz pod złowrogim okiem zdobiącego herb Sforzów węża, groźnie unoszącego spirale cielska. Szykuje się do ataku, pomyślał Bernardino, do zabijania. Strażnicy, najemni żołnierze, których trzymali Sforzowie dla obrony zamku, mieli podniesione piki, przepuszczając ludzi. Ogromny dziedziniec, zwany Piazza d'Armi, był pełen gapiów, którzy rozpychali się, walcząc o jak najlepsze miejsca. Siostra Bianca wzięła Bernardina za rękę i poprowadziła go bokiem na schody wiodące na wewnętrzne pasmo murów, Girlandę. Czekał na nich ktoś w jasnoniebieskich jedwabiach, chodząc niecierpliwie tam i z powrotem. Uklęknął przed przeoryszą i pocałował pierścień z granatem.

- Witam, Matteo - pozdrowiła go przeorysza. - Gdyby nie to, że dzień jest ponury, byłaby okazja do bliższego poznania się dwóch wybitnych umysłów. Matteo Bandello, wielki pisarz, spotyka się z Bernardinem Luinim, wielkim malarzem. - Obydwaj mężczyźni uklonili się sobie i spojrzeli z ciekawością jeden na drugiego. Ten, który nie wyznawał Boga, miał na sobie skromny mnisi habit i mógł chełpić się urodą, która niezupełnie do stroju przystawała. Ten drugi, brzydki, niefaworyzowany przez naturę, miał na sobie szaty, jakich by się nie powstydział wykwintny dworak.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję porozmawiać później, wyrażam podziw dla pańskich dzieł, chociaż oglądałem tylko niektóre z nich - rzekł Bandello.

Bernardino, który czytał niewiele, nie mógł się odwzajemnić równie entuzjastyczną opinią o nowelach Bandella. Na szczęście ten zmienił temat, niezwłocznie podjął

ważną tego dnia sprawę, jego umysł pracował warkotem, a ręce żywo gestykulowały.

- Czy jest cała suma? - zapytał przeoryszkę.

- Tak - odrzekła. - Piętnaście tysięcy koron.

- Z klasztoru?

Nawet w takiej chwili się uśmiechnęła.

- Ułamek. To pieniądze od osoby, która zna hrabinę i dobrze jej życzy.

Bandello kiwnął głową.

- Alessandro Bentivoglio. Twój ojciec zawsze był szlachetnym człowiekiem. To typowa dla niego szczodrość.

Siostra Bianca odpowiedziała charakterystycznym dla niej półuśmiechem.

- I jest dyplomata - szepnęła konfidentycznie. - Dobrze wie, że ja muszę poprowadzić tę sprawę zamiast niego. Nie może sobie pozwolić na ujawnienie swego udziału. Hrabina naraziła się opinii, jemu tego zrobić nie wolno. Tak samo jak księciu; a właściwie gdzie on jest?

- Nie na oczach tłumu. Francesco Sforza nie zwykł narażać głowy, choć ma za sobą wiele wypraw wojennych. Można być jednak pewnym, że schroniwszy się w wieży Rocchetta, wszystko obserwuje. - Wskazał na część zamku, która miała okna. - Do Rocchetty można się dostać tylko przez most zwodzony, a ten jest teraz podniesiony. Miejmy nadzieję, że nazwa fosy, na którą jest opuszczany, nie stanie się prorocza.

- Jaka to nazwa? - spytał Bernardino.

- Fossato Morto. Fosa umarłych. - Bandello wykrzywił twarz w ponurym grymasie. Biorąc z ręki przeoryszki ciężką skórzaną sakwę, westchnął. - Dobrze, zobaczymy, co się da zrobić z tą sakwą. Poczekajcie. Wrócę niebawem. - Obserwowali niebieską sylwetkę znikającą w wielkiej okrągłej wieży, której nadano imię Bony z Savoy, dawno zmarłej pani

tego zamku. Z Girlandy widzieli, że tłum zaczyna być niespokojny, dziedziniec rozbrzmiewa śpiewami, przy czym pieśni nabożne konkurują z nieprzyzwoitymi karczemnymi przyśpiewkami, co miało ludziom skrócić oczekiwanie na obiecane krwawe widowisko. Bianca przymknęła oczy i zaczęła odmawiać pacierze. Bernardino, ogarnięty niepokojem, przerwał jej modlitwy.

- Czy nie próbowano zorganizować ucieczki? Przeorysza odpowiedziała, nie otwierając oczu.

- Była próba. Tajne przejścia łączą ten zamek z bezpiecznym światem: jedno prowadzi do Barco, na prywatne tereny łowieckie, ale stamtąd się łatwo wydostać, a drugie do klasztoru Santa Maria delie Grazie.

- Santa Maria delie Grazie? Przeorysza otworzyła oczy.

- Znasz, signor, to miejsce?

- O tak. Tam powstało Cenacolo, wielkie dzieło mojego mistrza.

Kiwnęła głową.

- Ostatnia Wieczerza. Nigdy nie widziałam tego malowidła. Wiadomo, że z tej fortecy do tamtego klasztoru prowadzi sekretna podziemna droga, zbudowana przez samego Ludovica il Moro, a korzystał z niej, żeby nocą chodzić do klasztornej kaplicy, gdzie pochował żonę. Wieść głosi, że jeszcze teraz można w nocy usłyszeć w tunelu szloch starego księcia. - Przeorysza się przeżegnała. - Tydzień temu hrabina próbowała uciec tą drogą do klasztoru, ale ktoś ją zdradził. Jedyne nasze nadzieje w okupie. - Zamknęła oczy i zaczęła przesuwając palcami paciorki różańca, zawieszonych u pasa.

Bernardino zamilkł. Patrzył na tłum, wyszukując co szpetniejsze twarze i starając się utrwalić je w pamięci. Pomyślał o książce, leżącej w jego celi obok Biblii. Libricciolo zawierało wiele groteskowych portretów ludzi,

którzy przyciągnęli uwagę Leonarda, ale w swojej głowie Bernardino niczym w bibliotece też zgromadził cały zbiór takich karykatur. W dzisiejszym tłumie znalazł wiele twarzy, które zamierzał unieśmiertnić na ścianach San Maurizio, gdy przystąpi do przedstawienia sceny ukoronowania cierniem i wyszydzenia Jezusa.

Jakiś zakonnik w czarno - białych szatach dominikanina wszedł na kwadratowy podest umieszczony na murze i nosowym głosem zaczął wygłaszać po łacinie diatrybę na temat rozwiązłości kobiet, która zaczęła się od grzechu Ewy i ciągnie aż po dziś. Jego napastliwość spotkała się z gorącą aprobatą - zarówno biegłych w piśmie, którzy znali łacinę i zgadzali się z jego wywodami, jak i ignorantów, którzy głośnymi wrzaskami i rechotem dawali upust swemu podnieceniu. Dominikanin przemawiał już jakiś czas, zanim Bernardino zorientował się, do czego ma służyć podest, na którym stał zakonnik, a wtedy przeszedł go lodowaty dreszcz, mimo że był w wełnianym habicie.

Wrócił Bandello. Niósł worek z pieniędzmi i zbliżając się, kręcił głową.

- Nikt nie chciał tego wziąć - oznajmił. - Nawet w tych czasach straszliwej korupcji nie ośmielają się oszukać motłochu żadnego rozrywki. Jej los jest przesądzony.

Bianca z posępną rezygnacją pokiwała głową i we troje przyglądali się rozwojowi wydarzeń. Z wieży Bony z Savoy wyłoniły się sylwetki dwóch mężczyzn w barwach herbowych, przybocznych gwardzistów księcia, a za nimi postać kobieca o jasnomiedzianych włosach. Trio przesuwano się wzdłuż krenelażu, ukazując się w kolejnych prześwitach, tak że Bernardino dobrze przyjrzał się pełnej figurze hrabiny ubranej w złotą szatę ze srebrnym lamowaniem. Tłum powitał wychodzącą z wieży smutną procesję gwizdami i szyderczymi okrzykami, wielu zaczęło rzucać przyniesionymi z rynsztoków



odpadkami i łajnem. Podchwyciono okrzyk: „Dziwka!”, który odbity od murów powracał echem na dziedziniec. Bernardino obserwował z podziwem spokój przeoryszy wobec dzikich wrzasków potępienia, a sam dziwił się w duchu, iż nieciekawie wyglądająca kobieta do tego stopnia rozpała serca dwóch kochanków, że ich myśli opanowała żądza mordy. Najlepsze lata miała hrabina za sobą, straciła smukłą kibić i jej skóra ogorzała od słońca jak u wieśniaczki. Był pewien, że nie naturze zawdzięczała złocisty połysk włosów, tylko smarowidłom, jakich weneckie damy używały do rozjaśniania pukli. Teraz odwróciła się do trzymającej tren jej sukni zapłakanej dwórki i ją pocałowała. Bernardino nie odrywał wzroku od twarzy, na której w uśmiechu zaznaczyły się dołeczki w policzkach i pojawił przeblysł piękna i zmysłowości. Zanim hrabina położyła głowę na czarnym podeście, odpięła kryzę. Do przodu wysunął się kat w kapturze. Gdy wolno schylała głowę, Bernardino z uprzywilejowanego miejsca, w jakim stali, mógł zaobserwować przepływającą przez jej twarz falę emocji. Zadowolenie z życia, jakie było jej dane, wspomnienie tego, że kochała i była kochana, żal za tym, co utracone na zawsze, wreszcie przeraźliwy strach. A nad tym wszystkim dominowały duma i poczucie wyższości oraz niezłomna wola odejścia z godnością, do jakiej się narodziła - tego nie przekazałby wyraźniej najlepszy z aktorów. Do oczu Bernardina napłynęły piekące łzy, bo to wszystko czuła żywa kobieta: nie jakaś święta na tynku, lecz istota, która właśnie patrzy na cień topora zwisającego nad jej głową. Sceny następowały szybko po sobie, Bernardino nie wierzył, że to dzieje się naprawdę, póki się nie skończyło. Najpierw z rozmachem opadł topór, a cherlawy blask słońca złożył pożegnalny pocałunek na ostrzu. Trysnęła krew i czerwone wstążeczki spłynęły na widzów. Stało się. Bernardino patrzył

na głowę w podniesionej wysoko ręce kata. Na wywrócone białkami oczy i policzki, na których nigdy nie ukażą się urocze dołeczki.

Wiedząc, że siostra Bianca cierpi, objął ją ramieniem.

Bandello zaś ujął jej rękę.

- Chociaż w tym momencie moja obietnica niewiele znaczy, przyrzekam mimo to opisać historię hrabiny, żeby nie poszła w niepamięć. Teraz muszę odejść, by nie narazić się chlebodawcom. - Pocałowawszy pierścień przeoryszy i skłoniwszy się Luiniemu, zniknął w rojowisku ludzkim.

Zaczęli grać minstrele i tłum w tanecznym korowodzie, niczym opity krwią i syty smok, ruszył z powrotem na plac katedralny, gdzie miał hulać przez resztę dnia.

- Zaczekaj tutaj, signor - odezwała się nagle siostra Bianca. - Muszę zobaczyć się z gwardzistą. Coś jeszcze mogę dla niej zrobić.

Słońce wschodziło coraz wyżej, na zamku zapadła cisza, Bernardino czekał. Kamienne mury się rozgrzały, krew na nich krzepła i wsiąkając w nie, upamiętniała to zabójstwo i wcześniejsze, a że jest to krew niewinna, niejako potwierdzało piękno architektoniczne zamku, gdyż jaskrawe słońce oświetliło ściany budowli, zwieńczenia schodów, sylwetki okrągłych wież na tle pomarańczowego nieba.

Siostra Bianca wróciła ze skórzaną sakwą, już nie pobrękującą, ale pełną, okrągłą i czarną u spodu. Bernardino poczuł ucisk w żołądku, odgadując, co jest w środku. Piętnaście tysięcy koron nie wystarczyło na kupienie życia, ale na to było ich dosyć.

- Chodźmy - powiedziała siostra Bianca. - Będziemy mogli dopełnić obrzędu.

\* \* \*

Tylko Bernardino i przeorysza wiedzieli, że głowa hrabiny Challant spoczywa w klasztorze San Maurizio pod ziołowymi

grządkami. Mimo jej grzechów przyjęło ją zgromadzenie zakonne i pozostała wśród sióstr, chociaż inaczej, niż pragnęła tego przeorysza. Bianca zagrzebała ją pod białymi kwiatami waleriany, słynącej z tego, że „leczy wszystko”, strzeże przed wszelkim złem i przynosi spokój i ukojenie. Gdy zabiły dzwony na nonę, cień cyrkowej wieży niczym gnomon padł akurat na tę grządkę i Bernardino zadumał się nad historią tego niegdyś jałowego i piaszczystego skrawka ziemi, wtedy centralnej części areny śmierci. Plac zabaw dla uciechy cesarza Maksymiana widział wiele. Więcej niż jedną głowę wdeptano w ten piach - może jeszcze w nim leżą - i pociemniał on od krwi pod warstwą darni. Krew zatętniła Bernardino w skroniach, gdy usłyszał ryk z wypełnionego amfiteatru i stanął mu przed oczami krwiożerczy cesarz, wymachujący ręką ze swojej łoży. *Populique voluptas*, czyli rozrywka ludu, jak to określił Auzoniusz. Na Boga, to samo Bernardino widział dzisiaj. Wyjąca tłuszczą żadna krwi. Zrozumiał, że spokój, jakim aż do dzisiejszego ranka cieszył się w klasztorze, był iluzją. Wokół tej oazy ciszy buchał życiem świat, pełen jak zawsze przemocy i okrucieństwa. Kiedy znaleźli się z przeoryszą w otwartej części kościoła, było zaledwie południe, a jemu wydawało się, że upłynął rok od chwili, kiedy wstawał w pogrążonym w ciszy i kontemplacji klasztorze. Wziął do ręki pędzel, ale nie mógł myśleć o niczym innym poza wydarzeniami przedpołudnia. Gdy szkicował błogosławioną Katarzynę, bezwiednie spod jego ręki z węglem wyłoniła się twarz hrabiny, ale nie miała znamion zmysłowości, tylko spokój i godność w obliczu śmierci. Ubrana w złotą szatę ze srebrnym haftem pochylała głowę przed zabójcą z mieczem.

- Święta Katarzyna - zwrócił się do siostry Bianki. - Co się z nią dokładnie stało?

Kolejny raz przeorysza opowiadała mu o jednej ze świętych męczennic, ale teraz głos jej drżał, przepełniony smutkiem, opowieść się rwała i nie mogło być inaczej po tym, czego obydwójce byli świadkami.

- Katarzyna pochodziła z wysokiego rodu i była do tego stopnia odważna, iż jako zaledwie osiemnastoletnia panna rzuciła wyzwanie prześladowającemu chrześcijan cesarzowi Maksymianowi i w ostrych słowach potępiła go za okrucieństwo.

Bernardino odwrócił wzrok od malowidła.

- Znowu ten Maksymian?

- Tenże. Katarzyna wyszła z debaty zwycięsko. Kilku adwersarzy, przekonanych jej argumentacją, zadeklarowało przyjęcie chrześcijańskiej wiary i tych natychmiast pozbawiono życia. Rozjuszony tym, że został upokorzony, Maksymian polecił Katarzynę wychłostać i ją uwięzić. Jednak oddziaływała nawet z celi i kiedy zdarzyło się wiele nawróceń, w tym żony cesarza, została skazana na łamanie kołem. Narzędzie tortury w cudowny sposób uległo zniszczeniu, gdy go dotknęła.

Bernardino z jakąś furją kontynuował pracę nad szkicem. Jego wyobrażenia nie rzucała dzisiaj na ścianę wyidealizowanych scen, które miała później utrwalić ręka. Dzisiaj widział tylko hrabinę i jej śmierć. Narysował koło, na którym miała być fizycznie i duchowo złamana, a potem pękające skutkiem interwencji aniołów tryby i rozsypujące się części mechanizmu. Inspirowany technicznymi rysunkami Leonarda, mówił za nim: nie ma Boga w maszynie, lecz maszyna jest w ręku Boga, i zdumiewał się, że ludzkość sama wymyśla okrutne tortury skierowane przeciw człowiekowi. Za plecami zabrzmiał głośniejszy urywany głos przeoryszy kończącej opowieść.

- Cesarz, nie panując nad wściekłością, wydał rozkaz, by ściąć Katarzynie głowę; anioły zaniósł jej ciało na górę Synaj, gdzie później wybudowano ku jej czci kościół i klasztor.

Zobaczył, że przeorysza wsunęła się głębiej w ławkę i zamknęła oczy, ale nie wiedział, czy modli się, czy płacze. Znieruchomiał i czekał, widząc jej ból i rozumiejąc, że wraz ze stratą przyjaciółki została pozbawiona czegoś jeszcze ważniejszego. Utraciła bowiem niewinność. Kiedy podniosła głowę, po jej policzkach spływały łzy.

Męczeństwo dostało nagle ludzką twarz w chwili, gdy obydwójce, dotąd żyjący pod kloszem, stali się świadkami zabijania jednego człowieka przez drugiego.

- Dobrze, że to widzieliśmy - powiedziała siostra Bianca.  
- Opowiadałam ci o świętych i grzesznikach, męczennikach i najszlachetniejszych ludziach. Siedziałam tutaj i karmiłam cię, signor, wzniosłymi homiliami o błogosławionych naszego Kościoła i okropnościach, jakie musieli znosić. Towarzyszyło mi przekonanie, że w ten sposób uczynię cię lepszym człowiekiem i pobudzę do wiary. Ileż w tym było arogancji i dumy! - Wstała i zbyt wzburzona, by siedzieć, zaczęła chodzić tam i z powrotem. - Do dziś nie wiedziałam, o czym mówię. Nie wiedziałam, ile trzeba mieć odwagi w obliczu śmierci. Pełnię swoją posługę w bezpiecznym miejscu, życie upływa mi na spokojnej kontemplacji. Wychowywałam się w bogactwie i wygodach i nigdy nie usługiwałam chorym ani nie siedziałam przy umierających. Ofiarujemy tutaj jałmużnę biednym, ale są to niekłopotliwi biedacy. Przed nami stają spokojni i zdrowi ludzie, a my rzucamy im pod nogi monety. Chorzy na ospę, kaleki z kończynami pożeranymi przez trąd, tacy nędzarze czekają na zewnątrz Kościoła Wiernych na powrót towarzyszy. Chociaż są żarliwymi wyznawcami wiary, nie są tu wpuszczani, żeby nie zarazić siostr. Nie zetknęłam

się bezpośrednio ani z chorobą, ani niebezpieczeństwem, ani śmiercią. Chowamy się przed światem. Nazywamy się oblubienicami Chrystusa, a wszystkie jesteśmy dziewicami. Nie wiemy, co to gorące łoże i do czego może popchnąć namiętność. Nic nie wiemy o miłości, rodzeniu dzieci i problemach kobiet świeckich. Od tej pory moja posługa się zmieni - zapewniła przeorysza, uderzając pięścią o dłoń drugiej ręki. - Moja wiara musi się sprawdzić w praktyce. Ja i moje siostry wyruszymy za mury, do miasta, pójdziemy z naszą posługą między ludzi, do pokrzywdzonych, żeby uczynić ich życie znośniejszym.

Bernardino był do głębi poruszony zmianą zadeklarowaną przez przeoryszę. Odwzajemnił się spostrzeżeniem, że jakaś zmiana dokonuje się też w nim. Zszedł ze swojej platformy i ujął rękę z pierścieniem urzędu.

- Ja też nigdy nie widziałem czegoś podobnego - rzekł. - Nigdy nie byłem żołnierzem i wyśmiewano mnie z tego powodu. - Zabrzmiały mu w uszach słowa Gregoria, których nie mógł zapomnieć. - Młodzi mężczyźni umierają, a ja ich tylko maluję. Wykrwawiają się na polu bitwy, a ja dobieram odpowiedni odcień karminu, żeby namalować ich krew. Każdej twarzy nadaję ostatecznie wyraz spokojnej akceptacji potwornego losu, lecz tylko idę za jakimś tropem, własnym wyobrażeniem tego, czym jest moment śmierci. Od hrabiny się wiele nauczyłem, bo zobaczyłem na ludzkiej twarzy rozstawanie się z życiem.

- Jeśli ją tutaj utrwalisz w malowidle, spłacisz jej należną daninę. Bóg uczynił nas różnymi. Twój talent nie objawia się we władaniu mieczem i w walce, zginąłbyś prawdopodobnie w pierwszej potyczce. - Bernardino uśmiechnął się smętnie. - Malujesz za to jak anioł. Być może ten dzień odmieni i mnie, i ciebie. Obydwoje przekroczyliśmy Rubikon i już nie ma dla nas drogi powrotu - oświadczyła przeorysza. - Tak się dziwnie

złożyło, że zmieniała nas śmierć nie osoby świętej, lecz grzesznicy. Jeżeli odtąd będziesz umiał malować to, co rzeczywiste, ludzkie, a nie tylko to, co święte, nikt ci nie dorówna, a śmierć mojej przyjaciółki nie będzie daremna.

I temu Luini sprostął. Inny artysta, którego również ten dzień zmienił, także dotrzymał złożonego przeoryszy przyrzeczenia i spisał historię życia hrabiny Challant. Zakończył ją następującymi słowami:

Tak więc nieszczęsnej kobiecie ścięto głowę, kładąc tym samym kres jej nieokiełznanym namiętnościom. A ci, którzy chcieliby ją zobaczyć jak żywą, niech udadzą się do kościoła przy Monastero Maggiore i tam będą mogli nasycić oczy jej portretem.

## ROZDZIAŁ 36

### Gołębnik

Selvaggio skończył pracę. Heblował, skrawał, szlifował i wreszcie gołębnik był bez zarzutu. Stał dumnie, lśniąć bielą świeżego drewna w bladym tego dnia słońcu. Solidny pał był głęboko wbity w ziemię, na nim trzymał się, zapraszając rezydentów, okrągły domek ze stożkową czapką i dwojgiem łukowatych drzwiczek. Podobieństwem do małej wieżyczki ożywił na moment pamięć, wyłonił się z niej obraz ginących w chmurach wież zamku Camelot, ale równie szybko zniknął. Selvaggio cofnął się o kilka kroków i z dumą patrzył na swoje dzieło. Na gołębi pałacyk. Pracował nad nim niestrudzenie, bo ten domek dla ptaków miał być imieninowym darem dla najdroższej mu osoby.

Upłynął prawie rok od dnia, kiedy w obronie Amarii położył trupem trzech najemników. Dziś Amaria i Nonna wybrały się na targ razem, bo po zeszłorocznych wydarzeniach w dniu świętego Ambrożego Amaria nigdzie nie chodziła sama. Babka z wnuczką poszły kupić wiktuały na ucztę imieninową. Miał być bulion mięsny z surowymi jajkami, czyli zuppa alla pavese, oraz chleb z masłem, a więc królewska kolacja - taką serwowano więzionemu królowi Franciszkowi I. Amaria upierała się także, że powinny odszukać damę w czerwieni, która sprzedawała słynny bursztynowy likier, bo być może uda się za skromny grosz kupić tyle napoju, by wystarczyło na wzniesienie toastu za świętego Ambrożego. Ponieważ wspomniała imię świętego, Selvaggio powrócił myślami do owego fatalnego dnia, kiedy zabił trzech Szwajcarów, ale tak naprawdę pamiętał dobrze tylko to, że wtedy po raz pierwszy trzymał Amarię w objęciach.

Od tamtego czasu zdarzały się nieraz takie kradzione momenty przy gasnącym palenisku, kiedy Nonna udawała się



już na nocny spoczynek. Pozostali niewinni, ale Selvaggio zdawał sobie sprawę z tego, że nie będzie w stanie dłużej kontrolować pożądania. Chciał mieć Amarię dla siebie, lecz zastanawiał się, czy ma prawo się żenić, nie znając swojej przeszłości.

Coś zatrzepotało u jego stóp, spojrzął w dół i uśmiechnął się do reszty imieninowego podarunku. W koszu siedziały pod siatką dwa śnieżnobiałe gołąbki, bijąc skrzydłami o metalowe pręty. Wyjął je wprawnymi rękami i posadził w drzwiczkach gołębnika. Powinien spać im skrzydełka, żeby nie odfrunęły, ale powstrzymał się od tego, bo wyglądały na zadowolone, że mogą tu zostać, więc nie chciał mącić ich szczęścia. Patrząc, jak dzióbkami czyszczą piórka, zastanawiał się nad imionami dla nich i zdziwił się, że z łatwością przypomina sobie legendy z przeszłości, jakby właśnie je odczytywał z jakiejś księgi. Herkules i Megara? Tristan i Izolda? Troilus i Kresyda? Czy może historia, którą polubił najbardziej, opisująca tragiczną miłość Lancelota i Ginewry, których przyłapał na grzesznym uścisku zdradzany Artur? Odrzucił je wszystkie, ponieważ te pary kochanków spotkał smutny los, a on chciał nadać gołąbkom imiona z historii o szczęśliwym zakończeniu. I już je miał. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, nie wiadomo skąd, taką parę kochanków. Idealną parę.

## ROZDZIAŁ 37

Kardynał otrzymuje podarunek

Gabriel Solis de Gonzales, kardynał Mediolanu, przyzwyczał się, że od swojej trzódki dostaje dary. Uważał, że jemu nie przystoi ubóstwo i wyrzeczenia. Bez zająknięcia wygłaszał w katedrze mediolańskiej kazania o wielbłądzie i uchu igielnym, sam jednak nie wierzył w wybór ubóstwa jako drogi do nieba. Był pewien, że ma zapewnione miejsce w raju za zasługi w oczyszczaniu świata z żydowskiej zarazy. Tak więc w ogóle się nie zdziwił, gdy trafiła do niego wykwintna w kształcie butelka likieru. Napój miał kolor palonego cukru, a kiedy kardynał wyjął korek z weneckiego szkła, połechtala go w nozdrza słodka woń migdałów. Chociaż sam podarunek przyjął jako rzecz naturalną, niemile go zaskoczyło, że wniósł go do komnaty nieznany służący, a nie lokaj, do którego przywykł. Był do tego niski i brzydki.

- Gdzie jest Niccolo? - spytał kardynał apodyktycznie, gdy tylko przypomniał sobie to imię.

- Zachorował, Wasza Eminencjo. To zimnica.

Kardynał starannie wytarł nos. Wolał pogodzić się z zastępstwem Niccola, niż się zarazić jakimś paskudztwem. A do wdzięczności za oddaną służbę nie zwykł się poczuwać.

- Jak masz na imię? - spytał.

- Ambrogio, Wasza Łaskawość.

- Hm. - Ma dobre mediolańskie imię, ale się nie nadaje, pomyślał kardynał. Jest coś takiego w jego twarzy, co mi przypomina Hebrajczyka. Wobec tego jego również trzeba będzie odprawić, ale zrobię to jutro, zdecydował. Likier kusił kardynała.

- Kto to przyniósł? Nie widzę listu od ofiarodawcy.

Służący zaszurał nogami.

- Nie wiem, Wasza Eminencjo. Przypuszczam, że przysłał to Jego Ekscelencja, sam książkę, ponieważ właśnie widziałem tutaj człowieka w liberii Sforzów.

Kardynał skrzywił się, niezadowolony z niekompetencji służącego. Odesłał go gestem ręki i już nie miał żadnych wątpliwości, że nigdy więcej nie zobaczy tej oferty. Jeśli o to chodzi, miał rację.

Nie mając asysty Niccola ani zastępcy z prawdziwego zdarzenia, kardynał sam zgasił świece i nie rozbierając się, wlażł na łóżko z baldachimem. Sięgnął po kielich stojący na nocnym stoliku i wypił go do dna, czytając hiszpańskojęzyczną księgę rozpraw o obcej, żydowskiej narośli. Rozkoszował się zarówno tekstami, jak i likierem, popijał, póki nie opróżnił butelki. Migdałowy aromat był rzeczywiście wyborny. Wreszcie książka wypadła mu z ręki, bo zasnął. Już się nie obudził. Był martwy. Nie wiedział bowiem, że smak migdałów ma również inny napój: śmiertelna mieszanka zawierająca kwas pruski. Sproszkowany wyciąg z suszonych liści laurowiśni jest tak trujący, że nawet handlarz truciznami, sprzedający je w uliczce na tyłach katedry w Mantui, ostrzegł damę, która ten proszek u niego kupowała, przed zabójczymi skutkami jego użycia. Kiwnęła na to głową i szybko chwyciła fiolkę białą ręką, która miała trzy palce równej długości, co zdążył zauważyć.

\* \*\*

Najnowszy i ostatni lokaj kardynała zbiegał po schodach pałacu swojego martwego pana. Zatrzymał się tylko na moment, żeby na liberię narzucić płaszcz i ukryć pustą butelkę, którą zabrał ze stolika przy łóżku kardynała. Wskoczył na konia czekającego za żywopłotem z cisów. Pędził galopem, póki nie znalazł się na otwartej przestrzeni. Rzeka jak szeroka srebrna wstęga wiała się w mroku nocy. Odrzucił butelkę jak najdalej od siebie i mimo tętentu

końskich kopyt usłyszał plusk, gdy rzeka przyjmowała na własność szklane naczynie. Do Villi Castello dojechał o świcie i zobaczył, bo niebo już zbladło, swoją panią czekającą w oknie. Od razu zeszła na dół, żeby go powitać. Był tak wyczerpany, że tylko zarzucił lejce na gołębnik, zostawiając konia, by skubał trawę, a sam niemal padł na ziemię. Nie męczyła go długim przepytowaniem.

- Widziałeś go?

- Tak.

- Koniec?

- Tak.

Odetchnęła z ulgą.

- Zwalniam cię dzisiaj z nauczycielskich obowiązków. Idź i się prześpij. - Gdy wchodził w drzwi, zawołała go jeszcze. - Isaacu?

- Tak, pani?

Szukała właściwych słów.

- Twój Bóg jest z ciebie dumny.

Uśmiechnął się uśmiechem, który potrafił czynić jego brzydką twarz piękną, i nakreślił ręką szalom.

- Twój także, moja pani.

## ROZDZIAŁ 38

### Chrzest

- Nie mogę tu dłużej zostać. Święta Katarzyna była ostatnia. - Znowu na podobieństwo wilka Bernardino zataczał ósemki w nawie kościelnej. - Muszę wyjechać. Jeżeli czegokolwiek nauczył mnie dzień wczorajszy, to tego, że nie ma rzeczy ważniejszej, niż przeżyć życie, jakie jest nam dane, choćby nawet w grzechu. Podczas pobytu tutaj zaprzyjaźniłem się z Bogiem. Wiem teraz, że Bóg istnieje, a przedtem myślałem, że go nie ma. Uważam, że mnie kocha, pomimo moich wielu wad. Lecz życie jest krótkie. Potrafię wreszcie malować. Nauczyłem się wczoraj. Muszę wyjechać i żyć zgodnie z moim przeznaczeniem, choćbym miał być za to wyklęty.

- Kim ona jest? - zapytała wprost przeorysza. Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Kto?

- Ta kobieta.

- Jaka kobieta? - Bernardino przebiegał w myśli ostatnie zdania, jakie wypowiedział, nie mogąc sobie uprzytomnić, żeby wspomniał imię Simonetty. Bianca odeszła kilka kroków i wskazała na świętą Urszulę.

- Ta tutaj - rzekła, po czym przeszła do kolejnego fresku z wyobrażeniem świętego Maurycego i wymierzyła palec w damę w czerwonej sukni widniejącą na drugim planie. - I ta. - Czarna szata omiatała podłogę, gdy przeorysza odwracała się do ściany, wymieniając kolejno: - Święta Agata i święta Łucja, i święta Apolonia. Nawet święta Katarzyna. - Wskazała na ostatnie malowidło. - W swojej kaplicy jest rzeczywiście podobna do hrabiny Challant. Ale tutaj, gdzie stoi obok świętej Agaty, znowu ma twarz tej tajemniczej damy. Dama ta patrzy na nas z każdego miejsca, a nigdy o niej nie mówiłeś, signor. Widzę ją nawet w mojej matce. - Pokazała ręką figurę

w bieli, klęczącą w lunecie nad postaciami Katarzyny i Agaty.  
- Moja matka była bardzo piękna, ale pochlebiłeś jej, bo tu jest niespotykanej urody. Nawet ja, która ją bardzo kochałam, muszę to przyznać.

Bernardino schował głowę w dłonie. Zaśmiał się.

- To niezbyt pochlebne podsumowanie moich malarskich dokonań.

Przeorysza usiadła na najbliższej ławce.

- Bernardino, wiesz, jak bardzo cenię twoje dzieło. Ale spójrz na nie. Wszystkie te postacie to ta sama kobieta, różnice są bardzo subtelne.

Przetarł oczy, żeby usunąć z nich zagadkową zasłonę, i kiedy znowu je otworzył, ogarnął freski świeżym spojrzeniem. Siostra Bianca miała rację. Od kiedy się tu znalazł, wciąż i wciąż malował jedynie Simonettę. Namalował ją jako świętą Urszulę spoglądającą w dół na anioła z czerwonymi skrzydłami o twarzy Elijaha. W scenie poświęcenia kościoła Świętego Maurycego namalował ją w czerwonej sukni, jakiej nigdy na niej nie widział, a którą dopracował z dbałością o każdy szczegół. Simonetta stała tam olśniewająca swoją doskonałością, w czerwieni przetykanej złotem, z włosami ściągniętymi do tyłu pod siatką z koronki naszywanej perełkami. Malowidło przedstawiało wielkie wydarzenia, bo przecież kościół wznoszono w miejscu, gdzie poległy tysiące, ale to dama w czerwonej szacie, ze złożonymi do modlitwy niespotykanymi rękami, przyciągała wzrok. Wydawało się, że mówi: jestem jedną z was, jestem świadkiem tego dnia. Bernardino zaśmiał się, gdy uświadomił sobie, że na dodatek przedstawił Simonettę na tle jej własnego domu, różowego pałacyku z eleganckim portykiem, a widział ten dom tylko raz, kiedy się z nią żegnał na zawsze. Namalował nawet okno, w którym stała tamtego dnia, a w oknie drobną figurkę ze

złotorudymi sięgającymi ramion włosami, ubraną w męski kaftan myśliwski.

Była wszędzie. Bemardino obracał się, a jego wielkie dzieło odsłaniało się w kolejnych scenach. Każda kobieca postać, jaką namalował od przyjscia tutaj, miała coś z niej: sylwetkę bądź twarz, bądź ręce. Większość miała jej cerę i kolor włosów, ale jeśli nie, to jej oczy lub przynajmniej gesty. Nie wiedział, czy uczucie, które nim targnęło i zakipiało w piersi, skończy się wybuchem śmiechu, czy płaczu. Sądził, że o niej zapomniał! Przecież leżał w swojej celi i nie mógł przypomnieć sobie jej twarzy! Tymczasem spoglądała na niego zewsząd, powielona sto razy i bardziej prawdziwa niż w malowidłach w Saronno, kiedy miał ją żywą przed oczami. Wtedy, urzeczony nią, nie był zdolny widzieć, jak ona naprawdę wygląda. Tutaj, chociaż byli rozdzieleni nie tylko odległością, jego serce, rzekomo wyparłszy uczucie, pamiętało ją w najdrobniejszych szczegółach, a wierne ręce każdego dnia ją malowały. W tym kościele tylko dwie kobiece postacie nie były Simonettą: święta Scholastyka i niewiasta w scenie złożenia Chrystusa do grobu. Obydwie w czarnych habitach ze zwyczajną, ciepłą twarzą siostry Bianki.

- Co ty na to? - Bianca się zaśmiała.

- To prawda. Jest... Ona. Przyznaję, że siostra dzięki swej bystrości dostrzegła wszystko, chociaż nie padło ani jedno słowo na ten temat.

- Kobiące postacie rzeczywiście wiele mi podpowiedziały. Lecz miałam jeszcze jeden trop, a oto on. - Podeszła znowu do ściany dzielącej kościół na dwie części i odnalazła pewien symboliczny szczegół na fresku, nie większy niż liścik, jaki biała rączka damy może zgnieść w jednej chwili. Kawalek welinu, który przesądził o odejściu kochanka. Na nim rysunek serca ze stylizowanymi płatkami lilii w środku. - Podobnie jak ta dama - mówiła siostra Bianca

- ten symbol jest wszędzie. Widnieje na szalu świętej Katarzyny. Na gorsecie świętej Urszuli. A najczęściej na płaszczu Magdaleny: o tutaj, gdy patrzy na śmierć swojego kochanka - Pana, i tam, gdy on wyciąga do niej rękę znad pustego grobu. - W Kościele Zakonnym z kolei przeorysza wskazała na pelerynę koloru jasnej krwi, pokrytą wzorem w serduszka z motywem lilii, spływającą z ramion przepelnionej miłosną tęsknotą niewiasty, którą Chrystus ukochał bardziej niż inne. - Kiedy zobaczyłam to, wiedziałem, że jesteś więźniem - Bianca odwróciła się do niego z uśmiechem - i wciąż malujesz tę, która trzyma cię w niewoli. - Znowu usiadła obok niego z wypisanym na twarzy pytaniem. - Kim jest ta dama z czerwonymi włosami, białą cerą i oczami owalnymi jak migdały? Kto porusza się z taką gracją, skłania głowę jak święta i ma królewską postawę? Zaiste rzadkiej to urody kobieta.

- Rzeczywiście ma niespotykaną urodę - westchnął Bernardino, rezygnując z oporu. - Nie jest świętą. Ma na imię Simonetta. Simonetta di Saronno. Jest po prostu kobietą jak każda inna. Znalazłem się tutaj, ponieważ dopuściliśmy się grzechu. Mam teraz pewność, że nie potrafię żyć bez niej. A wczoraj uświadomiłem sobie, że nasz grzech nie był aż tak wielki.

- Możesz powiedzieć, signor, jak to było? - odezwała się łagodnie, jakby wypytywała psotne dziecko.

- Zakochaliśmy się w sobie w niewłaściwym czasie, wkrótce po śmierci jej męża. I w niewłaściwym miejscu. Pozowała mi do postaci Madonny w kościele w Saronno i tam padliśmy sobie w objęcia. Znalazł się świadek i nas zadenuncjował. Ona jest osobą bogobojną, kazała mi wyjechać. Zrobiłem to bardziej dla niej niż dla własnego bezpieczeństwa, ale teraz wiem, że nie mogę być z dala od



Simonetty. Nie ma dla mnie życia bez niej. Jest dla mnie wszystkim.

Patrząc na freski, siostra Bianca kręciła głową.

- Wydaje mi się, że będziesz ją malował do końca życia. Bernardino wzruszył ramionami, jakby własny talent niewiele dla niego znaczył.

- Sądzę, że namalowałem już dość, żeby przejść do historii. Moje najlepsze dzieło jest tutaj. Mój mistrz miał rację.

- Twój mistrz, Bernardino?

- Mistrz Leonardo. Powiedział, że nie będę dobrze malował, póki nie nauczę się czuć. To, co stworzyłem w białym kościele w Saronno, jest wyrobem cukiernika. Nałożyłem na białe ściany dekorację, jakbym ozdabiał tort. Tutaj wszedłem do ciemnego jak cela wnętrza i zmieniłem je w szkatułę pełną klejnotów. Wiem, że nie będzie mnie stać na nic lepszego i przyszłe pokolenia wystawią mi ocenę za to miejsce.

Szerokim gestem ogarnął nawy i boczne kaplice zaludnione licznymi postaciami. Sam widział teraz, że z jego fresków zniknęła klasyczna teatralność cechująca okres w Saronno oraz dystans inspirowany antykiem w jeszcze wcześniejszych dziełach. Odszedł od stylu koturnowego, arystokratycznego, dworskiego. Nadał postaciom spontaniczną naturalność; łagodne chiaroscuro, będące bezmyślnym małpowaniem Leonarda, wyostrzył i kontrastem światła oraz cienia urealnił i ożywił postacie. Przestał go ograniczać wzgląd na formę i umiar. Poddał się namiętnościom i poczuł się wolny: tchnął w pędzel życie.

Zrozumiał, że jego malarstwo zmieniło się pod wpływem budzącej się w nim samej wiary; stworzył tutaj postacie, które miały światłość w sobie, a nie aureolę wokół głowy. Doznał nagle wrażenia, iż prowadzi dysputę ze światłymi osobami, które zgromadziły się tutaj, żeby go wysłuchać.

Nieżyjący od dawna i żywi zebrani tu wszyscy razem. Alessandro Bentivoglio, ojciec siostry Bianki, klęczy w dostojnych szatach w kolorach bieli i szarości, złota i czerni, a za nim stoi święty Stefan, wokół jego stóp leżą porozrzucone kamienie, które go zabiły. Nieżyjąca matka przeoryszy, Ippolita, przedstawiona na klęczkach nad głowami świętej Agaty i świętej Katarzyny, wszystkie trzy obdarowane twarzą i sylwetką Simonetty di Saronno. I dalej jeszcze uśmiechają się dobrotliwie z pilastrów Bianca i jej brat Anselmo, którzy użyczyli swych fizjonomii świętej Scholastyce i jej bliźniaczemu bratu, świętemu Benedyktowi. W szatach olśniewających barwami uzyskanymi z drogocennych pigmentów - lapis - lazuli, ultramaryny i malachitu - ci z przeszłości i ci z terażniejszości promieniują swym blaskiem z łuków i spandrel, okulusów i lunet. Bogactwo kolorów i drapowań szlachetnych materii olśniewa; postacie, dzięki barwnej perspektywie, niemalże wychylają się z tynku, spoglądając z życzliwą łaskawością na świat w dole. Bernardino z iluzji stworzył rzeczywistość - płaszczyzny ścian i nisz wyglądały tak, jakby rzeźbiło je dłuto kamieniarza, wykuwając w nich realne kształty i nadając im głębię. Wiedział, że to dzieło mistrza.

- Nie łaknę podziwu - mówił raczej sam do siebie, niby to odpowiadając na pytanie, jakie nie padło. - Jej tylko pragnę, więc gdy mnie zechce, będziemy żyli w grzechu, skoro to się uznaje za grzech. Położę się na progu jej domu i będę ją nękał każdego dnia, jeżeli będę musiał.

Przeorysza zastanowiła się chwilę, zanim się odezwała.

- Drogi Bernardino - rzekła. - Czy nie pomyślałeś o tym, że to nie jest konieczne? Zaprzyjaźniłeś się z Bogiem, jak mówisz. On też ciebie kocha pomimo twoich wad, jak kocha wszystkie swoje dzieci. Czy nie byłoby możliwe, żebyś wstąpił na drogę wskazywaną przez Niego?

- O czym mówisz, siostrze?
  - O małżeństwie. To jeden z sakramentów, związek dwojga ludzi błogosławiony przez Boga.
  - Małżeństwo? - Bernardino zdziwił się, jakby po raz pierwszy słyszał to słowo.
  - Oczywiście. - Przeorysza uśmiechnęła się ciepło. - Nigdy o tym nie pomyślałaś?
  - Nigdy... czy to w ogóle możliwe? Siostra Bianca się zaśmiała.
  - Mało wiem o świecie, przyznaję, ale zdaje mi się, iż zwykle pyta się damę serca o zdanie i czeka na jej „tak”. - Mówiła z delikatną nutą ironii.
  - Ale...
  - Pozostawałaś tu w zamknięciu przez dwa lata. Kiedy zginął jej mąż?
  - Pod Pawią, czyli na rok przed moim przybyciem tutaj.
  - A więc ten biedak, niech Bóg czuwa nad jego duszą, odszedł z tego świata trzy lata temu. Ona ma okres żałoby za sobą. Zmarłym należy się szacunek, ale młodzi mają prawo do życia, nie mogą go spędzać pogrążeni w nieutulonym żalu. Kościół i prawo kanoniczne pozwalają wdowie na powtórne zamążpójście po jakimś czasie i wymagany czas upłynął. Może być twoja, jeżeli tylko zechce.
- Serce mu załomotało w piersi i zaiskrzyły się oczy. Małżeństwo. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że on i Simonetta mogą być w legalnym związku, pobłogosławionym przez Boga. Gdyby jednak pozbyła się skrupułów, a on okazał skrucę, byłoby to możliwe. Nie stają na przeszkodzie ani Kościół, ani prawo, problemem jest jedynie skandal, który się rozpętał, ale wszystkie skandale z czasem umierają.
- Niestety, nie wiem, co się z nią teraz dzieje. Zrezygnowałem z niej na zawsze. Nie mam pojęcia, czy nadal mieszka w Castello i czy nie związała się z innym.

- Czy jedno i drugie jest prawdopodobne? Czy nie była przywiązana do posiadłości?

- Nawet bardzo. W gruncie rzeczy przystała na to, żeby u mnie zarabiać dla ratowania domu przez wzgląd na pamięć męża.

Przeorysza z aprobatą pokiwała głową.

- A czy wydawała ci się kochliwa? Skłonna paść w ramiona innego mężczyzny?

- Nie. Jestem przekonany, że mnie pokochała, ale dręczyło ją poczucie, że sprzeniewierza się pierwszej miłości.

- Musisz tam pojechać i ją odnaleźć. Bo dlaczego nie? - Wstała, choć chciał ją zatrzymać. - Jest tylko jeden nieodzowny warunek, który musi zostać spełniony, żebyś mógł się ożenić. Te sprawę załatwimy wieczorem podczas nieszpórów.

\* \* \*

Kiedy rozbrzmiewały nieszporne dzwony przed ostatnią nocą Beraardina w San Maurizio, on stał z gołą głową przed chrzcielnicą. Miał na sobie białą koszulę i trzymał w ręku świecę. Kaplica wypełniona była siostrami, które przez te dwa lata jego pobytu w klasztorze darzyły go przyjaźnią, okazywaną czy to na dziedzińcu, czy w herbarium, czy w bibliotece. Znał tylko garść imion, ale wiedział, że wszystkie zakonnice są mu życzliwe. Jedną z nich, którą pokochał jak rodzoną siostrę, połała mu teraz głowę poświęconą wodą. Odebrało mu na chwilę dech, gdy poczuł jej lodowatą czystość. Pijąc po raz pierwszy z komuniijnego naczynia, spojrział w ciemnoczerwony głąb mszalnego kielicha, a potem w górę na fragment fresku przedstawiający Chrystusa Boleściwego. Jezus leży, a z jego boku krew tryska do Graala, ta sama krew, którą on, Bernardino, właśnie ma wypić do dna. I nagle wydało mu się dziwne, że mimo wgłębiania się w życiorysy świętych nigdy dotąd nie zadumał się nad

niewyobrażalnym cierpieniem samotnego na krzyżu Chrystusa. Noli me tangere - „Nie dotykaj mnie” - przyszły mu na myśl słowa wypowiedziane przez Jezusa przy pustym grobie, bo przecież i tę scenę namalował w tym kościele. Przeniósł wzrok wyżej na lunetę i doznał wstrząsu, olśniony nagłym odkryciem. Oto między umiłowanym i umiłowaną wyciągnięta ręka ma dotknąć ręki tej drugiej osoby, ale namalował to niezgodnie z tradycyjną ikonografią Noli me tangere. Tutaj zmartwychwstały Chrystus wyciąga na powitanie rękę do Magdaleny, a nie ona do niego, jak kiedyś Simonetta w odruchu współczucia wyciągnęła rękę do Bernardina, a on ją odtrącił. Teraz był gotów dotykać i być dotykany, i wiedział dlaczego; ciało Syna Bożego podtrzymywali ci, którzy Go kochali: Magdalena, Jego matka Maria i święty Józef, pochylony ze starości. Chrystus nie był sam, znosząc swój okrutny los. W tym momencie Bernardino postanowił, że też nie będzie sam w chwili śmierci. Mają być wtedy przy nim żona i poczęte z jego nasienia dzieci. Powstrzymywał łzy wzruszenia napływające do oczu, ale wkrótce pociekły po policzkach, gdy siostry w radosnym crescendo zaśpiewały „Gloria! Gloria!”. Spojrzał na anioły - swoje anioły, które ożyły i wirowały w takt niebiańskiej muzyki. Już nie namalowane na tynku serafiny, tylko prawdziwe, które chciały być świadkami jego chrztu i komunii, jego otwarcia na Boga tutaj, w Kościele Wiernych, gdzie zabłąkana owieczka wreszcie się odnalazła. Potem wrócą znowu do swoich nisz na ciemnoniebieskim niebie usianym złotymi gwiazdami.

\* \* \*

W bramie cyrkowej wieży Bernardino schylił się i pocałował ręce przeorowsy. Tym razem nie patrzył na klejnot w jej pierścieniu, który zwrócił jego uwagę przy ich pierwszym spotkaniu, tylko z zamkniętymi oczami składał

gorący pocałunek na szorstkiej skórze. Ona także zauważyła różnicę.

- Odbieram to jako wielki komplement - rzekła. - Kiedy przy pocałunku zamykamy oczy, całując czy to główkę dziecka, czy stopy świętej figury, czy usta ukochanej osoby, taki pocałunek nabiera głębokiej wymowy. Ponieważ wtedy zamykamy się na świat i otwieramy na uczucia.

Gdy podniósł głowę i spojrzał w jej oczy tak niezwykle podobne do oczu Anselma, powziął nagłą decyzję. Wczorajszy dzień zmienił ich obydwoje, obydwoje stracili niewinność, a Bianca wyznała, że chce wiedzieć więcej o świecie. Obydwoje wyrazili pragnienie przeżywania każdego dnia inaczej niż dotąd. Nie chciał, żeby odchodziła ze świata, nie wiedząc, że żył w nim jej brat.

- Muszę wyjechać - powiedział - ale powinna siostra jechać ze mną. Jest ktoś, dobry człowiek... najlepszy przyjaciel, jakim można być obdarowanym przez los. Będzie szczęśliwy, mogąc cię poznać, bo chociaż nie jest jeszcze twoim bratem, jest synem twojego ojca.

## ROZDZIAŁ 39

### Ślub

Selvaggio i Amaria brali ślub w bazylice Świętego Piotra pod Złotym Niebem. Stali pod pozłacanym łukowym sklepieniem i dostojna łacina księdza, okrążywszy złoty firmament, wracała do dzieci na ziemi. Nie było szczęśliwszej pary od tej, którą właśnie miał połączyć małżeński sakrament, i święty Ambroży patrzył na tę scenę z radością.

Nonna siedziała w ławce z przodu, na białych włosach miała czarną koronkę. Opierała czoło na złożonych w modlitwie rękach. Wiedziała, że ojciec Matteo dopełni ceremonii jak należy, ponieważ znał Amarię i poznał także Selvaggia. Ten przybrał nazwisko Sant' Ambrogio, od imienia świętego Ambrożego, ale ksiądz nie wahał się przed połączeniem pary noszącej to samo nazwisko, nie pierwszy raz bowiem udzielał ślubu sierotom przygarniętym przez tego patrona. Znał historię pana młodego i wiedział, że nie ma w tym wypadku żadnego pokrewieństwa.

Gdy pocziwy staruszek zaintonował lekcję wybraną na tę okazję przez młodą parę, a nie był to ich przypadkowy wybór, Nonna, patrząc na dwoje swoich ukochanych dzieci, które zamknęły oczy i chwyciły się za ręce, odczytała głębsze znaczenie znanych sobie słów:

Szczęśliwy każdy, kto boi się Pana, który chodzi jego drogami! Bo z pracy rąk swoich będziesz pożywał, będziesz szczęśliwy i dobrze ci będzie. Małżonka twoja jak płodny szczep winny we wnętrzu twojego domu. Synowie twoi jak sadzonki oliwki dokoła twojego stołu. Oto takie błogosławieństwo dla męża, który boi się Pana. Niechaj cię Pan błogosławi z Syjonu, oglądaj pomyślność Jeruzalem przez całe swe życie. Oglądaj dzieci twoich synów. Pokój nad Izraelem!

Te słowa wydawały się przeznaczone właśnie dla tych dwojga, dla rodziny, jaką się stawali i jaką będą tworzyć w przyszłości. Podczas późniejszych modlitw Nonna zamknęła uszy na słowa księdza i dziękowała Bogu własnymi, z żarliwością i skupieniem. Nigdy nie opuszczała jej gorliwa pobożność, nawet w ponurych dniach po śmierci Filippa. Dzisiaj odcięła się od wspomnień związanych z placem, gdzie spalono Filippa. Bóg dał jej Amarię i Selvaggia, a ich dzieci będą rosły szybko jak sadzonki drzew oliwnych i zasiadały wokół jej stołu. Spełniało się marzenie jej serca.

Panna młoda i pan młody olśniewali na równi ze świętymi, którzy obserwowali ich ze ścian świątyni. Amaria miała na sobie suknię koloru wiosennych liści, a w czarne włosy wplecione perełki, które Nonna zapobiegliwie wydobywała z ostryg, kiedy tylko były zakupione na wieczerzę. Dawna przyjaciółka Amarii, Silvana, obecna jako druhna, stała ze skwaszoną miną obok radosnej panny młodej. Nie mieściło jej się w głowie, że Amaria, podrzutek znaleziony w lesie, staje pierwsza przed ołtarzem.

Selvaggio został ubrany w ciemnoczerwony odświętny kaftan Filippa i chociaż był on odrobinę za ciasny, nikt tego nie zauważał, bo pan młody z przystrzyżoną starannie brodą i przygładzonymi włosami zadziwiał urodą. Tak, Amaria wyglądała jak królowa wiosny, a Selvaggio jak jej królewski małżonek. Nic jednak - ani przewiązanie rąk obydwójga srebrną szarfą, ani położenie dłoni na Biblii, ani nawet łacińskie wersety lekcji odczytywanej zwykle podczas ceremonii zaślubin - nie przebijało się przez mrok niepamięci pana młodego, żeby mu delikatnie przypomnieć, iż przez to wszystko już raz przechodził.



## ROZDZIAŁ 40

### Fyllis i Demofon

Letni dzień był wyjątkowo piękny, gdy przeorysza i Bemardino dotarli do Castello. Siostra Bianca natychmiast rozpoznała to miejsce, gdyż było na fresku upamiętniającym poświęcenie kościoła Świętego Maurycego, gdzie Bernardino namalował ten dom z wiernością co do każdego szczegółu, każdego okna i załamania dachu, każdego kamienia. Miała przed oczami różowomiodowy pałacyk z zacienioną arkadową loggią, dokładnie taki sam, jaki widniał na wielkim malowidle w Kościele Wiernych, tworząc wspaniałe tło dla historii świętego Maurycego. Elegancki i wyniośle samotny, jednocześnie zapraszał, i onieśmielał.

Bernardino trząśł się ze zdenerwowania przez całą drogę, teraz stał przed bramą po prawie dwóch latach od tamtego dnia, kiedy Simonetta patrzyła na niego z okna, trzymając w ręku rysunek, jaki jej przesłał. Wszystko wyglądało teraz inaczej.

Różany żywopłot, czarny owego zimowego dnia, gdy się stąd oddalał na zawsze, zielenił się lśniącoymi liśćmi, a wśród nich czerwieniły się koralowe pączki. W migdałowym sadzie starannie przycięte migdałowce stały w równych szeregach, a drzewa owocowe rozpięto na treliach wzdłuż murów. Odrestaurowano dawny park i w oczyszczonych oczkach wodnych z pstrągami przeglądało się błękitne niebo. Nawet gołębnik ze stożkowatym daszkiem został umyty i bielił się w słońcu. W domu wyreperowano łuki loggii, zerwano porastający ją stary bluszcz i usunięto z frontonu przekwitłe wisterie. Nowa brama wspierała się na nowych kolumnach, a w oknach pojawiły się szklane szybki. Bernardino zauważył te oznaki zamożności i stracił ducha. Czy to jej drugi mąż wniósł nowe życie w to miejsce? Siostra Bianca położyła mu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić, lecz wyrwał się do przodu, nie

będąc w stanie ani chwili dłużej znosić niepewności. Czuł, że musi Simonettę zobaczyć, nawet gdyby miał ją widzieć po raz ostatni w życiu.

Siostra Bianca pospieszyła za nim i dostrzegła Simonettę dokładnie w tym samym momencie co on. To chyba cud, pomyślała, rozpoznając w niej postać z fresku Bernardina, damę w czerwonej sukni przetykanej złotą nicią i naszywanej perełkami. I te lśniące czerwienią krwawnika włosy zebrane z tyłu pod koronką z perełkami. Tylko ta była prawdziwa i pełna życia! Nie była malowidłem. Jej białą twarz ożywiały rumieńce radości, a czerwone pukle wymykające się spod upiętej koronki tańczyły wokół jej szyi i uszu. Z podkasaną spódnicą biegała wokół wielkiego migdałowca, pochłonięta zabawą z dwoma złotowłosymi chłopcami. W tej scenie rodzinnej szczęśliwości brakowało tylko męża. Chłopcy chichotali i przewracali się, ścigając Simonettę, a każdy miał w ręku obsypaną białymi kwiatkami gałązkę migdałowca i wymachiwał nią jak niegroźnym mieczem. Od czasu do czasu Simonetta odwracała się i chwytiała to jednego, to drugiego, całując ich z macierzyńską czułością w zarumienione policzki i szyje.

Bernardino był poruszony do głębi, wyglądało to bowiem tak, jakby była ich matką, gdyby nie dwie rzeczy: po pierwsze nie byli małutkimi dziećmi, a po drugie jednego z nich rozpoznał. Czy to możliwe? Przecież to Elijah, żydowski chłopiec, któremu namalował na rączce gołąbka i podarował onyksową kulkę. To Evangelista, anioł ze świecą i czerwonymi skrzydłami, który będzie żył wiecznie na ścianie klasztoru San Maurizio.

Bernardino był oszołomiony nowym wcieleniem Simonetty, roześmianej i pełnej życia, w niczym nieprzypominającej kobiety udręczonej niespełnioną miłością i żalobą, poczuciem winy i ciężarem niesławy. Ani znękaną

ubóstwem, a mimo to dumnej Simonetty, która szukała u niego zarobku, przychodząc w myśliwskim kaftanie męża. Ani chłodnej i wyniosłej modelki, która, pozując do postaci Królowej Niebios, zdawała się równie odległa od ziemskiego padołu namiętności jak zimny księżyc. Tak, ona również się zmieniła, nie tylko on, i nigdy bardziej jej nie pragnął. Siostra Bianca też patrzyła na Simonettę i jej dobre serce radowało się jej widokiem, zwłaszcza że przypominała świętą Urszulę spoglądającą z czułością na anioła z czerwonymi skrzydłami. Jednocześnie przeorysza bała się o Bernardina, bo jakże zdoła on zapomnieć taką kobietę? To nie była chłodna i dumna dama, pani na zamku narażająca na miłosne udręki kochanka, jaką Bianca wykreowała w wyobraźni, lecz ciepła i urocza istota, która może zmienić życie mężczyzny w raj na ziemi. Martwiła się więc, co się stanie z jej drogim przyjacielem, jeżeli zostanie odtrącony.

Simonetta zmęczyła się wreszcie zabawą i osunęła się na zieloną trawę u stóp drzewa Rebekki, gdzie pod ziemią był grób Manodoraty. Oparła się o pień migdałowca, przy którym jej przyjaciel wydał ostatnie tchnienie. Chłopcy położyli głowy na jej kolanach. Świadomie bawiła się z nimi w tym właśnie miejscu i otwarcie mówiła im, co spotkało ich ojca i matkę, tak że w końcu oni również potrafili o tym rozmawiać. Przytuliła mocno chłopców i zamknęła oczy. Słońce świeciło tak jasno, że widziała cienie liści poruszających się z wiatrem niczym czarne rybki wirujące z prądem. Kiedy otworzyła powieki, pomyślała w pierwszym momencie, że doznała porażenia słonecznego, bo oto stał przed nią Bernardino Luini.

Rozwiały się obawy siostry Bianki, gdy zobaczyła, że zdumiona Simonetta podrywa się na nogi, wyciąga do niego ramiona i obydwójce, śmiejąc się i płacząc, nie mogą się od siebie oderwać. Ona powtarza jego imię, on jej i obydwójce dziękują Bogu za to, że podczas ponurych dni rozłąki każde z

nich z osobna doszło do prawdy. Spotkały się ich usta w długim, namiętnym pocałunku i z zamkniętymi oczami chłonęli siebie nawzajem wdzięczni, głęboko wdzięczni losowi, że wszystko, co było złe, zostało naprawione. Przeorysza, niewolna od ludzkich słabości, nadstawiała ucha, żeby jak najwięcej usłyszeć, ale nie wszystko zrozumiała. Bernardino bowiem między jednym a drugim pocałunkiem nazwał Simonettę swoją Fyllis, a ona, śmiejąc się, rzuciła na to hasło odzew: „Demofon”. Być może siostra Bianca zgorszyłaby się, gdyby miała świadomość, że odwołują się do pogańskiego mitu, którego bohaterka, pogodzona ze stratą ukochanego, zamieniła się w migdałowe drzewo i usychało ono, jednak kiedy pan jej serca wrócił, tchnął w nią życie i potęga jego miłości sprawiła, że rozkwitła w jego ramionach, obsypując się pięknymi kwiatami. Przeorysza nie rozumiała metafory ani nie była w nastroju do krytyki. Schwyciła każdego z chłopców za rękę i przytuliła ich do siebie.

- Spodobała mi się wasza zabawa - powiedziała po prostu.  
- Czy moglibyście i mnie jej nauczyć?

Bernardino i Simonetta przysięgali sobie wierność pod migdałowcem, z którego sypały się płatki na ich usta i rzęsy, a przeorysza klasztoru San Maurizio podkasała habit nad kolana, ukazując po raz pierwszy od lat białe, owłosione łydki, i biegła naokoło drzewa, ścigana przez dwóch żydowskich chłopców, rozbawionych jak małe papużki i wirujących w koło niczym derwisze w ekstatycznym tańcu.

\* \* \*

Simonetta di Saronno i Bernardino Luini wzięli ślub w kościele sankruaryjnym Santa Maria dei Miracoli w Saronno. W świątyni cudów. Simonetta postanowiła stawić czoło przeszłości i przyjąć sakrament małżeński na oczach wszystkich, nie kryjąc się z tym, że rozpoczyna nowe życie. Inaczej jednak niż przy jej pierwszym ślubie ceremonia

odbywała się nie przed głównym ołtarzem, lecz w kaplicy Matki Boskiej, więc uwieczniona na freskach panna młoda spoglądała ze ścian na pana młodego, który ją namalował. Świadcami byli brat i siostra w Chrystusie, a zarazem brat i siostra z jednej krwi. Alessandra Bentivoglio i Anselmo Bentivoglio poznali się wreszcie i natychmiast związała ich przyjaźń, ponieważ podobieństwo charakterów i ten sam ojciec okazały się daleko bardziej znaczące niż różne matki i różne wychowanie.

Nawet mieszkańcy Saronno pobłogosławili nowożeńcom na nową drogę i nic dziwnego, przecież likier Amaretto przyczynił się do zamożności regionu, a pani na Castello była hojną patronką winiarza, rzeźnika i innych kupców w mieście. Piekarza wśród nich nie było, gdyż zginął w tajemniczych okolicznościach przed paroma tygodniami. Ojciec Anselmo, który oddawał mu ostatnią posługę, zauważył sztylet w kształcie krzyża maltańskiego wbity głęboko w jego klatkę piersiową. Ksiądz przeszedł nad tym do porządku dziennego. Simonetta zaś, nawet jeżeli zdawała sobie sprawę z tego, że do jej popularności przyczynia się w dużej mierze powszechne przekonanie o jej antysemityzmie, bo przecież osobiście pozbawiła życia znienawidzonego Żyda Manodoratę, nie prostowała tej opinii. Godziła się z nią ze względu na bezpieczeństwo swojej małej rodziny.

I właśnie w rodzinnym kręgu, w Castello, odbyły się prawdziwe zaślubiny. Składali sobie przysięgę pod drzewem Rebekki, a chłopcy trzymali nad ich głowami girlandę z ukwieconych gałęzi. Bernardino i Simonetta włożyli sobie nawzajem do ust symboliczny migdał i tym razem rozgryzła swój między zębami i połknęła bez kłopotu, delektując się słodkim aromatem. Ten obrządek w sadzie też się różnił od poprzedniego: wznosili toast likierem Amaretto, którego składniki dobierała Simonetta z myślą o Bernardinie. Pili z

dwóch brzegów tego samego srebrnego pucharu, a Bernardino wyrażał podziw dla cudownego likieru skomponowanego przez żonę.

- Co o nim myślisz? - spytała z niepokojem, leciutko zmarszczywszy brwi.

Uśmiechnął się.

- Myślę, że z prawdziwym artyzmem można się zetknąć nie tylko na ścianach kościołów - odpowiedział.

\* \* \*

Ucztowali pod drzewami, póki dwóm blondasom nie zaczęły opadać powieki. Zaiste niecodzienna była to uczta, zważywszy na jej uczestników. Zakonnica i ksiądz siedzieli naprzeciwko siebie niczym przywołani do życia Scholastyka i Benedykt. Obecni byli także żydowski uczonec i pani jego serca, niema dziewczyna z Taorminy, która śmiała się i nuciła równie ochoczo jak wszyscy. Na stole pojawiły się potrawy włoskie i żydowskie, a piosenki, jakie śpiewali, racząc się amaretto, pochodziły z czterech stron świata: ludowe przyśpiewki z Lombardii, pieśni weselne z Mediolanu, hebrajskie pieśni ze wschodu i ludowe piosnki z Taorminy i gorącego południa.

Na koniec Veronica położyła chłopców spać, a Anselmo i przeorysza pożegnali się i wyruszyli do domu księdza w mieście. Bianca zwolniła się na tydzień ze swoich obowiązków w klasztorze, zostawiając go pod pieczęcią zaufanej podprzeoryszy. Zamierzała spędzić tych siedem dni w gościnie u brata na wspólnych modlitwach i kontemplacji oraz serdecznych rozmowach, bo chcieli nadrobić te wszystkie lata, kiedy o sobie nie wiedzieli. Ale też chętnie myślała już o powrocie po tym odpoczynku do klasztoru, nastawiając się na wprowadzanie zmian w sprawowaniu urzędu, jak to postanowiła w dniu śmierci hrabiny Challant. W skrytości

ducha żywiła nadzieję, iż uda jej się namówić Anselma na krótki pobyt w Mediolanie, żeby nawiązał kontakt z ojcem.

Nowożeńcy natomiast siedzieli dalej w sady pod rozgwieżdżonym już niebem, a nad ich głowami zaczęły krążyć świecące ćmy księżycowe. Noc przeniosła ich do innej krainy i pojawiły się inne tematy. Minął nastrój rozbawienia. Radość w nich pozostała, przenikała ich na wskroś, ale przeszli do poważnej rozmowy o wszystkim, co działo się przez minione dwa lata. Simonetta opowiedziała Bernardinowi o eksperymentach z destylacją i straszliwej historii Manodoraty i Rebekki.

Bernardino z kolei mówił z przejęciem o losach świętych męczennic, które na jego freskach mają twarz Simonetty, i o śmierci hrabiny Challant, wydarzeniu, które zmieniło go na zawsze. W końcu zamilkli i przytuleni do siebie napawali się wewnętrzną radością, jako że pomimo rozstania dane im było odnaleźć drogę do siebie.

- Czy tak musiało być? - po dłuższej chwili spytał jednak Bernardino. - Czy nie zmarnowaliśmy dwóch lat? Czy nie mogliśmy zacząć wspólnej podróży już wtedy?

Simonetta z głową na piersi ukochanego wsłuchiwała się w bicie jego serca. Nim zaprzeczyła, poczuł, że kręci głową.

- Nie. Te dwa lata nie poszły na marne. A nasza podróż zaczęła się od chwili, kiedy się poznaliśmy. Ale musieliśmy wędrować przez jakiś czas różnymi drogami.

- Z jakiego powodu? Jestem starszy i mam mniej czasu przed sobą. Chyba powinniśmy byli od razu pozostać razem?

Teraz Simonettę przestraszyło bicie jego serca. Gdzieś był kres liczby tych uderzeń. Podniosła głowę, żeby dłużej nie słuchać, jak ta liczba się zmniejsza. Ale zdania swego nie zmieniła.

- Nie mogłam wtedy powiedzieć, że się zgadzam. Wiele było do zrobienia, żeby naprawić zło. I potrzebowaliśmy

czasu na pokutę i umocnienie się w wierze. Wychowano mnie w pobożności, ale odwróciłam się od Boga, bo wydawało mi się, że mnie opuścił. Tymczasem zawsze był przy mnie i nade mną czuwał. Dzięki Niemu znowu jestem sobą i mam dom, On uratował dzieci, więc do Niego wróciłam.

- A ja, bezbożny poganin - mówił z kolei Bernardino - niedowiarek z natury, wszedłem na ścieżkę prawdy w San Maurizio. Ty wróciłaś do wiary, ja ją odkryłem.

- Jakie to dziwne - ciągnęła Simonetta - że kontakt z osobami innej wiary zbliżył mnie do Boga, a nie oddalił od Niego. Zrozumiałam, że Bóg jest jeden, ten sam dla wszystkich, tylko sposoby oddawania Mu czci są różne.

Bernardino zamknął jej ręce w swoich, jakby je uwięził. Jej długie palce wystawały między jego palcami; modlitwa w modlitwie.

- Czy nie mogliśmy uczyć się tego wszystkiego razem?

Pokręciła głową.

- Myślę, że nie. Każde z nas musiało leczyć własne rany i uformować najpierw siebie, żeby móc być z tym drugim. A z naszej rozłąki wyniknęło też coś dobrego, bo ty stworzyłeś największe dzieło swego życia, które będzie podziwiane przez pokolenia.

- A ty wymyśliłaś amaretto, które równie długo będzie sprawiało ludziom radość - odwzajemnił się Bernardino.

Wiedziała, że się z nią przekomarza, i się roześmiała, ale po chwili znów spoważniała.

- W tym wszystkim jednak nie to jest najważniejsze. Najważniejsi są przyjaciele, których mogliśmy mieć, a których straciliśmy. - Ona pomyślała o Manodoracie, a on o hrabinie, nieodżałowanej przyjaciółce siostry Bianki. - Ale mamy też przyjaciół, którzy nas nie opuszczą. Przeoryszę, ojca Anselma.

- I mamy chłopców - rzekł z rozrzewnieniem. Ciepło ją ogarnęło, gdy wspomniał jej synów, bo widziała,



że entuzjastycznie i bez żadnych zastrzeżeń odnieśli się do obecności Bernardina. Elijah zapamiętał go dobrze jako pana, który namalował mu na rękę gołąbka, a teraz jego przenikliwej inteligencji nie uszło, że pojawienie się malarza bardzo uszczęśliwiło matkę. Chłopcy tęsknili za ojcem i okazali się otwarci na zaakceptowanie zastępstwa, tym bardziej że wiązało się z nowością. Bemardino tryskał wesołością, miał poczucie humoru i ostry język, czyli zalety, jakich brakowało wspaniałemu poza tym ich ojcu. Przystępność Bernardina i umiejętność dostrzegania komizmu, czyli te cechy, jakie jaskrawo odróżniały go od nieżyjącego ojca chłopców, zjednywały mu ich sympatię. A Bemardino bez wątpienia starał się zaskarbić sobie ich przyjaźń. Gdy Simonetta obserwowała, jak się z nimi bawi, miała wrażenie, że patrzy na trzech chłopców w jednakowym wieku, i przypominało jej się, co Bemardino mówił o swoim samotnym dzieciństwie. Wyczuwała, że jest gotowy pokochać jej synów, emocjonalnie do tego dojrzał. Otworzyły się śluzy, nie stawiając tamy uczuciom. Była przekonana, że będzie ich darzył miłością, jakiej nie zaznał w dzieciństwie, i to ją ogromnie cieszyło. Zauważyła, że od dnia swojego przybycia do Castello Bemardino więcej razy pocałował i przytulił dzieci niż Manodorata w ciągu nie dni, lecz niemal dwóch lat, jakie tu z nimi spędził. Patrzy na chłopców, jakby doznał objawienia, pomyślała. Kolejne słowa Bernardina zabrzmiały jak echo jej myśli.

- Największym dobrem są chłopcy. - Zdjął rękę z jej ramion i potarł nią sobie kark, sprawiając wrażenie zażenowanego. - Wszystko to mnie zaskakuje. Nigdy nie pragnąłem mieć dzieci, uważając, że jestem zbyt wielkim egoistą, by się nimi cieszyć. Wyobrażałem sobie, że do pełni szczęśliwości wystarczy mi posiadanie ciebie. - Znowu objął

ją mocno ramieniem. - I nagle mam nie tylko panią swego serca, ale także gotową rodzinę, którą uwielbiam.

- I będą żyli długo i szczęśliwie - odpowiedziała Simonetta. - Saronno da nam żyć w spokoju. Będziemy poważani, ty za swoje dzieła, ja za amaretto, a chłopcy będą bezpieczni.

Zamilkli na jakiś czas, pogrążając się w myślach o przeszłości i przyszłości. Niebo pociemniało, a może pojaśniały gwiazdy, a na pewno zaszemrał wiatr w liściach migdałowca, podpowiadając coś pięknej właścicielce sadu. Upomniana tak Simonetta wyciągnęła zza gorsetu mały kawałek welinu. Podniszczzonego, gdyż nosiła go przy sobie stale od dnia, kiedy Bernardino wyjechał, i ciepłego w dotyku, gdyż przechowywała go blisko serca. Podała rysunek mężowi.

- Czy pamiętasz to? - spytała z półuśmiechem. Bernardino wziął welin do ręki.

- Oczywiście, że pamiętam. Namalowałem ten rysunek w najniezwyklejszym dniu swojego życia, w dniu, kiedy myślałem, że straciłem cię na zawsze. I namalowałem go jeszcze raz, a potem jeszcze dziesięć razy, dwadzieścia, setki razy na ścianach San Maurizio. Każda Magdalena i każda święta ma ten emblemat gdzieś na szatach. Tym sekretnym kodem upamiętniałem moją miłość do ciebie, bez nadziei i z nadzieją, i tylko siostra Bianca odkryła ten szyfr. - Opuszkami palców wodził po symbolu tak dobrze sobie znanym. - A teraz powiedz mi, najdroższa, jakie znaczenie kryje ten rysunek, bo dla ciebie przecież go malowałem?

Simonetta ułożyła głowę we wgłębieniu między jego szyją a ramieniem i wciągnęła zapach jego skóry.

- Myślę, że wiem. Bardzo długo nie wiedziałam, ale podczas twojej nieobecności wiele się nauczyłam.

- Mów dalej.

Wskazała palcem białej w świetle księżyca ręki na symbol.

- To jest oczywiście serce, a w środku trzy listki, jak fleur-de-lys.

Kiwnął głową.

- Jakie to liście?

- Liście migdałowca.

- Czy widzisz coś więcej? - nalegał delikatnie.

- Nie. Nie ma tu ani nasiona, ani owocu. Tylko liście namalowane w sercu.

- Dlaczego?

Słyszała ponaglenie w jego głosie, ale w ciemności nie widziała twarzy, mimo to rozumiała, jak bardzo jest dla niego ważne, żeby rozwiązała tę zagadkę.

- Ponieważ nie byliśmy wtedy razem, więc nie mogło być owocu naszego zbliżenia. Na martwym drzewie nie wyrosną kwiaty i nie da ono zbiorów. Fyllis nie zakwitła, póki nie wrócił do domu Demofon i nie wyrwał jej z martwoty.

Bernardino odetchnął z ulgą i przyciągnął ją do siebie. To był długi i namiętny pocałunek, pozostali połączeni w uścisku, póki nie poczuli na twarzach ciepłych kropli deszczu.

- Chodź - powiedział. - Mam świeżo poślubioną żonę. Księżyc świeci wysoko na niebie, więc chyba zaczyna się noc poślubna. - Pomógł jej wstać i śmiał się znacząco w oczekiwaniu na spełnienie pragnień. Gdy szli przez pachnący, okryty mrokiem sad, znowu zaczął mówić. - To dziwne, że tu, w Saronno, kiedy cię poznałem, widziałem w tobie uosobienie Dziewicy i malowałem cię jako Madonnę. Natomiast w San Maurizio nie dawałem twojej twarzy postaci Królowej Niebios, tylko świętym i męczennicom, kobietom śmiertelnym. Także tej drugiej Marii, Magdalenie.

Simonetta wzięła go pod rękę i odezwała się prowokująco.

- Pewnie myślałeś o mnie jako o kobiecie upadłej, tak nazwał mnie Gregorio; kobiecie, która bez żadnych skrupułów całowała się z tobą na stopniach ołtarza. - Aż się zdziwiła, że tak lekko potrafiła mówić o tamtym wydarzeniu, które ją wtedy zdruzgotało.

Nie podjął żartobliwego tonu.

- Być może... być może najpierw cię idealizowałem, zrobiłem z ciebie ikonę doskonałej kobiecości, wcielenie Madonny. Matki, żony i wszystkiego, co dobre i godne kochania. - Szczerokość biła z jego głosu, rwącego się, jakby umysł przebijał się przez gąszcz myśli, żeby dotrzeć do prawdy. - Potem, gdy już rozbudziłem w tobie namiętność, wmówiłem sobie, że tobą pogardzam, a przecież to ja byłem sprawcą twojego upadku. Być może najbardziej chodziło w tym o moją matkę, która odmawiała mi miłości, podobnie jak ty mi jej odmawiałaś. Ona była prawdziwą Magdaleną, obydwie trudniły się nawet tą samą profesją. - W tym momencie się uśmiechnął, ale mimo ciemności poznała po jego twarzy, że poczucie krzywdy wciąż jest w nim żywe. Zapragnęła je wymazać, okazując mu miłość, na jaką zasługiwał w dalszym życiu.

Zostawili za sobą pokrytą liśćmi aleję i wchodzili po stopniach loggii.

- A jeżeli będziesz mnie teraz malował, jako mój mąż, to kogo będę wyobrażała? - spytała.

Odwrócił ją do siebie i ujął jej twarz w dłonie. Na Simonette padało bursztynowe światło z okien domu i oblana blaskiem świec wydawała się cała ze złota, jakby dokonał się cud alchemii. Ale nie, nie była ani ikoną, ani posągami, tylko żywą kobietą, jego żoną. Serce zmiękło mu jak wosk.

- Namaluję cię taką, jaka jesteś. Jesteś kobietą stąpającą po ziemi. Może się też zdarzyć, iż uwiecznię cię ponownie jako Madonnę. W San Maurizio nasłuchiwałem się wielu

opowieści i zrozumiałem, że każda kobieta, czy to wyniesiona na ołtarze, czy nie, jest przede wszystkim istotą ludzką; i mężczyzna też. - Pocałował ją dla podkreślenia puenty i weszli do środka.

Niespiesznie szli po schodach do jej komnaty, po chodniku z kwiatów migdałowca, którymi posypała schody Veronica, wyznaczając im drogę. Bernardino milczał, rozmyślając, Simonetta czekała.

- O jeszcze jednej rzeczy chcę wspomnieć, nim zakończymy naszą rozmowę - odezwał się wreszcie. - Czy pamiętasz, jak w kościele w Saronno wyciągnęłaś do mnie rękę, a ja uciekłem?

Stał o stopień niżej, odwróciła się i spojrzała na niego. Noli me tangere. Miał rozbijającą szczery i niepewny wyraz twarzy. Kochała go w tym momencie tak bardzo, że nie była w stanie wykrztusić ani jednego słowa. Kiwnęła jedynie głową.

- Nigdy więcej tego nie zrobię - zapewnił miękkim głosem przechodzącym w szept.

Wyciągnęła do niego rękę, chwycił ją i razem szli dalej po schodach.

\* \*\*

Jego twarde ciało leżało na jej miękkim ciele i całowali się po raz setny i tysięczny, aż ją piekły usta i policzki podrażnione szorstkością jego brody. Jego ręce były wszędzie, zapoznając się z topografią jej ciała; wędrowały po piersiach, między nogami, po wszystkich miejscach, które od dawna tęskniły, by ich dotykał. Czasami ścisnął tak mocno, że bolało, to znowu muskał delikatnie jej ciało i wtedy bezwstydnie prowadziła jego ręce na właściwy trop. I wreszcie wszedł w nią, uśmierzając tęsknotę. Zastygł w bezruchu w niej i na niej; szare jak u wilka oczy spotkały się z oczami niebieskimi jak jezioro i zagłębiały w ich przepaścistą głębię. Ten moment

złączenia dwóch ciał, o którym Simonetta marzyła od trzech lat, sprawił jej taką rozkosz, że musiała zagryźć wargi, aby nie krzyczeć. Zaskoczyła ją zwierzęca naturalność tego aktu i to, że z nowym mężem jest inaczej niż z poprzednim. Była z kimś, kto wypełniał ją całą. Z Lorenzem kochała się jako niedoświadczona, młodzianka dziewczyna, półkobieta, która potrzebowała półmężczyzny, chłopca bawiącego się w żołnierza, i taki ją zadowalał. Teraz w akcie z Bernardinem czuła, że doszło do zbliżenia dwojga ludzi, którzy po to osobno cierpieli i osobno walczyli o przetrwanie, by nareszcie mogli być z sobą. Są parą, w której obydwoje mają takie same prawa do miłości, do życia i własnych pasji. To nie jest młodzieńcza miłość, pomyślała, lecz miłość osób dorosłych i dojrzałych, namiętność nieporównanie głębsza i bardziej satysfakcjonująca niż układny związek dziewczynki i chłopca. Było jej tak dobrze, tak jak być powinno. Bernardino zaczął się w niej poruszać. Zapomniała o porównaniach z Lorenzem.

\* \* \*

Kilka godzin później Bernardino wstał, żeby zamknąć okiennice, którymi targnął nagły, zimny podmuch wiatru. Czarne burzowe chmury nadciągały nad ciemnozieloną równinę od strony Pawii. Zanosiło się na nocną nawałnicę z piorunami i błyskawicami, ale pogoda go nie interesowała. Nie mógł tracić czasu na podziwianie burzowego krajobrazu, gdy zostawił piękniejszy widok wewnątrz komnaty. Jego własna żona: śliczniej sza niż kiedykolwiek, w aureoli złotych pukli, nie mogła leżeć samotnie w łóżu. Ich zbliżenie prześcignęło jego wszelkie marzenia. Był wdzięczny, że przed laty nie oddała mu się tanio w pierwszym porywie. Teraz mogli żyć z sobą uczciwie jako mąż i żona, niedręczeni wyrzutami sumienia i aurą skandalu. Czuł się spełniony i szczęśliwy - o nic więcej nie prosił i do niczego

więcej nie tęsknił. Wsunął się do pościeli, objęły go ramiona Simonetty, miał pewność, że już nic ich nigdy nie rozdzieli.

## ROZDZIAŁ 41

### Selvaggio się budzi

Inna burza i w innym czasie przetaczała się nad lombardzkimi wzgórzami, zakłócając pierwszy sen w małżeńskim łożu innemu nowożeńcowi. Obudziła Selvaggia w środku nocy poślubnej i już nie mógł zasnąć, bo jego serce przepełniała zbyt wielka radość. Odwrócił się na bok, by nasycić oczy Amarią, a gdy dotknął czarnego wachlarza jej włosów, poczuł, że są mokre od deszczowej mgiełki wsączającej się przez otwarte okiennice. Uśmiechnął się do siebie, bo otworzył okno zaraz po tym, jak skonsumowali związek za przyzwoleniem Boga i prawa, a kochali się ten pierwszy raz gorąco i krótko i dopiero potem przyszły godziny zgłębiania tajników jednego i drugiego ciała. Po pierwszym zwarciu miłosnym oblali się potem, zimne powietrze, wdarłszy się przez otwarte okno, ostudziło ich na chwilę. Teraz wstał cichutko i stąpając delikatnie, żeby nie obudzić żony ani Nonny, która spała na dole, zamknął okiennice przed ulewą i piorunami. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby wysuszyć włosy Amarii, ale czuł się bezradny, gdyż nie znał tego pokoju, wcześniej sypiał bowiem na ławie przy palenisku, gdzie na dzisiejszą noc położyła się Nonna. Gdy szukał jakiejś czystej szmatki, części ubrania, czegokolwiek, czym mógłby zebrać krople deszczu z pościeli, jego wzrok padł na stojącą przy łożku skrzynię i pomyślał, że tam coś takiego znajdzie. I rzeczywiście wyciągnął zwinięty kawałek materiału, który w świetle księżyca błysnął na niebiesko. Był trochę splamiony, ale mimo to go rozwinął. Błyskawica rozdarła mrok i na jedno mgnienie zalała go jasnością dnia. To wystarczyło. Selvaggio powiódł palcami po trzech srebrnych owalach, zgodnie z intencją jego przodków symbolizujących trzy migdały. Padł na kolana. W umyśle otworzyło się wreszcie okno i wlał się do niego zimny strumień pamięci.



Selvaggio już wiedział, w jednej chwili wszystko stało się jasne.

## ROZDZIAŁ 42

### Świątynia cudów

Jestem Lorenzo Giovanni Battista Castello di Saronno.

Pamiętam wszystko. Wraz z pamięcią pojawiła się jej niepożądana siostra: świadomość sytuacji. Wiem, że muszę stąd odejść.

Pocałuję ją, zanim odejdę. Moją Amarię, którą kocham, lecz której nie mogę dłużej nazywać żoną. Przysięgam, że się uśmiecha przez sen, a mnie serce pęka z bólu. Słabnie moja wola i chcę obudzić ukochaną, ale mówię sobie: nie wolno. Jak jej wyjaśnię, że byłem już żonaty i odebrałem jej godność, bo z mojej winy dokonał się podwójny grzech: zdrady małżeńskiej i cudzołóstwa? Niech lepiej myśli jak najgorzej o mnie, że jestem niegodnym zaufania i niewiernym mężem, niech będę dezserterem, a nie nieświadomym bigamistą. Lepiej, żeby mnie zapomniała, a kiedy Kościół zwolni ją z przysięgi, będzie mogła znowu kogoś pokochać. Dlaczego jednak ta ostatnia myśl boli najbardziej?

A ty, Simonetto, ukochana z czasów młodości, co powiem tobie przy odnawianiu związku, w którym nie będzie radości? Niegdyś twoje imię brzmiało dla mnie jak poezja, dzisiaj ledwie potrafię je wymówić. Jesteś mniej realna niż sen, niż dwuwymiarowa postać z obrazu na ścianie, nie pasujesz do świata, w którym teraz żyję. Biedna jesteś, pani, która niczemu nie zawiniłaś, bo jak odwzajemnię twoją miłość, skoro inna zawładnęła moim sercem? A jednak muszę. Jesteśmy małżeństwem i pozostanę przy tobie, jak przystoi mężowi, póki naprawdę śmierć po mnie nie przyjdzie, a ona już była tak blisko.

Nie zabieram niczego poza niebieskim proporcem i płaszczem. Wymykam się schodami jak zdrajca, którym jestem, mijam Nonnę, która cicho pochrapuje. Znaczy dla

mnie więcej niż matka, ją też chciałbym pocałować i poprosić, żeby czuwała nad Amarią. Wiem, że nie ma takiej potrzeby.

Przez siedem dni wędruję pieszo do Saronno, zebrząc po drodze jak pielgrzym i odpoczywając pod gołym niebem. Chcę najpierw wstąpić do kościoła sanktuaryjnego Santa Maria dei Miracoli, gdzie brałem pierwszy ślub, zamazujący się dziś w pamięci. Mam nadzieję, że spotkam dobrotliwego ojca Anselma. To jego kazania chłonałem i jego głos powracał do mnie echem. Naśladowałem go, czytając najdroższej Amarii biblijne teksty, których wcześniej słuchałem w trakcie tysiąca mszy odprawianych przez niego w tym kościele. Być może ksiądz powie mi, co się dzieje z moją Simonettą i jak zareaguje ona na mój powrót. Nie pójdę od razu do Castello, gdyż nagłe pojawienie się Lorenza - Łazarza mogłoby stać się dla niej zbyt silnym wstrząsem.

Widzę, że kościół się bardzo zmienił. Skromne niegdyś wnętrze o białych ścianach wygląda jak etiopska skalna świątynia, jak wielka tęczowa szkatuła. Malowidła są wszędzie - freski pokrywają każdy centymetr tynku. Moje oczy patrzą na rajski widok, a serce zżera ogień piekielny. Mimo piękna wokół ciało płonie z bólu, tak cierpiał mój imiennik, święty Laurencjusz. Otacza mnie tłum świętych, ale poza tym nie ma nikogo oprócz mężczyzny wysoko na platformie, który muska pędzlem czyjś wizerunek. Ta twarz natychmiast przyciąga mój wzrok, ponieważ to jest Simonetta di Saronno, tak prawdziwa, jakby stała przede mną. Taką ją zapamiętałem; jest piękna jak poranek, ale bezcielesna. Jej uroda mnie już nie wzrusza. Dla mnie prawdziwa piękność musi mieć ciepłą oliwkową cerę i kruczoczarne włosy Amarii.

Po chwili mogę już wydobyć z siebie głos.

- Czy ty ją malowałeś, signor?

Mężczyzna, zaskoczony, odkręca się na linach, chyba spodziewał się kogoś innego.

- Tak - odparł. - Trwało to długo, ale nareszcie dobiega końca. Ta twarz wieńczy dzieło i jest najcenniejsza, a bardzo się z nią spóźniłem. - Śmieje się do siebie, jakby krył się w tym jakiś żart.

- Jest cudowna - chwale go szczerze. - Jeżeli w tej świątyni zdarzają się cuda, ten jest z pewnością największy.

Złazi na dół, zadowolony z komplementu.

- Dziękuję, signor - mówi, stawiając obie stopy na ziemi. Jest niższy ode mnie o długość dłoni i gdy mu się przyglądam bliżej, widzę, że także dużo ode mnie starszy. Ale jest szczupły i przystojny.

- Bardzo piękna jest ta kobieta - dodaję.

Uśmiecha się szeroko i nagle wydaje mi się, że jest w moim wieku. Ma minę zdobywcy świata, człowieka absolutnie szczęśliwego. Zazdroszczę mu.

- Cieszę się, że ją tak postrzegasz, panie. To moja żona.

Serce wali mi młotem w piersi, jeszcze nie wierzę własnym uszom.

- Żona... twoja...?

- To prawda. Jestem Bernardino Luini, malarz. - Rzeczywiście słyszałem o artyście noszącym takie nazwisko. - Tam jest Simonetta, przedtem Simonetta di Saronno, obecnie Simonetta Luini - to ostatnie wymienił z dumą. - Pozowała mi do tego wizerunku Świętej Dziewicy. Freski będą poświęcone jutro, w dzień świętego Ambrożego.

Oszołomiony kiwam głową. Wiem, kiedy wypada dzień tego świętego. Simonetta i ja podczas trwania naszego małżeństwa każdego roku przychodziliśmy na tę paradę. Myślę jednak teraz o tym, że w zeszłym roku w święto Ambrożego po raz pierwszy wziąłem w ramiona Amarię i niosłem ją do domu, wyrwawszy z rąk szwajcarskich najemników.

Mój nowy przyjaciel i rywal przygląda mi się badawczo i Bóg raczy wiedzieć, co wyczytuje z mojej twarzy. Ratuję się grzecznościową rozmową.

- Czy nadal odbywają się tu uroczystości i procesja z relikwiami?

- Oczywiście. Pod patronatem nowego kardynała. Obdarzamy go sympatią w przeciwieństwie do poprzedniego, którego kości niech będą przeklęte. - Zwęza oczy w szparki. - Czy znasz te okolice, signor?

- Kiedyś tu bywałem. Mężczyzna klepie mnie po ramieniu.

- Więc musisz być na paradzie, przyjacielu - mówi, najwyraźniej w nastroju do bratania się z całym światem, nawet z poznanym właśnie pielgrzymem. - Przedstawię cię mojej żonie. - Nie kryje, że chce się pochwalić zdobyczą.

Dusi mnie w gardle na wspomnienie, że zaledwie tydzień temu byłem takim samym szczęśliwym i dumnym nowożeńcem, który całemu światu chciał pokazywać Amarię.

- Więc do jutra. Musisz ją poznać - mówi.

Jutro. Zobaczą jutro Simonette. Była moją żoną i nadal jest moją żoną, póki śmierć nas nie rozłączy. Zostaliśmy poślubieni sobie przed obliczem Boga i boskie prawo nas obowiązuje. Ściskam wyciągniętą rękę artysty. Biedny człowiek. Nie wie, że znalazłem się tu po to, aby przewrócić do góry nogami jego świat, że jestem Arturem, a on Lancelotem, któremu odbiorę Ginewrę, bo jest moja. Przykro mi, że wkrótce będzie się czuł tak, jak ja się teraz czuję.

- Zobaczą ją z wielką przyjemnością - mówię.

## ROZDZIAŁ 43

### Proporzec

Początkowo Amaria nie wierzyła, że Selvaggio odszedł. Szukała go wszędzie w Pawii, obchodząc wszystkie miejsca, w których razem bywali. Leśne źródło - tam zobaczyła go po raz pierwszy i tamże poprosił później o jej rękę. Bazylika Świętego Piotra pod Złotym Niebem - na kościelnym placu uratował jej życie, a w kościele poślubił, ofiarowując nowe życie. Lasy i drogi, mosty i ulice, upamiętnione wspólnymi radosnymi chwilami - przemierzała je teraz znowu, bo a nuż stracił pamięć jak kiedyś i błąka się bezradny, czekając na nią, by wzięła go w ramiona i zapewniła, że wszystko już będzie dobrze. Pytała każdą napotkaną osobę, czy nie widziała jej męża. Większość mieszkańców znała go z widzenia, bo we dwoje rzucali się w oczy, chodząc wszędzie razem, nierozłączni niczym para z arki Noego. Niestety, nikt go nie widział od dnia ślubu.

Dni mijały, Amaria chudła i była milcząca. Nie mogła jeść. Wyglądała jak cień. Nonna, na równi przybita, nie wiedziała, jak pomóc wnuczce. Obydwie kobiety mijały się w domu, nie patrzyły na siebie, żeby nie widzieć tej drugiej twarzy z wypisanym na niej cierpieniem.

Pod koniec tygodnia Amaria zaczęła spędzać coraz więcej czasu przy gołębniku, zbudowanym dla niej przez Selvaggia. Parą białych gołębi, które podarował jej na imieniny, opiekowała się wręcz obsesyjnie, jak gdyby to były zostawione przez niego dzieci. Tuliła je w rękach, gruchała do nich w ich języku, gładziła śnieżne piórka. On nadał im imiona Fyllis i Demofon, mówiąc, że nie wie, dlaczego akurat te przyszły mu do głowy. Wołała tak na nie, chociaż imiona brzmiały obco, skoro jednak on je tak ochrzcił, nie mogła tego zmieniać. W ósmym dniu nieobecności Selvaggia odkryła, że Demofon, samczyk, wyfrunął nocą z gołębnika. Wzięła w ręce

Fyllis i ją pocałowała. Nie czuła współczucia dla zdumionego ptaszka, który przekrzywił łepkę to w jedną, to w drugą stronę, rozglądając się za niewiernym towarzyszem. Wzięła nóż do oprawiania królików i zrobiła to, czego oczarowana ptaszkami nie była w stanie zrobić w dniu ślubu: rozłożyła skrzydło Fyllis jak wachlarz i wycięła z niego dwie długie lotki. Po rękach spłynęła jej ciemna krew. Nie wzdrygnęła się nawet, chociaż ptak trzepotał się w proteście. Przypomniła jej się dzień, kiedy bez momentu wahania zabiła dla Selvaggia czerwoną kurę. Poczowała się wtedy dorosła, z dziewczyny zmieniała się w kobietę, gdyż znalazł się ktoś, kim miała się zaopiekować i kogo mogła pokochać.

Świadomość, że go straciła, stała się tak bolesna, że niemal nie do zniesienia. Włożyła osamotnioną Fyllis z powrotem do gołębnika.

- Siedz tam - rzekła triumfująco. - Ty nie uciekniesz. Musisz zostać ze mną i z Nonną. Trzy stare panny będą razem. - Ni stąd, ni zowąd dostała ataku śmiechu, aż się cała zatrzęsła. Piała z radości jak opętana kobieta, póki dziki chichot nie przeszedł w odruch wymiotny. Zwróciła całą zawartość żołądka na słomę. Nadbiegły kurczaki i zaczęły dziobać w jej wymiocinach. Nie mogę żyć bez niego, pomyślała. To mnie zabije.

Tymczasem Nonna siedziała w bujanym fotelu, który zrobił dla niej Selvaggio i bez którego nie potrafiła się już obejść. Po raz drugi w życiu zalewała się łzami. Lecz ta druga strata w jej życiu była znacznie boleśnieszka od tamtej, od widoku martwego Filippa. Tym razem bowiem cierpiała także Amaria, jej ukochane dziecko.

Nonna wiedziała, że ból nie minie, pojawi się jednak radość. Za długo żyła na tym świecie, by nie domyślać się, z jakiego powodu Amaria wymiotowała. Bolała nad tym, że dziewczyna jest skazana na taki sam los jak ona i że jedynym

obiektem jej miłości pozostanie dziecko Selvaggia. Będzie ono rosło jak oliwna sadzonka przy naszym stole, pomyślała, ale nie jako część szczęśliwej rodziny, tylko podpora dla dwóch samotnych, opuszczonych kobiet. I będzie każdego dnia przypominało im tego, który bez powodu zniknął.

Bez powodu. Straszna myśl kazała jej przerwać kołysanie się w fotelu i pójść na górę do sypialni. Czyżby Selvaggio znalazł niebieski proporzec, który zwinęła i schowała? Otworzyła skrzynię ustawioną przy łóżku. Nie było w niej proporca.

Więc nie jest tak, że Selvaggio ponownie stracił pamięć. On ją odzyskał.

Nonna czyniła sobie gorzkie wymówki. Chowała zwinięty proporzec z zamiarem, że któregoś dnia wyciągnie go z ukrycia i pokaże, ale ten dzień nigdy nie nadszedł. Powinna była spalić go natychmiast, żeby nie stanowił zagrożenia, albo oddać w ręce Selvaggia, gdy tylko ten wylizał się z ran, a wtedy wszystko by mu się przypomniało, zanim on i Amaria zapłonęli do siebie wielką miłością. Tymczasem przechowywała rzecz należącą do Selvaggia i nie wspomniała mu o niej, ponieważ chciała, żeby z nimi został. Jest winna temu, że teraz niewypowiedzianie cierpi dziewczyna, którą kocha ponad wszystko na świecie.

Usiadła ciężko na łóżku, opierając rękę na jednej z czterech solidnych kolumn, którymi Selvaggio wzmocnił konstrukcję. Serce ścisnęła jej zimna czarna obręcz i straszny ból odebrał oddech. Nonna, wciąż bardzo żywotna, poczuła nagle, że musi się położyć. Tylko na chwilę. Lodowata obręcz znowu ścisnęła serce, Nonna zamknęła oczy. Przetrwiała jeden wielki cios, jaki zadało jej życie, wiedziała, że nie sprosta drugiemu.



## ROZDZIAŁ 44

### Dzień świętego Ambrożego

Idę dobrze znanymi ulicami Saronno, dziwiąc się, że tyle rzeczy zasłonił mi na długo mrok niepamięci. Jak to możliwe, żeby w umyśle zgubiły się lata, kiedy tu mieszkałem, zakochałem się i ożeniłem? W stroju pielgrzymy mieszam się ze świętującą cizbą, serce podchodzi mi do gardła na myśl, że zobaczę swoją żonę, której już nie chcę, nie kocham i nie pragnę wyrwać z nowego związku. Istnieje jednakże prawo ustanowione przez Boga. Przebac mi, Simonetto.

Czekam wraz ze stojącymi wzdłuż ulic mieszkańcami Saronno na przejście procesji z relikwiami świętego. Wielu obywateli już tego popiło, mimo że dopiero godzina seksty. Przeszukuję tłum wzrokiem, czy nie dostrzegę jej i jej męża, z którym się zapoznałem, ale nie ma ich na ulicy. Po chwili wiem dlaczego. Oto rozlegają się wiwaty i wraz z innymi odwracam się w tamtą stronę. Widzę ją, siedzi na ukwieconym balkonie domu burmistrza. Serce mi mięknie; jest rzeczywiście piękna, a na jej ustach błąka się uśmiech, jakiego nigdy u niej nie widziałem. Simonetta. Czy rzeczywiście byliśmy kiedyś mężem i żoną? Chyba przed wiekami, w innym życiu. Jest odmieniona, ma krótsze włosy, bardziej zaokrągloną twarz. Przede wszystkim jednak wydaje się oświetlona wewnętrznym blaskiem. Czy to ten mężczyzna obok niej, czarnowłosy artysta, który też wymachuje do tłumy, jest przyczyną przemiany? Obejmuje ją mocno ramieniem, zaborczo, a tłum wiwatuje na cześć „niebieskiej królowej”, bo tak nazywa modelkę uwiecznioną na freskach czekających na poświęcenie.

To nowa dla mnie zagadka. Miasto prawie nie znało Simonetty, gdy była moją żoną - czuwaliśmy nad prywatnością. Jak zdobyła taką popularność? Jako modelka malarza? Nie wykluczam, że przyniesie tym zaszczyt komunie

Saronno. A może oddała szczególną przysługę miastu podczas mojej nieobecności? Ruszyła procesja, idą ubrani obrzędowo uczestnicy, a ja próbuję przebić się wzrokiem przez barwną pstrokaciznę uroczystych strojów, by nie stracić z oczu tamtej pary. Przemykam na ich stronę ulicy, omal nie wpadając pod konia i narażając się na przekleństwa miejscowego wielmoży. Poznaje go. Sprzedałem mu klacz, która przed chwilą zatańczyła nad moją głową.

Teraz jestem bliżej nich. Dwie głowy - jedna płomiennie ruda, druga czarna - blisko siebie. Czy oni się całują? Nie. Szepczą i się zaśmiewają. Ściska mnie w żołądku. Tak zachowywaliśmy się z Amarią, póki złośliwa pamięć nie przypomniła mi o powinnościach. Zapuszczam wzrok między rzeźbione tralki balkonowej balustrady, żeby zobaczyć, czy trzymają się za ręce. Widzę więcej.

Dzieci - dwóch złotowłosych chłopców siedzi za balustradą i przygląda się widowisku. Ten starszy podsuwa młodszemu jakieś słodkie przysmaki i zabawki, co świadczy i o uczuciu, i o dobrym wychowaniu. Zauważam także, że dorośli trzymają się za ręce jak kochankowie, ale każde z nich wolną ręką czochra z czułością złote loki chłopców.

Jak rodzice.

Mąci mi się w głowie. Jak to możliwe? Moja nieobecność nie trwała aż tak długo. Przyciągają mój wzrok najpiękniejsze tutejsze panny niosące girlandy z kwiatów migdałowca - z moich kwiatów - ale jednocześnie próbuję zebrać myśli. Oczywiście. To muszą być jego dzieci. Jest dużo starszy od Simonetty, pewnie żona mu umarła i dzieci uznały teraz za matkę moją żonę. Patrzę na tę rodzinną scenę i ogarnia mnie żal, że ich rozdzielę. Lecz tak musi być. Podchodzę bliżej, gdyż nadeszła pora, żebym się ujawnił, niestety, tłum napiera i mnie porywa. Panny z gałęziami migdałowca chyba rozdają coś ludziom. Zaciekawiony przepycham się tam i widzę

wyciągnięte ręce z drewnianymi kubkami, do których one nalewają z butelek bursztynowy płyn, niczym najady z niewyczerpalnego źródła, a ludzie piją z takim zapałem, że nim one napelnia ostatni kubek, już się wyciągają do nich kolejne. Ktoś rzuca mi naczynie i ja też kosztuję napoju. Jest słodki i zarazem gorzki, a ma aromat migdałów z mojego sadu. Cudownie smakuje. Rozgrzewa mnie i dodaje odwagi. Pora. Lecz tym razem próbę udaremniają mi głośne wiwaty. Rozumiem, że to podziękowania za szczodrość, a ma ona coś wspólnego z Simonettą, która dźwiga się na nogi, a mnie się nogi uginają, gdy na nią patrzę.

Jest brzemienna.

Siadam na ziemi zarzuconej końskim łajnem i kwiatami migdałowca, odurzony likierem i tym, co zobaczyłem. Simonettą i artysta będą mieli dziecko. Jak mogę ich rozdzielać? Uczynię obydwójce cudzołożnikami, bękartem dziecko, sierotami dwóch blond chłopców, którzy się bardzo, jak widziałem, kochają. Przyciskam palcami gałki oczne, a kiedy odrywam ręce od twarzy, mam przed sobą odpowiedź. Patron Amarii, mój patron, święty Ambroży próbuje mi coś powiedzieć. Modląc się do niego o wskazówkę, rozpycham ludzi, żeby nie stracić z nim kontaktu wzrokowego. Niestety, święty milczy i oddala się z tłumem ode mnie. Nie dał mi żadnej rady. I nagle zrozumiałem. Święty Ambroży milczał i ja mam zrobić to samo. Niezgodne byłoby z wolą bożą, gdybym rozbijał dwie rodziny i skazywał je na cierpienie, kiedy wszyscy już przeszli tak wiele. Święty dał mi swoje przyzwolenie. Rozwiązał moje wątpliwości i mnie rozgrzeszył. Złamię jedną przysięgę małżeńską, żeby nie przestały obowiązywać dwie inne.

Lorenzo Giovanni Battista Castello di Saronno nie żyje. Niech spoczywa w spokoju.

\* \* \*

Naciągam kaptur na czoło i rzucam ostatnie spojrzenie na Simonette, zanim odejdę. Piękną i płodną. Oczywisty jest powód wypukłości pod jej szatą. Przesyłam jej błogosławieństwo przed odejściem. Im wszystkim, ich całej rodzinie, na którą spogląda święty Ambroży.

Teraz muszę się spieszyć. Mam brodę, kaptur na głowie, wyglądam inaczej niż kiedyś, ale jestem wśród ludzi, którzy znali mnie od dziecka. Wymykam się z tłumu i wybieram zacisze wąskiej uliczki. Jestem bezpieczny. Ktoś wpada na mnie i widząc mój pielgrzymi strój, przeprasza. Z ust czuć mu grappa, nie migdałami. Nieopatrznie podnoszę głowę, spotykają się i otwierają szeroko dwie pary oczu. To Gregorio.

Pada na kolana i całuje mnie w rękę, wymawia moje dawne imię, które prawie zapomniałem.

- Signor Lorenzo! To cud! Święty sprowadził cię do domu! Przeklinam nad jego skudłaconą głową wszelkimi wyrazami,

jakie tylko znajduję w swoim słownictwie. Roztył się i jak ja zapuścił brodę, ale to jest mój giermek, którego kochałem jak brata. Uwalniam rękę z jego uścisku i staram się zmienić głos, uciekając od lombardzkiego przeciągania samogłosek.

- W czym mogę ci pomóc, bracie?

Patrzy w górę zaskoczony. Jest pijany, widać młodzieńcza słabość pogłębiła się z latami.

- Nie jesteś... Przecież...

Widzę, że przestał być pewny swego, więc wykorzystuję moment przewagi, lecz czuję się jak Piotr wypierający się znajomości z Chrystusem.

- Synu, jestem obcym przybyszem w tym mieście. Wyraz radości znika z jego twarzy, ściągają się gęste brwi.

- Wybacz mi... wziąłem cię za... Signor Lorenzo di Saronno to nie ty?

Kręcę głową i decyduję teraz i na zawsze. Zaprzyj się trzy razy, nim kogut zapieje.

- Nie. Nazywam się Selvaggio Sant' Ambrogio. - Odwracam się i odchodzę, przykro mi, że złamałem mu serce, bo mam w pamięci, ile mu zawdzięczam i jak byliśmy sobie bliscy. Wiem, że jeśli nawet zaczniesz opowiadać w mieście o spotkaniu, nikt pijakowi nie uwierzy i plotka nie zniszczy malowanej rodziny, z którą się w duchu rozstałem. On nawołuje za mną, co ścina mi krew w żyłach.

- Pielgrzymie! Zaczekaj, wypij przynajmniej ze mną, na miłość Chrystusa! Jesteś podobny do mojego dawnego pana, którego bardzo kochałem. - Idę dalej, już wiem, że jestem bezpieczny i bezpieczna jest tamta rodzina. Znowu woła, ale dzieli nas taka odległość, że ledwo go słyszę.

- Pielgrzymie, dokąd idziesz?

Nie odwracam się, ale rzucam mu dwa słowa, od których robi mi się gorąco w sercu.

- Do domu! - Nareszcie mogę sobie pozwolić na uśmiech.

## ROZDZIAŁ 45

Selvaggio wraca do domu

Mniej czasu zajmuje mi wędrówka z Saronno do Pawii niż przedtem z Pawii do Saronno. Wtedy niechęć spowalniała moje kroki i ciążyło mi serce. Teraz idę z lekkim sercem i nogi same mnie niosą. Nie odpoczywam, póki nie odmawiają mi posłuszeństwa, sypiam zaledwie po parę godzin, budzę się z myślą o niej. Amaria. Jeżeli tylko mi przebaczysz, wszystko będzie dobrze!

Wiem, gdzie ją znajdę. Idę lasem, omijając miasto, dochodzę do pozzo dei mariti. Z dala widzę źródło i słyszę plusk wodospadu, rozglądam się, czy jej tu nie ma. Jest, siedzi wpatrzona w powierzchnię jeziora, przy którym składaliśmy sobie narzeczeńską przysięgę. Mizerna, blada, smutna, aż serce mi się kraje. Niewiele zostało z jej pełnej figury, zwisa z ramion zielona suknia ślubna. Włosy spadają na plecy w prostych, smętnych pasmach, oczy są puste i martwe. Co ja jej zrobiłem? Szybko mam odpowiedź. Odebrałem jej chęć do życia. Czas przywrócić ją życiu.

Podchodzę do niej od tyłu, bezgłośnie stąpając po wilgotnej trawie. Moja twarz ukazuje się w wodzie obok jej twarzy, jej oczy patrzą w moje, otwierają się szeroko w szoku i natychmiast zalewają je łzy. Chcę ją wziąć w ramiona, ale najpierw muszę zadać pytanie. Kładę ręce na jej ramionach.

- Czy wiesz, co mówią o tym miejscu?

- Powiadają, że... że jeżeli spojrzysz w wodę, zobaczysz oblicze swojego... męża - odpowiada jak w transie.

- Czy to prawda?

Zerka na mnie lekliwie zalana łzami i uświadamiam sobie, jak bardzo cierpiała w minionym tygodniu.

- Ty powiedz - mówi.

- Myślę, że to prawda. - Odwracam ją twarzą do siebie. - Kocham cię, Amario Sant' Ambrogio. - Potem wypowiadam

pierwsze słowa, jakich mnie nauczyła. Mano, mówię, sięgając po jej rękę; cuore, przykładając jej dłoń do swego serca; bocca, całując ją delikatnie w usta. Całuje mnie namiętniej niż ostatnim razem, przytula się mocniej. Nie odrywam się od jej ust, szepcząc wśród wspólnego szlochu, że już nigdy jej nie opuszczę, mojej miłości, mojej żony. Wracają jej rumieńce i uroda, i radosny śmiech. Wiem, co za chwilę powie.

- Idziemy do domu. Musimy powiedzieć o tym Nonnie. - Dodaje jednak słowa, które brzmią w moich uszach ponuro jak dzwony pogrzebowe: - Nonna jest ciężko chora.

Spieszmy do chaty, Amaria opowiada, co się zdarzyło w tym czasie, moje kroki się wydłużają pod wpływem lęku, że przyjdziemy za późno.

## ROZDZIAŁ 46

Simonetta zamyka drzwi

Simonetta stała samotnie na dawnym polu bitwy.

Nie mogła już jeździć konno, więc do Pawii przyjechała w powozie, kupionym dzięki prosperującemu interesowi, i nie sama, lecz z Veronicą z Taorminy, na co nalegał Bernardino. Veronica została z powozem przy pobliskim strumieniu, miała czuwać nad końmi i czekać cierpliwie na panią. Gładziła je po aksamitnych nosach i nuciła w drgające niespokojnie uszy południowe melodie, żeby uspokoić zwierzęta. Nie chciały przejść przez strumień na zranioną ziemię równiny i nie pomogło popędzanie. Wiedziały, co się tu zdarzyło. Wyczuwały węchem martwych, słyszały upiorne bitewne krzyki, płoszyły się i wzdrygały przy każdym porywie wiatru. Veronica, przymrużywszy powieki, bo wiatr zacinał, śledziła sokolim wzrokiem swoją panią, która się oddalała.

Jak nikt inny wiedziała, co jej pani powinna zrobić, gdyż sama straciła męża. Podobnie jak Simonetta znalazła drugą miłość, pokochała Isaaca. Rozumiała jednak, że często pamięć domaga się oddania hołdu temu pierwszemu uczuciu. Wiedziała także, że taki rytuał pożegnania musi się dokonywać bez świadków. Nie spuszczała jednak oczu z Simonetty, chociaż ta poszła hen, aż na środek rozległego pola. Można było ją dostrzec, gdyż miała na sobie wielkie futro, a okrywało ono równie okazałą sylwetkę, jako że nosiła w łonie dziecko, które wkrótce miało się narodzić.

\* \* \*

Simonetta wtuliła się w niedźwiedzie futro w obronie przed okrutnym wiatrem, który nią targał. Zimne podmuchy wyrywały spod kaptura kosmyki jej włosów, które, gdy pojawiał się słońce, połyskiwały jasną miedzią. Futrzany płaszcz pachniał drewnem sandałowym, zapachem Manodoraty, poprzedniego właściciela. Poczowała bolesne



ukłucie smutku. Powstrzymując łzy, miała ochotę śmiać się z siebie. Przyszła, by wyrazić żal z powodu śmierci jednego mężczyzny, a opłakiwała inną śmierć. Nie przeżywała żałoby po tym, jak zaraza zabrała jej ojca, a teraz uświadomiła sobie, że ojcem był dla niej Manodorata, bo ojca potrzebowała i zabrakło go w jej życiu, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Manodorata stał się jej przewodnikiem i przyjacielem, i to w chwili, gdy najbardziej takiej osoby potrzebowała. Teraz odczuwała jego brak każdego dnia. Pocieszała się tym, że on żyje w Elijahu i Jovaphecie - to jego synowie, jej synowie i obecnie także synowie Bernardina.

Po raz pierwszy zostawiała ich w domu samych, swoich trzech chłopców. Bernardino zachęcał ją do wyjazdu: bezgranicznie szczęśliwy nie potrafił jej odmówić niczego, nawet tego. Od dnia świętego Ambrożego, kiedy to siedziała z rodziną, ciesząc się hołdami tłumu, narastał w niej nieokreślony niepokój - nie czuła się nieszczęśliwa, nic takiego, o tym nie mogło być mowy. Bernardino przekomarzał się z nią, mówiąc, że zachowuje się jak ptasia samiczka w okresie budowania gniazdko i takie nastroje są częste u kobiet przed rozwiązaniem. Wiedziała jednak swoje: coś w niej drgnęło tamtego dnia, coś poruszyło jej sumienie, przypominając o niezakończonych sprawie, niespełnionym obowiązku. Stopniowo krystalizowało się w jej umyśle, co miała do zrobienia, z czym zalegała i przyjechała tutaj z błogosławieństwem Bernardina na drogę. Lękał się wprawdzie, że trudy dalekiej podróży mogą się okazać zbyt obciążające dla niej i dziecka, ale dał się udobruchać, gdy wyraziła zgodę na zabranie Veroniki i jazdę w wygodnym, wyłożonym futrami powozie. Żegnała się z bliskimi w wielkiej kuchni, która mimo ich rosnącej zamożności pozostawała nadal sercem Villi Castello. Na wspomnienie tej sceny robiło jej się ciepło na sercu. Bernardino rozłożył

ogromny karton, wyjął swoje cenne węgle i pigmenty oraz pergamin, na którym chłopcy mieli tworzyć swoje dzieła.

- Nauczę ich malować - oznajmił z właściwą sobie pewnością siebie - tym będą się zajmowali, kiedy dorosną.

Uśmiechnęła się rozbawiona.

- Obydwaj zostaną malarzami?

- Wszyscy trzej - rzekł, wskazując na brzuch Simonetty.

Ucałowała ich, ale wbrew jej oczekiwaniom malcy wcale się nie rozplakali, więc serce drgnęło jej z radości, bo znowu miała dowód, że z nowym ojcem czują się szczęśliwi. Elijah oczywiście niewolniczo uwielbiał Bernardina od epizodu z gołąbkami, a teraz widziała, że również Jovaphet zabrał się z zapalem do pracy przewidzianej na ten dzień. Zanim wyszła z domu, wszyscy trzej mieli na sobie więcej farby niż pergamin, a najwięcej Bernardino. Śmiała się, wcale ich nie łajając. Nie przerażała jej nawet perspektywa zobaczenia po powrocie ścian willi pokrytych freskami jak kościół w Saronno. Wszystko ją cieszyło.

Teraz nie tylko odległość dzieliła ją od tamtego promieniującego radością miejsca. Tutaj panowało zimno, a nie ciepło, była absolutnie samotna, a nie w otoczeniu bliskich, znalazła się wśród martwych, a nie między żywymi. Wciągnęła głęboko chłodne powietrze i obróciła się w koło. Równina pocętkowana była ciemnymi i jasnymi plamami, bo pędzone wiatrem czarne chmury walczyły niestrudzenie ze słońcem. Rozległy szmat płaskiej, cichej i niewinnej ziemi, nieskorej do zdradzania swoich tajemnic. Na północy Pawia przyczajona jak purpurowy smok, domy zbite w rzędy niczym jego łuski, wieże jak kolce grzbietu. Zaczęła długi obchód pola bitwy ze świadomością, że nie znajdzie tego miejsca i nigdy się nie dowie, gdzie Lorenzo padł martwy. Wiedziała tylko, że upłynęły cztery długie lata od dnia, kiedy ziemia

przyjęła jego ciało i opiała się jego krwią. Cztery lata. Jaką lekcję wyciągnięto z tamtego zdarzenia?

Zaledwie parę miesięcy temu obiegly Saronno wieści, że pod Landriano wojska francuskie pod wodzą marszałka Saint - Pola zostały rozgromione przez hiszpańskie siły, którymi dowodził Antonio di Leyva, gubernator Mediolanu. Koło dziejów, inaczej niż koło tortur przeznaczone dla świętej Katarzyny, nie zostało powstrzymane i znowu przynosi tej ziemi wojnę, a wraz z nią budzą się też ignorancja i przesady, wpisane w umysły niczym w młyn modlitewny. Tym łatwiej, że do Saronno dotarły także inne wieści, a mianowicie o trzydziestu Żydach spalonych żywcem w węgierskim Bazin, w tym właśnie roku 1529, za rytualne morderstwo, a ofiarą rzekomą miało być dziecko, które potem odnalazło się żywe. Simonetta pokręciła głową. Dokładnie taką zbrodnię przypisywano mieszkańcom domu z gwiazdą, gdy o nich po raz pierwszy usłyszała.

Jednak tutaj, w Pawii, obolała ziemia już się wyleczyła, mocna trawa przebiła się przez grunt, nawet kwiatki wyrosły na murawie. Jeżeli historia zatacza kręgi, to samo robi natura, wypuszczając ze skażonej ziemi pędy nadziei i siły. Simonetta uklękła w miejscu, gdzie rozjaśniona plamą słońca trawa była gęsto porośnięta polnymi kwiatkami, i przyłożyła dłoń do ziemi. Wiedziała, dlaczego musiała się tu znaleźć. Nie zrobiła tego pod wpływem irracjonalnej zachcianki ciężarnej kobiety. Czuła potrzebę zamknięcia drzwi. Przybyła tutaj, żeby się pożegnać.

Kilka lat temu, kiedy nadeszły pierwsze wiadomości i żałoba była świeża, komuna miejska Pawii zabroniła krewnym „poszukiwać” ciał poległych żołnierzy, z uwagi na ryzyko wybuchu epidemii i zamętu, gdyż na miejscu leżały tysiące okaleczonych, nierozpoznawalnych ciał. Simonetta nie mogła przywieźć Lorenza do domu, złożyć go do trumny i pomodlić

się przy niej za jego duszę. Nie miał grobu, który mogłaby odwiedzać i pocieszać się myślą, że ból się zmniejsza wraz z mijającymi porami roku. Teraz miała to wszystko naprawić.

Simonetta zamachała do stojącej daleko Veroniki. Dziewczyna uwiązała konie i przysłała do niej, dźwigając rzeczy zbyt ciężkie, by mogła je nieść signora. Łopatę miała przymocowaną do pleców, a pod pachami trzymała dwie długie paczki, z których każda owinięta była dwubarwnym, srebrno - niebieskim proporcem rodu di Saronno - każda jak dziecko otulone w powijaki. Veronica złożyła obydwie pakunki na ziemi i wykopała w twardym gruncie płytki dół, podczas gdy pani odpoczywała. Simonetta odczytywała z posępnej twarzy Veroniki, że przypomina sobie pochówek własnego męża, i zrobiło jej się przykro, że naraziła dziewczynę na bolesne wspomnienie. Jednakże to, co wtedy wydawało się Veronice końcem, pomyślała, było zarazem początkiem, gdyż w jej życiu pojawił się Isaac.

To Simonetta włożyła do ziemi te przedmioty. Przez materiał nie rozpoznawała, który jest który, co nie miało znaczenia - i jeden, i drugi był długi, zimny, ze stali. Obydwie śmiertelne, naznaczone grzechem.

Miecz i arkebuz.

Veronica przysypała je ziemią, zniknęły z widoku.

Umysł Simonetty był tak czarny jak ziemia. Nie znajdowała słów modlitwy ani pieśni żałobnej, miała jednak poczucie, że zrobiła rzecz słuszną. Nie chciała, żeby rodzinny miecz Lorenza wywoływał w zimowe wieczory rzewne wspomnienia, i nie miała zamiaru przekazywać go mającemu się narodzić synowi, który nie był jego dzieckiem.

Tu znalazł swoje miejsce.

Nazwisko di Saronno ma się odtąd kojarzyć z handlem, nie z wojną, lecz będzie z niego obecnie tak samo dumna, jak byli w przeszłości przodkowie Lorenza. Świat się nie zmieni i

będzie toczył wojny, ale ona nie chce w tym uczestniczyć. Z niej będzie się rodziło nowe życie. Bernardino także nie zabija ani nie okalecza; on wykorzystuje swój talent, by czynić życie piękniejszym, i odchodząc, zostawi świat lepszym od tego, w którym się narodził.

Entuzjazm twórczy przywróciło Bernardinowi małżeństwo i zaczął pracę nad jednym z ostatnich wizerunków Simonetty jako Świętej Dziewicy, zafascynowany zmianami, jakie zaszły w ciele i twarzy żony w trakcie ciąży. Namalował Madonnę jako kobietę śmiertelną. Ten obraz na desce, na wół ukończony, oparty o kominek, żeby wysechł, przedstawiał Simonettę zaokrągloną i pogodną, bił od niej ciepły blask, tylko ręce miały chłodną biel. Tulila do siebie Elijaha, na którego dobrotliwym wzrokiem patrzyła siostra Bianca.

- Będzie nosił tytuł Dziewica z dzieciątkiem i modlącą się zakonnicą - oznajmił Bernardino, pragnąc uhonorować drogą przyjaciółkę, która wróciła już do swoich obowiązków w San Maurizio. Simonetta, która skończyła pozowanie, zauważyła, że temu obrazowi brakuje krajobrazowego tła lub rodzajowej sceny. Ona, Elijah i Bianca wydawali się zawieszeni w przestrzeni, za nimi tylko połyskliwa warstwa werniksu. Elijah żartował sobie z ojca:

- Może jesteśmy duchami, mamó, jakimiś goblinami, które latają nad lombardzką równiną. - Zaczął biegać po domu wrzeszcząc „huuuuuu” i robiąc przerażające miny, żeby przestraszyć brata. Bernardino śmiał się i wiedział swoje. Kiedy Simonetta zapytała o tło, odmówił ujawnienia, co jeszcze tam zaplanował.

- To będzie niespodzianka - rzekł. - Zobaczysz całość za miesiąc, w dniu twoich imienin, kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat.

Nie pytała więcej, była szczęśliwa, że jest w ciąży i już ma / dwóch synów. Cieszyła się, że dzieci będą uczone, jak żyć z

pędzła, a nie z miecza. Uśmiechnęła się lekko na myśl, że to może być wspaniałe motto na tarczę herbową rodu Luinich. Zateęskniła strasznie za domem, ale jeszcze nie zrobiła tu wszystkiego. Kazała Veronice odejść na bok.

- To nie potrwa długo.

Znowu położyła dłoń w tym samym miejscu, już przez Veronicę wyrównanym, gdzie leżały pod ziemią miecz i arkebuz, i krew Lorenza.

- Byłeś miłością z czasów młodości - powiedziała. - Dorosłam. Zmienił się świat i zabrał mi ciebie, ja też się zmieniłam. - Zza koronki gorsetu wyjęła mlecznobiały migdał, ogrzany jej ciałem, i wcisnęła go w zimną ziemię. Taki migdał dał jej Lorenzo w dniu ślubu. Starannie zakryła orzech, oddając go ziemi, jakby wzorem Rzymian składała w glebę ofiarę, jaką oni czynili w trosce o plony i dla zaspokojenia bogów. Jej Bóg znowu siedział na niebiańskim tronie, lata wątpliwości miała za sobą. Czowała się szczęśliwa. Nadszedł czas, by ostatecznie pożegnać Lorenza. - Żegnaj - powiedziała.

Wstawiała z trudnością, podtrzymując brzuch, okrągły jak tykwa. Dziecko wierzgało w niej nóżkami z energią i niecierpliwością, jak nigdy przedtem. Zaczerpnęła tchu z bólu i radości, przez chwilę nie mogła się poruszyć. Veronica już biegła z niepokojem na twarzy, ale Simonetta pokręciła głową i się uśmiechnęła. Ruchy dziecka ustały i czuła się dobrze. Wszystko było jak najlepiej. Nagle rozsunęły się chmury i słońce ogrzewało je, gdy szły do powozu, nie oglądając się za siebie. Simonetta wiedziała, że miło będzie wspominać Lorenza, i postanowiła, że każdego roku w dzień jego patrona zostanie odprawiona msza za jego duszę w kościele Santa Maria dei Miracoli w Saronno. Należny mu obrządek, o który pogrążona w bólu nie była w stanie zadbać, będzie miał nareszcie zapewniony.

Saronno. Serce podskoczyło jej z radości, bo za kilka godzin miała się znaleźć w domu z rodziną. Gdy podniosła rękę, by odgarnąć z twarzy niesforne loki, błysnął w słońcu pierścionek. Wyciągnęła rękę na długość ramienia i rozstawiła smukłe, białe palce, podziwiając misterny wzór. Dumna była z zaręczynowego pierścionka jak każda od niedawna zamężna dziewczyna.

Bernardino zamówił go dla niej, zadając sobie trud odbycia wyprawy do Florencji, miasta, gdzie spędził młodość. Tam wzdłuż Ponte Vecchio sławni na cały świat złotnicy uprawiali sztukę prawdziwej alchemii, a wśród nich najlepszy z najlepszych - niemający sobie równych - pracował w skromnym kramie, który miał nad drzwiami sześcioramienną gwiazdę. To do niego Simonetta wysłała Bernardina, bo wiedziała, że tam pracują hebrajscy rzemieślnicy, którzy ze złota wykonali rękę dla jej najlepszego przyjaciela. Wystarczyło, że Bernardino przekroczył próg i wymówił imię zmarłego, by spotkać się z niezwykłą atencją. I na całe szczęście. Projekt pierścionka zaręczynowego Simonetty, wymyślony i naszkicowany przez narzeczonego, nie był prosty i wykonania nie mógł się podjąć amator. Misternie wyrobione serce z pręcików złota, a w nim jleur - de - lys z wachlarzowato rozłożonych trzech złotych listków migdałowca. A na listkach trzy owalne słodkowodne perły, symbolizujące trzy migdały z herbu di Saronno. Obróciło się koło fortuny i drzewo miało wydać owoc.

Veronica się zbliżyła i ujęła wyciągniętą rękę z uśmiechem rzadkim na jej twarzy. Gdy pomagała Simonetce wejść do powozu, zaczął sypać śnieg, ale drobnymi, delikatnymi kwiatuskami, jakie nie zapowiadały utrudnień w podróży.

Nie wiedząc, dlaczego to robi, Simonetta przechyliła głowę do tyłu i otworzyła usta, łapiąc na język białe płatki.

## ROZDZIAŁ 47

### Epilog

Lorenzo Giovanni Battista Castello di Saronno zginął pod Pawią dwudziestego czwartego lutego roku Pańskiego 1525. Ale Selvaggio Sant' Ambrogio żyje. Wiem, bo to ja. Jestem szczęśliwym mieszkańcem Neapolu; uważałem, iż lepiej będę mógł strzec swego sekretu, jeżeli wyprowadzę się z rodziną z Lombardii. Z rodziną? Tak, pozwólcie mi opowiedzieć o osobach mi najdroższych.

Nonna dalej żyje - wróciła do życia, otwierając oczy i obejmując mnie, gdy tylko nachyliłem się nad jej łóżkiem tamtego pamiętnego dnia, kiedy znalazłem Amarię przy pozzo dei mariti, tamtego szczęśliwego dnia, kiedy wróciłem do Saronno. Choroba tylko musnęła jej serce i jedynym potrzebnym lekiem był mój powrót. Z pokorą przyznaję, że nie zasłużyłem na taką babkę i przyjaciela. Gorące powietrze południa owiewa ją pieśczołliwie i myślę, że teraz ona już nigdy nas nie opuści.

Mój syn urodził się latem i nadaliśmy mu imię Gregorio, jakie nosił ktoś z odległej przeszłości, zasługujący na szacunek. Od urodzenia mały cieszy moje oczy, już bawi się na podłodze mojego warsztatu zalegającymi wszędzie strużynami. Bo muszę jeszcze dodać, że jestem obecnie zamożnym człowiekiem, szanowanym obywatelem Neapolu. Meble, jakie wyrabiam, bardzo dobrze się sprzedają i dzięki temu kupiłem duży dom w tym mieście. Jakie to dziwne, że ja, ostatni potomek patrycjuszowskiego rodu di Saronno, zostałem stolarzem i kupcem! Ale cieszy mnie moja praca, bo kocham drewno; mam do czynienia z celowością, realnością i konkretem, jakże odległymi od blichtru dworskich ceremoniałów. Tylko jedną rzecz zabraliśmy z Pawii na pamiątkę: gołębnik. Stoi w samym środku naszego wspaniałego dziedzińca, a gołębica Fyllis, ku swej radości, i



co za tym idzie, ku zadowoleniu mojej żony, ma już towarzystwo.

Ach, moja żona! Promienieje szczęściem, docenia naszą zamożność, ale pod szatami z jedwabiu niezmiennie bije najbardziej prawe serce na świecie. Będzie się opiekowała naszymi dziećmi, jak kiedyś opiekowała się mężem i jak w przyszłości zaopiekuje się dziećmi naszych dzieci.

Czasami dochodzą mnie wieści z Saronno. Podobno Simonetta i Bernardino też mają syna, któremu nadali imię Aurelio. Zabrałem się do pracy i wystrugałem w drewnie mnóstwo par zwierząt, każde nie większe od paznokcia, i rozmieściłem je w drewnianej łódce wyobrażającej arkę Noego. Z tym darem, zawiniętym w czerwony jedwab, wysłałem do Villi Castello gońca, surowo zabraniając ujawnienia nazwiska ofiarodawcy.

Miałem nadzieję, że Aurelio się ucieszy. (Nie wiedziałem wtedy, jak wielką sprawiłem mu radość - wiele lat później Aurelio Luini, godny dziedzic talentu swego ojca, znalazł się, jak wcześniej Bernardino, w klasztorze San Maurizio w Mediolanie i namalował tam cudowny fresk przedstawiający arkę Noego). Dotarła też do mnie wieść o tym, że Evangelista zaczął mówić „tata” do pana, który kiedyś namalował mu na dłoni gołąbka, a mały Giovan Pietro natychmiast poszedł w jego ślady.

A Simonetta? Wiem, że cieszy się pełnią szczęścia jako żona Luiniego i matka synów. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem, ale widziałem ją na obrazie. Bernardino powiedział kiedyś, że Lombardia malowana jest krwią i farbami, krew wysycha, ale farby są trwałe, wieczne. Możecie Simonettę zobaczyć, jeżeli pójdziecie, jak ja i Amaria, do Museo Civico Gaetano Filangieri w Neapolu. Wyszukajcie obraz Bernardina Luiniego przedstawiający Dziewicę z dzieciątkiem i zakonnicą. Zobaczycie Madonnę z dzieckiem,

siedzą w migdałowym sadzie, a zakonnica o dobrotliwej twarzy czyta im Biblię. W tle, między drzewami, przechadza się mężczyzna. Widać tylko jego jedną rękę, ponieważ drugą, zrobioną ze złota, chowa pod płaszczem. To człowiek, którego przebiła strzałą Madonna w tym właśnie sadzie, a zrobiła to w imię przyjaźni. Dziecko w jej ramionach to jej najstarszy syn, którego sierotą uczyniła wojna między jednym Bogiem i drugim. Madonna ma białe ręce, a trzeci i czwarty palec są tej samej długości. Takie ręce miała żona artysty i matka jego dzieci.

To ręce Simonetty di Saronno... Migdałowej Madonny.

## OD AUTORKI

### Jednorożce w arce

Pomysł na książkę Migdałowa Madonna zaczerpnęłam z legendy związanej ze słynnym likierem Amaretto di Saronno, teraz znanym jako Disaronno Originale. Opowiada ona o romansie między piękną wdową (w legendzie karczmarką) i malarzem Bernardinem Luinim ze szkoły Leonarda da Vinci. Luini miał rzekomo namalować wdowę jako Świętą Dziewicę w kościele sanktuaryjnym w Saronno w 1525 roku, a ona z kolei wymyśliła skład amaretto jako miłosny podarunek dla niego. Legenda posłużyła mi jako szkielet powieści, i to wszystko, bo amaretto z kart tej książki nie ma nic wspólnego z Disaronno Originale, gdy chodzi o składniki czy metody produkcji. Te sekrety Disaronno Originale chronione są przez rodzinę Reina z Saronno i tak być powinno.

Nie do obrony byłoby natomiast zaprzeczanie autentyczności postaci Bernardina Luiniego, uznawanego obecnie za największego artystę renesansowej Lombardii, który wytrzymuje nawet porównanie ze swoim mistrzem Leonardem da Vinci. Wiadomo, że pobyt Bernardina w klasztorze Świętego Maurycego w Mediolanie był tak sekretny, a praca wykonana tam przez niego aż tak doskonała, iż przez wiele lat freski przypisywano samemu Leonardowi. Mało wiemy o życiu Bernardina, więc pozwoliłam sobie na pewną swobodę w interpretowaniu jego biografii, a dotyczy to zwłaszcza ojcostwa dwóch najstarszych synów, Evangelisty i Giovana Pietro. Co się zaś tyczy jego dzieła, to samo daje o sobie świadectwo. Gorąco zachęcam do zwiedzenia pięknego kościoła Santa Maria dei Miracoli w Saronno (obecna nazwa: Santuario Beata Vergine dei Miracoli), ale jeżeli chcecie mieć pełny obraz geniuszu Bernardina, przekroczcie progi klasztoru Świętego Maurycego (przedtem Monastero Maggiore) w

Mediolanie, bo tamtejsze freski uważane są za największe osiągnięcie Luiniego.

Wszyscy trzej synowie Bernardina poszli śladem ojca i obrali tę samą profesję; każdy z nich, w różnym czasie, też pozostawił coś po sobie w San Maurizio obok dzieła ojca.

Evangelista (Elijah) Luini został znanym malarzem, osiedlił się w Genui i wiadomo, że w 1544 roku wymalował na tamtejszej latarni morskiej herb miasta.

Giovan Pietro (Jovaphet) jest autorem podziwianej Ostatniej Wieczerzy w Kościele Zakonnym w San Maurizio. Apostoł Jan (który ufnie wspiera głowę na ramieniu Pana) jest przedstawiony jako kobieta i rzeczywiście tę samą twarz ma Magdalena na innym fresku Giovana Pietro.

Aurelio Luini, najmłodszy i najbardziej utalentowany z synów Bernardina, odziedziczył też po nim słynne Libricciolo, szkicownik Leonarda ze zdeformowanymi ludzkimi twarzami. Być może z tego powodu wykazał się talentem w malarstwie groteskowym. Jego wkładem w ozdabianie San Maurizio jest piękny fresk obrazujący biblijny potop. Uważny obserwator dopatrzy się wśród zwierząt wchodzącej na arkę pary jednorożców.

A Simonetta di Saronno? Żyje na ścianach San Maurizio w twarzy każdej świętej i każdej Magdaleny, a w Saronno każda Madonna to również ta kobieta. Wiele tych świętych niewiast ma gdzieś na szatach symbol serca z listkami migdałowca. Domyślam się więc, że piękność z czerwonymi włosami, białymi rękami i ciężkimi lombardzkimi powiekami żyła w czasach Bernardina i żyła w jego sercu. A być może w ogóle nie istniała. W arce są jednorożce, więc podobnie jak na fresku Aurelia Luiniego, tak i w tej książce jest część prawdy i część fikcji.

## Podziękowania

Tak naprawdę historia Migdałowej Madonny zaczęła się któregoś roku w święto Bożego Narodzenia, kiedy to raczyliśmy się z mężem kieliszkiem (może dwoma) amaretto. Zainteresował go tekst na odwrocie pudełka, w którym otrzymaliśmy butelkę, opisujący legendę o genezie Disaronno. Skończył czytać, odwrócił się do mnie i powiedział: „To twoja następna książka”. Dziękuję ci, Sacha, za pomysł i wspieranie mnie na każdym etapie procesu „destylacji”.

Dziękuję mojej nauczycielce historii, Jennifer Gill, która obudziła we mnie zainteresowanie okresem wojen włoskich i przekazała mi wiele informacji o bitwie pod Pawią. Dziękuję mojej siostrze, Veronice Fiorato, a także Elizabeth Glover za pomocną wiedzę o wczesnej balistyce oraz mojemu ojcu, Adelinowi Fiorato, którego znajomość dzieł Bernardina Luiniego była bezcenna.

Dziękuję raz jeszcze mojej fantastycznej agentce Teresie Chris i cudownemu zespołowi Beautiful Books, a na specjalną wdzięczność zasługują: Simon Petherick, Tamsin Griffiths i Katherine Josselyn.

W książce przewija się wątek prześladowania Żydów w renesansowych Włoszech i za przeczytanie tekstu z perspektywy żydowskiej jestem szczególnie dłużna Linalowi Haftowi.

Portrety chłopców w tej książce kreśliłam, mając przed oczami własne dzieci, Conrada i Ruby, więc dziękuję, że pozwoliliście mi wykorzystać wasze sylwetki.

Dziękuję wytwórcom Disaronno, pokoleniom dawnym i obecnym, a także zmarłemu przed wiekami Bernardinowi Luiniemu - oby wreszcie wyszedł z cienia Leonarda.